

MICHAŁ STUDNIAREK

Herbata z kwiatem paproci

Rozdział pierwszy

Zachciało mi się napić dobrej herbaty.

Zwykle nim zaparzę kupiony w sklepie susz, wyciągam z niego wszystkie obce dodatki. Najczęściej są to kawałki siana, czasem dziwne polepszacze, o których producent zapomniał napisać na opakowaniu; raz trafiłem nawet na coś, co wyglądało jak zmielona zapałka. Dlatego od czasu do czasu odwiedzam miejsca, gdzie jestem pewien, iż podadzą mi napar z prawdziwych, suszonych liści herbacianych z naturalnymi dodatkami. Nie jest to tania przyjemność, toteż kiedy tylko MediaGruppe GmbH Polska przelała na moje konto honorarium za artykuł do „Przeglądu Tygodnia”, skierowałem kroki do herbaciarni.

„Piąta” mieściła się na Starówce, w jednej z bocznych uliczek odchodzących od starannie utrzymanego, pilnowanego przez ochronę Rynku. Jak wszystkie uliczki na Starówce i ta sponsorowana była przez korporację, w tym przypadku SolFoods Polska. Niestety, chyba gdzieś sześć miesięcy temu Pepsico dokonało ich wrogiego przejęcia i obecnie firma miała inne wydatki niżłożenie na zabytki. Dlatego też stojące przy niej domy, co prawda niedawno odremontowane, już zaczynały tracić na wyglądzie. Gdzieś tam widziałem świeże graffiti, którego nie było za co zamalować, a w załamaniach muru tu i ówdzie stały butelki po tanim winie. Spacerowiczów też kręciło się mniej... wszystko wracało do stanu sprzed dwudziestu lat.

O tym, że w kamienicy znajdował się jakiś lokal, świadczyła tylko niewielka, umocowana obok bramy drewniana tabliczka z wypaloną lutownicą nazwą, poniżej wisiała plakietka z przekreślonym wideofonem. Chyba właśnie dzięki brakowi wyraźnej reklamy „Piąta” zachowała *jeszcze* swój klimat i nie stała się kolejnym lokalem dla korpów. Oni woleli położony dalej, niemal przy samym Rynku, bar tlenowy. Jedna taka parka, hiperwentylowana na wesoło, opuszczała właśnie jego progi.

Już na schodach do piwnicy poczułem zapach kilku gatunków suszonych herbacianych liści. Zaraz potem usłyszałem pierwsze dźwięki reggae, wreszcie wyszedłem wprost na bar.

W ceglanej piwnicy światło było przyćmione: paliły się świece stojące w niszach, na półkach i pniakach pełniących tutaj funkcję stolików; nieliczne żarówki osłonięto abażurami z usztywnionego lnu. Na ścianach, zamiast porcelanowych masek, które zapamiętałem z poprzedniej wizyty, wisiały teraz wielkoformatowe fotografie z Himalajów. Oczywiście wszystkie miejsca były zajęte przez czulące się i zagadane pary.

— Cześć, Adaś! — Iga, szefowa lokalu, pomachała mi ręką zza kontuaru. Od naszego ostatniego spotkania jej dredy znacznie urosły i zmieniły kolor: ich jaskrawy pomarańcz kontrastował z błękitem spranego jeansowego kompletu. — Co słychać?

Podszedłem i cmoknąłem ją w policzek, niemal dusząc się wonią hinduskich perfum.

Jestem bogaczem, zapłacono mi.

Świetnie! Znajdź sobie miejsce w drugiej sali, zaraz ktoś do ciebie przyjdzie.

Przemknąłem do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie stały krzesła i stoły, również wykonane z prawdziwego drewna. Tutaj było pusto: pod jedną ścianą siedziała tylko mała grupka studentów i chudy, elegancko ubrany dziadek z namaszczeniem nalewający sobie którąś z zielonych herbat — poznałem po podgrzewanym orientalnym czajniczku i kamionkowej czarce. Nim *jeszcze* wybrałem stolik, już pojawiła się dziewczyna z wydrukowanym na welinie menu. Słowo „kelnerka” nie pasowało do tutejszej obsługi: były to przede wszystkim artystki, które z prowadzenia herbaciarni uczyniły źródło stałego dochodu. Oprócz podawania herbaty udostępniały swoim kolegom po fachu ściany i nisze na prezentacje rozmaitych dzieł. Sądząc po tym, jak często zmieniała się ekspozycja, chętnych nie brakowało.

Wybrałem sobie stolik w rogu i usiadłem tak, aby mieć na oku całą salę. Nie wiem, skąd wziął mi się taki nawyk; może podświadomie wołałem mieć zabezpieczone tyły, a może po prostu chciałem oprzeć się o prawdziwe cegły z szesnastego czy siedemnastego wieku. W porównaniu z siedemdziesięcioletnimi „zabytkami” nad głową dawały miłe poczucie autentyzmu. Dotknąłem chropawej powierzchni jednej z nich. Nasiąkały historią tak, jak my nasiąkamy wiadomościami. Chciałbym kiedyś zobaczyć, czego były świadkami.

Dziewczyna wróciła, a ja zdałem sobie sprawę, że nie wiem jeszcze, co zamówić. Chwyciłem się pierwszej myśli, która przysłała mi do głowy.

— Kiedy byłem tu ostatni raz, podano mi złocisty napar, ale nie pamiętam nazwy. Chyba owocowy, miał cierpko—słodki smak i nutę jakiegoś dziwnego zapachu... nawet nie wiem, do czego go porównać...

Wysłuchała mnie z uśmiechem, powiedziała, że w razie czego zapyta Igę, i odeszła. Nie byłem pewien, czy zrozumiała, o co mi chodziło, jednak ufałem jej znajomości rzeczy. Na tym się nigdy nie zawiodłem. Tutaj wszystko było tak prawdziwe, jak tylko się dało: prawdziwe zabytkowe cegły, czysta woda dowożona Bóg wie skąd, herbata bez sztucznych domieszek, wiekowe filiżanki pochodzące z różnych kompletów, lecz zawsze wykonane z porcelany lub glinki, reggae z czasów, kiedy Bob Marley wybijał zęby rówieśnikom w Kingston, czasem dziwna muzyka z zapadłego kąta świata wykonywana na zapomnianych instrumentach... Nawet dziewczyny nie nosiły wyszukanych wszczepów, jeśli nie liczyć ruchomych tatuaży i podskórnych atomowych zegarków. To miejsce wydawało się żywcem przeniesione z pełnych optymizmu lat dziewięćdziesiątych zeszłego stulecia. Uspokajało, pozwalało zebrać myśli. Znajdowałem się z dala od korporacyjnych wieżowców w centrum, od tłumów przewalających się w ciepły czerwcowy wieczór szlakiem od placu Zamkowego do Barbakanu. Czas przestawał gnać jak oszalały, myśli zwalniały, płynęły leniwiej. Zresztą nie sposób było się spieszyć w miejscu, gdzie parzenie herbaty zajmuje co najmniej kwadrans. Przystawałem zastanawiać się nad tym, co przeanalizować w następnym artykule. Jeszcze się nie zdarzyło, abym nie wyszedł stąd bez niezłego pomysłu, zwykle zapisanego na serwetce. Nie ośmieliłbym się wyciągnąć tutaj swego palmtopa—telefonu. Sięgnąłem do kieszeni i wyłączyłem go, aby pozbyć się pokusy.

Usłyszałem *czyjeś* kroki, poczułem duszący *zapach* perfum.

— Głupia sprawa. — Iga nachyliła się ku mnie tak głęboko, że mogłem odczytać markę jej orzechowych soczewek. Zresztą kusilo mnie, aby rzucić okiem również odrobinę niżej. — Kiedy byłeś tu ostatnio, zaszła mała pomyłka, otworzyłyśmy nie tę puszkę, co trzeba, i dostałeś cudzą herbatę...

Rzeczywiście, głupia sprawa. Jedną z cech „Piątej” było przygotowywanie specjalnych kompozycji na życzenie klienta. Wystarczyło przyjść, powiedzieć, jakiego smaku i aromatu się oczekuje, a dziewczyny w dwadzieścia minut potrafiły przyrządzić żadaną mieszankę. Stała ona potem na półce w niewielkiej puszcze i czekała na chwilę, kiedy właściciel pojawi się i *zażyczy* sobie własnej herbaty. Taką puszkę można było otworzyć tylko w obecności klienta i za jego zgodą. Owszem, trochę to snobistyczne... ale skoro firma nie zarabiała na korpach, musiała zarabiać na snobach.

Zdarza się... — Wzruszyłem ramionami. — Jeżeli ktoś nie do— smaczył jej maryską czy amfą, nie ma problemu. Swoją drogą szkoda, bo smakowała wyśmienicie. Mam nadzieję, że klient się nie zorientował?

Nie, nie ma obawy... — Iga machnęła ręką. — Na pocieszenie powiem ci, że kobieta, która ją zamówiła, przychodzi tu co czwar tek. Zagadaj ją, może zgodzi się udostępnić ci recepturę. Co podać w zamian?

Bo ja wiem... zdaję się na ciebie. Na pewno przez ostatnie trzy miesiące wymyśliłyście coś

nowego.

Iga uśmiechnęła się lekko i odeszła. Wiedziałem, że przyniesie coś ekstra, nawet jeśli w pierwszej chwili nie będzie to

wydawało się zdatne do picia. Do dziś pamiętam, jak uraczyła mnie kiedyś tybetańską herbatą z masłem — mój żołądek jeszcze wzdrygał się na to wspomnienie. Prywatna herbata... nie wiem, kim była kobieta, która ją zamówiła, ale dziewczyny odwaliły kawał dobrej roboty; zresztą ona sama też musiała mieć nie byle jakie poczucie smaku, żeby wpaść na pomysł takiej kompozycji. Mimo iż od mojej ostatniej wizyty tutaj upłynęło naprawdę dużo czasu, wciąż pamiętałem ten smak. Cierpko—słodki... bardzo popularne połączenie, które tym *razem* miało w sobie coś niepowtarzalnego. Nutę, której nie dało się porównać z niczym innym.

Iga wróciła równo dziesięć minut później, niosąc fajansowy dzbanuszek i porcelanową filiżankę art deco z niebieskim paskiem na krawędzi. Starszy pan przy sąsiednim stoliku zatrzymał ją na chwilę, powiedział coś, szefowa skinęła głową i podeszła do mnie.

— Cejlońska mieszanka kwiatowa — wyjaśniła. — Daj jej jeszcze pięć minut i pij. Potem powiesz nam, co sądzisz o takim zestawie. A tak przy okazji... sądzę, że w sprawie mieszanki mógłbyś dogadać się z dziadkiem przy tamtym stoliku. Też ją kiedyś dostał. To kulturalny starszy pan, znawca herbaty, przychodzi tu jeszcze dłużej niż ty; o ile się orientuję — nie pedał. Zerknąłem na niego. Był wysoki i wysuszony, a jego granatowy garnitur z wiśniowym fularem wydawał się również mieć swoje lata. Gładko ogolone obwisłe policzki, porządnie przycięte i *zaczeseane* w staromodny przedziałek włosy — ot, inteligent na emeryturze.

— Dawaj go — poleciłem Idze, niby od niechcenia rozkłada ją w zasięgu dłoni serwetkę. Przypomniałem sobie najbardziej wredne pytania, które zapamiętałem z udzielanych ostatnio „Prze głądowi Tygodnia” wywiadów; w końcu redakcję codziennie odwiedzał przynajmniej jeden głoszący rozmaite teorie czubek. Niektóre oszołomy zmywały się ośmieszona dwoma, trzema od powiednio dobranymi pytaniami, innych ochrona знаła już po imieniu i nie wpuszczała do środka. Jeśli uda mi się pociągnąć dziadka za język, być może przyda się komuś artykuł. Emeryt — pasjonat prawdziwej herbaty...

Iga podeszła do niego, powiedziała coś, a kiedy dziadek już szedł w moim kierunku, zaniósła za nim dzbanek i czarkę. Ha, znawca cieszy się tu specjalnymi względami.

— Dobry wieczór. Najmocniej przepraszam, że ośmielam się zakłócać panu tę chwilę spokoju...

Przez dłuższą chwilę milczałem zakłopotany, starając się dobrać odpowiednie słowa. Cholera, dawno nie słyszałem takiego stylu wypowiedzi. To nie był język ulicy ani taki, którym posługiwałem się na co dzień, nie wspominając już o rzeczowo—wyjaśniającym stylu, którym musiałem pisać. Starszy pan uznał widać tę ciszę za wyraz zakłopotania, bo dodał szybko:

Widzi pan, ja również miałem tego pecha... a może szczęście... że padłem ofiarą identycznej pomyłki...

Rozumiem... — wydukałem wreszcie. — Ale dlaczego sądzi pan, że piliśmy tę samą mieszankę? Będę szczerzy: skojarzyłem po opisie, który podał pan obsłu dze. Przepraszam, że podsłuchiwałem rzeczy, które nie były prze znaczone dla moich uszu. Na swoje usprawiedliwienie mogę tylko rzec, że herbata to moja jedyna pasja i oddaję się jej całkowicie. Od czasu owej tak przyjemnej w skutkach pomyłki, to jest od dobrych trzech tygodni, na podstawie własnych wrażeń i doświadczenia staram się ustalić skład tej mieszanki...

Ha, faktycznie, koneser!

Bez przesady, mówiłem dość głośno... a czy nie byłoby jednak łatwiej spytać właścicielkę mieszanki?

Owszem, można i to zaryzykować — uśmiechnął się tamten. Jak na swój wiek miał albo

nieprawdopodobnie zdrowe zęby, albo dobre protezy; obstawiałem *raczej* to drugie. — A przy okazji postanowiłem sprawdzić swoje umiejętności, potem porównam wyniki z informacjami otrzymanymi od właścicielki i zobaczę, jak bardzo się pomyliłem.

Mój rozmówca wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki tani notes i jednorazowy długopis.

— Udało mi się ustalić większość składników. Jeśli pan pozwoli, przeczytam moje obserwacje i wnioski, dzięki temu łatwo do wiemy się, czy mówimy o tym samym naparze.

Nie odmówiłem. Facet wyglądał na ciekawy przypadek.

— Jasny napar, smak, w którym zachowano doskonałą równo wagę między naturalną goryczą herbacianego garbnika a słodyczą dodatków, poza tym oryginalna, trudna do określenia nutka smakowa, coś podobnego do...

Przez chwilę siedziałem otępiąły, podczas gdy starszy pan bombardował mnie niezliczonymi szczegółami, o których nie miałem nawet zielonego pojęcia. Jego wiedza była doprawdy imponująca.

— ...pierwsza filiżanka relaksująca, następne pobudzające...

— Dość. — Uniosłem dłonie. — Zgadza się, co do joty. Koneser uśmiechnął się lekko i schował notes.

— Właścicielka lokalu podała mi nazwisko zleceniodawczyni: Goplana Mroziewicz. Podobno ma dziś wieczór zaszczyścić to miej sce swoją obecnością.

Mroziewicz... to nazwisko nie było mi obce. Właścicielka niewielkiej, ale dość znanej galerii w Hyacie. Miała ponoć oko do wyłapywania dobrych artystów, paru moich znajomych bywało nawet u niej na wernisażach.

— Owszem, mnie również powiedziano coś takiego.

— Zatem może zaczekamy na nią *razem* i poprosimy o przepis? Pomysł był z pewnością ciekawy, jednak realizacja nastroczała pewnych trudności. Biorąc pod uwagę sporą liczbę drogich składników, należało przypuszczać, że była to osoba dość bogata, a jako właścicielka galerii pewnie też ekscentryczna. Jeśli Koneser powie babie, w jaki sposób dowiedzieliśmy się o jej mieszance, ta na sto procent obrazi się na lokal i Iga straci dobrą klientkę. Trzeba będzie wziąć inicjatywę w swoje ręce i zagadać, zanim dziadek coś chlapnie.

Prawdę powiedziawszy, nie sędzę, aby owej pani należało mó wić, skąd dowiedzieliśmy się o jej mieszance — odezwał się niespo dziewanie Koneser, nalewając sobie kolejną filiżankę. — Może po prostu usłyszeliśmy o jej wyjątkowych zaletach?

Owszem — odparłem, nieco zaskoczony. Czytał mi w my ślach, czy co? — Mógł nas także zalecieć zapach, kiedy obsługa sprawdzała, czy już nie zwietrzała. Zapytani, powiedzieli nam, czyje to...

Przez następny kwadrans rozmawialiśmy wyłącznie o herbacie. Wiedza starszego pana okazała się ogromna. On naprawdę poświęcał jej każdą wolną chwilę. Doskonała osoba na krótki, niezobowiązujący wywiad...

Iga zajrzała do naszej sali, wychwyciła moje spojrzenie i lekko machnęła głową w stronę wejścia. Kobieta, którą ujrzałem w chwilę potem, mogła mieć koło pięćdziesiątki. Kilkanaście lat temu na jej widok faceci musieli rozbijać samochody na latarniach; zachowała wspaniałą, smukłą sylwetkę i piękne, regularne rysy *twary*. Długie brązowe włosy oraz dopasowana kolorem jedwabna apaszka skutecznie osłaniały szyję, na której można już było dostrzec pierwsze zmarszczki. Widać było, że dysponuje dwoma najcenniejszymi dziś rzeczami: pieniędzmi i czasem. Lekkie brązowe poncho spięte srebrną broszą w kształcie kaczeńca, stanowiące komplet spodnie z szerokimi nogawkami i elegancka biała bluzka musiały kosztować sporo eurosów, a należyta pielęgnacja takiej fryzury zajmowała pewnie godzinę dziennie. Nie bez powodu większość pracujących obcina się krótko lub goli głowę na łyso. Zaraz za nią weszło dwóch

podobnych do siebie goryli lub asystentów: wysokich, dobrze zbudowanych facetów ostrzyżonych *najeża*, bez śladu fosforyzującego żelu w ciemnoblond włosach. Obaj mieli identyczne granatowe marynarki o sportowym kroju, ciemne spodnie i buty, którymi łatwo można było kogoś skopać w kularach eleganckiego przyjęcia. Różnili się tylko kolorem półgolfów: jeden miał wiśniowy, drugi granatowy. Mogłem co najwyżej zgadywać, co za zabawki nosili pod marynarkami i w jakie wszczepy zostali wyposażeni. Moje wcześniejsze przypuszczenia okazały się słuszne: baba pasowała do wizerunku statecznej żony bogatego korpa, tak od dyrektora wydziału wzwyż.

Wiśniowy odsunął krzesło przy ścianie i pomógł jej usiąść. Jego kumpel zasiadł plecami do drzwi, Wiśniowemu pozostało miejsce po jego prawej ręce. W ten sposób mieli na oku wejście i zasłaniaли sobą kobietę. Nim się *jeszcze* dobrze rozsiedli, Iga osobiście przyniosła im menu. Marszandka zamówiła coś, nie zaglądając nawet do środka. Nie musiałem zgadywać, co.

A zatem ryzykujemy? — spytałem Konesera.

Spróbujmy... mam nadzieję, że wielcy tego świata okażą zro zumienie skromnym miłośnikom herbaty.

Kiedy zbliżyliśmy się do ich stolika, obaj faceci jak na komendę przesunęli się nieco w naszą stronę. Zgodnie z korporacyjną etykietą zatrzymałem się o pół metra przed nimi, aby mogli obserwować całą moją postać. Kiedy kobieta raczyła nas wreszcie dostrzec, Koneser uklonił się grzecznie, niczym sarariman przed swoim szefem.

Najmocniej przepraszam, czy mam przyjemność z panią Go— planą Mroziewicz? Proszę wybaczyć, że państwu przeszkadzam, nazywam się Marcin Kwietniewski i wraz z panem...

Adam Chors — powiedziałem. Przelotne spojrzenie ciemnych oczu, lekkie kiwnięcie głową.

...jesteśmy... hm... od wielu lat jesteśmy miłośnikami herbaty. Tak się składa, że mieliśmy okazję przypadkowo zapoznać się z niezwykłym aromatem pani mieszanki. Dlatego ośmielamy się zapytać, czy zgodziłaby się pani udostępnić nam recepturę?

Goryle nawet na moment nie spuścili nas z oka, czekając na odpowiedź swej pani. Ta przez dłuższą chwilę taksowała nas spojrzeniem.

— Z zasady nie udostępniam tej receptury... — głos miała głęboki i zmysłowy. Nie wątpiłem, że starszemu panu biega teraz po krzyżu dwieście trzydzieści woltów. Mnie przeszkadzały zmarszczki w ką cikach ust i oczu, których nie był już w stanie zasłonić puder, oraz żyły wyraźnie rysujące się pod pomarszczoną skórą dłoni — ...nie widzę jednak przeszkód, aby jej panowie spróbowali i przekonali się, czy warto o nią prosić.

Jednym gestem kobieta przywołała dziewczynę, która właśnie sprzątała stół po studentach, i zamówiła *jeszcze* dwie filiżanki, podczas kiedy my przysuwaliśmy sobie krzesła. Goryl— asystent w wiśniowym półgolfie przesiadł się tak, aby od pani Mroziewicz nadal dzieliły nas dwie duże i prawdopodobnie nawszczepiane klaty.

Naraz w oku marszandki dostrzegłem dziwny błysk, a na ustach pojawił się delikatny uśmiezek. Twierdzą panowie, że są ekspertami w sprawie herbaty... pro ponuję zatem następującą umowę: jeśli wam zasmakuje i na pod stawie koloru, smaku oraz zapachu zdołacie odgadnąć chociaż połowę składników, dostaniecie przepis, a dodatkowo poproszę obsługę, aby przygotowała dla was niewielkie paczuszki. Zgoda?

Nie widzę przeszkód — odparł Koneser z lekkim rozbawieniem. Z trudem udało mi się stłumić śmiech; gdyby pani Goplana wie działa, o czym rozmawialiśmy! Chwilę później zaniepokoiłem się: a może z Konesera taki znawca jak ze mnie szczur korporacyjny? Może nie wyłapał wszystkiego? Zerknąłem na niego kątem oka: siedział rozluźniony, nonszalancko dzieląc się z marszandką uwa gami na temat swojej senchy, jakby wygrana już należała do niego. Asystenci również nieco się odprężyli, przestali nas obserwować i gapili się na fotografie. W sumie, czym

się przejmuję? Przynajmniej napiję się czegoś dobrego. Przepis nie jest mi potrzebny do szczęścia.

Wreszcie na stole pojawił się parujący imbryk oraz filiżanki. Goplana i jej asystenci wyraźnie się ożywili, jakby wizyta tutaj stanowiła treść ich życia. Kobieta z namaszczeniem uniosła czajniczek i napełniła nasze filiżanki do połowy. W powietrzu rozeszła się silna woń kwiatów.

— Nie radzę używać cukru — powiedziała, kiedy dmuchaliśmy na złocisty płyn. — Zakłóci wam wrażenia smakowe.

Ostrożnie, z nabożną niemal czcią, pociągnąłem pierwszy łyk. Tak, to bez wątplenia ten sam napar, który piłem ostatnim razem. Co prawda smak był teraz bardziej gorzki niż słodki, ale cóż, za każdym razem herbata wychodzi odrobinę inna. Chyba nie zakłóci nam to analizy.

Koneser wypił swoje i odstawił filiżankę na spodeczek. Goplana spojrzała na nas wyczekująco.

— Hmm... — rzekł, doskonale udając zamyślenie. — Jeśli chodzi o bazę... gorzki smak pochodzi z darjeelinga. Delikatna, perfumowana nutka wskazuje na sporą ilość devenii...

Klepał swoje powoli, z głębokim namysłem, jakby pierwszy raz miał tę herbatę w ustach. Poczekaliśmy, aż zrobi sobie przerwę na wdech, i dorzuciłem kawałek jabłka oraz płatek róży i szczyptę

cynamonu dla aromatu. Potem starszy pan znów zabrał głos i tak na zmianę szczęśliwie dobrnęliśmy do końca.

Goplana z uśmiechem słuchała naszej wyliczanki, kiwając głową i od czasu do czasu pociągając łyk z filiżanki.

— ...istnieje jednak składnik, którego nie potrafię wyróżnić. Na zrywam go składnikiem X. Prawdopodobnie to on odpowiada za ową szczególną słodycz oraz niektóre nutki zapachowe. Początkowo sądziłem, że dodano tu odrobinę olejku pomarańczowego, ale istnieją pewne różnice smaku... w tym przypadku muszę przyznać się do swojej niewiedzy.

— Jest pan zbyt skromny. — Goplana klasnęła w dłonie. — Ta wiedza robi ogromne wrażenie. Z całą pewnością zasługują panowie na przepis. Jako że gros składników wymieniliście bezbłędnie, pozostaje mi tylko wyjaśnić, że jest tam rzeczywiście kropelka olejku pomarańczowego, i dodać, czym jest ów „składnik X”. To kwiat paproci.

Odruchowo sprawdziłem w pamięci nazwy znanych mi środków odurzających. A może to coś nowego? Może baba testuje właśnie dla męża nowy produkt jego korporacji? Uzależniająca herbata regenerująca? Po plecach przeszedł mi dreszcz. Jeśli moje podejrzenia są słuszne, to właśnie trafiłem na dziennikarską żyłę złota. Oczywiście, jeśli dożyję... nie wiadomo, co potrafią jej asystenci.

Koneser uśmiechnął się lekko, jakby coś sobie przypomniał. Za pozwoleniem Goplany nalał sobie jeszcze trochę herbaty i popijał z wyraźną lubością; ja już straciłem ochotę, ale nie bardzo umiałem się wykręcić. Pozostawało siedzieć grzecznie na tyłku i sączyć swoje, jak najdłużej odwołując dolewkę. Pocieszałem się, że poprzednim razem nic się przecież nie stało. A do wypicia nagrody i tak nikt mnie przecież nie zmusi. Z samego rana dam ją do analizy.

Goplana musiała zauważyć moje zmieszanie, bo kazała Wiśniowemu dopilnować przy barze przygotowania dla nas torebek z mieszanką, po czym powiedziała:

— Widzę, że mi pan nie dowierza... chciałabym zapewnić, że kwiaty paproci naprawdę istnieją i wcale nie rosną tylko w noc sobótkową. Znam miejsca, gdzie paprocie kwitną przez cały rok.

Gdzie to jest?

Po Tamtej Stronie. — Goplana wykonała gest, który mógł oznaczać zarówno drugą stronę przeciwległej ściany, jak i drugą stronę Rynku.

Chciałbym to zobaczyć — odezwał się Koneser, nim zdążyłem zapytać, gdzie dokładnie znajduje

się owa „tamta strona”. — Tyle szczęścia w jednym miejscu...

Niestety, za stary ze mnie mugol, aby wierzyć w takie rzeczy — wyjaśniłem z uprzejmym uśmiechem, kręcąc głową.

Goplana wyprostowała się, zdecydowanym gestem odrzuciła włosy do tyłu. W oczach znów miała ten sam dziwny błysk, jak wtedy, gdy zaproponowała nam zgadywanie składu herbaty.

— Cóż, może zatem to was przekona — powiedziała z nutką irytacji. Wyciągnęła rękę w stronę stojącego obok świecy wazonika z suszonym kwiatem. Powoli, trzymając dłoń tak, abyśmy mogli cały czas widzieć go w całości, przesunęła nią od dołu łodygi do góry, ku bladioróżowym płatkom.

Kwiat delikatnie drgnął, a potem, jak na puszczanym od tyłu filmie, zaczął odzyskiwać życie. Liście wyprostowały się i zazieleniły, podobnie łodyga. Zieleń powolutku sunęła po niej niczym wąż, rozlewała się na skręcone liście, które gwałtownie się rozprostowywały, aż dotarła do płatków i te zaraz rozbłysły całym bogactwem barw.

Goplana skrzyżowała ramiona, odchyliła się na krześle i popatrzyła na nas wyczekująco.

Gapilem się to na nich, to na kwiat, nie mogąc wydobyć z siebie głosu. Dobrze, że nie trzymałem w ręku filizanki, bo musiałbym jeszcze za nią zapłacić. Powoli wyciągnąłem rękę i dotknąłem liścia. Był sprężysty, wyczuwałem pokrywające łodyżkę drobne włoski oraz wypukłe żebrowanie po wewnętrznej stronie. Płatki delikatnie ugięły się pod moimi palcami.

Pierwszy odezwał się Koneser. O dziwo, starszy pan wydawał się tak spokojny i opanowany, jakby oglądał takie rzeczy przynajmniej kilka razy w tygodniu. Może pracował jako asystent iluzjonisty?

Jak to pani zrobiła? Kim pani jest?

Goplana — odparła poważnie, patrząc mu prosto w oczy. — Panią natury.

— Ach... — Obiegowa opinia o artystach znalazła właśnie kolejne potwierdzenie. Baba miała dobry smak, prowadziła dochodową galerię i była także odpowiednio ekscentryczna. Prawdę mówiąc, oryginalne imię rzuciło się jej na mózg. Pani Gopła, co? To ja jestem Grabiec. Za plecami kobiety pojawił się wysłany do baru asystent. Dostrzegł odmieniony kwiat i zerknął z niepokojem na swego granatowego kolegę. W jego oczach dostrzegłem pytanie: „Czy szefowa wie, co robi?”. W odpowiedzi tamten wykonał drobny, uspokajający gest. Wówczas nachylił się do ucha Goplany i wyszeptał coś, czego nie mogłem usłyszeć.

— Ci panowie to Skierka i Chochlik? — W głosie Konesera nie było śladu ironii, złośliwości czy gniewu. Dziadek traktował jej słowa tak, jakby mówiła szczerą prawdę. Od początku czułem, że też nie jest do końca normalny... może nie wariat, raczej mitoman. Znosi się na turniej opowieści dziwnej treści... cóż, jeśli będą ciekawe, ten wieczór na pewno zaliczę do interesujących. Może powinienem częściej rozmawiać z tutejszą klientelą?

Goplana machnęła nonszalancko ręką.

Właściwie nie używają już tych imion. To nie te czasy... obecnie to po prostu Sławek i Mirek. Niestety, mam dla panów przykrą wiadomość: mieszanki jest zbyt mało, aby was sprawiedliwie obdzielić. Rozkoszujmy się zatem tym, co nam pozostało, aż do ostatniej kropelki...

Nie mamy także suszonego kwiatu paproci — przypomniał niespodziewanie Granatowy. Pierwszy raz usłyszałem, aby któryś z nich się odzywał. Nie brzmiał tak ochryple i beznamiętnie jak większość znanych mi ochroniarzy. Goplana nie wydawała się specjalnie zmartwiona jego słowami.

Cóż, w takim razie... — odstawiła filizankę — będę jeszcze musiała prosić panów o drobną przysługę... oczywiście macie prawo odmówić...

Ton jej głosu sugerował, że owo prawo jest czysto iluzoryczne. Poczulem, iż ogarnia mnie przekorna chęć, aby odpowiedzieć „nie”, co zdarzało mi się zawsze, gdy rozmawiałem z nadętym

pracownikiem korporacji, przekonany, że może mnie kupić za drobne z kieszeni. Może Koneser odmówi za mnie...

Ta sytuacja ma również swoje dobre strony — odpowiedział ku mojej rozpaczy. — Wreszcie zobaczę miejsce, gdzie rosną kwiaty paproci...

No to świetnie! — ucieszyła się Goplana, delikatnie kładąc dłoń na rękę Granatowego. — Sławek zaprowadzi was...

Wybacz, pani, ale tylko ty możesz otworzyć Bramę — przy pomniał Mirek, strzepując białe klaczkę ze swego wiśniowego półgolfu. Goplana wykrzywiła usta.

Ach, prawda... Trudno, jak trzeba, to trzeba. Pijmy zatem!

Sławek rozlał resztę herbaty i cała czwórka skupiła uwagę na filiżankach. Niechętnie sięgałem po swoją. Czulem już odprężające i rozluźniające działanie naparu, ale niepokój nie dawał o sobie zapomnieć. Te siły ścierały się we mnie, napływały falami, raz głęboki spokój i odprężenie, zaraz potem zdenerwowanie. Wszyscy dookoła przyjmowali słowa Goplany za pewnik, coś tak oczywistego jak fakt, że korporacje kłamią. Mogłem *jeszcze* zrozumieć asystentów, im się płaci za to, aby niczemu się nie dziwili. Ale Koneser? Przecież on widział ją pierwszy raz w życiu! Może coś jest w tej herbacie? Narkotyki? Chyba nie, poprzednim razem nie miałem zwidów, czulem się zupełnie normalnie. Może *jeszcze* nie osiągnęły w moim organizmie odpowiedniego stężenia? Bzdura, zwykle działają od razu, gdyby rzeczywiście tam coś było, już dawno wraz z Koneserem latalibyśmy pod sufitem. *Zatem* co? Niewielka dawka środków pobudzających nowej generacji? A potem pójdziemy w jakąś ciemną uliczkę, gdzie szanowna pani będzie mogła dać upust swoim ukrytym żądzom? Cóż, w tym mieście codziennie znika bez wieści kilkadziesiąt osób, a ona ma dwóch sporych pomagierów, nikt jej nie ruszy. Ochrona co najwyżej poprosi, aby wyrzucili nas gdzieś poza granicę Strefy Zabytkowej Starówka, żeby nie było na nich.

Mój wzrok raz po raz wracał do rozkwitłego pod dotykem Goplany kwiatu. Oto wyraźny dowód, że mam zwidy. Przecież coś takiego jest fizycznie niemożliwe! Tak nie może się dziać. Inaczej... Inaczej wszystko, co mówi ta kobieta, jest prawdą.

Przez moment rozważałem tę ewentualność. Wydawała się niezwykle kusząca, tłumaczyła wszystko: kwiaty paproci w herbacie, niezwykle rozkwit suszonej rośliny... tylko że nie mogła być prawdziwa. Należało *raczej* przygotować się na najgorsze i mieć nadzieję, że ono nie nastąpi. Powoli sięgnąłem do kieszeni i włączyłem komórkę. Miała opcję powiadamiania najbliższego posterunku. Dotychczas nie musiałem sprawdzać jej w praktyce; modliłem się tylko, abym nie zapomniał, które guziki trzeba nacisnąć. Tak naprawdę to zawsze miałem nadzieję, iż nigdy nie będę tego potrzebować.

Kobieta wysączyła ostatnie krople i wytarła usta serwetką. Asystenci skończyli pić równocześnie ze swoją szefową, widać mieli chłopaki wprawę. Goplana wysłała Sławka, aby uregulował rachunek, podczas gdy Mirek pomagał jej włożyć i udrapować poncho. Nadeszła kolejna fala rozluźnienia, zebrałem się więc na odwagę i zapytałem:

A dlaczego akurat my musimy to zbierać? Nie łatwiej byłoby wysłać kogoś z obsługi?

Owszem, mieliśmy umówione stałe dostawy od tutejszego kelnera, ale został zwolniony. Nadużywał anielskiego pyłu i takich tam... Poza tym trzeba wam wiedzieć, że dla nas, elfów, przyrządze nie herbaty z kwiatem paproci to proces tak trudny jak dla ludzi dobre przyrządzenie ryby fugu. Sam zapach świeżego kwiatu jest dla nas szkodliwy, w dużych dawkach nawet śmiertelnie trujący... aby nadawał się do spożycia, trzeba go moczyć w ciepłej wodzie, a potem suszyć...

Tak rozmawiając, wyszliśmy na zewnątrz, prosto w ciepły czerwcowy wieczór. Na zachodzie widać było *jeszcze* ostatnie ślady słonecznego blasku, ale nad naszymi głowami rozciągała się już granatowa ciemność. Mrugały w niej najjaśniejsze gwiazdy, których nie zdołała zaćmić luna

miasta. Gdzieś w dali migały światła wektorowych taksówek, jedna z nich przemknęła tuż nad dachami, niemal na granicy strefy zamkniętej, kierując się w stronę Piaseczna czy innej południowej dzielnicy. Od Rynku dolatywał gwar tłumu i dźwięki muzyki. Mury i płyty chodnika oddawały nagromadzone

w ciągu dnia ciepło, uliczką wiał delikatny wiaterek. Kochane, stare kamieniczki... uspokoiłem się nieco. Nawet jeśli rzeczywiście Goplana i spółka nie mają czystych zamiarów, zdołam się wyrwać. Ostatecznie, znam Starówkę jak własną kieszeń.

Ruszyliśmy w stronę Rynku. Goplana z asystentami szła przodem, ja z Koneserem dołączaliśmy do nich, jeśli tłum na to pozwalał. Marszandka nie przypominała już zmęczonej kobiety, która po całym tygodniu pracy przyszła odpocząć przy filizance herbaty; była w szampańskim humorze, odwracała się i żywo rozmawiała z Koneserem o rozmaitych sposobach parzenia owocowych herbat, co chwila wybuchając głośnym śmiechem. Również asystenci odprężyli się: szli spokojnym krokiem, z rękami w kieszeniach, więcej uwagi poświęcając przechodzącym obok fantazyjnie pomalowanym panienkom niż ochronie swojej chlebobawczyni.

Wpadliśmy w tłum spacerujący po Rynku. Było tu jasno jak w dzień: umieszczone na dachach kamieniczek reflektory oświetlały budynki naprzeciwko, restauracyjne ogródki również rześście iluminowano. Stojąca na jego środku skąpana w sodowym świetle Syrenka wznosiła miecz, jakby chciała jednym ciosem stłuc co najmniej kilka reflektorów, aby ich blask przestał wreszcie razić ją w oczy. Z lewej strony licencjonowany uliczny muzyk wygrywał zupełnie obcą mi tęskną melodię na klarnecie, z prawej również licencjonowani malarze sprzedawali swoje podrasowane komputerowo oleodruki. Kilka metrów dalej, w następnym kawiarnianym ogródku, sprzężony z instrumentem pianista prezentował światu, co mu w duszy gra. Mógł to być nu—jazz, albo facet mógł być naćpany, zresztą jedno nie wykluczało drugiego. Wielki tłum spacerowiczów i turystów płynął po kamiennym bruku we wszystkie strony, co pewien czas przystając, oglądając, fotografując cyfrowymi aparatami i uwieczniając to wszystko na chipach tajwańskich kamer.

Jak na noc jest tu stanowczo za jasno — orzekła Goplana. — Można oślepnąć! Gdzie się ona podziała? Gdzie ją wygnali?

Tam — odparł Koneser, wskazując kciukiem za plecy. Rzeczywiście, uliczka, z której wyszliśmy, przy Rynku wyglądała niczym czarna dziura.

Obok nas przeszła grupka rozbawionych Gotów czy innych metali w strojach tak czarnych, że zdawały się pochłaniać światło; w pewnej odległości za nimi sunęło czterech napakowanych wszczepami i chemią byczków z ochrony. Mieli takie miny, jakby z wytęsk—nieniem czekali na moment, gdy będą mogli wkroczyć do akcji.

Minąwszy wycieczkę odzianych w tradycyjne stroje kenijskich biznesmenów, zrównałem się z Goplaną i zapytałem:

— Czy zbieranie kwiatów paproci jest legalne?

Spojrzała na mnie z takim rozbawieniem, że aż się speszyłem. Idącemu między nami Mirkowi zadrgały kąciki ust, a Sławek w ogóle się nie krępował i radośnie wyszczerzył swoje nadzwyczaj białe implanty.

— Oczywiście, że jest. Gdybym potrzebowała czegoś nielegalnego, nie prosiłabym o sprowadzenie tego osób przygodnie spo tkanych w herbaciarni, prawda?

Już chciałem odpowiedzieć, że większość przestępców w garniturach potrzebuje jeleni do wrobienia, ale utrzymałem język za zębami. W tej sytuacji najlepiej chyba będzie udawać durnia i zachować rewolucyjną czujność. Hm, a jeśli Goplana rzeczywiście zna nieznaną mi dziką roślinę, którą nazywa się potocznie kwiatem paproci? Ciekawe, gdzie ona w takim razie rośnie? Raczej nie może to być w najbliższej okolicy, chyba że w szklarni na podwórku. Co prawda są *jeszcze* trawniki u stóp skarpy wiślanej, ale tak blisko Wisłostrady mogła rosnąć tylko

zmodyfikowana genetycznie trawa. Chyba że drogą mutacji pojawił się właśnie jakiś nowy gatunek, a to już mogło być interesujące.

Zajęty myślami prawie nie zauważyłem, kiedy weszliśmy w Jezuicką, a potem skręciliśmy w Cichą. Latarnie rzucały przytłumione światło, cienie miękko kładły się w załamaniach stopni i murów. Umieszczona na murze niewielka pleksiglasowa tabliczka informowała, że tym kawałkiem Starówki opiekuje się firma „Chen, Hassan i Kowalski — zwierzęta z probówki”. Po tarasie widokowym, na który wychodziła uliczka, kręcili się miłośnicy nocnej panoramy Pragi. Było to całkiem niezłe miejsce, aby spuścić komuś łomot, nie martwiąc się zbytnio o widownię. Słyszałem od ojca, że dawniej często znajdowano tutaj plamy krwi. Znowu poczułem chęć, by dać stąd nogę, nim będzie za późno. Spokojnie, bądźmy poważni. W ten sposób niczego się nie dowiem.

Dyskretnie obejrzałem się za siebie: nikt nie szedł za nami, idąca przodem trójka również nie wykonywała żadnych podejrzanych ruchów.

Niespodziewanie Sławek zatrzymał się przy znajdujących się po prawej żelaznych, bogato zdobionych drzwiach. O ile mogłem się zorientować, stanowiły one boczne wejście na podwórko któregoś z domów. Gdy asystent się odwrócił, przez moment zdawało mi się, że jego sylwetkę rozświetla dziwna żółtawa aura. Mógł to być efekt świetlny od pobliskiej latarni albo drobna halucynacja stanowiąca wstęp do poważniejszych zwidów. Oparłem się o mur, aby nikt nie skoczył mi na plecy, i czekałem, co dalej.

Goplana sięgnęła do torebki i wyjęła duży klucz, godny raczej świętego Piotra niż kobiecej ręki. Wetknęła go do dziurki i z łatwością przekręciła. Chwilę potem napała całym ciałem na ozdobną klamkę i drzwi się otworzyły. Wionęło stamtąd zapachem łąki i ciepłym, letnim wietrzykiem. Moje domysły się potwierdzały: po prostu hodowała na podwórku jakieś dziwne rośliny. Ciekawe, czy były przebadane...

Sławek teatralnym gestem zaprosił mnie i Konesera do środka. Starszy pan bez wahania odebrał podetkniętą mu przez Mirka papierową torbę na mieszanki podebraną z herbaciarni i przekroczył drzwi.

Poczekacie tu na nas? — zapytałem, biorąc swoją reklamówkę. Miałem nadzieję, że nie posłużą za pojemnik na zęby.

Spotkamy się w herbaciarni. Waszą nagrodę odbierzecie tam następnego dnia. Powodzenia.

Odwróciłem się ku drzwiom i zamarłem. Oparłem się o futrynę, przykładając czoło do zimnego metalu. W tej herbacie chyba rzeczywiście coś było... przecież to wyglądało jak baśń.

— Wszystko w porządku? — spytał zza moich pleców Mirek lub Sławek.

— Jasna cholera... — wymamrotałem. — Co to ma być? W co wy nas wrabiacie? Jesteście z jakiejś stacji telewizyjnej i zaraz wręczycie mi czek oraz zaproszenie do studia?

— Bynajmniej. — Goplana położyła mi dłoń na ramieniu: jej dotyk promieniował delikatnym ciepłem. — To właśnie jest Tamta Strona. Z perspektywy tego świata, ma się rozumieć.

Ciekawość wzięła górę. Powoli, bojąc się, że zaraz to wszystko zniknie, wkroczyłem na zieloną łąkę rozciągającą się po tamtej stronie drzwi. Tutaj również panowała gwiazdzista noc, księżyc w pełni świecił jak latarnia. Wraz z Koneserem staliśmy po kolana w dużych, pięknych paprociach. Rosło ich tutaj zatrzęsienie, z rzadka dostrzegałem wybijające się długie trawy. Na czubkach zwiniętych jeszcze liści paproci migotały drobne białe kwiatki. W oddali czerniła się zwarta ściana lasu.

Zamkniemy za wami drzwi — doleciał nas głos Mirka. — Sami panowie rozumieją, dziwnie to z ulicy wygląda...

Dobra. — Odwróciłem się w jego stronę. — Tylko jak stąd wyjdziemy?

Drzwi znajdują się też po Tamtej Stronie — odpowiedział jeszcze. Czyżbym słyszał w jego głosie nutkę politowania?

Kiedy zamknął bramę, musiałem przyznać mu rację. Po tej stronie miały postać niewielkiej łąski między paprociami.

— Nieprawdopodobne — szepnąłem do Konesera. — Czy to może być, żeby dali nam coś...?

Starszy pan odetchnął głęboko. Tutejsze powietrze było przesycone intensywną wonią, którą dopiero teraz zidentyfikowałem jako znacznie mocniejszy zapach mieszanki.

Wspaniałe... tak musiała wyglądać ziemia, nim pojawili się na niej ludzie. Powinniśmy jednak zabierać się do roboty. A szkoda, chciałoby się jeszcze popatrzeć...

Skąd ten pośpiech?

Nie czuje pan tej balsamicznej woni? Mam wrażenie, że nie długo i nam się zacznie kręcić od niej w głowach. Na elfy działa to jeszcze mocniej...

Pochyliłem się i zerwałem jeden kwiatek. Był biały i pachniał intensywniej niż maciejka czy inny różanecznik. Po namyśle przyznałem Koneserowi rację i zabrałem się do roboty. Jeśli wierzyć bajkom, byłem teraz bogaty, a szczęście powinno mi sprzyjać do grobowej deski. Wciąż nie mogłem jednak pozbyć się wrażenia, że śnię lub

majaczą. Być może rano ochrona znajdzie nas w nieodległym rynsztoku i odstawi na pogotowie... szczerze mówiąc, nawet bym sobie tego życzył. Przynajmniej wiedziałbym, że to był odlot. Inaczej...

Inaczej to wszystko byłoby prawdą. A na coś takiego nie byłem przygotowany.

Spojrzałem na Konesera. Spokojnie i metodycznie zrywał kwiatki z kęp paproci, jakby pracował w swoim ogródku, a nie na wielkiej łące rosnącej na staromiejskim podwórku.

Wie pan, gdzie jesteśmy?

Po Tamtej Stronie — odparł spokojnie.

A nie przypuszcza pan, że to po prostu halucynacja? Że być może w tej herbacie coś nam podano, a teraz majaczymy?

Jak na paranoika zachowuje się pan wyjątkowo nieostrożnie: przecież mogą nas podsłuchiwać — odparł z ironią. — Poza tym, niech mi pan pokaże koncern farmaceutyczny czy armię, którym chciałoby się bawić w takie testowanie, skoro na swoje usługi mogą mieć w każdej chwili dziesiątki, jeśli nie setki ochotników?

A jeśli to mafia?

Znaleźliby jeszcze większą liczbę ochotników niż korporacje czy armia.

Zrozumiałem wreszcie, że wygaduję po prostu wyjątkowe głupoty, i aż mi się wstyd zrobiło. Rozprostowałem obolałe plecy i postanowiłem sobie solennie, że znów zacznę uczęszczać na siłownię.

Dobrze. Odłóżmy na moment założenie, że ktoś na nas eksperymentuje. A jeśli staliśmy się obiektem żartu ze strony ekscen trycznej damy, którą stać na zakup pewnej ilości dragów i częstuje nimi przygodnie spotkanych jeleni? Owa ekscentryczna dama opowiada im potem niestworzone historie i bawi się ich zachowaniem, obserwując, jak majaczą...

Co prawda chemikiem nie jestem, ale wiem, że dwie osoby naraz nie mogą majaczyć tego samego.

Proszę wybaczyć ciekawość: kim pan jest z zawodu?

—Ja? — Koneser wydawał się zdziwiony, że kogoś mogło to interesować. — Meteorologiem na emeryturze. Specjalizowałem się w chmurach. A pan?

— Ja? Dziennikarzem przed emeryturą. Specjalizuję się w analizie zachowań ekonomicznych.

Starszy pan kiwnął uprzejmie głową i znów zabraliśmy się do kwiatków.

Świetnie. Ale dalej, do cholery, nie wiem, gdzie jesteśmy! Co to za miejsce?!
Jest dokładnie tak, jak powiedziała nam pani Goplana: to Tamta Strona.
Tamta Strona i Tamta Strona! — zeżliłem się. — Co to znaczy?! Gdzie to jest?
Koneser zachował niewzruszony spokój.

— Na pewno nie na ziemi. Wiadomo panu pewnie ze szkoły, że paproć jest rośliną zarodnikową i jako taka nie posiada kwiatu stanu. Dlatego znalezienie kwiatu paproci jest niemożliwe. Tym czasem tutaj, sam pan widzi, uprawiamy małe paprociowe żniwa.

Nim zerwałem następny kwiat, przyjrzałem się uważnie miejscu, skąd wyrastał: końcówce najmłodszego, jeszcze nierozwiniętego w pełni liścia. O ile pamiętałem, w naszym świecie ukrywałyby się pod nim zarodnie. Lepkimi od aromatycznego soku palcami szybko ogołociłem krzak z kwiatów. Zajrzałem do torebki i uznałem, że jak na ludzi z miasta robota idzie nam dość sprawnie.

Mój dziennikarski nos podpowiada mi, że to może być nowa, podkrecona genetycznie odmiana. Może udałoby się... — chwyciłem mocno za liście i pociągnąłem. Z równym skutkiem mógłbym próbować wyrwać z ziemi latarnię. Szarpałem się tak przez do brych kilka minut, aż, zasapany i spocony, dałem sobie spokój. Popatrzyłem na Konesera, starszy pan bez słowa podszedł i wraz ze mną szarpnął *jeszcze* raz. W następnej chwili leżeliśmy na ziemi wśród pachnącego kwiecica. Paproć trwała mocno, nieco tylko oskubana z liści, które zostały nam w rękach.

Obawiam się, że do tego potrzeba by koparki. — Koneser otrzepał spodnie z białych płatków i kropelek wody.

Nie ma sprawy — odpowiedziałem sarkastycznie. — Sądzę, że jak się dobrze zakręcę, to...

Umie pan *znaleźć* Gwiazdę Polarną?

Słucham?

Czy wie pan, gdzie szukać na niebie Gwiazdy Polarnej i Wielkiego Wozu?

Głupie pytanie. Oczywiście, że wiem!

Proszę zatem spróbować.

Instykt ostrzegał mnie przed pułapką, dlatego nim odpowiedziałem, starannie przyjrzałem się niebu. Mocno świecących gwiazd było co najmniej kilka, ale żadne nie układały się w charakterystyczny kształt Wielkiego Wozu. Nie było rady, musiałem wybierać: wskazałem jedną z nich, licząc na szczęśliwy traf. Emerytowany meteorolog kiwnął głową.

— Bardzo dobrze. A teraz proszę znaleźć Mały Wóz. Dla ułatwienia dodam, że...

Nie musiał nic dodawać, właśnie to zauważyłem.

— O rany — wyszeptalem, zaskoczony dziś wieczór po raz kolejny. Zamiast na lewo, mój palec wędrował na prawo, kreśląc znajomy kształt konstelacji, choć widzianej z zupełnie innej perspektywy niż dotychczas.

Znajdowaliśmy się po drugiej stronie lustra.

Patrzyłem to na Konesera, to na paprocie pod nogami, to na gwiazdy nad głową. Starszy pan obserwował mnie z wyrozumiałym uśmiechem. Jego opanowanie działało mi na nerwy: miałem wrażenie, że szydzi z mej niewiedzy i zaskoczenia.

— Pan coś o tym wie, prawda? Inaczej nie byłby pan taki spo kojny! Dlaczego nic pan mi nie mówił?! Przez cały czas robiłem z siebie dumia!

Starszy pan wzruszył ramionami.

Doprawdy? Jakoś tego nie zauważyłem, ale skoro pan tak uważa... Wie pan, kiedyś o tym czytałem. Świat znajdujący się obok naszego, do którego można się dostać bocznym wejściem...

O tym mówi całkiem pokaźna liczba książek — wtrąciłem z ironią — ale to jeszcze o niczym nie świadczy. Więc to — wskazałem na pole — ma być królicza nora? A Goplana to biały królik, za

którym podążyliśmy?

Koneser wrócił do zrywania kwiatów. Poczulem, jak zaczyna mnie boleć głowa: to pewnie ten zapach.

Jeśli chce pan to tak nazwać... owszem, trafiliśmy do innego świata. A Goplana i jej asystenci to jego mieszkańcy, którzy rezydują u nas.

To świat równoległy?

Upraszczając, owszem.

A pan? Wie pan tak dużo...

Nie. Nie jestem elfem. Inaczej... — Koneser spojrział na zegarek.

— Proszę zaczekać *jeszcze* kilkanaście minut, a sam pan zobaczy.

Milczałem, zastanawiając się, czy cisnąć go bardziej, czy dać sobie spokój. Uznałem, że tyle jeszcze mogę wytrzymać, i zacząłem trawić uzyskane informacje. To, co widziałem, skłaniało mnie, abym uwierzył w słowa Konesera, jednak rozum stawiał opór.

Temat że hej... — powiedziałem wreszcie, trochę do siebie, trochę do niego.

A kto panu uwierzy?

Ludzie teraz wierzą we wszystko, co im się powie. Wystarczy to tylko odpowiednio przyrządzić...

Owszem, sprzedaje się jako fantastyka, i to wtórna. Słusznie pan zauważył, że na ten temat istnieje bogata literatura.

Potrząsnąłem z niedowierzaniem głową. Jak to możliwe, żeby tak tuż obok... tego nie dawało się zbyć banalną kwestią, że ludzie nie dostrzegają rzeczy, które mają pod samym nosem. Po powrocie zamierzałem zadać pani Goplanie kilka szczegółowych i zapewne niewygodnych pytań. Owszem, cała ta historia brzmi dość nieprawdopodobnie, ale... nie, szansa, że roześmieje mi się w twarz i zacznie robić ze mnie wariata, jest duża. Trzeba się będzie przed tym mądrze zabezpieczyć. Skoro już wcześniej podszyła tu innych ludzi, musiała to jakoś tłumaczyć. Swoją drogą ciekawe, dlaczego tamten kelner przedawkował...

— Prawdę powiedziawszy, nie dziwię się tamtemu chłopakowi...

— powiedział Koneser, jakby czytając mi w myślach. — Jeśli w środku podwórka widzi się bezkresną łąkę, na której kwiaty paproci roz siewają czarowne wonie... każdy by zgłupiał. No, starczy.

Uznałem, że i ja nazbierałem dość. Ostrożnie, rozgarniając nogami paprocie, ruszyliśmy w stronę polanki. Tak jak przypuszczałem, moje spodnie niezłe nasiąkły wilgocią i lepiły się do nóg.

— Właśnie, dlaczego my? Zastanawiał się pan? Koneser wzruszył ramionami.

Mogę się tylko domyślać. Bo jesteśmy miłośnikami herbaty? Takie osoby łatwo było namówić, aby dla uzyskania nowej mi szanki zgodziły się tu przyjść. Że jeden ze składników dziwnie się nazywa? To jeszcze nie zbrodnia. A kiedy już docieramy na miejsce, okazuje się ono naprawdę niezwykle: jednak wtedy nie cofamy się, bo zaszliśmy za daleko. Robi się ten krok dalej i wkracza na cudowną łąkę. Zwykła ludzka ciekawość i żądza niezwykłości za wszelką cenę, jakże teraz typowa. Wystarczy nam lekko poma chać przed nosem zgrabnie utkaną fatamorganą, a już dajemy się nabrać...

Nie świadczy to dobrze ani o mnie, ani o panu.

To prawda. Zgodziłem się, bo pomyślałem sobie, że jeśli to miejsce istnieje naprawdę, to chciałbym je zobaczyć... mówię, ludzka ciekawość. Za dużo o tym czytałem, aby teraz sobie odpuścić. Poza tym taki sposób działania jest dla pani Goplany bezpieczny: nawet gdybyśmy zaczęli mówić — kto by nam uwierzył?

Zbliżyliśmy się do Bramy. Przez moment bałem się, że nie zadziała albo coś się stanie i po drodze przestaniemy istnieć. Nie, chyba nie kazaliby nam zbierać tak ważnych dla siebie

kwiatów, gdybyśmy nie mogli ich potem odnieść. Z duszą na ramieniu przeszedłem przez polankę i zaraz poczułem pod nogami twardy kamień, ujrzałem ścianę domu naprzeciwko i odetchnąłem z ulgą. Chwilę potem Koneser starannie zamknął za nami drzwi i ruszyliśmy z powrotem do herbaciarni. Z niecierpliwością wyczekiwałem chwili, kiedy spotkam jakiegoś człowieka i upewnię się, że trafiliśmy we właściwe miejsce, a nie do innego świata.

Napotkanym człowiekiem okazał się gruby ochroniarz: przez krótką chwilę miałem ochotę go uściskać. Co się ze mną dzieje? Najpierw twierdzą, że to wszystko nieprawda, bronię się przed tym rękami i nogami, a teraz... zobaczyć znaczy uwierzyć? O nie, halucynogeny oszukują przede wszystkim wzrok. Mogę sobie pogratulować tak spójnego odlotu. A zawartość torebek, które niesiemy?

Kiedy przechodziliśmy przez Rynek, zagadnąłem przechodzącego rosyjskiego mima o godzinę i porównałem ze swoim zegarkiem. Po Tamtej Stronie przebywaliśmy równo kwadrans.

W herbaciarni pierwsza sala była wciąż zatłoczona, widać ludzie wierzyli, że jeśli siedzą dziewczynom przed nosem, to zostaną szybciej obsłużeni. Za to w drugiej jedynymi gośćmi byli Goplana i jej asystenci. Siedzieli przy tym samym stoliku co poprzednio i pili swoją mieszankę.

Oto nowa dostawa. — Podsunąłem torbę Mirkowi. Asystent powoli rozpakował ją i zajrzał do środka.

Świetnie — wymruczał sennie, oddając ją. — Proszę zostawić to w barze i przyjść jutro.

Jego ruchy były mechaniczne, jakby nie do końca panował nad swoim ciałem i bał się, że coś złe zrobi. Popatrzyłem w oczy Sławka: były mocno zamglone i szkliste. Wystarczająco wielu moich znajomych paliło wzbogacane papierosy i przyklejało sobie fałszywe plasterki z PowerWorkerem, abym rozpoznał te objawy. Goplana i jej znajomi właśnie patrzyli na jaśniejszą stronę życia. Nad stołem unosił się silny zapach kwiatów paproci.

To chyba rzeczywiście jest dla nich trucizna — powiedziałem do Konesera. — Ale nie taka, jak sądziłem. Nic dziwnego, że potrzebują ludzi...

Właśnie to chciałem panu *pokazać*. Gdybym był elfem, wy glądałbym teraz tak samo. — Emerytowany meteorolog pokiwał głową. Na jego twarzy zaduma walczyła o lepsze ze smutkiem i zdegustowaniem. Najwyraźniej nie podobało mu się, że ktoś robi z sanktuarium boskiego napoju narkomańską melinę.

Przez chwilę patrzyliśmy jeszcze na całą trójkę, licząc na jakąś reakcję. Tymczasem oni mechanicznie opuszczali dłonie i zacisnąwszy mocno palce na uszkach filiżanek, powoli unosili je do góry, aby upić łyk i równie powoli, cały czas kontrolując ciało, odstawić je na spodeczki. Patrzyli szklistym wzrokiem przed siebie lub na wzór pęknięć pokrywający cegły i zaprawę. Dla nich już nie istnieliśmy.

— Chodźmy stąd — powiedział zrezygnowanym głosem Koneser. — Dzisiaj i tak z nimi nie porozmawiamy.

Wyszliśmy, pozostawiając w barze torebki z kwiatem paproci. Wyjaśniłem Idze całą historię z zakładem i zaklepałem dla nas porcje mieszanki.

Przeszliśmy bez słowa dobre kilkadziesiąt metrów. Koneser wyciągnął z kieszeni woreczek z fajką i tytoniem, nabił ją i zapalił. Prawdę mówiąc, też bym coś zakopcił, ale w mojej rodzinie nie było takiego zwyczaju, pozostawało mi tylko trzaskać kostkami palców. Mieszały się we mnie różne uczucia, spośród których na pierwsze miejsce wybijał się niesmak. Starszy pan musiał to wyczytać z mojej twarzy, bo odezwał się pierwszy.

— Wygląda pan na nieco skwaszonego. Westchnąłem.

— Początkowo sądziłem, że oto odżyły legendy... a tymczasem wszystko jest takie samo jak wśród ludzi. Ten sam brud, smród i ubóstwo. Czy to kontakt z nami tak je odmienił?

Koneser milczał przez dłuższą chwilę, pykając fajkę.

— Być może... — powiedział wreszcie. — Być może. Ale nie sądzę, że staliby się tacy, gdyby sami tego nie chcieli. Na szczęście nie wszyscy chcą...

Zatrzymałem się w pół kroku.

— Nie wszyscy?

Koneser uśmiechnął się, jakby chciał powiedzieć: „no, nareszcie zrozumiałeś”.

Przełknąłem ślinę. Następne pytanie było tak logiczną konsekwencją poprzedniego, że musiałem je mieć wypisane na twarzy i w oczach. A jednak, dla pewności, zadałem je.

Koneser pokiwał głową. Z osłoniętej woalem wonnego dymu twarzy trudno było wyczytać, czy to pytanie irytuje go, czy śmieszy. Wreszcie wyjął fajkę z ust i powiedział:

— Być może... być może... umówmy się jutro, koło siedemnastej, w kafeterii na Dworcu Centralnym, południowa galeria.

Rozdział drugi

Pożegnawszy się z Koneserem, wkroczyłem w tłum, który poniósł mnie w stronę placu Zamkowego. Tam wskoczyłem w tramwaj i po dziesięciu minutach siedziałem już w jadącym na południe wagonie metra. Mieszanka Goplany weszła w fazę działania uspokajającego i powoli zaczynałem czuć, jak dopada mnie zmęczenie. Maszynista nie pozwolił mi usnąć, gdyż na każdej stacji startował z takim zrywem, że ludzie gięli się niczym trzciny na wietrze. Niestety, w okolicy nie było żadnej kobiety na tyle atrakcyjnej, by można było na nią przypadkowo wpaść. Ot ludzie, którzy zasiedzieli się nieco dłużej w pracy, robotnicy z drugiej zmiany, młodziaki jadące na rozmaite imprezy.

Świadomość, czego byłem dzisiaj świadkiem, nie dawała mi spokoju. Czułem niesmak, że dałem się zrobić w tak dziwną sprawę, do tego pojawił się niepokój, jak zwykle, gdy coś działo się zbyt nagle i traciłem kontrolę nad wydarzeniami. Wspomnienie nieobecnego wyrazu twarzy Goplany i jej dziwna prośba kazały mi podejrzewać, że dałem się podejść jak pierwszy z brzegu idiota. Pozwoliłem się omylić dziwną historyjką, po czym wykorzystałem do zbierania jakichś głupich kwiatów. Po co to wszystko? Dlaczego zgodziłem się na taką idiotyczną dżentelmeńską umowę? Pierwsza, odruchowa odpowiedź brzmiała: „pod wpływem chwili”. Nie spodziewałem się, co będzie dalej. Teraz zastanawiałem się nad możliwymi konsekwencjami wydarzeń i niepokoiłem coraz bardziej. Być może właśnie poznałem skrywaną korporacyjną tajemnicę.

Jeśli tak, to nie można wykluczyć, że wkrótce któryś z zasiadających w wygodnym fotelu na wysokim piętrze jednego z wieżowców prezesów uzna moje życie za zbędne. Pół biedy, że rozbijaliśmy się ze starszym panem wczymś ogródka: jeśli ktoś niepowołany znajdzie naćpaną Goplanę z asystentami, zwiną ich za zażywanie w miejscu publicznym, i to niezależnie od wpływów czy znajomości. Wtedy padną nazwiska moje i Konesera, bo przecież zgodnie z wymogami dobrego wychowania podaliśmy je, a wkrótce potem zapuszczają nas za dilerkę. Przypuszczałem, że dlatego właśnie Iga wywaliła tamtego kelnera — facet zobaczył za dużo i zaczął brać, bo nie był w stanie w to uwierzyć. A ja? Czy też wkrótce rzucę się na substancje poprawiające nastrój, by zapomnieć?

Przez chwilę kusiło mnie, aby nie wracać do siebie, tylko przenocować gdzieś u znajomych, ale po namyśle zrezygnowałem. To by wyglądało na przyznanie się do czynu, którego być może wcale nie popełniłem. Zresztą, czy nie przesadzam? Wszystko zależy od tego, co znajdę w mieszance, którą jutro odbiorę. Z zachowaniem wszystkich możliwych środków ostrożności. Na razie nie mogę niczego wykluczyć.

Wysiadłem na Wilanowskiej i pomaszerowałem w stronę domu. W całej tej historii było coś, co nie pozwalało mi jednoznacznie zakwalifikować jej jako kolejnej korporacyjnej afery, którą przy odrobinie szczęścia mogłem sprzedać za porządne pieniądze. Wciąż miałem przed oczami odzyskujący zieleń kwiat oraz widok rozciągającej się za drzwiami kilkuhektarowej łąki ze

zwartą ścianą lasu w tle. Przypomniałem sobie odwrócony Mały Wóz i pozostałe gwiazdozbiory. Dyskretnie powąchałem rękę: na palcach została mi jeszcze odrobina zapachu kwiatów paproci. Końce nogawek dalej były lekko wilgotne. To nie mogło mi się przywidzieć. A zatem...?

Spodziewałem się, że przy bramie będę musiał pokazywać wejściówkę, ale akurat dyżurował tam facet, z którym od dawna znaliśmy się z widzenia. Dziś wieczór czuł się na tyle bezpiecznie, że zdjął nawet obowiązkową kamizelkę kuloodporną. Z irlandzkiego pubu, mieszczącego się w pobliskich pawilonach, dolatywała jakaś skoczna muzyka. Kiedy wszedłem między domy, zagłuszyły ją

dobywające się zza otwartych okien dźwięki z telewizorów i podkręconych na maksa wież. Mijałem korporacyjnych urzędników niższego szczebla na spacerze z pieskami, ich pofarbowane, za—kolczykowane i wytatuowane potomstwo siedziało na ławkach i sączyło najmodniejsze browce. Tutejsze bloki trzymały się nieźle, głównie dlatego, że zarządzająca nimi spółdzielnia wybrała odpowiedni moment, aby się uniezależnić, wyłożyć pieniądze na remont, postawić ogrodzenia i wynająć ochronę. Prawem kontrastu domy na południe od nas wykupili deweloperzy i choć wyremontowano je na wysoki połysk, czynsz podskoczył tak, że miejsce dawnych lokatorów zajęły korpy średniego szczebla i biznesmeni. Jeszcze mniej szczęścia mieli mieszkańcy bloków po drugiej stronie ulicy, nazywanych przez nas po prostu Osiedlem. Trafili na kanciarza, który wyżyłował ich aż miło i zwiął z forszą na Malaje. Czynsze należały tam do najniższych w Warszawie, a i mieszkańcy nie cenili zbytnio życia swojego ani bliźnich. To przez nich ochroniarze na naszym osiedlu nosili odzież wzmacnianą włóknem węglowym, a ci przy bramach mieli dodatkowo kamizelki i strzelby. Z początku uważałem to za zbytek ostrożności, ale gdy wybuchły tam dwie spore bomby, a do uciszenia strzelaniny wezwano oddział ateków, przestało mnie to dziwić. I żaden uliczny muzyk czy dziennikarz, mianujący się głosem społeczeństwa, nie będzie mi wmawiał, że bogacze otaczają się murami przed biedakami, którzy nie mają na chleb.

Zamek przy wejściu do bloku rozpoznał mój odcisk palca i wpuścił mnie do środka. Siłą woli wspiąłem się na pierwsze piętro, otworzyłem drzwi i padłem na łóżko. Jutro czekało mnie trochę roboty.

Budynek, w którym mieściło się współpracujące z MediaGruppe laboratorium, był jednym ze starych, pudełkowatych biurowców, jakie zbudowano dawno temu na Woli, a na początku tego stulecia poddano gruntownemu remontowi. Okryto go wtedy kamieniem o chorobliwie szarej barwie i wyposażono w przyciemniane

szyby. Prawdopodobnie taki kolor miał nie rozpraszać pracujących w nim ludzi i sprzyjać koncentracji. Mnie kojarzył się raczej z więzieniem.

W szarym holu połączyłem się przez telefon z laboratorium. Wokół mnie, pod czujnym okiem rozpartego przed monitorami ochroniarza, niczym przerażone mrówki biegały korpy płci obojga. Ochroniarz był wielkim, tłustym typem o mało inteligentnym wyrazie twarzy; przypominał mi nadzorcę niewolników. Zniesma—czony przeniosłem wzrok na czarny zegar zawieszony nad windami. Za dwadzieścia druga, na razie spokój. Żadnych tajniaków, helikopterów ani snajperów. Tyle czasu, a w ustach wciąż czułem osad z syntetycznego pasztetu, który zjadłem na mocno spóźnione śniadanie.

Laboratorium robiło analizy dla pism związanych z Media—Gruppe. Takimi samymi ośrodkami dysponowały również inne koncerty medialne, wszystko po to, aby jak najszybciej przeprowadzić badanie będące dowodem na poparcie artykułu, że pewien sławny aktor wszczepił sobie implant z testosteronem, a jakaś firma dodaje mielone ludzkie kości do pożywek dla psów. Nakład i sprzedaż przede wszystkim. Skargi do sądów sypały się jak z rękawa, sprawy ciągnęły

się miesiącami, ale w efekcie i tak wszystko zależało od zasobności kont obu stron. Zwykle wygrywała MediaGruppe.

Ubrany w nieskazitelnie biały fartuch laborant był wysoki, chudy i blady niczym pipeta. Pobrał mi krew i zabrał do analizy mieszankę Goplany, którą po drodze odebrałem z „Piątej”. Za wszystko płacił koncern: każdy współpracownik dostawał tutaj miesięczny limit na badania. Jak dotąd nigdy jeszcze nie musiałem korzystać z ich usług: po co analiza chemiczna w ekonomii? Zaciskając i rozluźniając rękę, poświadczyłem zlecenie elektronicznym podpisem. Dowiedziałem się jeszcze, że po południu wyniki trafią do mojej skrzynki na redakcyjnym serwerze, i już byłem wolny.

Przesyłka dotarła akurat w chwili, gdy siedziałem już w domu i przez zabezpieczone redakcyjne łącza szukałem wiadomości o Goplanie Mroziewicz oraz jej powiązaniach z korporacjami.

Analiza mieszanki z „Piątej” — wszystko w normie oprócz substancji roślinnej nieznanego pochodzenia, około procenta. Nie wiedziałem, że ten kwiat paproci ma aż tak mocne działanie... Substancje odurzające: teina, stężenie w normie. Normalna herbata z nienormalnym dodatkiem, ale bez wartości narkotycznych. Analiza krwi na obecność narkotyków — nie stwierdzono.

Usiadłem sobie wygodnie, pociągnąłem długi łyk herbaty i zacząłem się zastanawiać, jak w takim razie zinterpretować to, co usłyszę wieczorem od Konesera i jego kumpla?

Dochodziła dziewiętnasta, kiedy wyskoczyłem z autobusu i lawirując między przechodniami, zbiegłem po schodach wiodących do części podziemnej Dworca Centralnego. Miałem za sobą ciężki dzień, ale to nijak nie usprawiedliwiałoby mojego spóźnienia.

Węsenie po Sieci przyniosło mizerne rezultaty: owszem, Go—plana bywała na wystawach i aukcjach sponsorowanych przez wielkie firmy, różni ważni goście kupowali u niej rozmaite dzieła na prezenty i do dekoracji gabinetów, ale to jeszcze niczego nie dowodziło. Próbowiałem dodzwonić się do galerii, ale najwyraźniej wszyscy odsypiali wczorajszą imprezę albo wcześniej zaczęli weekend, bo mogłem porozmawiać tylko z automatyczną sekretarką. Albo zatem nic się nie stało i robiłem z igły widły, albo należało pogrzebać głębiej. Skoro jednak nie było sprawy, to co, do cholery, widziałem wczoraj na Starówce?

Wszystko dodatkowo gmatwały wyniki z laboratorium. Teoria zwiarów i testowania nowych narkotyków zachwiała się w posadach. Należałoby zatem uznać, że któryś z nas zwariował: spotkanie, na które szedłem, było dla mnie ostatnią szansą, aby upewnić się, że to z Koneserem jest coś nie tak.

W pasażach panował taki sam tłok jak zwykle; dobrze chociaż, że czuło się miły chłodek klimatyzacji. Co prawda godzina szczytu już minęła, ale za to zaczęła się pora łażenia po sklepach, do kina i na kawkę. Mijałem otwarte całą dobę księgarnie, bary i bistra, spożywcza, butiki oraz perfumerie. Wszędzie widziałem patrole

ochroniarzy, jeszcze lepiej wyposażone niż te na Starówce. Nie dziwiło mnie to specjalnie: tuż obok wznosiły się Złote Tarasy, a pracującym tam bogaczom nie mogło nic zagrozić, a żaden bezdomny, menel czy niebieski ptak nie miał prawa pokazać się im na oczy. Zresztą swoją obecnością zaraz by skazili piękny, z trudem odremontowany z darów kilkunastu wielkich firm kompleks Centralnego. Niestety, rządzący miastem zapomnieli o zasadzie „wystrzegaj się korpów niosących dary” i z wdzięczności popartej dyskretnym lobbieniem dali im potem większy wpływ na głosowanie, niż sami by chcieli. Dlatego korporacje przez najbliższe sto lat miały dyktować *czynsze* w przylegających do dworca pasażach handlowych, przez co pośrednio wpływały na ceny towarów. Ale dworzec stał i uważano go za drugi, po Moskwie, najsilniej strzeżony tego typu obiekt w Europie.

Kafeteria, w której umówiłem się z Koneserem, znajdowała się w galerii na poziomie pierwszym.

Jeden z wielu mieszczących się tutaj podobnych lokali, udających, że należą do dużej sieci gastronomicznej. Ściany pomalowano na brudny róż, a podłogę wyłożono łatwo zmywalną szarą terakotą. Przez wielkie przeszklone ściany można było obserwować główną halę albo pętlę autobusową i eleganckie fasady Złotych Tarasów. Gdzie tylko się dało, ustawiono chromowane gięte stoliki oraz krzesła; za barem z modnym metalowym kontuarem kręciła się obsługa w koszulkach w pastelowe paski i w furażerkach. W powietrzu unosił się zapach kawy, balansujący swoim natężeniem między miłą wonią a mocnym odorem. Sądząc po panującym wewnątrz tłoku, metoda działała. Przeważali czekający na swój pociąg pasażerowie — o tej porze głównie studenci, choć zauważyłem też kilku techników Sun Telecomu leniwie popijających wieczorne piwko.

Ledwo wszedłem do środka, Koneser pomachał mi ręką znad ustawionego przy ścianie stolika. Tym razem miał na sobie jasną koszulę, ciemne spodnie i dopasowane do nich półbuty.

— Dobrze, że już się pan zjawił — powiedział, ściskając mi dłoń. — Niestety, nasz trzeci towarzysz nieco się spóźni.

Dobra, przynajmniej jedno się wyjaśniło. Starszy pan zamierzał przedstawić mi prawdziwego, porządnego elfa. Tylko jak on będzie

wyglądał? Skrzydełka motyla czy raczej chudzielec o spiczastych uszach i migdałowatych oczach? A może coś swojskiego? Krasnoludek? Ta myśl nieco mnie rozżłościła: może staruszek jest w zмовie z Goplaną i robią sobie ze mnie jaja? Oczywiście ujrzałem grupkę ludzi, którzy dla czystej frajdy robią innym wodę z mózgu, wmawiając, że krasnoludki są na świecie i inne tam takie. Cóż, może nawet nie dla samej frajdy, ale jako jakiś cholerny performance czy inna forma sztuki nowoczesnej robionej przez zaskoczenie. Będę musiał pogadać z ludźmi z kulturalnego, może coś o tym słyszeli... a na razie udajmy, że wszystko gra. Muszę wiedzieć jak najwięcej.

Kupiłem sobie dużą filiżankę czekoladowego cappuccino: był to standardowy cienkusz, przygotowywany bez cienia indywidualnego podejścia. Taki sam płyn można dostać we wszystkich tego typu lokalach pod każdą szerokością geograficzną. Nie zdołałem jeszcze przebić się przez piankę, kiedy Koneser znowu machnął ręką.

— Podobno chciał pan widzieć inne elfy — słowo „inne” wymówił z naciskiem, jakby chciał powiedzieć „te dobre” — proszę bardzo.

Zaciekawiony odwróciłem głowę i omal nie wybuchnąłem śmiechem.

Facet przypominał wyglądem monterą. Na pewno przekroczył już czterdziestkę, był niski i krępy, miał czerstwą twarz okoloną gęstą, czarną brodą i kolczyk w uchu. Nosił tanią podrabianą skórę rodem z nielegalnej podmiejskiej manufaktury i solidnie sprane dżinsy, a spod ogniście czerwonej czapki opadały na kark lekko przetłuszczone włosy. Słowem, Rumcajs, który wyemigrował z Jiczyna.

Koneser przedstawił nas sobie. Adam Chors, Jan Kowalski. Nie, to nie żart, on się tak naprawdę nazywa. Ściskając mi dłoń swoim wielkim łapskiem, Rumcajs zlustrował mnie uważnie ruchliwymi, ciemnymi oczyma. Odwzajemniłem się tym samym, wciąż zastanawiając się, dlaczego starszy pan chce ze mnie zrobić wariata. Teoria happeningu czy telewizyjnego show *coraz* bardziej mi pasowała. Ciekawe, kto go reżyseruje? Najbardziej pasowałaby Goplaną, ale kto wie...

Spojrzałem z wyrzutem na Konesera.

Wie pan, wczoraj widziałem bardziej niezwykle rzeczy...

A kogoś się pan spodziewał? — wypalił Rumcajs, nim starszy pan zdążył otworzyć usta. — Krasnoludka dziesięć centymetrów wzrostu?

Proszę, niech mi pan uwierzy — odezwał się łagodnie Ko nesar. — To jest elf. A dokładniej

mówiąc: domowik. Duch opiekuńczy gospodarstwa domowego i jego ogniska. Dba, by gospodarzowi niczego nie brakło, a choroby omijały domostwo z daleka...

Urwał i popatrzył prosząco na „elfa”, aby potwierdził jego słowa. Ja zaś spoglądałem to na jednego, to na drugiego, irytując się coraz bardziej. Temu facetowi nie powierzyłbym nawet instalacji elektrycznej, a co dopiero swojego domowego ogniska.

— Chyba ci jednak nie wierzy — mruknął gość Konesera, pociąg nąwszy łyk dużej czarnej z mlekiem. — Nie wiem, po jaką cholere go tu w ogóle sprowadzałeś...

Miałem dość.

— Daję panom standardowe pięć sekund dla akwizytora — po wiedziałem cicho i stanowczo — aby przekonać mnie, że nie robicie sobie ze mnie żartów. Potem wychodzę i radzę mnie nie zatrzymywać, bo zawołam ochronę.

Rumcajs już zamierzał odpowiedzieć, ale tym razem Koneser zdążył go powstrzymać.

— Niech pan przekręci głowę tak — poradził, przechylając głowę na lewe ramię i przysmykając jedno oko — i popatrz na naszego towarzysza. Proszę. To nic pana nie kosztuje.

Delikatnie, by nie ściągać na siebie niczyjej uwagi, zrobiłem tak, jak powiedział. Przez chwilę nic nie widziałem, a potem zaczęło się coś dziać. Wokół ciała Rumcajsa uformowała się dziwna poświata, podobna do aury, jaką podobno widzą radiesteci. Mieniła się odcieniami żółci, pomarańcza i czerwieni niczym światło rozszczepione w pryzmacie.

Gapilem się na to przez dobre pół minuty, po czym przesunąłem głowę na swoje miejsce i rozejrzałem po suficie, sądząc, że to zwykły efekt optyczny.

— To nie jest żadne złudzenie — pospieszył z wyjaśnieniem Koneser. — Jeśli przypuszcza pan, że ma to coś wspólnego z tłem czy źródłem światła, możemy się zamienić miejscami.

Dla pewności znów przekrzywiłem głowę i popatrzyłem w ten sposób na niego.

— On tego nie ma — usłyszałem głos Rumcajsa, obserwującego z lekkim rozbawieniem moją gimnastykę. — Tylko my.

Popatrzyłem na nich, oczekując wyjaśnień. Już nie byłem tak pewny siebie.

Coś takiego widzą radiesteci — wyjaśnił starszy pan najwyraźniej zadowolony z eksperymentu.

— Ale oni są specjalnie uzdolnieni, a pan raczej do takich się nie zalicza, prawda? Aurę elfa można zauważyć znacznie łatwiej. Nikt jeszcze na to nie wpadł, bo zwykle nikomu nie chce się uprawiać takiej gimnastyki, a jeśli już się tak przypadkiem stanie, to zwykle ludzie uważają to właśnie za złudzenie optyczne.

A co mówią sami radiesteci? Dla nich musicie świecić jak latarnie.

Rumcajs wzruszył ramionami.

— Nie bardzo. Pod tym względem bardziej przypominamy ludzi, niż się panu wydaje.

Ciekawe... Cała ta zabawa zaczęła mnie wciągać. Nawet jeśli była to gra czy happening, widziałem, że zaangażowano w nią trochę grosza i masę pracy umysłowej. Należało powoli, pytanie po pytaniu, rozwikływać tę zagadkę. Gdzieś w końcu wyjdzie dykta i styropian, a ja się dowiem, kto się tak fajnie bawi.

Smakuje? — spytał niespodziewanie Rumcajs, wskazując na moją filiżankę.

Tak sobie, bo co?

Koneser uśmiechnął się zagadkowo.

A czego pańskim zdaniem w niej brakuje?

Przede wszystkim kawy — odparłem. — W gruncie rzeczy należałoby ją zaparzyć od nowa. Można wiedzieć, o co...?

Brodacz uniósł nieco głowę, aby zajrzeć mi do filiżanki. Gapiał się w nią przez chwilę, po czym położył obie ręce na blacie.

— Proszę patrzeć — zachęcił mnie Koneser. — Spokojnie, nic złego się nie stanie.

Posłusznie zajrzałem do środka, ciekaw, czy może będą wróżyć z fusów. Płyn trwał na takim samym poziomie jak poprzednio. Po chwili zauważyłem, że jego barwa staje się ciemniejsza, a do tego poziom kawy powoli idzie w górę, zagarniając po drodze przyklejone do filiżanki resztki pianki. Zerknąłem na Konesera i Rumcajsa: starszy pan z uwagą obserwował swojego kolegę, ten zaś uporczywie gapił się w moje naczynie. Na jego czole pojawiło się kilka kropel potu.

— Z pianką? — spytał cicho przez zaciśnięte zęby. Nim zdążyłem odpowiedzieć, w fajansie nieco się zakotłowało i po chwili na wierzchu pojawiła się cieniutka warstwa mlecznej piany. Rumcajs odetchnął głęboko, wyciągnął ze stojaka papierową serwetkę i osuszył nią sobie czoło.

— Bez posypki, ale tę już pan zjadłeś. Smacznego. Zachęcony gestem Konesera, z wahaniem pociągnąłem łyk. Obaj wpatrywali się we mnie z napięciem, jakbym za chwilę miał się chwycić za gardło i paść w drgawkach albo zacząć mutować w przyspieszonym tempie.

Nic takiego się nie stało. Cappuccino nareszcie smakowało tak, jak powinno. I to właśnie sprawiło, że strach ścisnął mi serce i żołądek. Cały plan rozmowy, który sobie pracowicie przygotowywałem, mogłem właśnie wyrzucić do kosza. Oto kolejne wydarzenie, które sugeruje, że z moją głową dzieje się coś złego. To nie było możliwe, ten facet musiał... myśl była tak niedorzeczna, że aż się uśmiechnąłem.

Koneser zareagował natychmiast.

— Co pana tak rozśmieszyło?

— Ponieważ uświadomiłem sobie właśnie — odrzekłem pół żar tem, pół serio — że siedzę przy jednym stoliku z prawdziwym bo haterem komiksów. Aby zrobić coś takiego, trzeba było namieszać w tym płynie na poziomie atomów, a do tego trzeba energii rzędu...

Rumcajs prychnął ni to zirytowany, ni to rozbawiony.

— Naturalnie, może to sobie pan w ten sposób tłumaczyć — powiedział Koneser. — A jednak dla mojego przyjaciela to umiejętność tak naturalna jak dla nas oddychanie. Jest w końcu duchem opiekuńczym gospodarstwa, prawda? Do jego obowiązków należy dbanie o to, by nigdy nie brakło w nim żywności.

— Nawet za najgorszego kryzysu — podkreślił z dumą brodac, rozsiadając się wygodnie. W literaturze i filmie nazywało się to zmiękczeniem: do głównego bohatera przychodzą niezwykli posłańcy i zaczynają go wprowadzać w misję, w której ma odegrać ważną rolę. W średniowieczu wystarczyło, że mieli świetlistą postać, pojawiali się w niezwykłym blasku i był spokój. A *teraz... teraz* i od nich zaczęto wymagać więcej, jednak numer z kawą rozbił mnie do reszty. Można by powiedzieć, że w zmiękczeniu mojej osoby ci posłańcy już osiągnęli postęp. Jeszcze dziś rano byłem przekonany, że to halucynacje; teraz sądziłem, że zwariowałem. Wciąż jednak wierzyłem, że istnieje trzecia możliwość: ktoś z premedytacją robi mi wodę z mózgu.

— Panowie, proszę mnie zrozumieć... to wszystko, co widziałem wczoraj i przed chwilą, wygląda na cholerną ukrytą kamerę. Nie rozumiem tego i nie potrafię wytłumaczyć.

Starszy pan uśmiechnął się wyrozumiale, jak przystało na dobrego gliniarza.

— Wcale się panu nie dziwię — powiedział ciepło. — Jednak właś nie to, jak się wczoraj pan zachował, przekonało mnie, że warto zorganizować to spotkanie.

Uniosłem teatralnie brew.

— Ach, czyli nie jest to tylko ludzko—elfi wieczorek zapoznawczy? Rumcajs odsapnął w stylu: „no, wreszcie przechodzimy do kon kretów”.

Zgadza się. Szczególne znaczenie miały pańskie słowa, że wczorajsze wydarzenia na krótko przywróciły panu wiarę w istnienie legend. Jak rozumiem, kiedyś...

Jako dziecko — poprawiłem z naciskiem.

...kiedyś pan w nie wierzył. Prawdopodobnie dlatego przyjął pan to wszystko, co się wczoraj i dziś dzieje — wskazał moją filiżankę — względnie spokojnie.

O tak, słowo „względnie” pasowało tu jak ulał. Tak samo jak dwa pytania, które pojawiły się właśnie w mojej głowie. Pytania,

które zawsze w takich sytuacjach padają, doskonale pasujące do całej sceny.

— Ale dlaczego ja? — spytałem. — Jestem jakimś wybrańcem, czy co?

Koneser spowaźniał.

— Bo chciał pan poznać inne elfy — odpowiedział. — Bo nie roześmiał się pan, kiedy Goplana zaczęła mówić, kim jest. Bo nie zemdłał pan, widząc odzyskujący życie kwiat. Bo nie uciekł pan z krzykiem na widok łąki z lasem w tle zamiast podwórka, lecz wszedł na nią i zaczął zrywać kwiaty, które teoretycznie istnieją tylko w baśniach. I wreszcie dlatego, że kiedy zobaczył pan, co robi z elfami kwiat paproci, był tak zniesmaczony istniejącym stanem rzeczy. Można powiedzieć, że to nie elfy pana wybrały, ale pan się sam wybrał, poprzez swoje zachowanie. Dlatego przypuszczam, że nie wyśmiejecie pan tego, co chcemy opowiedzieć.

Cholera, miał rację. Widziałem, jak Goplana ożywia zaschnięty kwiat, przeszedłem też przez jedną z bram na Starówce i zrywałem nieistniejące kwiaty paproci w miejscu, którego tak naprawdę nie powinno być. Nadal nie mogłem jednak tego nijak zakwalifikować ani uznać za prawdę. Owszem, kiedyś wierzyłem w krasnoludki, a po lekturze Tolkiena Śródziemie pochłonęło mnie jak wszystkich, którzy zetknęli się z tą powieścią, ale dawno mi to przeszło, podobnie jak i moim znajomym. Poetycko mówiąc, rzeczywistość skrzeczała zbyt wielkim głosem, aby można ją było zlekceważyć. Konieczność zarabiania na życie skutecznie wybija z głowy jakiegokolwiek marzenia... no, chyba że są one związane z wykonywanym zawodem i pozwalają zyskać jakże cenne opinie „kreatywnego” i „oddanego pracy”.

A teraz ktoś wmawia mi, że te *fantazje* pukają właśnie do moich drzwi. Już dawno się nauczyłem, że spadające z nieba okazje są bardzo podejrzane. Cóż, może ci dwaj mają problem z odróżnieniem świata wyobrazonego od rzeczywistego? Co prawda nie wyglądali na nałogowców spędzających całe dni w wirtualnych światach, ale nawet przed ich wynalezieniem takie przypadki również się zdarzały: wideo, telewizja, książki... ale jakim cudem zyskali takie możliwości? Tajny projekt niedawno powstałej korporacji? I co do tego wszystkiego ma Goplana? Moje poszukiwania w Sieci nie dały żadnej odpowiedzi. Wyglądało na to, że rozum nie zda się tutaj na nic. Pozostawała wiara, a ta nakazywała uznać to, co widziałem i usłyszałem — za prawdziwe.

Nie mogłem jednak przyznać tego tak od razu. Musiałem udawać niedowiarka, choćby dlatego, żeby wyciągnąć z nich jak najwięcej informacji. Może to robiony za ciężkie pieniądze non—reality show, może nie. Jeśli tak, to prędzej czy później gdzieś popełnią błąd, a ja będę tylko na to czekał. Tak wielkiej mistyfikacji nie uda się ukryć na długo.

Cóż, po prostu nienawidzę wszelkiego rodzaju narkotyków i chemicznych polepszaczy. Tak mnie wychowano — odpowiedział łem. — Poza tym wie pan tak samo dobrze jak ja, że artyści od zarania dziejów mieli swoje fanaberie... zwykle im gorszy artysta, tym większy megaloman. Sam spotkałem kiedyś takiego, który uważał się za nowe wcielenie Salvadora Dali.

Pani Goplany nie sposób chyba nazwać kiepskim artystą — zauważył Koneser. — W końcu galeria w Hyacie do czegoś zobo wiązuje, prawda?

Prawda. Słucham zatem.

Historia jest dość długa i skomplikowana, postaram się zatem przedstawić ją możliwie krótko. Jeśli coś będzie dla pana niejasne, proszę poczekać z pytaniami, aż skończę, dobrze?

Skinąłem głową.

— Wszystko zaczęło się w roku dziewięćset sześćdziesiątym szóstym — zaczął Koneser. — Wiadomo, co się wtedy wydarzyło — rok wcześniej do księcia Mieszka przyjechała z Pragi narzeczona Dobrawa, potem odbył się chrzest księcia i całego dworu. Stare bóstwa rodowe i plemienne przez pewien czas trzymały się jeszcze, jednak po czterystu, pięciuset latach odeszły w niebyt. Pozostał tylko drobiazg, który przechował się na wsi i w wierzeniach ludu, aż wreszcie wszedł do bajek i legend. Tam zaczął żyć własnym życiem, nieco odmiennym od tego, co działo się naprawdę. Na prawdę zaś cały ten ludek zaraz po chrzcie nie bardzo wiedział, co ze sobą począć, bo zabrakło władców. Na szczęście szybko znalazła się pewna istota, osobnik zwany Oberonem...

Jak u Szekspira?

Dokładnie tak. Tenże Oberon wraz z poślubioną sobie pewną boginką wodną zdołali utrzymać to całe towarzystwo w ryzach i zapanować nad chaosem...

Goplana — domyśliłem się. Koneser pokiwał głową.

— Właśnie. Ta sama Goplana, z którą wczoraj piliśmy herbatę. Pozwoliłem sobie na drobną złośliwość.

Skoro był już Oberon, to ciekawe, dlaczego nie nazwaliście jej Tytanią?

Nie przyjęło się, to imię było zbyt obce, jakoś Oberon łatwiej przeszedł. Faktycznie, kiedyś nazywała się inaczej — wtrącił Rumcajs, upiwszy nieco kawy, przelotnie zaciekawilo mnie, czy ją również sobie ulepszył — ale od czasów Słowackiego tak się utarło mówić o niej Goplana, że szybko zapomniano starego imienia. Ona też nie narzekała, zresztą już wtedy miała tych dwóch przydupasów, bez których nie rusza się nawet na krok...

Oho, czyżby mała animozja? Warto zapamiętać. Koneser zgromił Rumcajsa wzrokiem i uśmiechnął się do mnie przeprasząco.

Proszę mu wybaczyć ten język. A wracając do *rzeczy*, przez pewien czas małżonkowie wspólnie sprawowali władzę nad elfami, ale wobec postępów chrześcijaństwa Oberon postanowił odejść ze swoim dworem na Tamtą Stronę, a ona zdecydowała się ze swymi sługami zostać tutaj, aby utrzymać połączenie między oboma światami. Przez długi czas to działało, aż do chwili, gdy gdzieś pod koniec dziewiętnastego wieku Oberonowi zamarzył się powrót. Nie przewidział jednak, że wszystko może się aż tak zmienić... kiedy odchodził, życie płynęło niespiesznie, relacje między ludźmi zmieniały się bardzo powoli, a o wynalazkach lepiej już nie mówić. Goplana cały czas przebywała na miejscu. Oberon przybył i z przerażeniem odkrył, że przez wieki pobytu na ziemi Goplana się uczyłowieczyła.

Co proszę?

Uczyłowieczyła. Wiem, że brzmi to dziwnie, ale trudno o lepsze sformułowanie. Otóż każdy elf, który przebywa za długo tutaj, na ziemi, zaczyna tracić swoje niezwykle zdolności i coraz bardziej upodabnia się do ludzi.

Za dużo zanieczyszczeń, dymu, ruchu, pędu i wyrachowania — wyliczył jednym tchem Rumcajs.

— Weź pan sobie kwiatka i postaw w miejscu, gdzie nie dociera słońce. Szybko zmarnieje, a wreszcie umrze. Z nami dzieje się to samo. Normalnie zrobiłbym tę kawę tak — mężczyzna pstryknął palcami — bez potu i kłopotu, nawet po bardzo ciężkim dniu. I lepiej bym się nosił.

Proszę pamiętać, że Goplana, podobnie jak reszta tutejszych elfów, widziała całą rewolucję przemysłową, powstanie pierwszych fabryk, parowce, rozbudowę kopalni, wycinanie lasów i stawianie wielkich kombinatów. To nie mogło nie pozostawić śladów. Obe— ron, delikatnie mówiąc, nie był tym zachwycony. Między małżonkami doszło do kłótni...

O tak, bardzo delikatnie to ująłeś! — prychnął Rumcajs, omal nie wywracając stojących na stoliku naczyń. — Podobno gość wkurzył się tak, że aż iskry poszły. Uciekł od nas jak od trędowatych i zabronił wstępu na Tamtą Stronę. Wydał na nas wyrok z odrozczeniem!

Kilka siedzących najbliżej osób odwróciło głowy. Nawet obsługa przyglądała się nam przez chwilę, pewnie zastanawiając się, czy nie warto ściągnąć ochrony.

— Pohamuj się trochę! — syknął Koneser. — Bo nas stąd wywalą, zanim wyjaśnimy wszystko do końca!

Rumcajs krzywił się i mruzczał coś, czego nie słyszałem. Zachowywał się jak typowy frustrat, który ma wreszcie okazję wylać swoje pretensje, dlatego to nie on załapał się na ładny domek, samochód i okrągłe konto. Skąd Koneser go wystraszył?

Prawdę mówiąc, nie można mieć do naszego towarzysza pre tensji — ciągnął starszy pan — gdyż decyzja Oberona oznaczała dla Goplany i pozostałych z nią elfów ni mniej, ni więcej tylko powolną śmierć. One nie mogą wrócić do poprzedniego stanu bez powrotu na Tamtą Stronę, a drogę tam Oberon właśnie im zamknął. Jednym słowem, zostały odcięte od swojego środowiska. Uznał nas za podgatunek — dodał Rumcajs cicho. — Ci, którzy mimo jego *zakazu* próbowali wrócić, zginęli na miejscu.

Cóż, to przynajmniej tłumaczyło, dlaczego ani pani Mroziewicz, ani żaden z jej asystentów nie postawił nawet nogi na progu Bramy.

Dla Goplany i pozostałych tutaj elfów był to prawdziwy cios. Próbowwała sama obalić wzniesioną przez męża barierę, ale bez skutku... długie przebywanie wśród ludzi zrobiło swoje. Zamiast się leczyć, popadła w głęboką rozpacz i zaczęła szukać zapo mnienia w coraz większych dawkach kwiatu paproci, bo wtedy wydawało się jej, że jest dawną, potężną Goplaną. Jak to wpłynęło na jej prestiż, nie muszę mówić... dwór się rozpadł, część elfów ucłowieczyła się do reszty i umarła, część dostosowała do no wych warunków, a część się rozbija po ulicach. Jediną szansą, aby je uratować, jest pozwolenie na powrót, choćby czasowy, na Tamtą Stronę.

Smutna historia — stwierdziłem, myśląc, ile rozdzierających serca artykułów byłiby w stanie napisać na ten temat ludzie z kon— cernowych bulwarówek. Tamci puścili moją uwagę mimo uszu.

Dlatego mój znajomy wpadł na dość szalony, wręcz *rozpacz liwy* pomysł: przekonać Oberona do pogodzenia się z żoną, zdjęć ciał *zakazu* i zabrania jej stąd, aby mogła stać się na powrót Goplaną, jaką wszyscy pamiętali. Oznaczałoby to oczywiście także możliwość powrotu dla związanych z nią elfów. Dalej niech lepiej opowie sam.

Brodacz poprawił się na krześle i na powrót położył na blacie splecione przedramiona.

— Chcę spotkać się z nim gdzieś tutaj i przekonać, aby zniósł barierę. Słyszałem, że podobno wysłała swoich podwładnych z Tamtej Strony na ziemię, a nawet sam tutaj przychodzi. Po co to robi i czego szuka — nie wiadomo, mogę się tylko domyślać. Pewnie chce dowiedzieć się jak najwięcej o współczesnych lu dziach i ich sposobie myślenia, potem zręcznie wejdzie między nich i zaprezentuje się tak, by go bez zastrzeżeń przyjęli. Więcej nie wiem. Jego agenciaki omijają nas, poddanych Goplany, szerokim łukiem i raczej nie spowiadają się ze swoich poczynań. Jak pan wiesz, nie mogę tak po prostu kopnąć się na Tamtą Stronę i z nim porozmawiać. Muszę znaleźć go tutaj, a to wcale nie jest takie łatwe.

Słuchałem tego dość sceptycznie. Faktycznie, historyjka była ciekawa i przy odrobinie wysiłku można byłoby coś z niej wycisnąć, choć plan Oberona wyglądał na wyjęty żywcem z kiepskiego serialu sensacyjnego. Ładne wprowadzenie do gry... albo zawoalowana historia mocno podejrzanej korporacyjnej afery *czekającej* na wyjaśnienie.

No dobrze. — Wzruszyłem ramionami. — Ale co ja mam z tym wspólnego?

Potrzebuję... — brodacz umilkł na chwilę — kogoś, kto w tym świecie będzie mi przewodnikiem i doradcą. Pewno, żyję tutaj już tysiąc lat z hakiem, ale od prawie czterdziestu przestałem nadążać za tym światem — on się za szybko zmienia. Dostosowałem się do życia najlepiej, jak mogłem, ale to nie znaczy, że czuję się tu jak ryba w wodzie. Raczej ryba w kałuży,

gdzie brakuje tlenu.

Oho, poeta z kolegi Rumcajsa... czym jeszcze mnie zaskoczy?

— Masy rzeczy w ogóle nie rozumiem. Nie wszędzie mnie wpuszają, a wcale nie jestem pewien, czy Oberona nie będzie trzeba szukać po różnych biurach... sam pan zresztą widzisz, jak wyglądam i jak mówię.

Oszołomiony, potrząsnąłem głową. Czego oni się po mnie spodziewają? Mam uruchomić swoje znajomości, aby umożliwić mu dojście odpowiednio wysoko? Ale gdzie, do cholery? Do rady nadzorczej jakiejś korporacji? Ministerstwa? Sądu Najwyższego?

Żadne takie — pokręcił głową Rumcajs, kiedy wyraziłem swoje wątpliwości. — Ja nawet nie bardzo potrafię obsługiwać terminale komunikacyjne. Bilet skasuję, ale zasad działania sprzęgów już nie łąpię. Nie rozumiem nawet, po co ludzie je sobie wkładają. Nie umiem rozmawiać z garniturami w tych wielkich firmach tak, aby zostać wysłuchanym. Być może okaże się, że trzeba kogoś umiejętnie przycisnąć, a ja za delikatny nie jestem. Ten świat mnie przegonił, a ja przestałem za nim nadążać... zresztą Marcin też.

To musi być ktoś młody, kto zna od podszewki reguły rządzące tym światem — dodał Koneser.

Na szczęście w tym młynie nie straciłem do reszty zdolności logicznego myślenia. Byłem dla Rumcajsa kimś wyjątkowym i potrzebnym, bo byłem człowiekiem, który potrafił obracać się w tym

świecie? Fajnie, nie będę go wyprowadzał z błędu, zawsze miło, kiedy ktoś mnie docenia. Ale takie przyzęty stosują teraz wszyscy i trzeba uważać, za którą z nich naprawdę warto pociągnąć.

— Zaraz, chwileczkę. Z tego, co usłyszałem wynika, że temu... Oberonowi wcale na was nie zależy. Prędzej na małżonce, choć też nie za bardzo. Rozmawiał pan o tym z panią Mroziewicz? Ze swoimi... pobratymcami? Może powinniście wspólnie spotkać się z tym waszym władcą i poprosić o przeniesienie, nie zwracając uwagi na Goplanę?

Rumcajs skrzywił się z niechęcią.

— Niestety, to problem — westchnął. — Ona jest za dumna. Uważa, że to Oberon powinien przeprosić i zdjąć barierę. Prędzej umrze, niż przyjdzie do niego prosić o ratunek. Dlatego w praktyce cała impreza musi odbywać się za jej plecami, aby w odpowiedniej chwili postawić kobitę przed faktem dokonanym. A o moich, jak to pan ładnie ująłeś, pobratymcach, wolę się nie wypowiadać.

— Chodzi o to — wyjaśnił Koneser — że ucłowieczenie zmieniło pozostałe tutaj elfy w marne cienie istot, którymi kiedyś były. Przez większość czasu włóczą się bez celu i sensu, wspominając dawne czasy. Być może mijał ich pan nawet na ulicy, ale nie zauważył, bo kto w końcu zauważa bezdomnego menela czy ćpuna, prawda? Żyją z dnia na dzień, desperacko usiłując zatrzymać w sobie resztki dawnych mocy i zdolności, które, dosłownie i w przenośni, przecie kają im przez palce. Uzależniają się od alkoholu, nikotyny, ludzich narkotyków, kwiatu paproci, adrenaliny, hazardu... proszę wstawić sobie, co tylko przyjdzie panu do głowy. Są nawet despe raci, którzy podejmują pracę wśród ludzi, jak jedni z nich, choć jest to najszybszy sposób na całkowite ucłowieczenie. Niewielu usiłuje nadal robić to, co dawniej.

Rumcajs nic nie mówił, ale z jego twarzy widać było, że obraz nakreślony przez starszego pana nie odbiega daleko od prawdy.

— Próbowałem rozmawiać z niektórymi — powiedział zrezygnowanym tonem — ale bez skutku. Tak naprawdę działałam sam: jeśli mi się uda, to git. Jeśli nie... cóż, przynajmniej nie będę się winił, że w tej sprawie nic nie zrobiłem. Pomysł, by namówić Oberona, żeby nas wypuścił, a ją zostawił, odpada, to kwestia honoru. Wszyscy

jesteśmy z dworu Goplany, najpierw musielibyśmy zostać przez nią zwolnieni ze służby, a potem prosić o przyjęcie przez Oberona. Na to nikt się nie poważy, bo żaden elf— słowo to z trudem

przeszło mężczyźnie przez gardło — nie chce wyjść na niewiernego sługę. Myślę, że on na to właśnie po cichu liczy: albo nakłonimy Goplanę, by do niego przyszła, albo złamiemy nasze zasady i zbiorowo wypowiemy jej posłuszeństwo. Jeśli tak jednak zrobimy, to koniec, między nami a ludźmi nie będzie już żadnej różnicy. Oberon nie omieszkałby pewnie nam tego wypomnieć, a potem wykopać za drzwi.

No proszę, jaka ładna telenowela nam się zrobiła.

Na jakiej zatem podstawie przypuszcza pan, że w ogóle zechce z panem rozmawiać?

Goplanę nieco już znam i wiem, że jej nie da się przekonać. Pozostaje Oberon. A jeśli i on odmówi... — mężczyzna zacisnął usta w wąską kreskę, prawie niewidoczną pod zarostem — to ja i moi pobratymcy uczłowieczymy się do końca. Prawdopodobnie nie dożyję następnego wieku.

Wiadomo chociaż, jak ten Oberon wygląda?

Niestety. Wiem tylko, że kręci się gdzieś po okolicy. Owszem, ma pewne cechy, po których rozpozna go każdy elf, ale to zaledwie połowa sukcesu. Muszę się mu przyjrzeć, potrzebuję wiedzieć o nim więcej, czego się po nim spodziewać i jak z nim rozmawiać, aby się udało.

Mówił pan, że zna Goplanę od dawna... można spytać, od jak dawna?

Będzie dobre półtora tysiąca lat... z przerwami — odparł Rum — cajs, uważnie mi się przyglądając. Być może liczył na to, że mnie za szokuje. Pudło. Właśnie takiej odpowiedzi oczekiwałem. — Wiesz pan, trochę się przez ten czas ruszaliśmy po kraju. Wojny, powsta nia, handel, te sprawy...

To i tak lepiej ode mnie — roześmiał się Koneser. — Bo ja miałem przyjemność poznać panią Goplanę dopiero wczoraj. Do tej pory tylko o niej słyszałem; kiedy kelnerka w herbaciarni podała mi jej imię jako właścicielki mieszanki, a potem zobaczyłem aury, na brałem podejrzeń. Całkowitą pewnością uzyskałem, gdy przywróciła do życia kwiatek w wazonie. Czegoś takiego mogła dokonać tylko ona, tylko ona zresztą mogła otworzyć Bramę na Tamtą Stronę.

— O właśnie. Skoro już siedzę przy jednym stoliku z kimś, kto stamtąd pochodzi, może wreszcie dowiem się, co to w ogóle jest? Słowiańskie zaświaty?

Rumcajs namyślał się przez chwilę, gładząc brodę.

Cholera, jak by to... dla ludzi to kraina legend, świat rodem z baśni i klechd. Tam cały czas mieszkają chiały, domowiki, skrzaty i utopce. W lesie można natknąć się na leszego, a po drogach biegają poświsty. Dla nas to dom, do którego od czasu do czasu musimy wracać, aby nabrać sił. Tam rezyduje Oberon i jego pod dani. Wejść można przez kilka Bram, ale znają je tylko Goplana i Oberon, zresztą tylko oni potrafią je otworzyć.

Wchodzili tam ludzie?

Od dawna nie słyszałem, by kogoś tam świadomie wpuścili. — Rumcajs potrząsnął głową. — Zresztą, długo by nie pożył...

Chyba że byłby dobrze obeznany z regułami rządzącymi światem baśni — wtrącił Koneser. — Tak naprawdę, panie Adamie, wczoraj weszliśmy tam nielegalnie. I mieliśmy sporo szczęścia, że nikt się nami nie zainteresował.

Ha, czyli rzeczywiście buszowaliśmy w czymś ogródku.

Sądzi pan, że Goplana wiedziała o tym, kiedy poprosiła nas o tę przysługę? — spytałem Konesera.

Jestem tego wręcz pewien — westchnął starszy pan. — Być może sądziła, że gdybyśmy chociaż domyślali się, na co się godzimy, nie dalibyśmy się tam zaciągnąć nawet na łańcuchu. Na szczęście dla niej szansa, że trafi na kogoś świadomego istnienia Tamtej Strony, była minimalna. I wy prosicie, żebym pomógł babie, która bez mrugnienia okiem posłała mnie... nas na śmierć?

— spytałem z irytacją i niedo wierzaniem w głosie.

Nie jej — sprostował Rumcajs. — Jej poddanym. Szczerze mó wiać, jestem... jesteście... mocno przyparci do muru. Jeśli rzeczywiście widok Goplany na haju tak panem potrzęsnał, to... no, rozumiesz pan, jak się czuję. Jak zdychający mit. A kiedy szlag trafi nas, to...

Aha, *zaczęli* mnie brać na litość. Dobra, skoro doszliśmy już do tego, zatem pora na ruch z mojej strony.

— Przypuśćmy, czysto hipotetycznie, że się zgadzam. Co będę z tego miał?

Rumcajs odetchnął głęboko, jakby już miał moją zgodę na piśmie z podpisami świadków.

Nic materialnego — odparł szczerze. — Jeśli się uda... będziesz pan mieć satysfakcję, że uratowałeś kawałek jak najbardziej do słownie żywej legendy tego kraju. Zdaje się, że dziennikarze robią takie rzeczy? To się chyba nazywa społeczna misja dziennikarstwa... W przypadku porażki nic pan nie tracisz. Ani pracy, ani domu, ani *życia.*, ani nawet prestiżu. Jeśli odmówisz pan teraz, też się nic nie stanie. Po prostu rozstaniemy się i każdy pójdzie w swoją stronę. Stracę tylko ja i moi pobratymcy.

Pozostaje wiedza, którą się pan ze mną podzielił — zauważyłem.

Niezbyt się przyda, bo któż panu uwierzy w takie rzeczy?

Powiedzmy, że zasmakowałem w herbatce Goplany i na każde skinienie będę jej dostarczać surowców.

Słyszając te słowa, Koneser zeszywniał i zerknął zaniepokojony na Rumcajsa. Ja również się zaniepokoiłem: nie sądziłem, że starszy pan aż tak weźmie to do siebie. Przez chwilę myślałem, że w razie odmowy gotów byłby ukatrupić mnie w ciemnej uliczce tylko dlatego, bym nie wcielił tych słów w czyn.

— Zostałbyś pan pieprzonym dilerem? — spytał brodac z lekkim niedowierzaniem w głosie, spoglądając na mnie z ukosa. — Jakoś mi się pan w tej roli nie widzi. Radzę zajrzeć w głąb siebie i dobrze popytać, czy rzeczywiście wzięłbyś pan na siebie śmierć trzech osób... trzech elfów.

Poczułem, że powoli mam tego wszystkiego dość. Wysłuchałem przygotowanej przez nich historii i nie bardzo potrafiłem znaleźć choć najmniejszą szczelinę, w którą mógłbym się wgryźć. Wyglądało to tak spójnie, że musiałem to uznać albo za majaki szaleńca, albo prawdę. Myśl, że za chwilę przystanę na udział w grze jakiegoś wariata, sprawiła, iż krew się we mnie zagotowała. I o ile — chyba — byłbym w stanie zgodzić się na to dla kasy z reportażu, o tyle nie zamierzałem zajmować się tym dłużej wyłącznie z czystej ciekawości.

Panie Adamie — powiedział poważnym głosem Koneser, wi dząc mój wyraz twarzy — wczoraj sam pan mnie zapytał, czy są jeszcze tutaj inne elfy. Jeden z nich siedzi właśnie przed panem, a pan zastanawia się, jak mu zaszkodzić i jak on może zaszkodzić panu. Proszę mi wierzyć, doprowadzenie Goplany do śmierci z przedawkowania byłoby najgorszym możliwym rozwiązaniem i najgorszą rzeczą, którą mógłby pan uczynić. Moglibyście się długo licytować, kto, komu i jak... tylko po co?

Po to — odpowiedziałem, z trudem panując nad sobą — żeby przestali ze mną panowie grać za pomocą nieuczciwych sztuczek. To nie może być prawda. Przez cały czas mam wrażenie, że pan i pański kolega robicie mnie w konia i opowiadacie głodne ka wałki, których nie jestem w stanie zweryfikować. Nie wątpię, że o to właśnie wam chodzi?

Doskonale pana rozumiem — rzekł Koneser. — I wcale się panu nie dziwię, też bym odesłał kogoś takiego do czubków. Problem w tym, że mówimy o rzeczach, które trudno zbadać szkiełkiem i okiem. Dlatego na razie musi pan, niestety, założyć naszą uczciwość, uwierzyć nam na słowo... i przypomnieć sobie, co widzieliśmy wczoraj na własne oczy. Ze swej strony mogę pana zapewnić, że po tym, czego byliśmy świadkami na Starówce, nie ośmieliłbym się zawracać

panu głowy czymś, co byłoby nieprawdą. Powiem więcej, trudniej jest udowodnić, że wczorajsze wydarzenia to fałsz niż prawda. Bo jaka, choćby i najbogatsza nawet korporacja na świecie byłaby w stanie upchnąć około dwudziestu hektarów pola i lasu na podwórku o powierzchni stu metrów kwadratowych? Jak wytłumaczyć ponowne napełnienie pańskiej filiżanki czy ożywienie zasuszonego na amen kwiatu? Jak, nie będąc radiesteta, zdołał pan zobaczyć aurę pana Kowalskiego, ale nie może dostrzec aury swojej, mojej czy kogokolwiek innego w tym lokalu? A jeśli panu jeszcze mało, mogę dać moje słowo honoru — starszy pan położył dłoń na piersi — że to jest prawda.

Cóż, przez ostatnie siedemdziesiąt lat honor staniał tak bardzo, że po tej tyradzie powinienem się roześmiać i odejść. Powstrzymał mnie jednak ton, jakim Koneser wypowiedział ostatnie słowa, i *wyraz* jego twarzy. W identyczny sposób mówił mój dziadek. A on nigdy, jak pamiętałem, nie rzucał słów na wiatr.

— No dobrze... — bąknąłem w końcu niechętnie. — Ale niczego nie mogę obiecać, bo nie mam zbyt wielkich dojsć...

Rumcajs odetchnął z ulgą.

— Wracając więc do sprawy, chciałbym namierzyć Oberona i le piej go poznać, by na samym początku nie popełnić żadnej wtopy. Nie wiem, jak szybko uda mi się go znaleźć: to może potrwać dzień, tydzień, miesiąc... Dlatego chciałbym ustalić kilka szczegółów już teraz.

Ustalanie szczegółów zajęło nam chyba kwadrans. Kiedy się żegnaliśmy, miałem wrażenie, że dostrzegam w oczach Rumcajsa ogromną ulgę. Coś takiego widziałem w reportażach z wojny serbsko—macedońskiej. To była ulga kogoś, kto właśnie został zabrany sprzed plutonu egzekucyjnego, kogoś, kto dostał szansę rozpoczęcia życia od nowa. Dziwne uczucie, uratować komuś *życie*... nawet zakładając, że to elf.

Cholera, a może jednak to wszystko jest prawdą?

Rozdział trzeci

Kiedy wróciłem do domu, miałem w głowie taki mętlik, że nie byłem w stanie dłużej zastanawiać się nad tą sprawą. Ponieważ jednak mózg domagał się, aby coś zrobić, odpuściłem sobie myślowę do jutra i zasiadłem do komputera, by doksztalcić się w słowiańskiej mitologii. Potrzebowałem dawki solidnej, głębokiej wiedzy. Jeśli gdzieś kryła się dykta i tektura, to najłatwiej mogłem odnaleźć ją właśnie tutaj.

Nie znalazłem za wiele; większość informacji były to zwykłe ogólniki, definicje składające się z jednego lub dwóch zdań. Dowiedziałem się, że domowik jest rzeczywiście duchem opiekuńczym domu, a Goplana to określenie zamieszkującej jezioro boginki wodnej. Nawet Skierka i Chochlik się zgadzali. Jednak zgodność imion z rodzajem jeszcze o niczym nie świadczyła, musiałem sięgnąć głębiej. Rozejrzałem się po serwisach uniwersyteckich, jednak nikt, niestety, nie publikował interesujących mnie prac w Sieci. W rozpaczy udałem się na kapiące od nowoczesnej grafiki strony rozmaitych sekt odwołujących się do słowiańskich korzeni. W Głębokiej Sieci oglądałem wnętrza pieczołowicie zaprojektowanych świątyń, podziwiałem szczegółowo zrekonstruowane lub zaprojektowane posągi, oferowano mi możliwość złożenia wirtualnej ofiary zapewniającej jak najbardziej realne łaski. Nie wątpiłem, że jedno niewłaściwe kliknięcie i mój adres dostałby się w łapy setek dystrybutorów, już dyszących żądzą sprzedania mi czegokolwiek. Co sprytniejsi potrafiliby się pewnie

nawet dogrzebać do numeru mojego konta czy wręcz namieszać mi na dysku. Łącząc koncernu zapewniały bezpieczeństwo tylko w osiemdziesięciu procentach, dlatego zdobyłem od znajomej sieciówki kilka dodatkowych programów ochronnych używanych głównie przez adminów. Dzięki temu mogłem śmiało podążać w najdalsze rejony Płytkiej Sieci, skąd zwykły użytkownik

przy—włóklby przynajmniej kilka wirusów czy trojanów.

Przez pół godziny przeglądałem zamieszczone teksty, ale szybko zrezygnowałem. Niektóre były tak fantastyczne, że nie znajdowałem w nich nawet promila prawdy, inne zaś bombardowały moje szare komórki natchnionym pseudofilozoficznym bełkotem. Skupiłem się na tych bardziej sensownych, ale szybko wyszło na jaw, że przeczyły sobie w podstawowych kwestiach. Przypomniało mi się zdanie, które znalazłem na stronie historyka amatora: „O kulcie w Słowiańszczyźnie przedchrześcijańskiej wiadomo bardzo niewiele”. Mimo to nie poddawałem się. Sięgnąłem, choć niechętnie, do katalogów bibliotek, i sporządziłem listę kilkunastu pozycji, które wydawały się interesujące. Dobra, jutro sobota, większość z nich powinna być czynna. Dla relaksu poskakałem potem kilkanaście minut po kanałach telewizyjnych, obejrzałem dwie końcówki filmów sensacyjnych, talk—show i połówkę nowej dokumentalnej telenoweli „Dzicy na ulicach”. To ostatnie podziałało na mnie tak kojąco, że omal nie kimnąłem się w fotelu.

Niestety, mój mózg nadal pracował nad dziwnymi wydarzeniami, których byłem świadkiem. W nocy budziłem się kilka razy ze świadomością, że muszę się nad czymś poważnie zastanowić, ale nie potrafiłem określić, o co mi chodzi. Po czwartym razie miałem dość, wstałem i wdusiłem w siebie trzymaną na takie okazje tabletkę Calmaxu. Chemia otępiła moje dendryty i aksony tak skutecznie, że spałem do południa. A i tak minęła jeszcze kolejna godzina, nim przypomniałem sobie, jak się nazywam, i zdołałem wstać.

Jeszcze w łóżku uświadomiłem sobie, że dziś galeria Goplany jest zamknięta, a telefonu do domu na stronie firmy nie było.

Trudno, trzeba będzie poczekać do poniedziałku. Mózg, nadal nieco otępiły, posłusznie podsunął wspomnienie nowomodnej prezentacji: gość mógł spacerować po szczegółowo odwzorowanej galerii, oprowadzany przez dobrze zaprojektowaną wirtualną przewodniczkę, która starannie wymodelowanymi rękami podnosiła kolejne wybierane przez klienta dzieła. Pewnie jeszcze lepiej wyglądała przez gogle, w wersji przygotowanej dla Głębokiej Sieci. Cudem chyba nie pokaleczyłem się, robiąc sobie coś do jedzenia, jednak pełnię władz umysłowych odzyskałem dopiero po kawie. Prawdę mówiąc, pomogła mi w tym jedna z zasłyszanych w radiu wiadomości. Wśród kolejnych doniesień z walk o góry i odkryciu nielegalnej fabryki ludzkich klonów pojawiła się ciekawostka: na skutek fali upałów osiemdziesięcioletni dziadek w napadzie szału ciężko pobił obżartego przyspieszaczami pomp—karza. Umysł, który o tej porze działał jeszcze na autopilocie, natychmiast zanotował, aby w metrze czy autobusie ustępować dziś miejsca wszystkim starszkom: nie chciałem być następną ofiarą upałowego szaleństwa. Ledwo zdążyłem przełknąć kęs, a już na wyświetlaczu mojego telefonu pojawił się komunikat od Kaśki z redakcji.

„Słuchałeś wiadomości? Jest pierwsza ofiara. Wygrałam!” Powoli wstałem ze stołka i poczłapałem do łazienki. Później złapałem za komórkę i połączyłem się z Kaśką.

Fłaszka dla ciebie — powiedziałem na dzień dobry. — Od teraz może być tylko gorzej, bo meteo nie zapowiada ochłodzenia. Chcesz zakładać się dalej?

Nie, raczej zrobię to gdzieś w Sieci...

Chcesz dostać następną butelkę?

Brzmi ciekawie. Co tym razem?

Wiesz coś może o nowych reality szołach?

Po tamtej stronie panowało przez chwilę milczenie.

— Trudne pytanie... takie sprawy są ściśle tajne, aż do momentu rekrutacji uczestników. A co...?

Zakląłem w duchu. Wyglądało na to, że nie wywinę się tylko butelką litewskiej brandy czy

słowackiego rumu. Na szczęście byłem na to przygotowany.
Na razie nic ci nie mogę powiedzieć... ale za to mogę sprzedać coś ciekawego.
Słucham.

A gdzie obietnica pomocy?

— Najpierw muszę wiedzieć, co jest warta twoja informacja. Zakląłem w duchu po raz kolejny. Z tą kobietą targowało się jak z przekupką na bazarze.

Hasło: Krzekowski. A dokładniej: Krzekowski i jego podręczna.

OK, masz moje słowo. Wiesz, że go nie łamię... Powiedzmy.

Opchnął ją pewnemu odwiedzającemu nasz kraj Japońcowi za korzystny kontrakt. To jeszcze nic dziwnego, ale nowy pan okazał się miłośnikiem co ostrzejszych fragmentów z tamtejszych traktatów o miłości, jeśli wiesz, co chcę powiedzieć... Uciekła od niego. Jest na policji, gotowa zeznawać na niekorzyść obu swoich ostatnich właścicieli.

Faktycznie, ciekawe...

Wykorzystaj to, jak zechcesz. A co z moją prośbą?

Co? A pewno, sprawdzę. — Głos Kaśki był nieco roztargniony. Zapewne moja redakcyjna koleżanka zastanawiała się właśnie, jak wiele punktów zyska po opublikowaniu tej informacji. Tak na prawdę zyska ich niewiele: wiadomość pochodziła sprzed dwóch dni, wychwyciłem ją przypadkowo wczoraj na którymś z nie zależnych, ale dość wiarygodnych serwisów. Lada chwila będą to wiedziały wszystkie redakcje: przewaga, jaką dawałem Kaśce, była niewielka i z każdą sekundą zmniejszała się coraz bardziej. Wszystko zależało od jej refleksu. Nawet jeśli nic nie znajdzie, nie stracę zbyt wiele.

Rozłączyłem się, a potem zacząłem grzebać po katalogach bibliotek. Na wszelki wypadek sprawdziłem także ramówki wszystkich stacji, które miałyby dość szmalu na takie cuda. Oczywiście znalazłem tylko zapowiedzi programów, o których starcie wiedzieli już wszyscy. Zapewne w tym samym czasie Kaśka sprawdzała moją informację swoimi kanałami, dziewczyna miała naprawdę spore kontakty. Miałem nadzieję, że chwilę później wykorzysta je, aby dowiedzieć się czegoś dla mnie.

Następne dwie godziny spędziłem w mile klimatyzowanych wnętrzach Biblioteki Narodowej, usiłując dostać w swoje ręce którąś z wybranych pozycji. Większość z nich była albo niedostępna, albo w naprawie... ze szczęścia można się było pochłastać. Otrzymałem odpowiedź od Kaśki: nikt nie wdrożył do produkcji nowych projektów. Zacisnąłem zęby i wyszedłem stamtąd, nim upałowe szaleństwo dosięgnie także mnie.

Ledwo przestąpiłem próg, komórka odezwała się znów.

Witam — usłyszałem mocny głos Rumcajsa. Musiał dzwonić z budki, bo w tle słyszałem szum przejeżdżających samochodów i strzępy rozmów przechodzących ludzi. — Jan Kowalski się kłania.

Tak? — Starłem się stłumić napięcie w głosie, by brzmiał w miarę naturalnie, ale niezbyt mi to wyszło.

Namierzyłem go — powiedział krótko. — O dwudziestej będzie jadł kolację z jakimiś biznesmenami w „Awangardzie” na Nowo grodzkiej, wiesz pan, gdzie to jest?

Pewnie, że wiedziałem.

Tam się płaci tylko kartami, i to sporo.

O becel nie ma się co martwić, załatwię to.

Słucham?

O kasę — wyjaśnił domowik lekko zniecierpliwionym tonem. — Stówa wystarczy? Trzeba tylko

zarezerwować stół.

Oczywiście duszę ujrzałem Rumcajsa wyciągającego swój portfel i na chwilę zaniemówiłem.

Sądę, że tak — zgodziłem się ostrożnie.

Dobra. Spotkajmy się o wpół do ósmej w tej samej kafeterii co wczoraj.

Tylko proszę się elegancko ubrać, bez krawata nie wpuszczają.

— Spoko — odpowiedział Rumcajs z rozbawieniem. Skończyłem rozmowę. Serce waliło mi jak oszalałe. Jednak go namierzyłem. Niestety. A już miałem nadzieję... Zaczęło się.

Na tę kolację ubrałem się w mój najlepszy, granatowy garnitur. Był najlepszy, bo jedyny: zwykle wkładałem go tylko dwa razy do

roku, nie licząc ślubów, pogrzebów i innych nieprzewidzianych uroczystości. Do tego odprasowana niebieska koszula i bordowy krawat, otrzymana z jakiejś okazji pozłacana spinka oraz kilka kropel wody kolońskiej. Najgorzej poszło mi z doprowadzeniem do porządku butów, ale i one zaczęły odpowiednio wyglądać. Na wszelki wypadek wsunąłem do wewnętrznej kieszeni marynarki legitymację oraz kilka redakcyjnych wizytówek. Przejrzałem się w lustrze: zobaczyłem młodego, proporcjonalnie zbudowanego bruneta o ciemnych oczach i przeciętnie bladej cerze. Słowem, dobrze zapowiadający się menedżer, niepokojąco podobny do swoich braci. Byłem gotów iść na terytorium korpów z podniesioną głową.

Ciężyło mi poczucie ironii całej sytuacji. Gdybym udawał się tam z własnej woli albo choćby uzyskać nieoficjalne informacje, które można by było wykorzystać w robocie, wszystko byłoby OK. Tymczasem cała ta szopka miała się odbyć tylko po to, abym mógł podsłuchać władzę elfów. Ciekawe, o czym taki gość będzie rozmawiał przy kolacji? Dostawy sukna na czapczki? A może załatwia swoim nowe butki, bo stare zostawili pod grzybkami? Czego to ludzie nie robią, żeby zwrócić na siebie uwagę mediów... czy Koneser i jego kumpel nie mogli tak po prostu powiedzieć, że tu chodzi o rodzinno—korporacyjną awanturę? Co tam może się wydarzyć?

Wyszedłem z domu i powlokłem się do metra. Wiedziałem, że poruszając się w takim wdzięku środkami komunikacji publicznej, narażam się na wyklepanie paszczy przez neoanarchistów, cyberpunków czy innych narwańców, ale teraz jakoś mnie to nie obchodziło. *Decyzja*, którą podjąłem po telefonie Rumcajsa, była niczym świadome zrobienie kroku w szaleństwo. Aby się czegoś dowiedzieć, musiałem dać się wciągnąć. Bardziej ciekawiło mnie, w jakich to wspaniałych garniturach ubierze się domowik.

Rumcajs czekał na mnie przed kafejką. Ku mojemu zaskoczeniu wyglądał dokładnie tak samo jak wczoraj. Zlustrował mnie uważnie i skinął z uznaniem głową.

Nie idzie pan ze mną?

Ja nawet garniaka nie mam, mówiłem wczoraj, że nie wszę dzie mnie wpuszczają. Zjesz pan sam, obejrzyj go sobie i może usłyszysz, o czym gada z tymi biznesmenami. Nie chcę, by się zorientował, że koło niego szwenda się jakiś elf. Ja ich sobie obejrzę z zewnątrz, a potem się pokręcę żdziebko po okolicy. Kiedy skończy, któryś z nas ruszy jego śladem. Chcę się dowiedzieć, gdzie facet mieszka.

Mam podsłuchiwać? — spytałem zdumiony.

Niekoniecznie. Ale gdyby się udało, to czemu nie. Brodacz dyskretnie podał mi kilka banknotów. Dziękuję, stać mnie na kolację w takim lokalu.

Spoko, nie kradzione. Przelej pan to sobie gdzieś na kartę albo potraktuj jako zwrot kosztów.

Podobno na Mazurach domowiki zdobywały potrzebne rze czy... *pożyczając* od innych gospodarzy— błysnęłam świeżo zdobytą wiedzą, chowając pieniądze do wewnętrznej kieszeni marynarki. Oddam mu przy najbliższej okazji.

To kłobuki, gnojki zawsze robiły nam złą opinię — prychnął z irytacją Rumcajs. — Ale ja jestem z Podlasia, tam się robi inaczej.

W jaki sposób?

Tajemnica zawodowa.

Okej, niech będzie. I co z tym Oberonem?

Widział go dziś w południe mój kumpel, jak wysiadał z ga bloty, jeszcze rozmawiał z kierowcą, dlatego wiem, gdzie się mają spotkać. Zaraz z tym kumplem pogadamy, pewnie do tej pory siedzi w barze...

Ruszyliśmy w stronę skrzyżowania Alej Jeruzolimskich z Jana Pawła II, tam Rumcajs zaciągnął mnie w stronę budki z tureckim żarciem. Przy jednym z ustawionych wewnątrz blatów stał drobny, niewysoki człowieczek, przypominający chodzący punkt skupu odzieży używanej, i łapczywie zajadał jakąś zupę. Brodacz podszedł do niego.

— To jest pan Adam — przedstawił mnie Rumcajs. — Pomaga mi. A to Mariaszek.

Facecik uśmiechnął się przymilnie i potrząsnął swoją dłonią.

— Ba—a—ardzo mi miło — wyjąkał, opryskując mnie kropelkami zupy.

— Jesteśmy w komplecie. Teraz możesz nam powiedzieć, jak wygląda jego wysokość Oberon.

Mariaszek rozejrzał się trwożliwie dookoła, jakby chcąc się upewnić, że nikt nas nie podsłuchuje, i szepnął konspiracyjnie:

Wy—y—gląda j—a—a—k Dż—ż—żems Bo—o—nd.

Wasz szef przyjął postać George'a Talbotta?

Mariaszek zamachał przecząco rękami, usiłując coś powiedzieć.

— E—e—e. Du—ży, prz—y—stojny fa—a—cet. Sza—a—ry ga—a—arniak.

No proszę, przynajmniej gość wiedział, jak się ubrać, aby ludzie traktowali go poważnie. Ciekawe, z kim się umówił?

— Po czym pan poznał, że to on?

Twarz Mariaszka rozjaśniła się w zachwycie. Uniósł ręce, kreśląc półkole na wysokości głowy.

Aura — mruknął Rumcajs.

Cudo! — westchnął tamten z nabożną niemal czcią. — Czy—y—ysta moc! Bia—a—a—ła ja—jak... ja—ak...

Właśnie, aura. Skrzywiłem się i udając, że masuję sobie kark, popatrzyłem na facecika z odpowiedniej perspektywy. Ku mojemu zaskoczeniu świecił na jasnopomarańczowo, co było wyraźnie widoczne na tle bladezielonych kafelków. Jedynie na czubku głowy dostrzegłem ciemną, prawie czarną plamę. Ciekawe...

Rumcajs położył obok plastikowej miseczki kilka monet i zwinięty wisiorek z suszonymi roślinami. Mariaszek ledwie dostrzegalnym ruchem ściągnął pieniądze z blatu, a wisiorek od razu nałożył na szyję. Zdawało mi się, że na jego twarzy pojawiło się coś w rodzaju ulgi.

— Kup sobie coś jeszcze. Widzimy się jutro?

Facecik skinął głową, nie przerywając siorbania drobno pokruszonego makaronu.

Wyszliśmy z knajpy ścigani zapachem pieczonej baraniny i ku—skusu. Zaczynałem robić się głodny. Zerknąłem na zegarek: do ósmej pozostało jeszcze prawie dziesięć minut. Nie mieliśmy za wiele czasu. Najwidoczniej Rumcajs doszedł do tego samego wniosku, bo nieco przyspieszył. Skierowaliśmy się w stronę wyjścia po właściwej stronie ulicy.

— Co pan będzie robił, kiedy ja będę tam siedział?

— Przyjrzę się wam z daleka. Spróbuję się dowiedzieć, gdzie ten facet mieszka. Mam to. — Pokazał mi mały, płaski krążek metalu, zapakowany w folię wraz z czymś o kształcie pilota do samochodu. — Kupiłem na *bazarze*.

Zacisnąłem zęby.

Nie za dużo pan ode mnie wymaga? O ile pamiętam, to miałem być przewodnikiem i doradcą, a nie gumowym uchem. Nie będę ładował w nikogo pluskwy.

Wczoraj zgodziłeś się pan mnie pomagać.

Owszem, ale to nie oznaczało, że automatycznie zgadzam się na wszystko, co panu przyjdzie do głowy. To się nazywa naruszenie prywatności, za coś takiego można trafić za kratki. To nie jest telewizyjny serial, gdzie zadziała tysiące sprzyjających zbiegów okoliczności.

Założymy się? — Rumcajs uśmiechnął się szelmowsko. — Nas takie rzeczy nie obowiązują. Ale skoro się pan boisz, trudno, zrobię to sam. Podłożę mu ją tak, że nawet nie poczuje.

Mimo wszystko to ryzykowne. Za Goplaną chodzą Skierka i Chochlik, on też może mieć goryli czy asystentów.

Fakt — zgodził się domowik — ale wtedy nie woziłby dupska czyimś wozem, tylko kazał sobie gablotę z kierowcą, nie?

Nieźle się zaczynało. Pan Kowalski już na samym początku proponował mi coś nielegalnego, święcie przekonany, że się nam to upiecze. Facet nie rozumował kategoriami zdrowego rozsądku, lecz fabułą. Dobra, jeśli chce to robić, niech się bawi sam. W razie czego udam, że go nie znam i wyprę się wszelkich z nim kontaktów.

— Cóż, uprzedzałem. W razie czego może pan mieć pretensje tylko do siebie.

Przez chwilę szliśmy w milczeniu. Obok nas przeszła grupa neonasów w ciuchach tak jaskrawych, że oczy same się mrużyły. Pewnie udawali się na sobotni bieg siedmiu klubów. Zerknęli na nas ciekawie, ale nie zaczepili; nie na co dzień widuje się elegancko ubranego korpa w towarzystwie gościa wyglądającego jak budowlaniec.

— Kim jest ten Mariaszek? Jego aura była... dość dziwna — spyta łem, chcąc zmienić temat.

— Domowik, jak ja. Był nocnym stróżem w kamienicy na Śliskiej, tu niedaleko. Szkoda, żeś jej pan nie widział, cudo prawdziwe, ze schodów można było jeść, a pompa nawet w najgorszą zimę działała. Nigdy się z niej nie ruszył, no i w powstaniu, jak bomba trafiła, przyjął na głowę całe trzy piętra ze strychem. Z domu zo stała sterta gruzów na trzy metry wysoka, ale on stamtąd wyszedł. Do dziś nikt nie wie, jak mu się to udało. Fakt, ciut się jąka i myśli z przeskokami, ale idzie się z nim dogadać. Dorabiał trochę jako palacz po kotłowniach, ale jak zaczął się za mocno ucłowieczać, to i robotę rzucił. Odtąd łązi i kombinuje, jak by się tu zahaczyć w dawnym zawodzie, ale kto przyjmie kogoś takiego? Wierzę, że mu się to uda. Facet, który przeżył zawalenie się kamienicy na łeb, jest w stanie dokonać wszystkiego.

Ładna historyjka.

— Wie pan, medycyna poszła nieco do przodu... można mu wszczepić stymulator.

Rumcajs spojrział na mnie jak na wariata.

Nigdy w życiu!

Dlaczego?

Dwie sprawy. Pierwsza, oczywista — brak kasy. Druga — dla niego to śmierć, on coś takiego odrzuci. Z ludzką techniką jeste śmy wyjątkowo... niekompatybilni.

Ale chyba się leczy?

Owszem, załatwiam mu różne nawęzy, ale z ich skuteczno ścią różnie bywa. Czasem pomagają mu bardziej, czasem mniej... kiedyś próbowałem skołować dla niego z pomocą kogoś od Obe— rona odrobinę żywej wody z Tamtej Strony, ale mnie wystawiła do wiatru. W sumie mogłem się tego spodziewać, bo to zła wietrz— nica była.

Przeszliśmy pod hotelem i dotarliśmy na róg Nowogrodzkiej i Emilii Plater, kilkadziesiąt metrów od restauracji. Dalej znajdowały się zabytkowe ulice: Hoża, Poznańska, Wilcza... starannie odremontowane kamienice z wstawionymi nowymi plombami, zamieszkane przez korpów i tych

nielicznych szczęśliwców, którzy mogli sobie na to pozwolić. Nie zawsze tak było. Dawni mieszkańcy w przeważającej liczbie wynieśli się gdzie indziej, na przykład na Osiedle. Pozostałe niedobitki stawały się coraz bardziej izolowane przez bramy, ogrodzenia, systemy monitorowania, ochroniarzy i przyciemniane szyby samochodów za ciężkie pieniądze. Z panów ulicy stali się lokalną atrakcją, mało groźną, ale dodającą okolicy kolorytu.

— Na Poznańskiej pod trzecim numerem mieszkał przed wojną jeden jasnowidz. — Rumcajs machnął ręką. Widać jemu również zebrało się na wspomnienia. — Kazał na siebie mówić „profesor”, ale jakoś nikt nie wiedział, czego on jest profesor... Czasem wpa daliśmy do niego, posiedzieć i pogadać o starych czasach. Miły był facet, nie dziwił się nam, choć niekiedy odstawialiśmy różne sztuczki. Przepadł gdzieś podczas bombardowania we wrześniu.

Gapilem się na samochody wjeżdżające na strzeżony parking naprzeciwko restauracji, jednak była to dość nużąca rozrywka. Równie dobrze mogłem słuchać Rumcajsa.

Przez całą wojnę tam kwaterowaliśmy, parę osób od Goplany, trzymając lokal na jego powrót i pilnując, żeby się nie zameldo wała żadna szwabska menda. Ukrywał się tam też jeden golem... Profesor nie wrócił, ale przynajmniej kilkoro z nas spędziło oku pację w niezłych warunkach. Kumpel twierdził, iż gość wiedział, kiedy umrze: było to jedyne w jego życiu jasnowidzenie, które się spełniło.

I nikt się was nie czepiał?

— No, przyszli dwa razy z jakiegoś urzędu, ale załatwiliśmy to... — Jak?

— Mamy swoje metody... — odparł Rumcajs, znacząco kręcąc dłonią. — Wtedy jeszcze byliśmy silniejsi niż teraz. Przestali nas nachodzić i do powstania był spokój.

Hm, byłem ciekaw tych metod. Właśnie chciałem go o nie zapytać, kiedy Rumcajs trącił mnie w ramię.

— Patrz pan, jest.

Na parking zajechał granatowy mercedes 1200. Był to model sprzed dwóch, trzech lat, idealny wybór dla prezesa średniej wielkości przedsiębiorstwa. Chwilę potem z parkingu wyszedł wysoki, ciemnowłosy facet w ciemnym garniturze. Sprężystym krokiem przeszedł przez ulicę i zniknął we wnętrzu restauracji.

Rzeczywiście, wyglądem przypominał nieco ostatnie wcielenie pewnego tajnego agenta Jego Królewskiej Mości.

— No, gazuj pan — powiedział brodac. — Tymczasem postaram się zamontować mu pluskwę pod gablotą.

Wzięłem głęboki wdech i spokojnym krokiem wszedłem do lokalu. Owionął mnie przyjemny chłód klimatyzowanego wnętrza i dopiero teraz poczułem, że lepię się od potu. Wełniany garnitur...

Przedstawiłem się sprawdzającemu rezerwacje barczystemu facetowi w garniaku i już po chwili siedziałem przy niewielkim stoliku ustawionym w kącie niedaleko wejścia. Kelner w nieskazitelnie białej koszuli przyniósł mi oprawioną w brązową skórę kartę i pstryknął włącznik w stole. Nad blatem zawisa wirująca powoli holograficzna kula, oświetlając go delikatnym blaskiem, płynnie przechodzącym od czerwieni do błękitu. Zamówiłem na przystawkę pierwszą z brzegu rzecz, która rzuciła mi się w oczy, i zająłem się obserwacją otoczenia.

Dość ciemne wnętrze „Awangardy” stanowiło dziwne połączenie tradycji i nowoczesności. Ściany miały barwę, którą nasz redaktor graficzny określiłby pewnie jako „róż indyjski” lub coś równie dziwnego; do tego koloru dopasowano brązowy odcień wykładziny i drewnianych mebli. Dwie zwisające z sufitu lampy o spłaszczonych kloszach świeciły ciepłym, rozproszonym światłem, uzupełnianym przez blask skierowanych na obrazy kinkietów. Do tego oddzielające kuchnię od sali ciężkie brązowe kotary, związane grubymi złotymi sznurami z kutasami, i dwie

średniej wielkości palmy w donicach. Tyle tradycja. Nowoczesne były ramy okna, wyglądające jak zespane z teowników, lekko przyciemniane szyby, wykonane z cienkiej blachy zestawu na przyprawę, cukiernice powyginane w kształty,

o jakich się nie śniło nawet Escherowi, oraz te nieszczęsne kule nad stołami. Każda z nich wirowała w odmiennym tem pie i świeciła innym kolorem; spektrum widma wybrane dla mnie przez kelnera nadawało pastelowemu obrusowi kolor nad— psutej padliny. Pomacałem pod blatem i znalazłszy odpowiedź nie pokrętała, przesunąłem barwę w stronę przygaszonej bieli i żółci.

Miejsce Oberona znajdowało się o trzy stoliki dalej, pod obrazem przedstawiającym nocny pejzaż Warszawy z czterema pobliskimi wieżowcami. Władca elfów siedział samotnie i uważnie przeglądał menu, od czasu do czasu zerkając w zasłonięte gęstymi firankami okno. Wirująca przy jego stoliku kula świeciła jasnopomarańczowo. Bliższa obserwacja potwierdziła tylko pierwsze wrażenie: wysportowany, dbający o siebie biznesmen pod czterdziestkę. Okrągła twarz z gładko ogoloną, lekko kwadratową szczęką, proporcjonalny nos, ciemne włosy *zaczęsane* w najmodniejszą wersję przedziałka. Elegancki wieczorowy garnitur, dopasowany krawat, a do tego dyskretnie wystający z kieszonki rożek chusteczki i połyskująca na lewym nadgarstku bransoleta drogiego zegarka. Spod lśniących białych mankietów wystawały duże dłonie o długich, lecz masywnych palcach. Odniosłem wrażenie, że można by nimi z równą gracją wygrywać poloneza, jak i wbić komuś nos do środka, choćby opierał się na tytanowej chrząstce.

Oberon zamówił coś, po czym w skupieniu zaczął przyglądać się hologramowi. Przechylał delikatnie głowę to w lewo, to w prawo, jakby usiłując zrozumieć, jak to się dzieje, że ta kula istnieje, obraca się i wydziela takie, a nie inne światło. Miałem czyste pole, gdyż oprócz nas na sali siedziała tylko pojedyncza para w średnim wieku. Restauracja największe obroty miała w ciągu tygodnia, kiedy pracujące w okolicy korpy wpadały tu na lunch. Teraz siedzieli w swoich zamkniętych klubach, gdzie muzyka zagłusza myśli, oglądali nielegalne walki rosyjskich zapaśników albo zażerali się prawdziwym mięchem z dodatkiem warzyw uprawianych w naturalny sposób, w lokalach, gdzie o tej porze wchodzi się tylko we fraku, a szklanka niegazowanej wody kosztuje tyle co moja miesięczna pensja.

Okazało się, że na dobry początek zamówiłem sobie śledzia w śmietanie. Z ukrytych głośników zaczęła się sączyć łagodna muzyka, która zdaniem tutejszego konsultanta artystycznego miała pewnie wprowadzić klientów w odpowiedni nastrój i sprzyjać trawieniu. Chyba na mnie podziałała, bo ryba smakowała nieźle i nie patrzyła na mnie ludzkimi oczami. Za to Oberona jakby piorun strzelił: słysząc pierwsze dźwięki, niemal podskoczył na

krześle, nerwowo rozglądając się dookoła. Dziwne, czyżby nie wiedział, że stojąca kilka metrów dalej donica to wymarzone miejsce na głośnik? Takie rzeczy wie każdy bywalec lokali na poziomie, a Oberon na kogoś takiego wyglądał.

Kelner odszedł właśnie od mojego stolika z zamówieniem na jajka faszerowane zasmażane w bułce i tradycyjne polskie carpaccio z ziemniakami podlane białym winem, gdy od wejścia usłyszałem kilka donośnych głosów i nagle do wnętrza wparowała cała grupka nowych gości, zasłaniając mi widok na Oberona. Dwóch z nich, chudy i szpakowaty gość w średnim wieku oraz niższy od niego pękaty brunet po czterdziestce, od razu skierowało się do jego stolika. Na ich widok władca elfów zerwał się, omal nie wpadając na kelnera. Uściskawszy sobie dłonie, panowie zaczęli przeglądać menu. Nie słyszałem, co mówią, gdyż dwaj faceci siedzący przy stoliku obok z ożywieniem i dość głośno planowali rozstawienie mebli w swoim nowym gniazdku. Jeden z nich wybijał szybki rytm wielkim, obejmującym cały palec pierścieniem, który nadawał jego kończyźnie sztuczny wygląd. Miałem szczerą ochotę zerwać mu tę modną ozdóbkę, choćby i razem z palcem.

Grubszy z rozmówców Oberona nieco przekręcił się na krześle, aby złożyć swoje zamówienie, a ja po raz kolejny odniosłem wrażenie, że gdzieś już tę twarz widziałem. Trzeba to będzie sprawdzić...

W tej samej chwili na moim stole pojawiły się jajka i carpaccio. Z pierwszym daniem rozprawiłem się dość szybko, rezerwując sobie więcej czasu na drugie. Zastanowiłem się jeszcze nad dobrą kawą, na wypadek gdyby Oberon i jego koledzy zasiedzieli się nieco dłużej. Po jajkach z całym namaszczeniem, na jakie zasługiwała podlana złocistym sosem naturalna cielęcina w towarzystwie kuleczek prawdziwych ziemniaków, zabrałem się do carpaccio. Przez chwilę odruchowo usiłowałem doszukać się w smaku cieniutkich plasterków mięsa czegoś, co świadczyłoby o sztucznym karmieniu, ale wreszcie dałem sobie spokój. To mięso było zbyt dobrze przyprawione, aby dało się to sprawdzić. Zresztą kierownictwo „Awangardy” na pewno mogło sobie pozwolić na własnych, ekologicznych dostawców.

Jeden z moich sąsiadów uniósł rękę do ucha i zaczął mówić do bransolety swojego zegarka. Następny gadżet dla ludzi, którzy nie wiedzą, na co wydawać pieniądze. Chcesz czuć się jak tajny agent? Proszę bardzo, umożliwimy ci to za jedyne dwa tysiące euro, z dożywotnią gwarancją.

No właśnie. Siedząc tutaj, *jeszcze* mocniej poczułem, w jak głupiej sytuacji się znalazłem. W tym lokalu, pełnym trzeźwo i logicznie myślących ludzi, którzy codziennie dokonywali operacji finansowych na pięciu kontynentach, a za drobne z kieszeni mogliby kupić Rumcajsa razem z butami, wszystko, co do tej pory usłyszałem, wydawało się zupełnie nierealne i przypominało opis bardzo dziwnego snu. Gdyby Koneser miał choć trochę oleju w głowie, pomyślałem z ironią, to poszukałby domowikowi przewodnika wśród tutejszej klienteli. Tylko że tamci spuściliby go po schodach zaraz po pierwszym zdaniu. Starszy pan zapewne o tym wiedział, rozejrzał się zatem po prostu za naiwniakiem, który by łatwo kupił taką bajeczkę. Tym naiwniakiem byłem ja: oto właśnie bawię się w szpiega. Do kogo mógłbym zwrócić się teraz o pomoc? Nie wiem. Każdy z moich znajomych zabiłby mnie śmiechem na miejscu. Właściwie nie mógłbym nawet mieć o to pretensji: gdyby któryś z moich redakcyjnych kolegów zaczął opisywać rzeczy, które widziałem, sam bym go wyśmiał.

Otoczająca trójwymiarową kulę poświata skojarzyła mi się nagle z dziwnym zjawiskiem świetlnym, które dostrzegłem przedwczoraj u jednego z asystentów Goplany. Gdzie ja wtedy stałem? No jasne, opierałem się ramieniem o mur, przekrzywiając nieco głowę. Jeśli wierzyć słowom Konesera, widziałem jego aurę, ostateczny dowód na bycie elfem. A jak to wygląda u tamtego pana?

Przekrzywiłem delikatnie głowę i musiałem przyznać kumpłowi Rumcajsa rację. Tak jasnej, promieniującej czystą energią poświaty jeszcze nie widziałem. Oberon prezentował się jak okaz zdrowia i siły, Rumcajs i Mariaszek rzeczywiście wyglądali przy nim niczym ubodzy krewni. Zresztą coraz bardziej kojarzył mi się z ostatnim wcieleniem najsłynniejszego tajnego agenta świata: gestykulował szeroko, wydawał się bardzo otwarty i pewny siebie. Jego rozmówcy zachowywali się podobnie i wyglądało na to, że doskonale się dogadują. Przez pewien czas usiłowałem podsłuchiwać, o czym rozmawiają, ale parka przy sąsiednim stoliku zaczęła właśnie zastanawiać się wraz z kelnerem nad wyborem odpowiedniego wina i cały mój wysiłek diabli wzięli. Strzępy zdań, które do mnie dolatywały, nie dawały się skleić w żadną sensowną całość.

Jedno z nich sprawiło jednak, że wyteżyłem słuch do ostatecznych granic. W tej chwili przeklinałem swoją niechęć do mechanicznych ulepszeń; mimo wszystko wszczep w ucho i lornetka w oku na pewno by nie zaszkodziły.

— ...z prezentacją, o której wspominał pan wczoraj wieczorem? Oberon odpowiedział coś,

lekceważąco machając ręką. Niższy rzucił jakąś uwagę, a wyższy pokiwał siwiejącą głową.

— Czekam właśnie na wiadomość od współlnika... sędzę, że zaraz nadejdzie... — wyjaśnił Oberon z przeproszającym uśmiechem. Popatrzył na swoich rozmówców z nadzieją, że za chwilę odezwie się leżąca koło jego ręki jednorazowa komórka.

Oczywiście nic takiego się nie wydarzyło. Władca elfów nieco skłębł, zapadł się w sobie, pewnie gorączkowo zastanawiając się, jak to możliwe, że jego słowo nie stało się rzeczywistością. Cały czas jednak uśmiech nie schodził mu z twarzy. Jego rozmówcy również uśmiechali się uprzejmie, czekając na swoje dania. Mimo iż nie porozumieli się wzrokiem, mogłem się domyślać, że notowania Oberona spadają w tym momencie niczym meteor.

A, co tam. To będzie pierwszy i ostatni raz, kiedy podam mu niewidzialną rękę. Tak na powitanie w nowym świecie.

Znajomy z działu technicznego opowiedział mi kiedyś o pewnej ciekawej właściwości jednorazowych komórek: producent albo o niej nie wiedział, albo przypadkiem zapomniał napisać w instrukcji. Otóż dawały się one zhakować, a co ciekawsze, nie potrzeba było do tego specjalnego oprzyrządowania. Wystarczyło dysponować palmtopem i zassanym z jakiejś tajnej fortecy Głębokiej Sieci kodem, którego podanie umożliwiało ograniczoną komunikację z każdym znajdującym się w zasięgu aparatem tego rodzaju. Wtedy można było zadzwonić na nieznaną numer lub wysłać na niego krótką wiadomość. A może dałoby się także sprawdzić, do kogo ostatnio dzwonił? Nieważne, i tak nie mam czasu na dokładne testy. Nigdy nie próbowałem tej sztuczki, ale teraz można było zaryzykować. Miałem nadzieję, że inni goście, a zwłaszcza ta wygadana parka obok, zasłonią mnie wystarczająco.

Tylko spokojnie, bez zbytniego czajenia się, bo to na pewno przyciągnie uwagę otoczenia. Facet z telefonem w rękę to tutaj normalka. Wyjąłem swój sprzęt, ułożyłem wśród zastawy tak, by nie rzucał się w oczy, i wkleiłem przeniesiony z notatnika kod. Ekran mignął i po chwili wyświetlił mi ograniczone menu jego telefonu; na szczęście w zasięgu mojego aparatu znajdował się tylko jeden taki model. *Teraz* mogłem albo zadzwonić na koszt Oberona pod dowolny numer, albo wysłać mu wiadomość, niestety, tylko w trybie tekstowym. Wybrałem to drugie i wklepałem krótką wiadomość: „Przesyłka w poniedziałek”. Wysłałem ją i wsadziłem aparat z powrotem do kieszeni.

Pozostawało mieć nadzieję, że wiadomość dotrze tam, gdzie trzeba, a moja informacja go uspokoi, a nie wzbudzi podejrzenia. Kontrolny rzut oka w stronę interesującego mnie stolika — chyba nic nie zauważyli, sytuacja nie uległa zmianie. Nie gapić się za długo, lepiej skupić uwagę na talerzu, bo carpaccio stygnie.

Ciche, oscylujące na granicy słyszalności piknięcie oznaczało, że wiadomość dotarła na miejsce. Oberon rzucił okiem na ekran, uśmiechnął się lekko. Z nieukrywaną dumą pokazywał wyświetlacz telefonu obu korpom, którzy również uprzejmie szczerzyli się w stylu: „podzielamy pańską radość, bo gdybyś tego nie dostał, urwalibyśmy ci jaja”. Nastrój od razu się poprawił: panowie zaczęli delektować się przyniesionymi potrawami oraz, jak na porządnych biznesmenów przystało, gadać o samochodach, hotelach i podręcznych. Władca elfów słuchał uważnie, odzywając się z rzadka i tylko po to, by podtrzymać rozmowę. Wyglądał jak psychiatra, który z uwagą wyciąga wnioski z każdego słowa i gestu swego pacjenta. Jego rozmówcom wcale to nie przeszkadzało i w przerwie między jednym a drugim kęsem przerywali się kolejnymi uwagami, wyraźnie czerpiąc niełichą przyjemność z tego, że mogą wreszcie błysnąć przed kimś swoimi oszałamiającymi sukcesami.

Mój kolega — powiedział grubszy, nalawszy sobie nowy kieliszek wina — był ostatnio w Bangkoku i jako pamiątkę przywiózł sobie stamtąd podręczną, śliczną dziewczę. Muszę

przyznać, że byłem zaskoczony jej umiejętnościami: potrafi wszystko, co moja Lena i *jeszcze* więcej. Jej siła... zręczność... niesamowite! Podobno jest nawet w stanie gołymi rękami ukreślić łeb przeciwnikowi z przyspieszonym refleksem! Wyobrażacie to sobie?

Pewnie ma to *jeszcze* z poprzedniego życia — zauważył wyższy.

Być może, ale czy wiedzą panowie, ile za nią dał? Dwie, słownie: dwie butelki prawdziwej szkockiej! — Roześmiał się, jakby to on sam zawarł tak korzystną transakcję.

Dwa w jednym! — zawtórował mu wyższy.

Oberon również się roześmiał, co wywołało u tamtych wymianę pełnych ironii spojrzeń. Władca elfów właśnie zarobił kolejny minus z nieznamości ludzkich obyczajów. Prawie mogłem sobie wyobrazić tę dziewczynę: ciało siedemnastolatki i siła oraz doświadczenie dwudziestolatka, który był o jednym potomkiem za dużo, a musiał jakoś zarobić na utrzymanie. Bangkok to chyba jedyne znane mi miejsce, gdzie bycie chłopcem było mniej opłacalne od bycia dziewczynką.

U nas — powiedział Oberon — na takie osoby mówiło się „brańcy”.

Ciekawe określenie — zauważył ten wyższy — ale moim zdaniem „podręczna” brzmi lepiej...

Gapilem się bezmyślnie za okno, usiłując wychwycić jak najwięcej z toczony przez tamtych rozmowy. W pewnej chwili moją uwagę zwróciło poruszenie na parkingu: zza jednego z wozów wyszedł duży, bykowaty ochroniarz w eleganckim czarnym mundurku. Jego nieco niższy kolega trzymał wyrwywającego się Rumcajsa.

Psiakrew, a mówił, że potrafi naginać przypadek... zrobi to tak, że Oberon niczego nie zauważy... akurat!

Żołądek ścisnął mi się ze zdenerwowania, przez sekundę wahałem się między ratowaniem jego tyłka a dalszym pilnowaniem Oberona. Z niechęcią musiałem przyznać, że Rumcajs był ważniejszy: jeśli go zwiną, nie uda mi się wyjaśnić tej zagadki.

Rachunek uregulowałem w ekspresowym tempie, patrząc kelnerowi na ręce: co prawda w lokalu takiej klasy nie powinna zdarzyć się kradzież kodu ani dopisanie do rachunku, ale kto ich tam wie...

Wyleciałem na ulicę w pośpiechu niegodnym bywalca tak drogiej restauracji. Przecisnąłem się obok szlabanu i dobiegłem do grupki na parkingu.

— Chwileczkę, panowie, co tu się dzieje?

Wyższy ochroniarz zmierzył mnie od stóp do głów niechętnym spojrzeniem, a widząc garnitur, uznał, że jednak powinien odpowiedzieć.

Pański wóz? — spytał niższy, wskazując brodą na samochód Oberona. Ręce miał zajęte szarpiącym się Rumcajsem.

Nie, ale mój pracownik — wypaliłem bez chwili zastanowienia. Dopiero sekundę potem zorientowałem się, co powiedziałem.

No, to ładnych pan ludzi zatrudnia... — zadrwił wysoki ochroniarz. — A może pan również z branży, co?

Bez takich! — huknąłem, licząc, że może uda mi się zbić ich z tropu. Ale chłopcy czuli się bardzo pewnie. W końcu to było ich podwórko.

Spoko... — powiedział z nutką groźby w głosie stojący bliżej mnie goryl. — Niedawno przejeżdżał tędy patrol, wszystko da się wyjaśnić...

Poczułem na ręce mocny uścisk. Owszem, mógłbym się z facetem szarpać, ale kung—fu przestałem ćwiczyć już bardzo dawno temu. Walcząc z narastającą paniką, usiłowałem gorączkowo kombinować, jak nas z tego wyciągnąć. To nie mogło się tak skończyć, przecież miałem na tym nic nie stracić...

— Jego nie — odezwał się nagle Rumcajs.

Nim goryle zdążyli zareagować, usłyszałem cichy szum, jakby między samochodami przemknął

słaby wiatr. Zaraz potem poczułem, jak policzek muska mi nienaturalnie ciepły podmuch. Ochroniarze zastygli w bezruchu, jakby ktoś wcisnął im pauzę.

Brodacz odetchnął i wyszarpnął połę swojej kurtki z uchwytu wielkiego łapska. Trącony ochroniarz gruchnął na ziemię niczym obalony posąg. Nawet okiem nie mrugnął.

Dzięki, stary — powiedział Rumcajs gdzieś w przestrzeń. W pla mie ciemności rzucanej przez leciwą furgonetkę Mercedesa coś znów zaszeleściło.

Nie ma za co — odpowiedział stamtąd cichy głos. — *Teraz* jesteśmy kwita, zgadza się?

Tak jest — pokiwał głową Rumcajs.

No to lecę.

Znów ten sam szelest, tym razem oddalający się w stronę Marszałkowskiej. Spojrzałem w tamtą stronę i zobaczyłem tylko, jak mała trąba powietrzna na moment unosi kupkę śmieci. W mieście to normalka... pod warunkiem że wieje wiatr. Dziś nagranych murów i chodników nie chłodził nawet lekki zefirek.

Dopiero *teraz* zauważyłem, że stojący naprzeciw mnie ochroniarz ma dziwnie wykręconą rękę. Zaciekawiony, obszedłem go dookoła. Oj, nieładnie. Taser o mocy przekraczającej dopuszczaną przepisami. Przy odrobinie szczęścia mógłby mnie tym nawet zabić.

Rumcajs pociągnął mnie za łokieć.

— Mieliśmy straszny fart, że akurat był w pobliżu. Zmywajmy się stąd, nie wiem, jak długo tak będą sterczeć.

Popatrzyłem w zmrużone, złe oczy jednego z goryli i przyznałem mu rację.

— Słyszają nas? — spytałem, na wszelki wypadek szeptem. Rumcajs wzruszył tylko ramionami.

Ruszyliśmy w kierunku Marszałkowskiej. Przez pewien czas oglądałem się jeszcze za siebie, czy nas nie gonią. Dopiero przecnicę dalej odetchnąłem i usiłowałem się uspokoić.

Co to było? — wykrztusiłem wreszcie.

Latawiec — odparł domowik. — Miał wobec mnie dług wdzięcz ności i właśnie go spłacił.

Ale... czy... — dukałem jak dziecko, usiłując odpowiednio sformułować pytanie. — Jak on to zrobił?

Przeszedł między nimi.

Taka mała trąba powietrzna?

Taka mała trąba powietrzna — prychnął Rumcajs — zależnie od humoru, mogłaby zapewnić ci trwały paraliż całego ciała lub jego części, względnie różne inne dolegliwości, choćby atak padaczki,

od której odgryzłbyś sobie język. Wystarczyło, żeby cię dotknął. Miałeś szczęście, że zdążyłem go uprzedzić. Mogłeś tam do tej pory sterczeć jak kołek.

Uświadomiłem sobie, jak często beztrąsko przełaziłem przez taką trąbę, i zrobiło mi się niewyraźnie. Dopiero po chwili zorientowałem się, że Rumcajs przeszedł ze mną na „ty” i wcale mi się to nie spodobało.

Właściwie to mają wśród nas najlepiej — mówił dalej brodac, wyraźnie zadowolony, że może pochwalić się swoją wiedzą. — Im jest obojętne, czy skaczą po polnych drogach, czy po ulicach. Tu nawet mają łatwiej, bo w mieście takie wiry tworzą się częściej. Przeżyją nas wszystkich.

Wie pan — na drugie słowo położyłem szczególny nacisk — nie widziałem *jeszcze*, aby w biały dzień na środku ulicy ktoś padł jak rażony gromem tylko dlatego, że się otarł o... o coś takiego.

Bo mają jeszcze tyle rozumu, aby nie szkodzić nikomu pu blicznie. Ale kto skojarzy z takim wirym wypadnięcie plomby albo krótki, ostry ból w okolicy serca? Nadmiar energizerów, ostatni tydzień miałem bardzo nerwowy, a tamtą plombę założyli mi dziesięć lat temu, miała prawo wypaść — ciągnął Rumcajs tonem urzędnika w średnim wieku. — Lecz od czasu do czasu, w

bocznej uliczce, czemu nie skasować kogoś na zawał, wylew albo inne karoszy? Mówię, to wredne dranie...

Urwał, bo z naprzeciwka nadjechał powoli obły radiowóz o wzmacnianej karoserii. Na szczęście gliniarze bardziej niż nami byli zajęci wypatrywaniem sprzedawców Anielskich Symfonii i innych modnych prochów. Zaraz potem natknęliśmy się na dwie cichodajki z jakiejś korporacji, szukające nowych znajomości na sobotnią noc. Trochę zazdrościłem im skąpych wdzianek: po okrytych wełną plecach ściekały mi już całe wodospady potu. Jedna z dziewczyn już chciała się do mnie odezwać, ale radosny uśmiech Rumcajsa sprawił, że zamarła z półotwartymi ustami.

...należy trzymać się od nich z daleka.

Słusznie, traktują facetów jak zabawki.

O latawcach mówiłem. Tamte dwie sztuki były akurat niezłe — ocenił tonem znawcy.

Dotarliśmy do Marszałkowskiej, mijając wyjeżdżające spod hotelu samochody. Na ulicy panował spory ruch: przeważały mniejsze lub większe grupki imprezowiczów lub zwykłych ludzi rozkoszujących się ciepłym czerwcowym wieczorem. Po niebie niczym sznury świetlistych koralii pędziły wektorówki. Uniosłem głowę i mimo blasku miasta oraz zasłony smogu byłem w stanie dostrzec kilka gwiazd.

Oddychałem głęboko i starałem się rozluźnić, opanować ten strumień adrenaliny szalejący w moich żyłach. Co chwila rozglądałem się na boki, czy skądś nie wyskoczy wzmocniony patrol ochrony lub policji, który nie da nam najmniejszych szans. Pierwszy szok minął, usiłowałem poukładać sobie w głowie to, co się wydarzyło. Próbowałem dopasować do tego działanie którejs ze znanych mi broni. Taser? Pneumatyczna broń nabita nowym, tajnym środkiem paraliżującym? Nie, one nie działają aż tak szybko. Głośniczek w cieniu furgonetki i ustawieni aktorzy? A czy aktor byłby w stanie stać jak słup i nie mrugać bez chemicznego wspomaganie? Popatrzyłem na spokojnie kołyszącego się na piętach domowika i znów poczułem się bezradny. Co ten facet jeszcze umie? Jakich jego zna—jomków przyjdzie mi spotkać, nim się to wszystko skończy?

I co teraz? Zdawało mi się, że chciał pan śledzić Oberona.

Fakt, chciałem z nim pogadać, ale przynajmniej teraz facet nie ucieknie. Nie mogę grać na wariata, muszę pomyśleć. No i chciałbym dowiedzieć się, coś pan widział i słyszał. — Rumcajs sprawdził, czy odbiornik podsłuchu działa. Starał się zrobić to tak dyskretnie, że omal się nie roześmiałem. Niespodziewanie zmarszczył brwi, a potem zaczął bardzo się spieszyć.

O w mordę, wyszedł z lokalu — wyjaśnił, ciągnąc mnie za rękaw. — Gazem, może jeszcze gdzieś go złapiemy i dowiemy się czegoś więcej.

Zbiegliśmy do podziemnego przejścia między łażący w różnych kierunkach tłum. Udało nam się utrzymać równe tempo.

— Jaki to ma zasięg?

Kilometr, sprzedawali mocniejsze, ale mi forsy nie starczyło. I ten facet nie ma na garnitur?

To po jasną cholere tak pędzimy? Nie lepiej złapać taryfę?

— Nie ma potrzeby, zatrzymał się gdzieś na Kruczej. No, ale nawijaj pan.

Nim wyszliśmy z podziemi koło „Forum”, zdołałem streścić Rumcajsowi większość tego, co zobaczyłem i co udało mi się usłyszeć. Brodacz przez cały czas nie odezwał się ani słowem, od czasu do czasu kiwając tylko głową i pomrukując coś pod nosem. Koło hotelu wpadliśmy na dużą zagraniczną wycieczkę, w skupieniu słuchającą snutej przez przewodnika opowieści o dziejach placu Defilad. Facet musiał wspierać się chipem językowym, gdyż co pewien czas zacinał się i wtrącał różne bardzo wyszukane słowa, których nikt nie użyłby w języku potocznym. Niestety, chipy miały to do siebie, że czyniły z człowieka zaprogramowaną maszynę: biedny przewodnik choćby i znał lepsze określenie, nie mógł go użyć, mając mózg naładowany słownictwem i regułkami z pamięci zewnętrznej.

Szliśmy po ulicach, mijając błyszczące wystawy z rozłożonymi na nich towarami w cenach nieosiągalnych dla większości śmiertelników. Obok nas barwnym strumieniem przelewały się eleganckie garnitury, buty w najmodniejszym fasonie, drogie alkohole i upominki, portfele i nesesery. Nad tym wszystkim migła feeria reklam ruchomych i nieruchomych, wmawiających, że bez tego czy tamtego nie można żyć, a co dopiero marzyć o zrobieniu czegokolwiek. Nim dotarliśmy do Kruczej, próbowano mnie namówić na kupienie dwóch marek samochodów, trzech gatunków papierosów i skorzystania z usług dwóch różnych sieci teleinformacyjnych. Mniejszych plakatów, oferujących wycieczki, niemożliwie tanie kredyty i kursy diabli wiedzą czego, już się nie zauważało.

Zgodnie z namierzeniami po kilkuset metrach skręciliśmy w Kruczą. Według urządzenia Oberon zaparkował przy którejś ze stojących przy tej ulicy odnowionych zabytkowych kamienic. Tutaj było znacznie ciszej i spokojniej; cały szum miasta został za nami, w Alejach. Świeciły tylko okna wystaw i szyldy czynnych całą dobę lunch barów oraz licznych tutaj biur ulokowanych w eleganckich, tradycyjnych wnętrzach. Tu i ówdzie migły światełka włączonych alarmów, w blasku latarni o kształcie pastorału można było dostrzec czarne zarysy kamer. W tym momencie wszystkie skupiały

obiektywy na zgrabnej dziewczynie w szortach i koszulce, która wyszła z jednego z barów, udając się pewnie w dalszą wędrówkę po klubach. Jej skórę pokrywał wzór z animowanych ilustracji Kamasutry.

Zatrzymaliśmy się przy pomalowanej na beżowo bramie. Jeśli wierzyć tabliczkom na fasadzie, mieściło się tu co najmniej dziesięć rozmaitych firm. Gdybym miał wybierać, też wolałbym pracować tutaj niż w puszcze z metalu i szkła wybudowanej przez MediaGrupę. Tu nie widziało się nawet stojących o kilka przecznic dalej drapaczy Kompleksu Centrum, nie mówiąc już o biurowcach Woli.

Kurna, co jest? — mrucał Rumcajs, rozglądając się na wszystkie strony. Obejrzał uważnie nawet wbudowany w ścianę terminal Warszawskiego Systemu Informacyjnego. — Przecież nie wyparował razem z bryką, tego nawet on nie potrafi.

Może wjechał na podwórko? — Podszedłem do bramy i przyjrzałem się jej uważnie. Równie uważnie przyjrzała mi się zawieszona w kącie pod sufitem kamera. Sprawdzenie, czy brama jest zamknięta, czy nie, mogłem już sobie odpuścić.

Nie, musi być gdzieś blis... — brodacz urwał nagle. Wybrał moment, kiedy ulicą nikt nie jechał, wszedł na jezdnię i pod niósł coś z asfaltu. Domyśliłem się, co to jest, i byłem ciekaw, jak zareaguje. Ku mojemu zaskoczeniu, zachowywał się całkiem spokojnie. Nawet jeśli przeklinał, wszystko ginęło w gęstwi nie brody.

Słabo było sklezione — mruknął, pokazując krążek. Na metalowej części pluskwy po samoprzylepnej gumie pozostało zaledwie kilka grudek zeschniętego kleju. — Wystarczyło, że kilka razy podskoczył na wybojach i cześć. Cholerna tandeta, powinienem był kupić wersję na magnesie, ale mi forsę żal było...

Cisnął zbędny przyrząd do kosza.

Chodźmy stąd, bo mnie te kamerki denerwują, czuję się jak w jakimś szoł.

Dokąd?

Wracam do centrum, pora spadać na bazę. Muszę to sobie wszystko przemyśleć. Odezwę się, jak będę wiedział coś więcej.

Jak pan uważa, czy Oberon mógł jakoś... wyczuć, że tamten latawiec coś robi? — spytałem, kiedy znowu wyszliśmy w Aleje, kierując się w stronę górujących w oddali wieżowców.

Cholera go wie, a co?

Myślę, że mógł wyczuć albo zobaczyć nasze zamieszanie na parkingu, uznać, że ktoś go śledzi, i

zwiąć. Może nawet sam odkleił tę pluskwę. Pewnie teraz się gdzieś przyczaił.

Nie sądzę — skrzywił się brodac. — To badziewie samo odpadło.

Minęliśmy ponurego trolla w całkiem jeszcze porządnym garniturze, kończącego systematyczne przepatrywanie pobliskiego śmietnika. Jego ręce były w dość dobrym stanie, ani czerwone, ani spuchnięte czy trzęsące się w odwiecznym delirium. Ten facet musiał trafić na ulicę całkiem niedawno i jeszcze walczył o zachowanie resztek godności.

Można o coś spytać? — Uhm?

Gdzie jest ta pańska... *baza*?

Rumcajs długo milczał; było to bardzo wymowne milczenie.

— Różnie — mruknął w końcu. — Trochę tu, trochę tam...

Nieco zakłopotany popatrzyłem na oddalającego się trolla i nagle coś mi się zrobiło. Nie wiem, skąd się to wzięło: czy na widok tego biznesmena, czy też pod wpływem bluzgów, którymi od niechcenia obrzucili przechodniów młodzi pasażerowie nowego kabrioletu BMW jadącego przynajmniej trzy razy za szybko. Gdyby wierzyć modnym psychologom, takie odruchy od czasu do czasu zdarzają się każdemu: wierzę, że dzięki nim nadal pozostaję człowiekiem, a nie korpem. Jeśli założyć, że Rumcajs naprawdę jest tym, za kogo się podaje, to przynajmniej będę miał z głowy utrzymanie mieszkania.

Sądzę, że znalazłby się u mnie jakiś ką. — rzuciłem półgłło sem, ni to do siebie, ni to do niego.

Chciałem sprawdzić, jak te słowa zabrzmiały. Niestety, Rumcajs miał za czuły słuch.

Więcej mi nie trzeba — powiedział. Znów dostrzegłem w jego oczach ten sam błysk wdzięczności co wczoraj. — Dużo miejsca nie zajmę. Słowo daję, nie pożałujesz pan decyzji.

— Uhm, jasne.

Szedłem dalej wstrząśnięty własnym zachowaniem. Czy ja zgłupiałem do reszty? Daję u siebie nocleg facetowi, którego dopiero wczoraj poznałem? Co ja wyprawiam?

Moje rozmyślenia przerwało wibrowanie telefonu. Dzwonił Paweł, sekretarz redakcji. Zaniepokoiłem się, że coś jest nie tak z moim ostatnim artykułem, i lekko drżącym palcem wcisnąłem klawisz odbioru.

Przez dwie minuty wysłuchiwałem szybkiego terkotu Pawła, jak zwykle usiłującego w czasie potrzebnym na wypowiedzenie pięciu słów upchnąć co najmniej dziesięć lub piętnaście. Domowik z uwagą obserwował zmieniający się wyraz mojej twarzy.

Wolno spytać, kto to był?

Z redakcji. Chcą, żebym szybko sporządził dla nich duże opracowanie z komentarzem — wyjaśniłem, wciąż zdumiony tym, co usłyszałem. — Dość szybko, ale i za niezłe pieniądze. Materiały podobno leżą już w domu, w mojej skrzynce.

No i widzisz pan — uśmiechnął się szeroko Rumcajs. — Mówi łem, że nie pożałujesz.

Rozdział czwarty

W słoneczny dzień maszerowałem po ulicy, starając się ominąć pojawiające się co chwila malutkie trąby powietrzne. Każda z nich mogła być zamaskowanym latawcem, którego dotknięcie — byłem tego pewien — zabije mnie.

Może herbatki dla odświeżenia? — Idący koło mnie Cho chlik błysnął śnieżnobiałymi zębami, podając spodeczek z białą — niebieską filiżanką art deco. Poczulem zapach kwiatu paproci.

Świetnie panu idzie — zauważył z mojej drugiej strony Skierka. — Jak na człowieka wręcz niesamowicie.

A odwalcie wy się ode mnie! — wrzasnąłem, wytrącając z rąk Chochlika zastawę, i puściłem się biegiem. Jeszcze usłyszałem za sobą pełen niesmaku głos Goplany: „Panie Adamie, nie spodzie wałam się po panu takiego języka”.

Gnałem przed siebie, przeciskając się między spieszącymi w różne strony ludźmi, cały czas

unikając wietrznych diabełków. Zobaczyłem, jak idący przede mną korpulentny urzędnik otarł się o taki wir i padł jak długi. Trudno było o lepszy doping.

Zajęty rozglądaniem się na boki zbyt późno zauważyłem, kiedy pojawiły się przede mną schody do metra. Straciłem równowagę i poleciałem na łeb, na szyję w ciemność.

Oooch — jęknął z zawodem w głosie Skierka.

A już liczyłem na to, że mu się uda — zawtórował mu Chochlik.

W tym momencie dotarłem na parter. Jednak zamiast na twardej posadzce, wylądowałem na czymś miękkim. Odruchowo zacisnąłem ręce na gładkiej tkaninie.

Ocknąłem się, wciąż kurczowo zaciskając palce na kołdrze. Przez chwilę leżałem bez ruchu, usiłując oprzytomnieć i równocześnie uświadamiając sobie, że to wszystko było tylko snem. Nadmiar wrażeń podczas ostatnich dni dawał mi się we znaki.

Przypomniałem sobie wczorajszy wieczór i senność przeszła mi jak po kubie zimnej wody. Rany boskie, co ja zrobiłem? Dlaczego przygarnąłem tego menela pod swój dach? Czy zdążył wyczyścić mi już cały dom?

Zerwałem się na równe nogi i pobiegłem do pokoju, w którym spał Rumcajs. Położyłem go w pracowni, gdzie znajdował się mój komputer, biblioteka i druga kanapa dla niespodziewanych gości.

Kurtka Rumcajsa wisiała sobie spokojnie na wieszaku, pod nią stały jego buty. W gabinecie panowała cisza; prawdopodobnie jeszcze się stamtąd nie ruszył. Chociaż... pierwsze piętro, co to dla niego...

Cicho otworzyłem drzwi i z wrażenia musiałem oprzeć się o framugę.

Nie, to niemożliwe. Coś takiego...

— No i co się tak gapisz — miauknął z urazą leżący na kanapie wielki, czarny kot, na chwilę przerywając poranną toaletę. — Kota żeś, kurwa, nie widział?

Słowa brzmiały dziwnie, ale można je było zrozumieć. Mignęło mi przez głowę, że kocie gardło po prostu nie najlepiej nadaje się do wymowy ludzkich zgłosek.

Poruszyłem kilka razy ustami, ale nie udało mi się powiedzieć nic sensownego, więc zrobiłem chwiejny krok i opadłem na obrotowe krzesło przy biurku.

Bardzo wyraźnie uświadomiłem sobie, że to wszystko, niestety, *dzieje się naprawdę*. Goplana, Koneser czy Rumcajs nie łgali. Czegoś takiego nie dałoby się zrobić za żadne pieniądze... tak skomplikowanych robotów nie produkują jeszcze nawet Japońce. Pewne jest też, że z moją głową wszystko było w porządku, nie

zwariowałem ani nie znajduję się pod wpływem żadnych środków halucynogennych czy psychotropowych. Dla pewności obejrzałem sobie jednak oba przedramiona. Kot mył się dalej.

Robi wrażenie, co? — zamruczał. W jego gardle samogłoski ulegały dziwnemu zmiękczeniu, za to „r” zdawało się dobiegać z samego dna brzucha.

Ehe — odparłem, wciąż niezdolny do wypowiedzenia choć jednego sensownego słowa.

— Chciałbym wrócić do ludzkiej postaci. Wyjdiesz? Pokręciłem głową. Jeśli to działa się naprawdę, musiałem to zobaczyć.

— Dobrze ci radzę — powtórzyło zwierzę. — To naprawdę nie będzie ładny widok.

Przez moment zamierzałem się z nim spierać, ale przypomniałem sobie o stojącej w przedpokoju szafie. Lakierowana powierzchnia... może uda się zobaczyć coś w odbiciu.

Wyszedłem. Nastawiłem się psychicznie na niesamowite transformacje, godne najbardziej obrzydliwych horrorów, wziąłem głęboki oddech i czekałem.

Rozmazane odbicie kota na politurze drzwi powiększyło się powoli, z wolna przybierając niewyraźny kształt człowieka. Ciekawość zwyciężyła, delikatnie obejrzałem się przez ramię i

zobaczyłem, jak widoczne zza futryny kocie palce prostują się i wydłużają, a sierść chowa z powrotem w dłoni. Najbardziej niesamowite było jednak to, iż wszystko odbywało się w absolutnej ciszy: dopiero pod koniec przemiany Rumcajs krzyknął krótko i boleśnie, jak ktoś, komu nastawiają złamaną rękę. Potem słyszałem tylko ciężki, chrapliwy oddech człowieka wyczerpanego ogromnym wysiłkiem... albo ogromnym bólem.

— Już — wycharczał. Leżał bez ruchu na wznak; o ile mogłem się zorientować, był nagi. — Zaraz się ubiorę.

Poszedłem do łazienki. Kiedy się myłem, niespodziewanie naszła mnie ochota, aby dla otrzeźwienia wsadzić sobie łeb pod zimną wodę; a nuż coś to zmieni.

Nie pomogło. Wszystko było tak jak wcześniej.

Wytarłem głowę ręcznikiem i poszedłem do skąpanej w słońcu kuchni. Otworzyłem lodówkę i z niedowierzaniem popatrzyłem na *zalegające* w niej stopy rozmaitego żarcia.

Ostrożnie dotknąłem opakowań. Ukradł to? Kupił? Chyba słyszałem trzask drzwi, kiedy siedziałem w łazience. Zaraz, Koneser mówił, że...

Kupił. I tego się trzymajmy. Ale skąd cholera wiedział, który spośród dwudziestu dostępnych w pobliskim sklepie gatunków sera jest dokładnie tym, jaki najbardziej lubiłem?

— Mówiłem, że nie zajmę za dużo miejsca — powiedział Rumcajs, wchodząc do kuchni. Cały czas nosił na sobie te same łachy. Prze lotnie zaciekawilo mnie, kiedy zaczniesz śmierdzieć, może jeszcze uczłowieczenie nie dopadło go aż do tego stopnia?

Domowik popatrzył na moją zdziwioną minę i dodał:

— Najtrudniej było *znaleźć* te bez modyfikacji i dodatków... starałem się jak mogłem. W szafce jest kasza gryczana: dwie garście bez soli, proszę. Masz *żelazny* rondel? Albo garnek?

Bez soli? Ciekawe... będę musiał kupić sobie turystyczną sol—niczkę i na wszelki wypadek nosić cały czas przy sobie. W przypadku Rumcajsa, a być może również jego różnych kumpli, może okazać się skuteczniejsza niż pistolet.

Zajrzałem do szafki i jęknąłem w duchu.

Luzem?

Ta w torebkach jest na sztucznych nawozach, smakuje gów— nianie, możesz mi wierzyć. Zresztą normalne żarcie nie najlepiej mi służy. Ta tutaj jest z ekogospodarstwa.

O święta naiwności.

— Eko? To oznacza tylko, że lepiej maskuje się z nawożeniem. Kiedy chce się mieć stuprocentową pewność co do czystości pro duktu, trzeba dogadać się z jakąś komuną fanatyków zdrowej żywności, która prowadzi małe gospodarstwo i sprzedaje płody niewielkiej grupce klientów. Lepiej powiedz, skąd wzięłeś na to pieniądze?

Domowik spojrział na mnie wzrokiem urażonej niewinności.

— Nie ukradłem. Pamiętasz szmal, który dałem ci wczoraj na kolację? Wsadziłeś go do kieszeni marynarki — brodaczk wskazał na

szafę w przedpokoju. — Dzisiaj rano jeszcze tam był. Pomyślałem, że skoro nie wykorzystałeś, to zrobię z niego jakiś pożytek...

Powoli krojąc razowiec, smarując kromki naturalnym masłem po sześć osiemdziesiąt za kostkę i przybierając je szynką renesansową, zastanawiałem się, dlaczego jestem tak nienaturalnie spokojny: nawet ręce mi nie drżały. Nie przeszkadzał mi również fakt, że niespodziewanie przeszliśmy z domowikiem na ty. To pewnie szok, dopiero za dzień lub dwa to wszystko do mnie dotrze, *zaczyną* się nad tym zastanawiać, bać... albo poczuję pierwsze oznaki szaleństwa. Pozostawało mieć nadzieję, że jeśli doprowadzę sprawę do końca, to będę miał spokój i Rumcajs, Koneser, Goplana oraz reszta tej menażerii znikną z mojego życia raz na zawsze. A za kilka lat będę to wszystko wspominał jak dziwny sen. Może nawet to opiszę i sprzedam?

Tymczasem domowik łąził po całym mieszkaniu. Usłyszałem stuki świadczące, że dorwał się już do mojej kolekcji płyt.

Ładny lokal, jak na takie budownictwo — pochwalił, kiedy wrócił z obchodu.

Po rodzicach — odparłem krótko. To, że było rezerwą na wypa dek, gdyby któremuś z ich dzieci powinęła się noga w interesach, nie powinno go obchodzić. Mieszkałem tu, aby się nie zapuściło, zresztą nie paliłem się do robienia kariery. Dwóch Chorsów w świecie biznesu już wystarczyło, ktoś w tej rodzinie musiał pozostać normalny. Ciekawe, jak długo uda mi się ten stan utrzymać po tym, co ostatnio widziałem?

Skierowałem rozmowę na inne tory i zapytałem:

Skąd wiedziałeś, jaki rodzaj żarcia wybrać?

Dom mi powiedział — odparł Rumcajs tonem, jakby chodziło o coś zupełnie oczywistego. — Potrafię dostać się do pamięci każdego domu czy mieszkania, w którym przebywam. W ten sposób wiem, co jego mieszkańcy lubią, a czego nie, jak żyją, co tutaj działa, a co za chwilę się posypie. Dla nas — wymówił to tak, abym nie miał wątpliwości, że tu chodzi o domowiki — to normalne.

Poczułem, jak ogarnia mnie dziwna, wręcz niezdrowa ciekawość.

Emocje też?

Owszem. Skojarzenia dobre i złe to kopalnia wiedzy, mówię ci. Stąd wiedziałem na przykład, że lubisz to. — Rumcajs zamieszał kaszę i uniósł paczkę chipsów. — Mogę się poczęstować?

Jasne, ale podobno ci to nie służy.

Nie w małych ilościach. — Brodacz rozerwał paczkę i wpakował sobie do ust kilka sztuk. Przez chwilę chrupał je z miną znawcy.

Ha — powiedział, oglądając opakowanie. — Już wiem, czemu ta marka paprykowych najbardziej mi odpowiada. Koncentrat E—248. Uwielbiam smak koncentratu E—248.

Przełknąłem kęs razowca.

W ilu domach mieszkałeś od czasu, kiedy tu przyjechałeś?

Wielu... bardzo wielu. Już ich nawet nie zliczę.

Udaje ci się to wszystko zapamiętać? Dziwne, że ci jeszcze głowa nie pękła.

Zapominam. Poza tym zawsze mogę to komuś *przekazać*.

— Z tego mieszkania również? — Aha.

Popiłem łyk earl greya z własnych zapasów i przez chwilę zastanawiałem się, czy zadać następne pytanie. Wreszcie zdobyłem się na odwagę.

— Jesteś w stanie mi je... zaprezentować?

Naprawdę tego chcesz? — odpowiedział pytaniem Rumcajs, spoglądając na mnie uważnie.

Aż tak jest źle?

Nie, ale ludzie dziwnie reagują na takie rzeczy. Nie chcę zrobić ci wody z mózgu.

Akurat, strachy na lachy.

Zarzykuję.

Jak chcesz. Ale nie w tej chwili, ledwo żyję po przemianie. — Rumcajs ponownie zamieszał kaszę.

Po co zatem to robisz, przecież nie musisz — zdziwiłem się.

Nie mogę wyjść z wprawy. Szybciej bym się wtedy uczłowieczył.

Wróciłem do swojego śniadania. Ten cholerny brodacz pomachał mi przed nosem kolejną zagadką, która mogła coś wyjaśnić... Nie wywinie się.

No cóż, przynajmniej nie powiesz, że nie miałeś życia pełnego dobrych wspomnień — zauważyłem.

A co ty tam, kurde, wiesz! — zirytował się nagle Rumcajs. — Ty nawet nie pojmujesz, w jak

paskudnych warunkach żyjemy! Właściwie trudno to nawet nazwać życiem!

Popatrzyłem na niego zdziwiony i zaskoczony jego wybuchem.

Prawda, nie wiem, ale chętnie posłucham. Od kiedy się to zaczęło?

Uczłowieczanie? Tak ze trzysta lat temu. Ale to długa historia.

Mam co robić. — Wskazałem na talerz. Czułem, że domowik ma ochotę pogadać, liczyłem więc, że być może uda się pociągnąć go nieco za język.

Jadłem powoli śniadanie, a Rumcajs mieszał kaszę i opowiadał:

Do osiemnastego, dziewiętnastego wieku wszystko było OK: żyliśmy w lasach, na polach, w wodzie, wśród ludzi, nikomu nie przeszkadzaliśmy. Niespodziewanie okazało się, że jest nam coraz trudniej używać naszych zdolności, nawet utrzymanie wyglądu przychodziło niełatwo. Pamiętaj, nie wszyscy są tak ładni jak południce, a niektórych w ogóle nie widać. Kompletnie zaskoczenie, nie wiadomo było, co robić. Wielu z nas musiało szybko wybierać: umrzeć albo przybrać postać widzialną, a jeśli już, to jaką: człowieka czy zwierzęcia? Byłe przeżyć, robić dalej swoje, ale jednocześnie nie rzucać się zbyt w oczy, bo lu dzie mogą cię zatłuc. Zwyczajnie, nie srebrną kulą, a sztachetą czy cepem.

Za co?

Przecież mówię, przede wszystkim za wygląd. Jak byś był kudłaty, miał haczykowany nos, trzy obwisłe piersi albo kurzą nogę i złe oko, wiedziałbyś, o czym mówię. Jednego domowika to nawet chcieli przypiekać, bo myśleli, że ma schowany wielki skarb. Najgorzej skończyli ci, którzy wybrali na stałe postać zwierząt: uwięźli w tych ciałach na amen, bo zwierzęta szybciej się starzeją niż ludzie, więc szybko stracili swoje moce... w tym zdolność do zmiany postaci, nie mogli zmienić się w ludzi. No i poginęli jak zwierzęta, pod kołami wozów, z ludzkiej głupoty, od rozmaitych chorób. Rozjechałeś kiedy bezdomnego kota? Co z tego, mało to kotów na świecie? — Głos Rumcajsa ociekał jadem. — A właśnie przejechałeś domowika... bo najwięcej nas właśnie wpadło w taką pułapkę. Kiedy i na mnie przyszło, przyjąłem kształt człowieka. Dlatego jeszcze żyję.

— Dawno cię to dopadło? Brodacz wzruszył ramionami.

— Jak się moja rodzina sprowadziła do miasta... jakieś dwieście lat temu. Słyszało się wcześniej od innych domowików, borut czy południc, że się z naszymi źle dzieje, że słabują, umierają, choć ponoć jesteśmy nieśmiertelni, że domowi rodziny opuszczają... ale jak miałem uciekać i zostawić rodzinę, z którą przebywałem od kilkunastu pokoleń? Która poprosiła mnie, by ruszyć z nimi do miasta? Niełatwo było z początku, oj niełatwo. Jak tu zdobyć świeże mleko, gdy nie wiadomo, gdzie tu krowy pasą? Robiłem, co mogłem, ale po pewnym czasie poczułem, że... że nie mogę. Nie byłem już tak sprawny jak kiedyś. No i...

Zamilkł na chwilę i zawzięcie mieszał kaszę w garnku.

...wreszcie zaczęli mnie widzieć. Za złodzieja mnie wzięli, za żebrzącego dziada! Uciekłem, potem wróciłem i starałem się robić swoje dalej, ale niezbyt się dawało, więc się wycofałem. Spałem w drewnianych budach, skąd nawet żebracy się wynieśli, Powiśle, Marymont... czasem zaglądałem do rodziny, ale już niewiele mo głem zrobić. Gorzej, że zaczęli się mnie stójkowi czepiać, że niby włóczęga jestem, musiałem zadbać o siebie. No i... tak już zostało.

A co z tą rodziną? Może jeszcze gdzieś żyją?

Już nie — westchnął Rumcajs. — Podczas wojny się rozpierchli. Ojciec zginął jeszcze we wrześniu, jednego syna rozstrzelali, drugi gdzieś zaginął... domu też już nie ma. Wysadzili go po powstaniu. Właśnie się tam przemykałem, by chociaż matkę przed Ukrain cami ratować... nie zdążyłem.

Milczeliśmy przez chwilę. Nawet jeśli domowik łgał, to był bardzo dobrym aktorem.

To jak dawałeś sobie radę?

Różnie... zimą żyłem tym, co sam znalazłem i dostałem z dobroczynności, wiosną, latem i jesienią dawało się jeszcze wytrzymać, bo chodziłem po kawiarniach i ogródkach letnich jako magik, tudzież żongler. Łaziło się też po podwórkach z parterowymi akrobatami, z katarynką, orkiestrami.

Rumcajs złapał pięć leżących na parapecie pomarańczy i zaczął nimi żonglować. Zrazu robił to powoli, ale już wkrótce owoce zamieniły się w jedno pomarańczowe pasmo.

— Przed wojną — ciągnął, nie przerywając popisu — załapałem się na technicznego do pierwszego stałego cyrku w tym mieście. To były czasy... stała robota, a co się napatrzyłem! Artyści ze wszystkich stron świata, walki bokserskie lepsze niż na Legii, że już o wolnej amerykance nie wspomnę. Wygnietliby tych dzisiejszych patafianów jedną ręką. Ale za okupacji zamknęli interes, wróciłem do łażenia po podwórkach.

Sprawnie wyłapał owoce i odłożył je na miejsce.

A co z innymi?

Każdy starał się przeżyć, jak mógł. Właściwie co elf, to me toda... znałem kilku, co do tej pory zatrudniają się jako najemni, a *zaczynali* u bogatych chłopów i na folwarkach, już kilkadziesiąt razy całą Polskę obeszl. Inni hodowali warzywa i sprzedawali je w mieście, dobrze na tym wychodzili...

Niespodziewanie przerwał i przestawił garnek z kaszą do nagrzanego piekarnika.

— Postoi tak jeszcze, to dojdzie. Jeden leszy to nawet gajowym został, choć po prawdzie nie wiem, jak go ludzie nie rozpoznali... musiał jeszcze część mocy zachować. Ostatni raz widziałem go, jak w stanie wojennym handlował choinkami pod Halą Mirowską. Ale nie wszyscy mieli tyle szczęścia. Fabryki robiły swoje i jeśli ty nie chciałeś przyjść do miasta, to miasto prędzej czy później przychodziło do ciebie. Jedni uciekali z niego, a drudzy przychodzili, po frajersku licząc, że łatwiej wśród takiej masy ludzi znajdą jakiś spokojny kąt, skryją ze swoją odmiennością. Sporo połapali na roboty do różnych fabryk i manufaktur, bo ich brali za luźnych ludzi. Ludzi, ha! Hale, tłumy, łomoczące maszyny wielkie jak smoki — szok, prawdziwy szok! Nie wie dzieli, jak na tym pracować i przez dwa lata była rzeź. Temu ucięło rękę, tamtemu zmiażdżyło nogę, inny poparzył się parą z kotła... jak smoki mówię, zupełnie prawdziwe, nie z bajki. No

i ruszyli do walki z nimi, ale szybko zorientowali się, że to bezcelowe.

Dlaczego? — spytałem, żując następną kęs.

Bo zaraz je naprawiali inżynierowie. Trzeba by było ich *zabić*, a kiedy zabijesz jednego, zaraz przyjdzie drugi. Nie mogliśmy prze cież wytłuc wszystkich, nie? Zresztą tych maszyn było coraz więcej i więcej, stało się jasne, że prędzej one zeżrą nas niż my je. Dlatego zaczęliśmy uciekać z powrotem do lasu, jak najdalej od miast. Fol warki, las, wieś — do tego większość naszych była stworzona. Idealni pracownicy, zwłaszcza my: cisi, dyskretni, niewiele nam do *życia*. potrzeba, a w zamian zaopatrujemy dom czy biuro we wszystko, co jest potrzebne. Tak nam zostało aż do tej pory. Owszem, nieraz tego czy owego wyrzucili, pojedynczo czy przy grupowych zwolnieniach, a wtedy jakoś tak się dziwnie działo — Rumcajs wyszczerzył się złośliwie — że zakład szybko szedł na dno. Nie wyrzuca się szczęścia na bruk. No, były też cyrki, wędrownie teatry, cygańskie tabory... wszędzie, gdzie dawało się żyć, gdzie nikt nie pytał, dla czego wyglądasz tak, a nie inaczej. Gorzej, jak cię sami cyrkowcy porwali i zamknęli w klatce jako człowieka—rybę albo coś podobnego. Teraz jak dawniej żyją tylko ci domowi, którzy mieszkają w agroturystyce, chodzą od domu do domu i bajają za miskę kaszy.

Domowik opowiadał jeszcze długo. Dowiedziałem się, że południce i rusałki musiały przełamać swój strach wobec ludzi, dlatego teraz mogły zostać sprzedawczyniami czy modelkami, mamuny zaś z mizernym skutkiem usiłowały zatrudnić się w żłobkach i przedszkolach. Druga wojna i

ostatnie osiemdziesiąt lat oznaczały dla nich ostateczny koniec wspaniałego świata, w którym żyli dotychczas. Przeżyli wszystko to, co ludzie: socjalizm, strajki, kolejki, kartki, kapitalizm, próbę przewrotu Niezadowolonych i wejście do Unii. Przez cały ten czas Brama na Tamtą Stronę pozostawała zamknięta.

Wstawiłem naczynia do zmywarki.

Zastanawia mnie jedna rzecz... dlaczego przez te wszystkie lata nie dogadaliście się i nie zaczęliście działać wspólnie?

I co, może powinniśmy założyć spółdzielnię i ogłaszać się w gazetach albo Sieci? A kto by nam uwierzył? — spytał ironicznie

Rutncajs. — Poza tym zawsze znajdzie się jakiś nadęty dupek, który będzie chciał wszystkimi rządzić... nie myśl sobie, że bycie dupkiem to tylko ludzka cecha, o nie. Do tego w ogóle nie jesteśmy w stanie połapać się w tych wszystkich papierach, rozporządzeniach, podatkach... człowiek założyłby interes w pół godziny, nam wyrobienie się ze wszystkimi pozwoleniami zajęłoby pół wieku i żadne cudowne możliwości by tu nie pomogły...

Jednym tchem wyliczył chyba ze dwadzieścia powodów, dlaczego nic nie ma prawa się im udać, aż poczułem znajome uczucie niechęci. Jakie to swojskie: wszyscy są przeciwko niemu, wszyscy podkładają mu nogę. Jaki kraj, takie elfy.

— Chciałbym zawrzeć z tobą pewną umowę — powiedziałem, kiedy nabierał powietrza.

— Tak?

— Koniec z metodami rodem z sensacyjnych filmów. To jest życie, nie można ciągle liczyć na szczęśliwy traf...

Umilkłem, bo przypomniało mi się wczorajsze spotkanie z latawcem i słowa Rumcajsa o spłacaniu długu. Coś zaskoczyło mi w głowie, niespodziewanie pojawił się w niej dość dziwny i niezupełnie logiczny pomysł. Skoro tak bardzo są przywiązani do przysięg i fabularnych zachowań...

Odetchnąłem, zapisałem myśl na twardym dysku swoich zwojów i dokończyłem spokojnie:

Teraz zabieramy się do tej sprawy powoli i rzetelnie, logicznie i po ludzku.

Proszę bardzo. — Domowik wykonał ręką zapraszający gest. — Przeszkodzi ci, jeśli popatrzę ci przez ramię?

Wróciliśmy do pokoju, uruchomiłem komputer. Z pozostawionej przy biurku torby wygrzebałem płytę, na której znajoma sieciówka wypaliła dla mnie nową wersję Muru i kilka innych zabezpieczeń. Wrzuciłem ją do czytnika i kazałem programom się zainstalować. Przez ten czas przyrządziłem sobie duży kubek mocnej herbaty na przyspieszenie myślenia.

Wchodząc do pokoju, zobaczyłem, jak Rumcajs przygląda się szumiącemu czytnikowi.

Znam ten znaczek — oznajmił tryumfalnie i wcisnął „otwórz”. Nim zdążyłem zrobić cokolwiek, wirujący krążek wystrzelił ze stacji jak z katapulty, o mały włos mijając gardło domowika, który rzucił się w tył, potknął o kanapę i gwałtownie usiadł. W jego oczach malowało się śmiertelne przerażenie.

To pułapka na złodziei? — wychrypiął.

Chyba rzeczywiście nie jesteście zbyt kompatybilni z techniką — stwierdziłem ponuro, podnosząc płytę z podłogi. Nawet się nie za rysowała. — Nie wiesz, że uruchomionego czytnika się nie otwiera?

Domowik zacisnął tylko usta. O tym, że moja stacja miała rozwaloną blokadę, już mu nie wspominałem. Będę musiał ją wreszcie wymienić, nim ktoś zginie.

Programy załadowały się. Uruchomiłem przeglądarkę i skoczyłem na główkę w ocean informacji. Czekają na mnie Bóg wie ile wirtualnych archiwów do przejrzenia. Miałem nadzieję,

że nie będę musiał udawać się do Głębokiej Sieci.

To musi być bardzo rozbudowana maszyna — mruknął Rum— cajs z za moich pleców.

Zwykły składak. Tylko od czasu do czasu coś ulepszam.

A to co?

Darmowa przeglądarka na otwartych kodach, podobnie jak większość moich programów; zarzynałbym się, płacąc za licencje. W tych mogę zmieniać, co mi się żywnie podoba.

Programujesz? — spytał Rumcajs z szacunkiem. W tej samej chwili na ekranie pojawiła się Maryna, wirtualna recepcjonistka MediaGruppe. Zgodnie z polityką lokalizacji oprogramowania była pszeniczną blondynką o jasnej karnacji. Od czasu do czasu wymieniali ją na brunetkę Barbarę lub rudą Kasię. Rumcajs aż gwizdnął.

Ładna... prawdziwa?

Raczej nakręcana mechaniczna lalka. Ktoś posiedział nad programem do trójwymiarowego modelowania.

Podałem Marynie adres wewnętrznego serwera „Przeglądu Tygodnia”, potem wklepałem swoje hasła i kod. Znalazłem się na wewnętrznym forum roboczym pisma. Wszyscy z redakcji byli podłączeni i zawzięcie pracowali... albo starali się, by tak

wyglądało. Szefostwo miało zwyczaj pilnować swoich pracowników wrednymi programami w rodzaju „Obserwatora” czy innego poganiacza niewolników. Na szczęście współpracowników, nawet stałych, to nie obejmowało.

Ruszyłem w stronę archiwum koncernu i otworzyłem formularz poszukiwań. Gdzieś tam, wśród paru miliardów zdjęć i artykułów, znajdowała się fotka, która stanowiła klucz do zagadki.

Wygląda jak blankiet na pocztce — zauważył Rumcajs.

A czego się spodziewać po zamkniętej stronie dla pracowni ków? Na zewnętrznej stronie dla wszystkich firma może trzymać nawet wirtualną kurwę i krokodyla, byle tylko ludzie odwiedzali ich dzień i noc.

Podczas gdy domowik rechotał, usiłowałem przypomnieć sobie, na jakim zdjęciu widziałem rozmówcę Oberona. Kolorowa fotka, chyba na biodegradowalnym kredowym papierze, tabloidalny wygląd... tygodnik. Nasz? Raczej konkurencja... tylko która? Trzeba by rozesłać wici do znajomych, a to wymagało doprecyzowania tematu. O co chodziło w tym artykule?

Co tak długo? — zniecierpliwiał się Rumcajs.

Usiłuję sobie przypomnieć, czego dotyczył pewien tekst.

Trzeba było od razu mówić. — Brodacz zatarł ręce. — Myśl dalej, a może dobry duszek szepnie ci coś do ucha...

Poczułem na głowie jego promieniującą dziwnym ciepłem dłoń. Usiłowałem o niej zapomnieć i wrócić myślami do momentu, w którym mi przerwał. O czym ten artykuł był...?

We wspomnieniach cofnąłem się *jeszcze* dalej i naraz ujrzałem wyraźnie szeroki, niebieski pasek, jakim jeden z konkurencyjnych tytułów zaznaczał swoje raporty. Rzuciłem się do klawiatury, by wklepać słowa kluczowe, nim zdążę je zapomnieć.

Pomogło? — zaciekawił się Rumcajs.

Chyba tak — odparłem niepewnie. Domowik uśmiechnął się zadowolony. Tym razem nawet się, drań, nie spocił.

Coś ty mi zrobił? Wlazłeś do głowy?

Chciałeś wiedzieć, jak wygląda przekazanie wspomnień. Działa na krótką metę, zresztą rzadko tego używam na ludziach, bo to dla was niebezpieczne. Już lepiej szprycuj się tą herbatą.

Postąpiłem tak, jak mi radził, i pociągnąłem zdrowy łyk. Mimo wszystko sytuacja nie wyglądała dobrze: za odnalezienie i udostępnienie artykułu archiwum pisma *zażyczy* sobie sporo forsy, której nie miałem skąd wziąć. Wątpię też, by miał ją przy sobie domowik. Pozostawała droga

nieoficjalna. Napisałem krótki list do kilku znajomych i rozesłałem kanałem łączy bezpośrednich. Niemal natychmiast odpisał mi fotografik pracujący dla kilku agencji naraz. Zamieniłem z nim kilka zdań na szyfrowanym kanale.

Rumcajs przetaił oczy. Pewnie nie nadażał z czytaniem naszych wypowiedzi. Nawet nie przypuszczałem, że kiedyś w ogóle posiadał tę sztukę.

Uruchomiłem kolejny program.

Co teraz?

Gość zrobił mi przysługę i udostępnił zdalnie swój komputer. Jego licencja w tamtej firmie jeszcze nie wygasła. Nikt się nie zdziwi, jeśli zaloguje się ze swojej maszyny.

Po co tyle zachodu? Nie łatwiej poprosić tamtych z archiwum?

Może i łatwiej, ale znacznie drożej. Włamanie nie wchodzi w grę, bo tam jest kilka zasłon i całe watahy oprogramowania ochronnego... — Poza tym facet nie chciał, abym poznał jego kody. Ale tego już Rumcajsowi nie powiedziałem.

Na ekranie wyświetliły się ikony katalogów cudzego komputera. Co prawda kojarzyło mi się to z zagłądaniem do szafek w cudzym mieszkaniu, ale skoro sam chciałem... Byłem zresztą pewien, że gospodarz bacznie mnie obserwuje i jeśli tylko *zacznę* robić coś dziwnego, da mi po łapach.

Znów wklepałem słowa kluczowe i w napięciu czekałem, aż strumienie danych przelecą między moją maszyną a serwerem archiwalnym. Rumcajs przetrwał zasłyszane ode mnie informacje.

Skoro wchodzisz jako on, to mogą się zainteresować, na co mu to potrzebne, nie?

Ten facet zawsze się wywinie. — Machnąłem ręką. — Wywinął się nawet serbskim szwadronom śmierci w drodze na rozwałkę, kosztem sprzętu i ucha, zabranego jako trofeum. Po powrocie skło — nowano mu je i przyszyto w szwajcarskiej klinice. Na koszt firmy.

Wyniki pojawiły się dokładnie w chwili, kiedy już zacząłem się niepokoić, czy może domowik nie miał przypadkiem racji. Kilka ruchów palcem na myszce i odetchnąłem z ulgą. Na ekranie, za ciemnym biurkiem z płyt wiórowych, rozpierał się z mądrym wyrazem twarzy grubszy z rozmówców Oberona. Tomasz Okrzeja, prezes Centrum Szkolenia Kadr Informatycznych „Telecom”.

Chyba go gdzieś spotkałem... — Domowik podrapał się po brodzie.

Wczoraj jadł kolację z twoim szefem — wyjaśniłem, czując przyływ dumy. Moja pamięć do twarzy nadal była niezła.

Zrzuciłem artykuł ze zdjęciem i zacząłem szukać innych fotek po nazwisku z podpisu, może jeszcze gdzieś będzie... no proszę, jest.

Konferencja „Telekomunikacja XXI wieku” pod patronatem Izby Biznesu — przeczytał Rumcajs.

Ten wyższy też tam był. — Puknąłem w monitor. — Robert Turmocki. Prawdopodobnie jego wspólnik.

Wycofałem się z dysku znajomego, pozostawiając mu kopię ściągniętych plików; będzie wiedział, co ściągnąłem i jak się w razie czego bronić. Potem, już na spokojnie, zajrzałem do artykułu: dotyczył on szans średnich i małych firm telekomunikacyjnych w konkurencji z Wielką Piątką. Sugerowano, że jest źle i będzie jeszcze gorzej, jeżeli firmy te nie podejmą wspólnego działania. Najgłośniejsi krzykali ci, którzy chcieli organizować pozostałych pod swoim przywództwem; ciekawe, ile forsy wyłożyli za ten artykuł.

Rozejrzałem się za stroną firmy. Była to standardowa prezentacja w derodzie, z masą rozmaitych ozdóbek, które tylko spowalniały łącze. Firma zajmowała się szkoleniem administratorów i doszkalać programistów. Jeśli wierzyć zamieszczonym tekstom, zdobyła już renomę i poziom godne Harvardu. Nawet dałbym się nabrać, gdyby nie to, że niemal każda firma szkoleniowa pisała dokładnie to samo. Sądząc po lokalizacji i zdjęciach, miałem raczej do

czynienia z jednym z wielu małych biznesów, które stać było zaledwie na wynajęcie dwóch pięter w starym biurówcu na Ochocie.

— Kogo on chce podszkolić, siebie? — zastanawiał się Rumcajs, czytając mi przez ramię. Pokręciłem głową.

— Wtedy nie proszono by go na kolację do takiego lokalu. W taki sposób podejmuje się kontrahenta, i to ważnego... Może opłacił szkolenie dla grupy...?

Wnioski, które mi się nasuwały, sprawiły, że na chwilę zaniemówiłem.

Dla swoich podwładnych, czy jak ich nazywałeś: agentów. Ilu ich jest?

Nie wiem, ale chyba sporo. Nie jestem jednak pewien, czy mu się to uda. Ci goście są tak oderwani od świata, że pewnie nie wiedzą, którą stroną wsadza się szluga do gęby.

Przypomniałem sobie wyczyny domowika z moim odtwarzaczem i wyobraziłem sobie watahę elfów zgłębiających zasady działania programów do pracy w Głębokiej Sieci. Wykładowcom z „Telecomu” przybędzie nieco siwych włosów na głowie.

Rumcajs drapał się z namysłem po brodzie.

Dlaczego tam? — zapytał. — Czemu nie wkręcił ich do wytwórni filmowej?

Bo cały nasz świat stoi na komputerach. Niech ich ten Oberon wyszkoli, powiedzmy, na adminów. Będzie mógł zdobywać dane i — jeśli zechce — manipulować nimi, to raz. Dwa, informatycy to wbrew pozorom cholernie przesądna grupa. Jeśli tylko podczas kursu te elfy nie uczłowieczą się, to będą się wśród nich czuć jak u siebie.

Zdziwiony Rumcajs uniósł brew.

— Powinieneś słyszeć, jak oni gadają o komputerach. „Odpali łem program, a on mi się zbiesił, skurwiel jeden”. „Zrobił tak, bo uważał, że jest mądrzejszy ode mnie”. Traktują je jak istoty żywe, a przynajmniej posiadające własną, złośliwą inteligencję... zresztą patrząc na to, co wyczynia czasem mój blaszak, sam czasem tak myślę. W redakcji informatycy uruchamiają co ranka programy w ściśle określonej kolejności, to samo dotyczy wymieniania części. Gdyby ją zmienili, tak naprawdę nic by się pewnie nie stało, ale mó wia, że inaczej albo coś się zepsuje, albo nie będzie chciało działać.

Mina domowika robiła się coraz bardziej zafrasowana.

— Paru naszych zagnieździło się w Sieci lub kręci przy kompu terach. Pewnie do nich Oberon też będzie chciał dotrzeć, aby mu pomogli. Ale nie bój się, pewnie wypną się na niego, chłopaki mają swój honor...

— Jeśli dzięki tym kursom jego podwładni wejdą między admi— nów czy informatyków, to obejdzie się i bez nich. Tak naprawdę to właśnie ci admini i informatycy *wiedzą*, co naprawdę piszczy w Głębokiej Sieci, bo ją współtworzą. Niewykluczone, że dzięki temu będzie mógł mieszać w Sieci czy w pojedynczych, wybranych komputerach...

Możliwości było naprawdę wiele, choć moim zdaniem większość podpadała pod słabe scenariusze filmowe. Nie byłem jednak pewny, czy Oberon, myślący jak ich bohaterowie, nie wpadnie na tak genialny pomysł. Wystarczy, że wyszkoli swoich poddanych, wprowadzi ich do Sieci... a potem opracuje i zacznie sprzedawać odpowiednie programy antywirusowe, których zainstalowanie będzie dla nich sygnałem, by się teraz przenieśli gdzie indziej.

Zaraz, zaraz... — odezwał się Rumcajs — myślałem, że Sieć jest jedna. A ty mi tu gadasz o jakiejś Głębokiej Sieci.

Bo jest jedna. Ale ta jej część, z której korzystają obecnie wszy scy, jak my przed chwilą — stuknąłem paznokciem w monitor — to zaledwie wierzchołek góry lodowej, tak zwana Płytką Sieć. Wystar cza większości ludzi do pracy i rozrywki. Istnieje też Głęboka Sieć, miejsce, gdzie pracują informatycy i administratorzy zarządzający tym całym cyrkiem. Tam informacje ganiają tak szybko, że trzeba mocniejszych maszyn oraz gogli i rękawic, bo to ułatwia robotę i pozwala

wszystko ogarnąć.

Takie jak te w salonach, co to działają po galeriach han dlowych?

Owszem. Są co prawda nawiedzeńcy, którzy fundują sobie eksperymentalne wszczepiane złącza, ale to grozi wylewem od przeciążenia informacją. Gogle i rękawice są pewniejsze, żaden komputerowy wirus nie podziała bezpośrednio na ciebie, tylko na twoją maszynę. W Głębokiej Sieci wszystko się kręci, tam dzieją się najważniejsze dla Sieci rzeczy, wszyscy, których na to stać, załatwiają tam różne ważne sprawy. Podobno tak jest bezpieczniej, bo aby się dostać i poruszać, trzeba sporej wiedzy, której większość ludzi nie chce się zdobywać. Może to i prawda, a może tylko

wymówka dla takich ignorantów jak ja. Przecież w Głębokiej Sieci są całe wirtualne kluby, sale koncertowe, konferencyjne i inne tam takie... wiele sklepów i portali aukcyjnych działa na obu poziomach: jest różnica między oglądaniem zdjęcia gitary, którą się chce kupić, a zagranieniem na jej dokładnym, trójwymiarowym modelu. Najczęściej buduje się w ten sposób sztuczne światy do gier. Niektórych w ogóle nie sposób odróżnić od prawdziwych.

A my tu zdychamy — mruknął Rumcajs z niechęcią. — Może powinienem dać się wsadzić do takiej gry, przynajmniej mógłbym żyć po staremu.

Sieciowe legendy mówią, że takie rzeczy są możliwe.

W każdej legendzie tkwi ziarnko prawdy — odpowiedział do— mowik z głębokim przekonaniem. — Uwierz mi, znam się na tym.

Wierzę.

Rumcajs podszedł do okna i przez chwilę spoglądał na zasnułe delikatną mgiełką smogu bloki Osiedla. Jeszcze kilka takich upalnych dni, a znowu ogłoszą alarm.

Macie tu jakieś ptasie gniazda? — spytał niespodziewanie.

Kawki — odpowiedziałem po chwili namysłu i wskazałem za oknem kilka starych, usychających z gorąca topoli.

Nie, one są zbyt niezależne. Trudno, kopnę się do Łazienek.

Po co?

Masz swoje metody, a ja swoje — odparł krótko Rumcajs. — Przy okazji chcę spotkać się z Marcinem. Powinien wiedzieć, że nawiązaliśmy pierwszy kontakt.

Aha, żebyś mógł sobie z nim pogadać za moimi plecami, co?

— Przespaceruję się z tobą. Jeśli dowiedział się czegoś ciekawego, to chcę to usłyszeć. Nie mogę bazować tylko na zasłyszanych od ciebie strzępach informacji. Poza tym, jak słusznie zauważyłeś, myślę nieco inaczej niż ty.

Nie było to zbyt miłe. Ale domowik jakoś to przełknął.

W Łazienkach, jak co niedziela, było mnóstwo ludzi. Tłum spacerowiczów przewalał się w obie strony, podobnie jak na Starówce. Rodziny na przechadzce, parki, staruszkowie, którzy chcieli sprawdzić, czy Chopin jeszcze stoi na swoim miejscu, i rzecz jasna turyści. Całe stada, pędzące z obłądem w oczach z miejsca na miejsce. Szybko, szybko i jeszcze szybciej. Ich twarze były otepiałe i zmęczone nie tyle od szybkiego marszu, co od nadmiaru środków, które pozwalały im jeszcze w miarę dokładnie pamiętać to, co widzieli. Na porządny, trzydniowy pobyt z przewodnikiem stać było niewielu.

Nic się tutaj nie zmieniło — westchnąłem, gdy schodziliśmy pochylą alejką w stronę pałacu Na Wodzie. Tutaj drzewa zasłaniały już wszelkie ślady cywilizacji. Przycichł nawet szum jeżdżących ulicą samochodów. Przestrzeń nad naszymi głowami była wyłą czona z ruchu wektorówek.

I o to chodzi — odpowiedział domowik. Szedł spokojnie, roz luzniony, z rękami wbitymi w

kieszenie kurtki. Wyglądał jak robotnik, który wyrwał się na niedzielny spacer. Wyjął z kieszeni okruch i rzucił go skaczącej po trawniku wiewiórcie. Zwierzątko wystrzeliło w powietrze i chwyciło pożywienie w locie, po czym wykonało zgrabny piruet i opadło na cztery łapki, wywołując zachwyt u mijających nas Japończyków. Ewolucja kilkuset pokoleń parkowych wiewiórek zrobiła swoje.

Koneser siedział na ławeczce w cieniu starego kasztanowca. Gdzieś na drugim końcu alejki skrzypek samouk usiłował wygrywać na elektrycznych skrzypcach „Eine kleine Nachtmusik”, trafiając dokładnie w co trzecią nutę. Przechodzący obok niego ludzie nie wiedząc czemu nagle przyspieszali kroku.

Ależ upał — sapnął domowik, siadając ciężko obok Konesera.

No cóż, zmiany klimatyczne... stepowiejemy, Janku, stepo wiejemy...

Nie wie pan, jak długo to *jeszcze* potrwa? — spytałem, siadając obok Rumcajsa. — Mam nadzieję, że nie skończy się taką nawałnicą z gradobiciem jak parę lat temu...

Albo smog nas nie wydusi jak w zeszłym roku — wtrącił do mowik.

Starszy pan uśmiechnął się.

— Według mojej wiedzy *jeszcze* kilka dni i będzie spokój. Niedługo świętego Jana, a wtedy zawsze pada. Chętnie panom

o tym opowiem, ale mam wrażenie, że przyszliśmy tu porozmawiać

o czymś innym. Prawdę powiedziawszy, umieram z ciekawości. Rumcajs odczekał, aż minie nas większa grupa turystów, i po krótko zrelacjonował nasze spotkanie z Mariaszkiem, moje ob serwacje Oberona i odkrycia w Sieci. Zadymę z ochroniarzami

i próbę założenia pluskwy zamierzał pominąć dyskretnym milczeniem, ale uzupełniłem jego opowieść kilkoma krótkimi zdaniem, starając się nie robić z domowika idioty.

Koneser wysłuchał nas bez zbędnego słowa, przyglądając się liściom kasztanowca.

— Ciekawe... ciekawe... wiecie, co z tym fantem zrobić? Planujecie dalsze kroki?

Rumcajs rozłożył ręce i spojrzał wymownie na mnie.

Coś mi chodzi po głowie... — przyznałem, lekko speszony uważnym spojrzeniem starszego pana. Przez chwilę wahałem się, czy przedstawić im swój pomysł, aż wreszcie machnąłem ręką i streściłem, w czym rzecz. W sumie oni wiedzieli więcej o elfach niż ja, a tutaj potrzeba było rady eksperta.

Ryzykowne — powiedział Koneser po dłuższej chwili milczenia.

— Może i Oberon jest tutaj nowy, ale to nie znaczy, że nie ma żadnych mocy. Poza tym, o ile pamiętam opowieści z dawnych czasów, jak się rozłości, może stać się nieco, hmm... nieprzewidywalny. A na pewno nie będzie szczęśliwy, jeśli pan wcieli swój zamiar w życie.

— Czy panowie chcą, aby on pozwolił wrócić poddanym Goplany

— spytałem nieco zirytowany — czy też mam faceta głaskać po głowie?

Oczywiście, że to pierwsze — odparł Koneser. — Problem polega jednak na tym, że tak naprawdę to on trzyma wszystkie karty. Sam pan zatem rozumie, że nie można go zbyt drażnić. Pozo staje *jeszcze* jedna kwestia... wcale nie wiadomo, czy to na niego zadziała. Dokładniej mówiąc, czy się zachowa tak, jak od niego oczekujemy.

Fakt, nie reklama. — Rumcajs pokiwał głową. — A swoją szosą, to jak na człowieka myślącego racjonalnie, twój pomysł jest bar dzo... nieracjonalny.

Uczę się od ciebie — odgryzłem się.

Błąd. Powinieneś myśleć po swojemu.

W każdym razie — podsumował Koneser — radzę *trzymać* ten plan jako asa w rękawie. Tak na wszelki wypadek.

Temat został wyczerpany. Wraz z domowikiem odprowadziłem wzrokiem mijającego nas

dzieciaka w towarzystwie mówiącej ze wschodnim akcentem niani. Malec ciągnął za sobą patyk z poruszającymi się i grającymi stworkami na baterie — ostatni krzyk mody. Rumcajs wyciągnął z kieszeni kawałek bułki, pokruszył ją starannie i położył na wyciągniętej dłoni. Nie czekał długo: już po chwili podleciał pierwszy gołąb, kołował chwilę, po czym usiadł. Chwilę później przyleciał drugi i przysiadł naprzeciw kolegi; przez chwilę zgodnie dziobały okruszki, uderzając od czasu do czasu skrzydłami dla utrzymania równowagi. Jednak wkrótce zaczęły się bić o resztki, a wtedy domowik delikatnie rozdzielił je drugą dłonią. Przysunął dłoń z ptakami do twarzy i zaczął coś mruzczyć. Nie wiem, jak to zrobił, ale zaraz się uspokoiły i słuchały domowikowego mamrotania, kręcąc łebkami. Gdyby wiedziały, jak on wyglądał dziś rano, na pewno nie byłyby takie ufne. Zerknąłem na Konesera, licząc na wyjaśnienie; starszy pan przyglądał się im z takim samym zainteresowaniem jak ja.

Gołębie wysłuchały gruchania domowika, zgodnie wydziobały pozostałe okruszki i odleciały.

I jak, udało się? — spytał Koneser.

Co się miało nie udać. Na szczęście to jeszcze potrafię.

Ale co? — Nie wytrzymałem. — Gadałeś z gołębiami? Po jaką cholere?

Poszukają Oberona. Może te maleństwa latają całymi stadami, gnieźdzą się na balkonach i brudzą głowy wieszczom na pomni kach, ale za to znają to miasto jak własne skrzydła i jeśli każe im się kogoś szukać, znajdą go bez większego problemu. Zaraz rozgadają wśród innych. Ten, który znajdzie Oberona, dostanie całą kajzerkę. Mam nadzieję, że na taką łapówkę jeszcze cię stać.

A właśnie! — przypomniałem sobie. — Czy ten Oberon nie ma przypadkiem jakiegoś źródła swojej mocy? Takiej baterii, po której odebraniu byłby bezbronny i łatwiejszy do przekonania?

O niczym takim nie wiem — odpowiedział Rumcajs. — Ale nie znaczy to, że czegoś takiego nie posiada. Dowiedzieć się tego, trudna sprawa... Marcin, mógłbyś uruchomić swoje stare konтакты? Ktoś z jego agentów powinien coś wiedzieć.

Oto elfy dwudziestego pierwszego wieku, panie Adamie — wes tchnął ciężko Koneser. — Najlepsze kasztany rosną w Łazienkach, i tak dalej... Naoglądają się filmów, podczytują coś w Sieci i już myślą, że w życiu da się zrobić to samo...

Daj se siana! — warknął rozeźlony Rumcajs. — Korzystamy z tego, co mamy! Już i tak kombinuję jak koń pod górę!

Przecież nie powiedziałem, że tego nie zrobię — ciągnął niezra— żony starszy pan. — Tak naprawdę to sam się nad tym zastanawiałem.

A właściwie czemu odsyłasz go do tej roboty? — spytałem Rumcajsa, kiedy Koneser pożegnał się uprzejmie i poszedł odnawiać stare znajomości. — Nie wierzę, że nie masz odpowiednich dojsć.

Domowik uśmiechnął się złośliwie.

— Bo ma on coś wyjątkowego, czego nie posiadamy my dwaj. Niestety, nie mogę ci teraz więcej powiedzieć. Dowiesz się we właściwym czasie.

Małe dzieci, słowo daję... znowu kolejna tajemnica. Wiem, wiem, ale nie powiem. Niby Koneser ma odpowiednie dojsćia... kontakty z elfami służącymi Oberonowi. Kim on w ogóle jest? Nie ma aury, ale wygląda na to, że wie o elfach mnóstwo rzeczy. Rumcajs traktuje go jak swego. Czy aby starszy pan nie gra na dwie strony? Czy nagle nie okaże się, że domowik jest spalony, a ja razem z nim? Zacząłem żałować, że przedstawiłem im swój pomysł: jeśli moje domysły były prawdziwe, to właśnie skazałem domowika na śmierć z ucłowieczenia. Z drugiej strony, po co Koneser miałby tak postępować? Jaki miałby w tym cel? W ostatniej chwili powstrzymałem się od zapytania Rumcajsa, jak dalece mu ufa. Odślanianie swoich podejrzeń w tej chwili nie wydawało się rozsądne.

Nie pozostawało nic innego, jak liczyć tylko na siebie... i czekać do następnego spotkania.

Rozdział piąty

Mamy sukinsyna! — oznajmił domowik z dziką satysfakcją.

Już? — zdziwiłem się, bo nastawiłem się *raczej* na kilkudniowe czekanie. Tymczasem od naszego powrotu minęły najwyżej dwie godziny.

Nawet nie wiesz, jak te cholery umieją szybko latać. Jeden potrafi w pół dnia obskoczyć całą Warszawę — gadał rozgo rączkowany. Jeszcze nigdy nie widziałem go w takim stanie. — A stado kilkunastu sztuk dostrzeże przecież znacznie więcej niż jeden!

Wymownie wskazałem kciukiem w stronę monitora, gdzie wiły się *zygzaki* wykresów kupna i sprzedaży.

Nie przesadzaj, to niedaleko. Tylko dwa przystanki metrem i kilka tramwajem.

A dokładniej?

Bliska Wola.

Westchnąłem ciężko. Liczyłem, że uda mi się w spokoju wykonać robotę na jutro. Nienawidziłem zostawiać rozgrzebanego materiału.

— Idziesz czy nie? — niecierpliwiał się Rumcajs. — Gazem, bo nam zwieje!

Wiedziałem, że nie odpuści. Dopiero w tramwaju zaczął wyjaśniać:

— Wiesz, cała bułka to dla nich nie byle co... *Licząc* na nagrodę, obleciały całą Warszawę. No i znalazły faceta.

Wierzysz w to? — spytałem, ustawiając się tak, by pęd powietrza z otwartego okna choć trochę mnie ochłodził. Upał wcale nie zelżał, a tramwajarze jak zwykle oszczędzali na klimatyzacji... choć równie dobrze mogła być zepsuta. Wagon pamiętał jeszcze zeszłe tysiąclecie.

Pewnie — odparł z głębokim przekonaniem, wytrącając mi z ręki wszelkie argumenty.

Drzwi otworzyły się z sykiem, wysiedliśmy na przystanku przy Wolskiej. Stojąca niedaleko katedra odcinała się na tle błękitnego nieba czerwienią cegieł i zieloną blachą spadzistych dachów.

No, jeśli to dla ciebie jest bliska Wola...

A co, wołałbyś, aby to było za ciepłownią? — odciął się domowik.

Ulice wyglądały jak wymarłe. Na weekend wszyscy tłumnie uciekli z miasta w prywatne i państwowe lasy, do agroturystycznych gospodarstw czy nawet nad Zalew Zegrzyński, który teraz *raczej* przypominał zlew. Wszystkie te jakże cenne miejsca, gdzie można było zaparkować swój pojazd, w soboty i niedziele świeciły pustkami. Ale to się zmieni... Za dwie, trzy godziny zacznie się wielki powrót i wtedy lepiej nie wypuszczać się samochodem na główne trasy. Korki, stłuczki, jazda pod prąd, dzikie kłótnie, demolowanie wozów i bójki między ludźmi, których upał doprowadził do szaleństwa. Ciekawe, ile osób nie przyjdzie jutro do pracy: ostatnie sieciowe zakłady obstawiały zaledwie trzy do jednego.

Znajoma okolica — powiedział nagle Rumcajs. — Dwie przecz nice dalej stała moja kamienica.

Mieliście blisko do centrum...

...wtedy dojeżdżała tu nawet kolej — ciągnął domowik, nie dostrzegając mojej ironii. — Wiesz, jak to przeraża kogoś, kto do niedawna nie jeździł dalej niż na jarmark? Kiedy jeszcze z nimi mieszkałem, robiłem, co mogłem, aby się jak najlepiej dosto sowali. Nie chwając się, przynosiło to nawet efekty. On znalazł robotę w fabryce, ona została praczką, posłali dzieci do szkoły... Nie powiem, że nie przyłożyłem do tego ręki, ale wiele rzeczy załatwili sami. Zresztą nie było mi łatwo, a kiedy zacząłem się ucłowieczać, nastąpiła zupełna katastrofa. Miałem związane ręce, nie wiedziałem nawet, co *jeszcze* mogę zrobić, a co nie. Pewnego

razu miałem przecucie, że ojcu stanie się coś złego, chciałem go ratować. Niestety, nagle zaczęli mnie widzieć i nie chcieli wpuścić do fabryki. Przeskoczyłem w końcu mur, ale nie zdążyłem... i

facet stracił rękę. Wiesz, co to znaczy?! Wtedy kaleka nie był nikomu w zakładzie potrzebny! Wylatywało się na zbitą mordę!

Pokiwalem grzecznie głową. Rumcajs znowu wpadł w fazę natchnionego opowiadania.

Mógł już liczyć tylko na grosze z zapomogi, ale upierał się, że pracować musi, bo mu dzieci z głodu umrą. Majstrzy nawet o tym słyszeć nie chcieli, twierdzili, że choćby sobie rękę z żelaza wykuł, to i tak nie będzie dość sprawna, by dobrze obsługiwać maszynę. Ale ja się zawiąłem, od znajomego leszego odkupiłem gumową dłoń, należącą do hinduskiego fakira. Lekka była, szorstka i ła two się nią ruszało. Pogadałem ze znajomymi, dodaliśmy do niej kilka... elementów, no i pewnego ranka facet obudził się z tą, no... protezą przy łóżku.

Zdziwił się?

Jak cholera. W końcu dał się babie przekonać i ją nałożył... Zresztą, sam go do tego na ucho namawiałem, bo na moment udało mi się znowu stać niewidzialnym. Dwa dni minęły, a machał tą dłonią jak swoją. Poszedł znowu do fabryki, majstrzy apiać swoje. No to się przebrałem za robotnika i mówię im: dajcie chłopu stanąć przy maszynie, niech pokaże, co potrafi. Jak ruszył, to tylko dym szedł, zdziwili się, ale nic. Kazali mu się przenieść na inną, też dał sobie radę. Wreszcie postawili go przy takiej, co to robotnicy gadali, że przekłeta, że krwią się ludzką karmi, bo dnia nie było, aby komuś chociaż palca nie ucięło. Widziałem to — w głosie domowika zabrzmiała prawdziwa duma — pracował pięć godzin bez przerwy, tylko przykładał materiał, ciął, zabierał i nowe dawał. Słyszałem, jak ta machina stękała z wysiłku, syczała i wyła, by go dostać w swoje tryby. Puszczala na niego strumienie pary, machała ramionami i klapała nożami, ale on się nie dawał. Wreszcie ludzie zaczęli krzyczeć, że dosyć, wystarczy, że do roboty się nadaje, ale majstrzy twardo nie i nie, zobaczymy, jak się zmęczy. I wreszcie koło siódmej godziny maszyna jęknęła, zgrzytnęła i stanęła.

Sama?

Sama. Mówili potem, że ktoś odciął parę albo do kotła prze stali dorzucać, ale ja swoje wiem. Ona skapitulowała. Nie wie działa, jak go ugryźć, to i się uspokoila. No i teraz majstrzy przed ludźmi nie mogli się wycofać, dali mu robotę na tej właśnie maszynie. Ale ona od tej pory spokojna była, pracowała, jak *trzeba.*, i nikomu krzywda się przy niej nie stała.

Ładna bajeczka. Naprawdę. Rumcajs i jego kumple jednak się na coś przydali.

A podobno nie jesteście technicznie kompatybilni.

Nie jesteśmy — zgodził się Rumcajs. — Ale jeśli myślisz, żeśmy mu w tę rękę wsadzili tłoki czy zębaki, to się grubo mylisz. Do tamtej maszyny też nikt z naszych się nie dotykał, jeszcze by go zabiła.

Skręciliśmy w sypiące się osiedle z wielkiej płyty. Wciąż czekało na swoje pieniądze z unijnych funduszy przeznaczonych na rewitalizację soc—budownictwa. Od ostatniego remontu minęło tu może ze dwadzieścia lat i farby w pastelowych kolorach zaczęły już odpadać, odślaniając brudne płyty ocieplenia. Było tak sennie, jak tylko może być na osiedlu podczas upalnego popołudnia. Ze ścian i roztopionego asfaltu, na którym odciskaliśmy ślady, buchały fale ciepła. Jakim cudem dzieciakom chciało się jeszcze skakać na tych jaskrawych sprężynach? Przy przebudowanym do granic możliwości wiekowym cinquecento grzebało leniwie paru chłopaków, popijając schłodzone w wiaderku piwo i słuchając na kwadro japońskiego heavy tekno. Zza otwartych okien dolatywały zmieszane odgłosy teleturniejów i seriali. Nawet umieszczony w dawnym zsypie osiedlowy salonik wirtualek mimo tabliczki „lokal klimatyzowany” świecił pustkami. Gdzieś nad głowami przeleciała nam wektorówka, inna, właśnie startująca, owionęła nas podmuchem gorącego powietrza z dysz.

Jak właściwie zamierzasz odnaleźć tego gołębia?

Spoko, gdzieś miał na nas czekać... o, jest!

Z grupki żerujących na rozsypanej kaszy ptaków wyleciał jeden, zatoczył w powietrzu koło i pofrunął w głąb osiedla. Wyciągaliśmy nogi, bo drań leciał dość szybko. Zastanawiałem się, w jaki

sposób Rumcajs jest w stanie odróżnić go od innych, pewnie po wzorze piór.

Weszliśmy między bloki, zatrzymując się w plamie rzucanego przez jeden z nich cienia. Ptak, bijąc skrzydłami, wylądował obok szeregu zaparkowanych samochodów. Podreptał w stronę starego opła astry i pokręcił się przy nim chwilę, dziobiąc parę razy asfalt.

— Co jest, ktoś go zamknął w bagażniku? — zdziwił się Rumcajs. Bez wątpienia taka sytuacja by mu odpowiadała. Ot, ktoś dał w łeb biznesmenelowi, który za mocno wymachiwał kartą kredytową albo zapuścił się w niewłaściwe miejsce.

W tej właśnie chwili z bloku wyszedł Oberon, w białym podkoszulku, spranych džinsowych spodenkach i z wiaderkiem w ręku. Podłączył się do hydrantu i zaczął splukiwać samochód.

— A to palant! — zgrzytnął zębami Rumcajs. Zniżył głos, starając się nie krzyczeć na całą uliczkę. — Spójrz na niego! Przyjrzyj się mu uważnie!

— Fakt, mając taką forszę, pojechałbym do myjni. Przekrzywiłem głowę. Facet nie miał aureoli.

— Durne ptaszysko, człowieka od elfa nie odróżnia! — pieklił się Rumcajs. — Widziałeś, gdzie poleciał?!

« Chyba tam. — Pokazałem palcem za samochody. Był tam gąszcz spalonych słońcem krzaków i pobazgrane sprayem garaże. Rumcajs gwizdnął cicho, ale gołąb nie nadleciał.

To co, będziemy go szukać?

Jak ci się nie podoba, możesz tu poczekać.

Co dwie pary oczu, to nie jedna.

Zapusciliśmy się między garaże a chaszczę. Walało się tu mnóstwo kartonów po tanim winie, tylko półlitrowkę ustawiono elegancko pod ścianą. Wolałem nie domyślać się, co znalazłbym w krzakach.

— To nie ma sensu — powiedziałem do Rumcajsa. — On nie ma tu czego szukać.

Domowik skinął głową.

— Obejdźmy garaże tędy, za nimi jest mały placzyk. Może tam siedzi.

Przeszliśmy kilka metrów, kiedy w krzakach po lewej, wśród badyli i rachitycznych listków, zamajaczyły ciemne sylwetki. Pewnie minęlibyśmy je, gdyby nie to, że jedna z nich trzymała w rękach trzepoczącego się gołębia.

Chaszczę tworzyły w tym miejscu coś w rodzaju polanki, której centrum stanowiła zarośnięta mchem betonowa kłapa jakiegoś wjazdu. Ktoś wymalował na nim sprayem dziwne znaki, stały tam też ułamki czarnych świec. Wokół kucało trzech farbowanych na czarno szczawiów odzianych w mocno sprane, czarne łachy. Podwórkowi sataniści wierzący, że dzięki ofierze z gołębia załatwią sobie przejście do następnej klasy. Największy z nich, pewnie kapłan, trzymał wielki nóż o falistym ostrzu, cały w czaszki i piszczelę, kiczowata podróba, jaką można kupić za niewielkie pieniądze w każdym sklepie z zabawkami dla prawdziwych facetów. Swoją drogą zdziwiło mnie, że bawią się w takie rzeczy tak blisko bloków. Pewnie myśleli, że nikt ich nie widzi, a w razie czego i tak nie podskoczy.

Zorientowali się, że nie są sami, i popatrzyli na nas groźnie. Na ich twarzach malowało się ekstatyczne uniesienie, widocznie musieli już wprowadzić się w trans. Niedobrze. Oby nie nażarli się Tranxu, bo jesteśmy ugotowani; kiedyś naszpikowany tym dzieciak rzucił się po meczu piłkarskim na oddział prewencji. Aby go powstrzymać, chłopaki musieli praktycznie posiekać małolata na kawałki. Na szczęście ci tutaj nie wyglądali na tak bogatych, by pozwolić sobie na jakiegokolwiek wszczępy. Wtedy byłoby z nami naprawdę źle.

Co się jopią? Wypierdalać — rzucił krótko kapłan. W sumie nie był to zły pomysł. Puście tego gołębia, chłopcy — odpowiedział ku mojej roz paczy domowik. Coraz gorzej. Jeśli faktycznie są na Tranksie, to mają przewagę jak ośmiu do jednego, a ja już dawno się z nikim nie biłem.

Pociągnąłem Rumcajsa za ramię, ale mi się wyszarpnął.

Zostaw no tego gołębia, dobrze? — powtórzył, patrząc na dzieciaka.

Spierdalać, jeśli wam życie miłe — warknął szczaw, unosząc groźnie nóż.

Rumcajs uśmiechnął się dziwnie, tak dziwnie, że aż się zaniepokoiłem.

— Akurat jego życie jest mi bardzo miłe — wskazał brodą gołębia — i dlatego nie odejdę.

Wierny wyznawca nieznanych bóstw powoli ruszył w naszą stronę. Jego towarzysze szli z tyłu, miny mieli takie, jakby nie mogli się już doczekać, kiedy wyprują nam flaki. W żołądku miałem lód. Od dawna nie wdepnąłem w tak głębokie bagno. Nie damy rady trójce naćpanych fanatyków. Należało się rozejrzeć za najkrótszą trasą ucieczki.

Gość niespodziewanie skoczył na Rumcajsa. Odruchowo odskoczyłem do tyłu, ale domowik nie dał się zaskoczyć. Po prostu złapał napastnika za rękę z nożem i przytrzymał chwilę, po czym odepchnął. Dzieciak zrobił kilka chwiejnych kroków, zamierzył się, chcąc zaatakować znowu, i nagle wrzasnął. Ręka z kosą opadła bezwładnie, śmiertelnośny sprzęt upadł na zdeptaną ziemię. Tamtych zamurowało. Ich guru trzymał się za kończynę i jęczał, jakby mu ją co najmniej wyrwano ze stawu. Podskakiwał przy tym i rzucał się niczym podłączony do prądu. Ból i drągi robią z ludźmi różne rzeczy.

Jego kumple wystartowali na nas, zdecydowani pomścić swego mistrza. Odruchowo schroniłem się za Rumcajsem, ale nie było takiej potrzeby. Miotający się dziko kapłan wpadł między nich, kiedy zamierzali uderzyć na domowika z dwóch stron, musieli go ominąć. Rumcajs wykorzystał to: zobaczyłem tylko dwa szybkie ruchy rękami.

— Grzeszycie przeciwko matce ziemi, w której wszyscy jesteśmy braćmi — powiedział domowik pouczająco do trzech wijących się na ziemi postaci. Jedna trzymała się za rękę, dwie inne miały szybko puchnące policzki. — A kto podnosi rękę na swego brata, temu ręka uschnie. Kapewu?

Śluchacze byli chyba zbyt zajęci cierpieniem, by odpowiedzieć. Rumcajs uniósł nóż, pokręcił z niesmakiem głową i wbił go w szeroką szparę improwizowanego ołtarza.

— Co za badziewie. Na ofiarny nóż najlepsze jest piorunowe że lazo — poradził, kopnięciem łamiąc ostrze i przewracając świeczki.

— Albo święty krzemień. To tak na przyszłość, jeśli zechcecie się jeszcze bawić w krwawe zertwy. Radziłbym jednak ziarna, owoce, kwas chlebowy, piwo jęczmienne i takie tam. A ołtarzem niech będzie głaz narzutowy. Stoi niedaleko na skwerku.

Na ich miejscu poważnie zastanowiłbym się nad zmianą wyznania na bardziej pokojowe.

Wróciliśmy na osiedle, siedłem na drżących nogach. Domowik po raz kolejny sprawił mi niespodziankę. Dołożył trójce naćpa—nych gnojków i nawet się przy tym nie spocił. Widać było to łatwiejsze od przemiany z kota w człowieka.

— Dobrze, że jeszcze to potrafiłem — mruknął. Zdawało mi się, że w jego głosie słyszałem ulgę. — Wiesz, od czasu do czasu zdarzali się gospodarze, którzy nie chcieli przekonywać nas do zmiany obejścia garnkiem smaczniejszej kaszy. Woleli, na ten przykład, pułapki na myszy lub czatowanie z workiem. Musieliśmy jakoś się bronić.

Znowu weszliśmy między ludzi spacerujących z psami i skaczące na kolorowych sprężynach dzieci. Nikt nie krzyczał, nikt za nami nie gonił. Cisza i spokój, a kilkadziesiąt metrów dalej mogli nas zamordować. Wziąłem kilka głębokich wdechów, bojąc się, że rozsadzi mnie adrenalina. W tej chwili mogłem przebiec te kilkadziesiąt kilometrów dzielących mnie od domu

w rekordowym czasie albo tłuc się do upadłego. Na szczęście, nie było już z kim. Ale mieliśmy fuksa — powiedziałem, chcąc rozładować nie przyjemną ciszę. Ignoranci. — Rumcajs splunął z niesmakiem. — Swarozyc za nic by takiej zertwy nie przyjął. Dlaczego? — spytałem. W końcu kto jak kto, ale on na pewno wiedział coś na ten temat. Bo gołębie były zarezerwowane dla kogo innego — wyjaśnił domowik. Przez chwilę rozglądał się wokoło z bułką w ręku, ale po uratowanym gołębiu nie pozostało nawet piórko spod ogona. Wreszcie zostawił ją, pokruszoną, w zapomnianym przez wszystkich brudnym karmniku obok szkoły. Jak się wyraził, „przypomni im przy okazji”.

To tyle, jeśli chodzi o gołębie — podsumował, gdy dochodzili śmy do ulicy. — Co teraz radzisz? Odprężyć się. Usiąść na tyłku i spokojnie pomyśleć, miast pędzić jak oszalały na każdy sygnał. Nie wiem jak ty, ale ja mam robotę do zrobienia. I to na jutro.

A ja mam coraz mniej czasu.

Wali mnie to! — Nerwy dały o sobie znać. — W ciągu ostatnich dwóch dni przez twoje genialne pomysły omal mnie nie upiekła ochrona i nie posiekali jacyś naćpani gówniarze! Może dla ciebie to chleb powszedni, ale ja jestem spokojnym człowiekiem. Mam tego dosyć, jasne?!

Rumcajs otworzył usta, aby coś powiedzieć, ale nie dopuściłem go do słowa. Przypomniałem sobie o niedokończonym artykule i w tej chwili moją głowę bardziej niż elfy zaprzętała statystyka oraz interpretacja danych i obiecanie za to pieniądze.

— Chcesz rady kogoś myślącego po ludzku?! Wkręć się między tych agentów! Załatw sobie papiery i działaj! Mam swoje życie, swoją robotę, powinienem oddać artykuł! Do jutra mam mieć spokój, jasne?! Nie ma mnie dla nikogo!

Rumcajsa na chwilę zatkalo, a potem roześmiał się i poklepał mnie po plecach.

— Z ciebie jednak jest pieprzony geniusz! Nawet mi do łba nie przyszło, że skoro jest ich wielu, to przecież muszą się jakoś poznawać. Sama aura nie wystarczy, muszą mieć ugadany znak. Pewnie to będzie nawet...

Akurat dotarliśmy do przystanku. Przez następne pięć minut miałem domowika z głowy: chodził w kółko, mrucał coś i drapał się po brodzie.

— Jedź sam — powiedział, kiedy nadjechał nasz tramwaj. — Idę coś załatwić. Nie wiem, ile czasu mi to zajmie: jeśli nie wrócę do wieczora, skontaktuj się z Koneserem. Masz jego numer w pamięci domowego telefonu.

Mało mnie to obchodziło. Myśl o artykule, który powinienem oddać jutro rano, przesłoniła wszystko, nawet szok wywołany niedawną bójką. A może właśnie była jednym z jego objawów? Powrót do domu zajął mi więcej niż pół godziny. Przez ten czas zdołałem opracować w głowie kilka pomysłów i wpaść na następne. Dopiero kiedy usiadłem przy komputerze, nerwy puściły mi na tyle, że znowu doświadczyłem strasznego rozdwojenia rzeczywistości. Praca w tygodniku i problemy egzystencjalne istot z zamierzchłej przeszłości, którym poświęciłem większość dnia, zdecydowanie do siebie nie przystawały.

Nie popracowałem zbyt długo, bo Rumcajs wrócił już po dwóch godzinach, pękając z dumy. Z satysfakcją zaprezentował maleńką wiązanekę z polnych kwiatów, splecionych *razem* i przewiązanych jakimś elastycznym pędem. Dziki goździk, nasiona dziurawca w pustej makówce, kwiat brodawnika, bieluń, związane łądygą trawy z Tamtej Strony. Dzia ła, póki świeże.

Ciekawe, skąd się wzięła... — mruknąłem, oglądając bukiet. — Myślałem, że tylko Goplana potrafi otwierać Bramę...

Wiesz, Oberon wypuszcza tutaj swoich, ale raczej nie spraw dza im kieszeni. Wyjdzie taka lebiega i zwykle nie bardzo wie, gdzie się tutaj wśród ludzi obrócić. Oczywiście trzeba mu

pomóc, jak swój swemu, ale sam rozumiesz...

Rozumiałem doskonale. Przypomniały mi się opowieści dziadka o wyjazdach na Zachód. Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają.

I to w ogóle ma działać?

Będę świecił tak jak oni. To aura każdego z naszych, który właśnie przybył stamtąd. A zachować się odpowiednio jeszcze nie zapomniałem.

Patrzyłem na ten wianek dość sceptycznie, jednak Rumcajs sprawiał wrażenie gotowego na wszystko. Nie spodziewałem się, że weźmie moje słowa tak na serio... A co mi tam, jego sprawa. Niech sobie robi, co chce, byleby dał mi spokój.

— Kiedy zamierzasz wykorzystać tę... odznakę agenta?

Rumcajs uśmiechnął się szelmowsko i wyciągnął złożony wydruk z Warszawskiego Systemu Informacyjnego. Był to fragment działu kulturalnego. Brodacz puknął palcem w jedną z informacji. Zaproszenie na dzisiejszą promocję debiutanckiego tomiku wierszy nieznanego mi poety. Ale najciekawszy był tytuł.

„Pieśń elfów”, galeria „Elizeum” — odcyfrowałem niewyraźny, rozmazany druk.

Obok czegoś takiego nie przejdą obojętnie — powiedział sta nowczo domowik. — *Zechcą* sprawdzić, czy ktoś z naszych mu nie pomagał, może spróbują faceta przekabacić...

Zdarzały się już takie przypadki?

Od dawna — oznajmił dumnie Rumcajs. — Jeszcze dwieście lat temu można się było z poetami dogadać, coś im podszeptać, a oni w miarę talentów prawdziwe dzieła z tego tworzyli... — rozmarzył się.

Jak „Balladyna”? — spytałem ironicznie.

Nie wiem, tam mnie akurat nie było. — Domowik wzruszył ramionami. — Ale sam za Szopena gadałem z jednym takim poetą, Strzałkowski się nazywał. Poematy jego po dworach czytali, sławy zażywał... aż zażył czyjejs narzeczonej i zginął w pojedynku. Po mojemu głupi był, bo wystarczyło, by palcem kiwnął, a miałby na pęczki ślicznych, wolnych babeczek, ale nie, on się uparł... Słuchaj, może wybierzesz się ze mną? No tak, robota... W takim razie życz mi powodzenia. Nie podziękuję.

Podobno wiara w przesady przynosi pecha.

Rumcajs wzruszył ramionami i wsadził wianek do wewnętrznej kieszeni kurtki. Kiedy wyszedł, wróciłem do roboty. Interpretacja danych szła mi całkiem sprawnie, ale wnioski nie chciały być tak optymistyczne, jak życzył sobie tego szef działu. Może i statystyka jest kłamstwem, ale ja nie potrafiłem kłamać w zbyt wyrafinowany sposób.

Napisałem to, co rzeczywiście mi wyszło z analizy, i zostawiłem artykuł do jutrzejszego ranka, aby przeleżał swoje. Zamierzałem właśnie wstać, kiedy mój wzrok padł na leżący na wykładzinie suchy listek. Musiał wypaść Rumcajsowi z nawęzu, bo wszystkie trzy doniczki z pochłaniającym dym papierosowy zielskiem stały na parapecie.

Uniosłem go delikatnie i położyłem na biurku. O ile pamiętałem, należał do trawy z Tamtej Strony. Ciekawe... Czyżby kolejna nieznaną nauce rośliną? Albo dowód na to, że cała historia to jeden wielki kant?

Sięgnąłem do komputerowego zielnika, wypisałem nazwy wszystkich roślin, które podał mi Rumcajs, i zacząłem szukać.

Ku mojemu zaskoczeniu, żadna z wymienionych przez domowika roślin nie miała takich liści. Sprawa zaintrygowała mnie na tyle, że podałem opis i zacząłem przeglądać setki zdjęć, usiłując odnaleźć coś choćby podobnego.

Udało mi się kubek mocnej herbaty później. Wiechlina, liść pasował idealnie. Na co może ona być potrzebna w nawęzie?

Znowu dałem nura w Płytką Sieć. Prowadziłem poszukiwania na trzy fronty, przez katalogi biblioteczne, serwisy New Age i strony botaników. Wyduszałem z moich dwóch procesorów, ile fabryka dała. Albo nie znajdę nic, albo czeka mnie odsiew całej masy głupiego bełkotu.

Pięć wskazań. Największe zaufanie budziła elektroniczna wersja książki z początków zeszłego wieku, traktującej o ludowych przesądach związanych z roślinami.

Nic. Żadnych magicznych właściwości. Zaraz, jak to powiedział domowik? Póki jest świeże, nawet działa? Czy roślina z Tamtej Strony nie powinna zachowywać świeżości nieco dłużej?

Niedobrze. Ktoś, celowo lub nie, wcisnął Rumcajsowi bubla. Jaka jest szansa, że domowik o tym nie wie? Duża, mimo całej swojej wiedzy o ziołach mógł nie zauważyć... Jeśli użyje nawęzu, podwładni Oberona od razu poznają, że ktoś stąd próbuje wkręcić się między nich. Pewnie mocno się zdenerwują.

Dlaczego tak się tym przejmuję? Skoro chce się bawić w te swoje głupoty, proszę bardzo. O tej porze powinienem raczej przeglądać wiadomości i czekać na jego raport...

...gdy tymczasem on podkłada się podwładnym Oberona. Niech go capną, niech tylko mocniej przycisną, a dowiedzą się i o moim istnieniu. Wrodzona nieufność podpowiadała mi, że może Obe—ron i wyglądał na nieporadnego, ale miał cholera wie ilu podwładnych, nie wiedziałem też, co tak naprawdę potrafi w swojej szczytowej formie. A bardzo nie chciałem, by zwrócił na mnie uwagę. Zresztą tym razem to był mój pomysł...

Zerwałem się piorunem od biurka. Wdziewając sportową marynarkę, pomyślałem, że dobrze by było, tak na wszelki wypadek,

zabrać jakiś środek przymusu... Tylko co może działać na kumpli Rumcajsa?

Przypomniałem sobie, co domowik powiedział dziś rano. Wróciłem od progę i zgarnąłem z kuchennego stołu solniczkę.

Zziajany dobiegłem do przystanku. Jeśli wierzyć aktualnemu rozkładowi wydrukowanemu na kawałku specjalnego plastiku, mogłem poczekać i piętnaście minut. Szlag... Nim dotrę na miejsce, Rumcajs pewnie zdąży podpaść mnóstwo razy, kto wie, może już się to stało? Na spotkaniu poetów gość z takim obejściem jak on na pewno zwróci na siebie uwagę...

Wyteżyłem zmęczone od siedzenia przed kompem oczy. Zaraz, czy to możliwe... ależ tak, jednak miałem szczęście!

Wyskoczyłem na jezdnię, gwałtownie machając rękami. Najnowszy model czarnego BMW zatrzymał się z piskiem opon. Usłyszałem syk opuszczanej automatycznie szyby.

— Życie ci, kurwa, zbrzydło, braciszku? — zagadnął uprzejmie kierowca. — Czego chcesz? Artur Chors jak zwykle nadażał za modą. Najnowszy model gar—niaka fundowała mu firma, ale wszczepione okulary o zmiennej polaryzacji szkiele kupił sobie już z własnej karty. Jego wydepilo —wane laserem policzki były gładziej od lodowej tafli. Samochód też robił wrażenie, zwłaszcza panel pełen cyfrowych wyświetlaczy z centralnie umieszczonym ekranem GPS. Wajchy świateł, wycieraczek i skrzynię biegów pozostawiono pewnie tylko z przyzwyczajenia.

Obok mojego brata w automatycznie dopasowującym się fotelu siedziała krótko obcięta blondynka w szarym kostiumie. No tak, Artur znowu wyrwał koleżankę z pracy. Wyglądało na to, że była już gotowa na najdzikszą nawet imprezę.

— Podrzuć mi do Książęcej? To ci chyba po drodze.

— Nie *teraz*, stary — jęknął brat. — Nie widzisz, że się spieszymy? Pewnie, nawet wiedziałem do czego. Miałem wielką ochotę przy—

kopać mu w błotnik i wykrzyknąć, co o tym myślę. Wiedziałem jednak, że średni Chors tylko popatrzyłby na mnie z politowaniem i powiedział coś w stylu „Oj, Adaś, aleś ty jeszcze dziecinny”. Prawdę mówiąc, nie wiem, którego z nas dotyczyło to bardziej:

mnie, który przynajmniej pracował na swoim, czy jego, szpanują—cego technicznymi

nowinkami i bawiącego się dziewczynami jak lalkami. Niestety, byłem bezradny. W żaden sposób nie umiałbym wytłumaczyć mojemu zapatrzonemu w magazyny dla korpów braciszкови przyczyny swojego pośpiechu.

— Chcesz na taksówkę? — spytał Artur, sięgając po portfel. Zgodnie z modą retro, nosił go w wewnętrznej kieszeni marynarki.

Aż mną zatrzęśło. Zerknąłem na jego towarzyszkę, w głupiej nadziei, że zareaguje na ten niewybredny sposób traktowania rodzzonego brata. Niestety, panienka spoglądała na mnie niczym na przybysza z Marsa.

— Dziękuję, dam sobie radę — powiedziałem lodowatym tonem, z trudem powstrzymując się od trzaśnięcia go w ten gładki ogołony ryj. — Jedź, bo ci wyrko ostygnie.

Artur wzruszył ramionami i nacisnął guzik na panelu. Nim szyba zamknęła się do końca, usłyszałem jeszcze jego najnowszą zdobycz:

— Kochanie, kim był ten mały zielony ludzik?

Przez chwilę stałem na krawężniku i gotowałem się z gniewu. Po raz kolejny mój braciszek olał mnie po krzywej parabolicznej. I ten gość uważa się za lepszego! Niby w czym?

W tym momencie zza rogu wyjechała taryfa z rozsądnym cennikiem. Wskoczyłem do środka, nim ubiegł mnie którykolwiek ze stojących na przystanku pasażerów. Siedząc wygodnie w klimatyzowanym wnętrzu, zacząłem szukać w portfelu odpowiedniej karty rabatowej.

Galeria mieściła się na zielonej skarpie za Muzeum Narodowym. Była to niedawno odremontowana rotunda, w której, jeśli wierzyć miejscowym legendom, książę Pepi urządzał wyuzdane orgie.

Kiedy dotarłem na miejsce, spotkanie już się zaczęło. Gniew pulsujący we mnie po spotkaniu z Arturem nieco osłabł, pozostawił jednak na dnie duszy ciężki osad ponurych myśli. Byłem pewien, że w spokojniejszej chwili da znać o sobie.

Na wydruku nie było napisane: „wstęp wolny”, więc na wszelki wypadek miałem w pogotowiu legitymację. Nim jednak podszedłem do drzwi, stojąca obok nich wysoka postać w czerni pomachała mi ręką.

Adam! — wykrzyknął chudy jak nieszczęście, obcięty po szła — checku blondyn. — Kurde, dawnośmy się nie widzieli!

Zbyszek! To ty żyjesz?!

Właściwie mogłem się go tutaj spodziewać. Był to jedyny znany mi osobiście poeta, poznaliśmy się jeszcze na studiach. Zbyszek szybko rzucił ekonomię, wkręcił się na jedno z bardzo elitarnych warsztatów twórczych, ja zostałem przy swoim. Od tego momentu nie miałem o nim właściwie żadnych informacji... aż do chwili, gdy zgarnął jakąś cholernie prestiżową nagrodę literacką za tomik wierszy i jego twarz na krótko zagościła w mediach.

A czemu miałbym, kurde, nie żyć?

Podobno miałeś wylew — jęknąłem, bo mimo postury uścisk mój znajomy miał iście niedźwiedzi. Czyżby sterydy?

Miałem — przyznał z rozbijającą szczerością. Odwrócił się i zgarnął włosy z potylicy. Dostrzegłem kilka świeżych blizn po szwach. — A teraz mam pod czaszką mały stymulator. Kiedy pi sałem „Rytm życia.”, to, kurde, funkcjonowałem w straszliwym tempie. Spałem dwie godziny dziennie, potem stymulacja i wio, w miasto. Wchodzimy?

Ty przodem.

Weszliśmy w emanujący przyjemnym chłodem wąski, ciemny korytarz z cegły, oświetlony rozstawionymi losowo reflektorami. Nikt nas nie sprawdzał.

Warto było? — spytałem, nieco wstrząśnięty jego opowieścią.

Warto — odparł stanowczo. — Inaczej nie oddałbym tak dobrze tego, co się obecnie dzieje z ludźmi. Nie byłoby Wawrzynu.

Mimo wszystko nie przekonał mnie. Jak dla mnie za te kilka pozłacanych listków zapłacił stanowczo za wysoką cenę.

Sama rotunda nie okazała się specjalnie wielka; wrażenie ciasnoty potęgowały jeszcze półokrągłe, tynkowane przepierzenia, dzielące ją na wewnętrzny krąg i biegnący wokół korytarz. Stożące lub przykręcane reflektorki rzucały światło na sufit, ceglane ściany czy betonową podłogę, kryjąc niektóre miejsca w plamach całkowitego mroku. W wewnętrznym kręgu na składanych plastikowych krzeselkach i ustawionych w niszach szwedzkich kanapach zasiadali liczni goście. Ci, dla których nie starczyło miejsca, stali w przejściach, wśród wystawianych akurat dziwacznych grafik komputerowych. Naprzeciw wejścia, mając za plecami wnękę po kominku, siedział rumiany facecik, zapewne bohater wieczoru, oraz prowadząca spotkanie dziewczyna o mocno plastikowej urodzie.

To czytelnicy? — spytałem cicho Zbyszka.

Częściowo. Reszta to krytycy i poeci.

A podobno Warszawa to miasto, gdzie wszyscy żyją tylko po to, by tłuc kasę. Biorąc jednak pod uwagę modnie postarzane ciuchy, dziwne fryzury i szpanerskie gadżety większości obecnych, mogłoby się okazać, że prawdziwych intelektualistów było tu zaledwie kilku, a reszta to zwykłe snoby. Wiadomo, ludzie żyją tym, co jest tu i teraz, bez cienia refleksji, czytając co najwyżej *gazety* i notowania giełdowe. Ci z pretensjami, jak tutaj, mieli pewnie za sobą jedynie streszczenia klasyki robione z myślą o zaganianych biznesmenach. Udawali, że są modni i na topie, używali słów—worków i słów—wytrychów, których znaczenia chyba sami do końca nie rozumieli, bo używali w złym kontekście.

Zbyszek przeprosił, bo odciągnęła go na bok dziewczyna w mo—herowym topie i lateksowych spodniach „trinity”. Oparłem się o ścianę i przyjrzałem obecnym. Jako pierwsza wpadła mi w oko siedząca z kwaśnymi minami kolejna generacja członków Warszawskiego Towarzystwa Bankietowego; organizatorzy najwyraźniej nie znali kluczowego słowa „poczęstunek”. Starsi członkowie tego szacownego gremium, posiadający legitymacje wystawione na rozmaite niszowe periodyki w stylu „1001 szarad w domu i zagrodzie”, zmywali się już po cichu, licząc na darmowe żarcie na innej imprezie. Młodszym, zwykle studentom posługującym się legitymkami rozmaitych portali informacyjnych, mogłem co najwyżej współczuć. Wiedziałem, jak to jest: *jeszcze* na studiach musiałem w ramach przysposobienia do zawodu odwiedzić całą masę rozmaitych konferencji i spotkań ekonomicznych. Zwykle tuż po zajęciach i o głodnym pysku.

Domowika nie było nigdzie widać. Przekrzywiłem głowę, niby to usiłując lepiej usłyszeć czytany właśnie wiersz. Ani jednego elfa. Pozostawało mieć nadzieję, że Rumcajs nie popełnia właśnie największego błędu w swoim życiu.

W ucho wpadła mi fraza o „lesie, gdzie tajemnica szuka swego miejsca” i aż mnie skręciło, sam nie wiem, bardziej ze śmiechu czy z niesmaku. Nie ma na co czekać, trzeba łapać Rumcajsa i wiać, nim rzuci mi się na mózg.

— Dobrze, prawda? — spytał stojący obok niski brunecik w grana towym T—shircie.

Wzruszyłem ramionami, udając, że go nie słyszę, i wtedy kącikiem oka dostrzegłem jasny błysk. Zerknąłem na swojego rozmówcę pod nieco innym kątem i już nie miałem wątpliwości.

Doprawdy?

Samorodny talent. Dziś już się takich nie spotyka... — Brunecik z rozrzewnieniem pokiwał głową.

Wydawało mi się, że poeci zawsze są samorodnymi taleniami.

O, to wcale nie jest takie proste. — Facet tak się nadał, że z miejsca urósł o kilka centymetrów. A może i rzeczywiście urósł... kto wie, co ci agenci Oberona potrafią. — Rzeczywiście, zdarzają się takie przypadki. Ale tak naprawdę większość tego, co przychodzi do naszego periodyku, to zwykłe rzemiosło. Ot, słowa zestawione w rymy, rytmy, technicznie nawet całkiem w porządku. Ale ponad to, proszę pana... ponad to nie ma nic. Trudno odnaleźć w tym głębszą myśl. Piszą to ludzie, którzy tworzą tylko w przerwach na lunch, pospiesznie ba— zgrołąc coś na serwetkach i marginesach podczas służbowych porad. Trudno, aby taka poezja przedstawiała sobą jakąkolwiek wartość...

Głędził tak *jeszcze* przez dłuższy czas. Faktycznie, dobrze wszedł w swoją rolę, choć, prawdę mówiąc, nie musiał się zbytnio wysilać. Przerwałem ten słowotok, pytając o tytuł jego periodyku. Proszę. — Elf wręczył mi wizytówkę jakiegoś sieciowego ser wisu poetyckiego. — Pan może również coś pisze?

Raczej czytam... Ale skoro nie podoba się panu taka poezja, to co chciałby pan widzieć na swoich łamach?

Nie wysłuchałem odpowiedzi, bo w tej właśnie chwili dostrzegłem Rumcajsa. Stał w przejściu na lewo ode mnie i także przyglądał się widowni. Ku mojemu zaskoczeniu gdzieś zdobył nieco wyświechtaną, ciemną marynarkę. Wołałem nie zastanawiać się, skąd ją ma.

Domowik zrobił dwa kroki w bok, niknąc mi wśród ludzi. Nim zdążyłem za nim pójść, wyrósł przede mną Zbyszek.

— Stary, mam do ciebie sprawę.

Stłumiłem zniecierpliwienie. Pozostawało mieć nadzieję, że domowik nie wytnie przez ten czas głupiego numeru.

Miałeś kiedyś dojścia w gazetach... Znasz może kogoś, kto mógłby znajomej wiersze opublikować?

Nie znasz nikogo takiego? — zdziwiłem się.

Nawet na kopy, ale tu chodzi o kogoś siedzącego w czymś, kurde, większym niż periodyk czytany przez autorów i ich znajomych.

Uśmiechnąłem się szelmowsko i szybko rozejrzałem: domowika od agenta Oberona dzieliło już mniej niż pięć metrów; na szczęście zasłonił mu go brzuch stojącego między nimi miłośnika poezji i piwa. Nas od elfa rozdzielało sześć metrów i cała gromada publiki. Trzeba działać szybko i dyskretnie niczym na szpiegowskich filmach.

Chodź. — Pociągnąłem Zbyszka w stronę brunecika wT—shircie. Przez chwilę zastanowiłem się, jak ten agent wygląda w swojej prawdziwej postaci, po Tamtej Stronie. Dwa metry wzrostu, broda do pasa i maczuga?

Przepraszam, czy nadal jest pan zainteresowany nowymi na zwiskami do swego magazynu?

Owszem — odparł, nieco zaskoczony.

— Zna pan chyba tegorocznego laureata Wawrzynu... Dopilnowałem, aby ich rozmowa nie skończyła się za szybko, i znów zacząłem szukać Rumcajsa.

Zobaczyłem go w momencie, kiedy przeciskał się w stronę Zbyszka i jego rozmówcy. Zdążyłem go dopaść, nim do nich dotarł. Nieco się zdziwił na mój widok.

Co, jednak się zdecydowałeś? — zapytał konspiracyjnym szepem. — Tam stoi jeden, ten w granatowym...

Wiem, chodźmy stąd na moment — rzuciłem i zaciągnąłem go do korytarza. W okolicy nie było nikogo.

Co jest?

Wiesz, z czego to? — spytałem, pokazując listek.

Trawa. Z Tamtej Strony.

Chyba nie bardzo. Znalazłem go na podłodze, sam widzisz, suchy jak pieprz. Wiesz, co to oznacza?

Domowik wysłuchał mnie ze zmarszczonymi brwiami. Kiedy skończyłem, rozejrzał się, czy ktoś nie patrzy, po czym huknął z całej siły pięścią w ścianę, aż echo poszło. Na szczęście w sali głównej było na tyle głośno, że nikt nie usłyszał.

— A to skurwiel — wycedził ze złym błyskiem w oku. — Idziemy. Opuściliśmy spotkanie, nie doczekawszy nawet do sesji auto grafów.

Rozdział szósty

Wyszliśmy z parku i ruszyliśmy w stronę mostu Poniatow—skiego. Rumcajs parł do przodu jak huragan, nie zwracając uwagi na przechodniów. Widać było, że aż się gotuje.

Dokąd właściwie idziemy? — spytałem.

Do gościa, który mi to sprzedał — odparł. Jego głos brzmiał spokojnie, ale była to cisza wulkanu szykującego się do erupcji swojego życia. — Mam ochotę z nim porozmawiać.

A co z Oberonem?

Nie bój nic. Tam *gdzie* idziemy, jest też wróż.

Fajnie. Przynajmniej coś bardziej zrozumiałego od gołębi.

Gdzie to?

W barze, z piętnaście minut drogi stąd.

Oblał mnie zimny pot. Na Powiślu? W tej czarnej dziurze? Z kim ten Rumcajs robił interesy?!

Za wiaduktem kolejowym migały szare ściany szpitala, a za nim — sypiące się kamienice sprzed dwustu lat i peerelowskie pudła o dziwacznej architekturze plombujące dziury po wojennych zniszczeniach. Nowych wozów było tu niewiele. Większość widzianych przez nas maszyn przeżywała dzięki tuningowi drugą, jeśli nie trzecią młodość. Po zachodzie słońca zrobiło się nieco chłodniej, ludzie zaczęli wychodzić z domów. Kilku starszych wiekiem mieszkańców sączyło przed maleńkim sklepikiem „Króla Zygmunta”. Na młodszych wolałem w ogóle nie patrzeć, aby nie potraktowali tego jako zaczepki. W bramie grupka nastek omawiała najnowszy tasiemiec z Tajwanu. Ubrane były modnie, czyli według najnowszych *zaleceń* pisemek wydawanych przez Me—diaGruppe i inne koncerty. Niektóre projekty były dziełem ludzi z różnych redakcji: wymyślaliśmy je podczas wielkich firmowych spędów, między jednym piwkiem a drugim.

— Nie dziw się, tu i tak było gorzej. Wiele lat przemieszkaliśmy w drewniakach, jeszcze do światowej wojny. Wtedy te domy były niczym pałace.

Nie zwalniając kroku, Rumcajs zdjął marynarkę i wpakował ją do mijanego właśnie kontenera PCK.

Mogłeś ją zostawić, była jeszcze całkiem niezła — zauważyłem.

Oddaję, skąd wzięłem — odparł krótko. Wyjął z kieszeni usychający w szybkim tempie nawęż i chciał wyrzucić go do śmietnika.

Zostaw, może *jeszcze* być potrzebny, to przecież dowód. Kto ci to w ogóle sprzedał?

Domowik, tak jak ja... a właściwie kłobuk. Mogłem się tego po nim spodziewać. — W jego głosie brzmiało rozdrażnienie. — Pośrednik, różnymi nawężami handluje. Kilkadziesiąt lat robił za cepeliowego artystę, obrazki z suszonych kwiatków układał. Do niedawna mój znajomy.

Pokłóciliście się?

Owszem. W chwili, kiedy weisnął mi to gównno. Takiego wała może sobie robić z byle południcy czy człowieka, ale nie ze mnie. Oj, zawiodłem się na nim, zawiodłem...

Przez dłuższy czas mruczał pod nosem wyjątkowo kwieciste wiązanki. O ile mogłem dosłyszeć,

nie powtórzył się ani *razu*. Poczekałem, aż zrobi sobie przerwę, i spytałem:

Co by się stało, gdybyś jednak podszedł do któregoś agenta i zagadał?

Mieliby mnie — odparł krótko. — Wiedzieliby, że ktoś z nas domyśla się, iż coś planują, ktoś widzi, że oni tu nie tylko na ruszałki przyjeżdżają albo by stare kąty powspominać.

I co wtedy?

Rumcajs milczał przez chwilę.

— Miałbym... nieprzyjemności. Kto wie, może nawet i giemza...

Tak sądziłem. Jeśli ten kłobuk wiedział albo domyślał się, na co Rumcajsowi ten nawęz, to właśnie podał swojego kumpla Oberonowi na tacy. A może właśnie o to chodziło?

Nawet się nie obejrzelśmy, kiedy przeszliśmy przez Tamkę. Mijani ludzie z lekkim zdziwieniem spoglądali na moją marynarkę, ale swojski wygląd Rumcajsa działał na nich uspokajająco.

Daleko jeszcze? — spytałem, gdy zbliżyliśmy się już do terenów uniwersyteckich.

To tamten budynek.

Wskazał brodą długi, murowany barak, przytulony do sąsiadującego z nim warsztatu samochodowego, naprzeciwko salonu Mercedesa. Nad drzwiami wisiał szyld z reklamą taniego browaru, pod którym odpadające, samoprzylepne litery tworzyły napis: „Balladyna”. Tego się nie spodziewałem.

— Zaraz, twój wróż rezyduje w knajpie?

—Jakoś nie narzeka na brak klienteli. — Domowik wzruszył ramionami. — Aha, *jeszcze* dwa słowa. Niektórzy klienci w tym lokalu mogą wyglądać nietypowo, więc niczemu się nie dziw i nie gap jak cielę na malowane wrota.

Co to, knajpa dla elfów?

Nie radziłbym ci używać tego słowa wewnątrz.

Zbliżając się do drzwi, usiłowałem się nastawić na najdziwniejsze nawet rzeczy, choć i tak pewnie znów mnie coś zaskoczy. Przez duże okno dostrzegłem, że wewnątrz jest dość ciemno i, o ile mogłem ocenić, tłoczno, jednak do tej pory nie zauważyłem niczego dziwnego. Takich barów mijaliśmy po drodze przynajmniej kilka.

Chyba was tu nie kochają — zauważyłem, widząc świeży napis „Pojeby won”.

E tam, pisać może sobie każdy gnojek. Ale nie każdy ma dość odwagi, aby wejść do środka i powiedzieć to otwarcie.

Domowik pchnął drzwi i weszliśmy do mrocznego wnętrza. Kilka najbliższej siedzących osób otaksowało nas spojrzeniem, po czym wróciło do swoich zajęć.

Nic specjalnego nie widzę.

Tak? Przekrzyw no lepetynę.

Zrobiłem, jak radził. To, co zobaczyłem, odebrało mi na chwilę mowę.

To twoi...? — spytałem, usiłując ratować oślepienie blaskiem oczy.

W większości. Jedni przychodzą się tu napić, drudzy odpocząć, jedni poszukać natchnienia, jeszcze inni zapomnieć. Dla jednych to miejsce pracy, a dla innych dom. Nie dziw się niczemu, co tu zobaczysz. Pamiętaj — dodał cicho — żadnych głupich tekstów

o szczaniu do mleka, bo ani się zorientujesz, a zarobisz nożem w plecy.

W „Balladynie” było rzeczywiście dość ciasno. Ktoś, kto wszedłby tu prosto z ulicy, mógłby uznać, iż zebrali się tu sami wariaci, outsiderzy, artyści i inne nawiedzone towarzystwo. Większość klientów przypominała wyglądem Rumcajsa. Widziałem przygarbione plecy, przetłuszczone włosy, znoszone ciuchy, spocone

i zniszczone twarze, błyszczące oczy. Ludzi, o ile mogłem dostrzec, było niewiele, za to nosili się lepiej niż poddani Goplany. Sprawiali wrażenie stada niebieskich ptaków, artystów rozpuszających talent w alkoholu i rozmaitych gości, których źródło zarobkowania trudno by

określić. Nie wyróżniali się zbyt, co więcej, wyglądało na to, że są z elfami w niezłej komitywie. Ciekawe, czy wiedzieli, kim są...

Wystrój samej knajpy nie zmienił się pewnie od wielu, wielu lat. Lokal był długą i dość wąską kiszka wyłożoną obłuzowaną sosnową boazerią, brudną od wycierania przez tysiące ramion i pleców. Na ścianach świeciły mdłym blaskiem podniszczzone nieliczne kinkiety. Po lewej ciągnął się dość długi bar, wraz ze stojącymi naprzeciw okrągłymi stolikami o obtłuczonych blatach z plastikowego marmuru, skutecznie utrudniając przejście w głąb pomieszczenia. W głębi klienci tłoczyli się przy stolikach oraz wąskich, porysowanych stołach i ławach. Niektórzy jednym okiem spoglądali na podwieszony pod sufitem naprzeciw wejścia stary telewizor, gdzie angielscy piłkarze po raz kolejny dawali łomot naszej reprezentacji.

Jedna rzecz była w tym miejscu niezwykła: zapach. Oprócz normalnej mieszanki papierosów, środków czyszczących, potu

i piwa w powietrzu unosiły się również zapachy rozmaitych ziół, jak w ekoaptece. Dopiero wtedy zobaczyłem, że wiele osób pociągało z wyszczerbionych kubków i filiżanek rozmaite napary, które na pewno nie były herbatą, i paliło aromatyczne skręty. Skądś zaleciał mnie zapach kwiatu paproci; siedzący przy jednym ze stolików facet już gapił się szklanym wzrokiem w ścianę. Cud, że lokalem jeszcze nie zainteresowały się gliny; nawet gdyby ktoś palił tu maryskę, nikt by tego nie zauważył. Swoją drogą ciekawe, skąd brali towar, skoro nie mogli przechodzić na Tamtą Stronę? Czyżby Goplana osładzała w ten sposób życie swoim poddanym?

Ledwo zrobiliśmy krok w głąb sali, kiedy kobiecy głos wrzasnął z kąta sali:

— Stój!

Podskoczyłem jak oparzony i ujrzałem przedzierającą się w moją stronę rozwścieczoną, długowłosą blondynkę, na moje oko pod trzydziestkę. Ubrana była po bazarowemu, w krótkie dzinsowe spodnie i top, wyglądający niczym wycięty z kawałka lazuru plastiku. W oczach błyszczała czysta nienawiść.

— Jak śmiesz tu jeszcze przychodzić?! — wysyczała, sunąc niczym demon zemsty. — Ty gadzino, zamienię cię w kamień, choćbym miała zdechnąć! Kogo tym razem chcesz uwieść, co?! Egzotyki ci się zachciało?! Na dziecko odwagi ci starczyło, a na mnie... już... nie?!

Im bardziej się zbliżała, tym wolniej mówiła, otwierając coraz szerzej niebieskie oczy. Płonąca w nich nienawiść zgasła, pojawiło się najpierw zdumienie, a potem wstyd.

— S...słucham? — wydusiłem z siebie wreszcie.

Za jej plecami zobaczyłem gwałtowny ruch, między nas wdarła się niska, tęga kobieta po pięćdziesiątce, odziana w hinduską sukienkę. Wyglądała na matkę dziewczyny albo żonę szukającą tutaj zalanego męża.

— Daj spokój, to nie on! — krzyknęła, potrząsając krótkimi, ciemnymi włosami. — Nie widzisz, że on w ogóle wszczepów nie nosi?!

Dziewczyna nabrała powietrza i tak już została, nie wiedząc, czy przeproszać, czy też od razu zapaść się pod ziemię ze wstydu.

— Cześć Żywia, cześć Bronia — powiedział Rumcajs, wykorzystując chwilę ciszy. — Co jest grane?

Tęga brunetka odwróciła się ku niemu.

— Znowu taki jeden fagas Bronkę wystawił do wiatru... to już drugi! A ona mu uwierzyła, biedactwo, liczyła, że on ją naprawdę... — delikatnie pogłaskała dziewczynę po długich włosach. — I znowu została z dzieckiem przy piersi, nie ma komu go oddać. Brak jej nawet siły, aby się zemścić na tym draniu. Robię, co tylko mogę — westchnęła ciężko — ale sam wiesz, jak to jest... cud, gdy uda mi się szklanek mleka albo kromkę chleba stworzyć...

Rumcajs pokiwał ze zrozumieniem głową.

Nie, Adam to porządny facet. On by czegoś takiego nie zrobił.

Najmocniej pana przepraszam... — wykrztusiła Bronia. — Wzięłam pana za kogoś innego... w tym półmroku... nie poznałam...

Kiwnąłem głową, zastanawiając się, czy macki Artura nie sięgnęły i tutaj. Nie, mój braciszek wolał czyste, biurowe laleczki, a Bronię należało dopiero umyć i przebrać.

Żywia wyglądała, jakby chciała coś jeszcze powiedzieć. Zerknęła na mnie, znowu na Rumcajsa i wreszcie się zdecydowała.

— Słyszałeś, że Kromczonka zaginęła? Domowik zbladł.

—Co?

— Normalnie, śladu życia nie daje, nawet do Broni się nie ode zwała. A tyle razy jej powtarzałam, że bycie podręczną to nie jest robota dla porządnej... kobiety.

Proszę, proszę, nawet nie wiedziałem, że elfy trafiły i tam. Czy jej zniknięcie mogło mieć jakiś związek z informacją, którą sprzedałem Kaście? Trzeba będzie pociągnąć domowika za język.

Ukloniłem się grzecznie obu kobietom. Bronia usiłowała się uśmiechnąć na pożegnanie, ale niespecjalnie jej wyszło.

To wy potraficie... no... z ludźmi? — spytałem cicho. — Kim była ta Kromczonka?

Południcą, ale niewiele już z niej zostało. Niektórzy... a właściwie niektóre to potrafią. Ale to skomplikowana sprawa, potem ci opowiem.

Dotarliśmy do kontuaru, wybór napitków był ogromny, ale poza kwasem chlebowym nie odważyłbym się niczego próbować. Z karty za plecami zwalistego barmana wyczytałem tak poetyckie nazwy, jak: „Woda życia”, „Kolorowe sny” czy „Kwiat jednej nocy”. W końcu się szarpnąłem i wybrałem dla nas jedno z droższych piw. Było w puszkach, miałem więc pewność, że poza zwykłymi dodatkami producenta jest w porządku.

Moją uwagę przykuł siedzący naprzeciwko baru potężny facet

o ponurym spojrzeniu. Mimo panującego w środku zaduchu miał na sobie miękką, skórzaną kurtkę i długie spodnie. Jedno oko było zasłonięte przepaską.

Nie patrz na niego — powiedział śpiesznie domowik. — To leszy.

Kto? — spytałem, posłusznie wbiwszy wzrok w puszkę.

Leszy, ale wszyscy zwracają się do niego „panie Leszku”. Gor szego sukinsyna nie znam. Kiedyś jemu podobni byli zmorą najgłębszych lasów. Ten się przestawił na duże miasta i zarabia jako kiler do wynajęcia. Czuje się tu doskonale i ma niezłe pomysły, więc w branży go szanują. Jemu obojętne, czy ma skasować człowieka, czy kogoś z naszych. Jeśli każe ci zjeść własną kartę kredytową, to nawet nie proś o sól i pieprz.

W dziwnym pośpiechu przelał browar do plastikowego kufła

i przesunął się w głąb lokalu, jakby obawiając się, że wywoła wilka z lasu.

— Znasz opowieść o mordercy polującym na parki *jeżdżące* do lasu? Leszek skasował w ten sposób pewnego bardzo bogatego badylarza, który mieszkał niczym w twierdzy. Rok czekał, kiedy facet będzie jechał nocą przez las, trafił chciał, że był z żoną. Kiedy gość stanął, aby się odlać, ciach, i było po wszystkim. Gdy przyje chała milicja, stukał jego obciętą głową w tylną szybę, a kobita bała się nawet głębiej odetchnąć. Dał się złapać, a że udatnie strugał wariata, to uznano go za niepoczytalnego i zamknięto u czubków. Związał stamtąd, kiedy tylko o sprawie ucichło, a wszyscy zaczęli mówić o nieszczęśliwym wypadku. Ponoć niezłe się w tym zakładzie podszkolił.

Od jednego ze stojących w głębi stolików właśnie wstawał dobrze ubrany elf o wyglądzie gryzpiórka.

— Koszałek — wyjaśnił Rumcajs półgłosem, odpowiadając na jego powitanie. — Ma szczęście, załapał posadę biuroludka; mie szka w redakcji, pilnuje tam porządku w papierach i

danych. Bez niego ekipa i przez rok by się nie połąpała. Robi to, co powinien, i dzięki temu trzyma się całkiem nieźle.

Zajęliśmy zwolniony stolik. Było to dobre miejsce na obserwację: nas zasłaniał bar, ale za to my widzieliśmy większość stolików i głowy wszystkich wchodzących.

Liczyłem na to, że usiądziemy, ale Rumcajs, odstawivszy na blat piwo, skierował się ku rozpadającym się drzwiom prowadzącym, jak sądziłem, do toalety. Za nimi rzeczywiście znajdowały się drzwi do kibla, a po prawej drugie, zapewne do schowka. Nad tymi ostatnimi umieszczono żarówkę, z której płatami zlaźiła czerwona farba. Rumcajs zerknął na nią i zapukał. Weszliśmy do małej klitki, chyba rzeczywiście będącej kiedyś schowkiem. Zmieścił się tam jednak stary stolik, dwa równie wiekowe krzesła nie od kompletu i wytarty fotel, w którym zasiadał wróż; jedynym źródłem światła było niewielkie okienko pod sufitem. Za jego tronem zauważyłem małą, obtłuczoną umywalkę z ciekącym kranem.

Na nasz widok wieszcz zgarnął ze stołu kilka gazet oraz wypełnioną po brzegi blaszaną popielniczkę i wyrzucił wszystko do stojącego obok kosza. Dobiegał już osiemdziesiątki, ale jeśli elfy go znały, to równie dobrze mógł sobie *liczyć* i osiemset. Mimo panującej duchoty miał na sobie wytartą sztruksową koszulę na podkoszulku z ramiączkami i ciemne spodnie.

— Powitać, powitać — rzekł ze śpiewnym, kresowym akcentem, przyglądając pomarszczoną dłońią siwe włosy i rozczesując palcami patriarszą brodę. Na chwilę nasze spojrzenia spotkały się, a ja przeżyłem szok.

Żrenica jednego oka mężczyzny była zasnuta mleczną bielą. Drugie spoglądało na mnie zimno wyprodukowaną pewnie gdzieś na Ukrainie soczewką wszczepu. Miałem wrażenie, że ślepym okiem widzi znacznie więcej, może bez przeszkód obejrzeć mnie... i przejrzeć na wylot.

— Siądźcie sobie, rybeńki — dziwny staruszek wskazał nam krze sła — i mówcie, co sprowadza do starego Guślarza, a?

Usiadłem ostrożnie na rozchwianym meblu, obawiając się, że za chwilę wyląduję na podłodze. Z tego miejsca widziałem nawet blizny, jakie na twarzy starca pozostawiła operacja wstawienia wszczepu; zapewne przeprowadzono ją w podrzędnej klinice — rzeźni, gdzie się tylko płaci, ale gwarancji przeżycia nie ma żadnych. Mogłem też w pełni ocenić, jak wielkiej postury był Guślarz. Za młodu musiał wrywać drzewa z korzeniami.

Oberon — powiedział krótko Rumcajs. — Nie mogę go odna leżć, a muszę... musimy się z nim spotkać.

Oberon... a czegoż ty chcesz od króla, co? — zapytał starzec, kręcąc głową. — Toż on się nami nie zajmie, robaczku. My go nie obchodzimy...

My? Przekrzywiłem lekko głowę i spojrzałem na Guślarza pod właściwym kątem.

— Ciekawy, co? — spytał starzec, którego uwagi nie uszedł mój gest. — Tak, ja człowiek, jak i ty. Widzisz, nawet oko sobie wsta wiłem, aby wreszcie na świat boży popatrzeć... widział ty kiedy domowego ze sztucznym okiem? Albo południcę ze sztucznymi cyckami, a?

Kręcąc się nieco na krześle, w pokorze przeczekałem krótki rehot stariego. Miał rację, nie powinienem był tego robić. Sprawdzanie w tym miejscu, kto jest, a kto nie jest elfem, było... nietaktem.

— Dwie dychi — oznajmił krótko wieszczek, pokazując na oko. — Takie cacka nie rosną na drzewie, a chciałbym mieć drugie do kompletu.

Rumcajs bez słowa sięgnął do kieszeni spodni i podał mu banknot; pomarszczona dłoń szybko schowała go w kieszeni koszuli. Dziadek sięgnął gdzieś za fotel, wyciągając szklankę, dzbanek z herbatą oraz małe metalowe sitko. Umieścił sitko na szklance, ujął stojący na blacie dzbanek i powoli, z namaszczeniem nalał sobie herbaty. Poczulem znajomy zapach: czyżby kwiat paproci umożliwiał również zaglądnienie w przyszłość? Zaraz potem przyjrzałem się barwie naparu oraz

plywającym wewnątrz dzbanka śmieciom i zorientowałem się, że to raczej herbata z poziomek. Starzec wypił jednym haustem połowę szklanki i otarł usta ręką.

— A zatem... zamknijcie drzwi od kaplicy... żartowałem... postu chajmy, co powie nam woda...

Zamknął oczy i zatopił się w fotelu. Zapadła absolutna cisza zakłócana tylko nieregularnym odgłosem kropel spadających w nierównych odstępach.

Przez dobrych kilka minut nic się nie działo; Guślarz siedział niczym posąg, gdyby nie lekkie poruszenia brody, dzwoniłbym po karetkę. Nie wiedziałem nawet, czy już wróży, czy dopiero się koncentruje, ani nawet, z czego odgaduje przyszłość: o jaką wodę mu chodziło? Spojrzałem pytająco na Rumcajsa, mając nadzieję, że chociaż on wie, co się dzieje. Domowik siedział jednak cicho, nie spuszczać wieszczą z oka. Nie pozostawało nic innego, tylko mieć nadzieję, że wszystko idzie tak, jak powinno.

Do mojej głowy coraz mocniej wdzierało się natarczywe „kap, kap” spadających z różną szybkością kropel. W panującej tutaj ciszy był to jedyny odgłos. Chcąc nie chcąc, zacząłem się mu przysłuchiwać, aby nie zasnąć. Po chwili wychwyciłem w nim pewną regularność, rytmicznie wystukiwane zgłoski, układające się w słowa, w dziwną, hipnotyczną melodię.

— Mgła, mgła, wokół mgła — odezwał się nagle wieszczek cichym głosem. — Szukasz wiatru, co wstążkami na gałęzi porusza... jeleni ci za przewodnika będzie, ucieka, kluczy, prowadzi w *gąszcz*... między słowami... i niedźwiedz ci pomoże, poproś go, aby się nastąpił...

No, po kimś takim spodziewałem się czegoś znacznie bardziej skomplikowanego niż gazetowy horoskop. Mimo to Rumcajs słuchał w napięciu, chłonąc każde słowo.

— Jeleń, złoty jeleni. Idź za złotym jeleniem, on cię zaprowadzi... Guślarz słuchał jeszcze przez chwilę, po *czym* wyrzucił fusy do kosza i napił się herbaty.

— Niestety — powiedział, kiedy już odstawił na miejsce dzbanek i szklankę. — Za wiele to ci chyba nie pomogłem... woda była bardzo małowodna.

Domowik też nie wyglądał na zachwyconego. Mimo to wstał i z szacunkiem uściśnął Guślarzowi dłoń.

Dziękuję i za to.

Powodzenia — rzekł dziadek, miażdżąc mi rękę w uścisku. — Opowiedzcie mi potem, jak to się skończyło.

Kiedy już opuściliśmy zatęchły pokój, spojrzałem na Rumcajsa.

— Ciekawe, kiedy się wreszcie z nim spotkamy...

Domowik nie zdążył odpowiedzieć, gdy wpadł na mnie przetaczający się obok Mariaszek.

— Dwa ra—azy! — wybełkotał, patrząc na mnie błędnym wzrokiem. — Raz będziesz cierpiał ty, za drugim ucierpi miasto!

Zamieniłem się w słup soli. Mariaszek oderwał się od stołu, równie niespodzianie, jak się pojawił. Ośłupiały i nieco przestraszony zerknąłem na Rumcajsa, licząc na skromne choćby wyjaśnienie.

— Czasem tak ma — powiedział, wzruszając ramionami. Tymcza sem były palacz oddalał się ku drzwiom, nucąc coś, co brzmiało niczym pieśń żydowska.

Wróciliśmy do naszego stolika. Obok ulokowała się grupka elfów, które musiały być, sądząc po akcencie, ubożętami ze śląskich kopalni. Pewnie budowały tu drugą nitkę metra.

A teraz będziemy czekać — oznajmił domowik, rozsiadając się wygodnie.

Długo?

Nie wiem — przyznał Rumcajs z rozbrajającą szczerością. — Dwadzieścia minut, pół godziny, półtorej... zwykle pojawiał się tutaj w porze dziennika.

Zapowiadało się długie czekanie. Z braku lepszego zajęcia przyglądałem się tutejszym bywalcom. Wraz z upływem czasu klienteli przybywało, miejsc siedzących praktycznie już nie dało się znaleźć. Wydawało mi się, że elfów zebrało się nieco więcej niż ludzi. Kim byli: domowikami, utopcami, borutami czy jeszcze inną cholera? Skąd się tu przywlekli? Każdy z nich to pewnie osobna historia, inne dzieje. Na chwilę pozwoliłem sobie uwierzyć w słowa Rumcajsa i poczułem w sercu piknięcie, które czuje każdy pismak, kiedy trafi na arcyciekawy temat. Fascynujące. Doprawdy fascynujące. Jedyni ludzie w naszym najbliższym otoczeniu to dwaj faceci piszący internetowego tasiemca, omawiający właśnie kolejny odcinek. Z ich rozmowy wynikało, że zupełnie nie wiedzieli,

gdzie trafili. Swoją drogą, nie mogli *znaleźć* lepszego miejsca na szukanie natchnienia.

Mówiłem ci, że trochę na nich działały — powiedział Rumcajs z dumą w głosie. — Zagadnij tu którego człowieka chcesz, a pewnie będzie to poeta, malarz albo inszy grafciarz.

A co się stało ze zmorami, wąpierzami, dusiołkami i resztą tego towarzystwa? — spytałem.

Daliście sobie świetnie radę — wzruszył ramionami domowik — nawet bez naszej pomocy. Wiesz, noże i siekiery przy łózkach, odpowiednie rośliny nad progiem, doświadczenie kilku pokoleń mądrych bab i tak dalej, aż do środków na astmę. Ostatnie sztuki to te, co czmychnęły za Oberonem na Tamtą Stronę. Nie, żeby komuś ich brakowało...

A to co za pokraki? — wskazałem na wiszące nad barem duże zdjęcie trzmiela oraz porozwieszane tu i ówdzie portrety istotek godnych majaków Boscha. Rumcajs uśmiechnął się z rozbawieniem.

Trzmiel, bo lata wbrewprawom fizyki. A te, to... nasze portrety. Tak byśmy wyglądali, gdybyśmy musieli trzymać się zasad waszej fizyki. Kiedyś narysował je pewien biolog po piątym piwie. Tam wisi rodzanica, tutaj kraśniak, a tutaj ja, czyli domowik. Dalej idzie utopiec zwykły, utopiec głębinowy z Bałtyku, południca, rusałka, wilkołak...

Ciekawe... — mruknąłem, gapiąc się na malutką, pękatą po krakę, z trudem łapiącą powietrze szeroko otwartymi ustami, ma jąca być domowikiem. W ucho wpadł mi strzęp rozmowy dwóch elfów, z których jeden usiłował wytłumaczyć drugiemu ruch no towań giełdowych w zależności od najnowszych wydarzeń w Sta nach. Śmiech pusty, litość i trwoga. Dokładnie w tej kolejności. Potem usłyszałem opowieść o elfie, który stanowił ciężki przy padek pecha. Kolejny czarny kot, któremu przeciął drogę, zginął w niewyjaśnionych okolicznościach. Ale to nic, niech tylko zniosą barierę na Tamtą Stronę...

Domowik w ogóle nie zwracał uwagi na otoczenie, wpatrując się w ścianę zamyślonym wzrokiem.

— Nad czym dumasz?

Nad Mariaszkiem... mam wrażenie, że chciał ci coś powie dzieć...

Nie wiem. — Wzruszyłem ramionami. — Sam przecież mówiłeś, że nie jest normalny i czasem coś go nachodzi.

Właśnie. Tylko wiesz, my nie wierzymy, że kogoś nachodzi ot tak, bez przyczyny. Zwykle to może mieć znaczenie.

Niby jakie? — Pociągnąłem łyk piwa i przez chwilę delektowałem się goryczką. Nie było już takie zimne. Jeśli chciałem się chociaż trochę ochłodzić, musiałem się pospieszyć.

Domowik nachylił się w moją stronę.

Słyszałeś o ludziach, którzy zostali obwołani królami, bo tak ich przypadkiem nazwało dziecko?

A ile zapłacono rodzicom tego dziecka, by krzyknęło we wła ściwej chwili?

Na twarzy Rumcajsa pojawiło się święte oburzenie. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił i pokręcił tylko głową.

Jeśli większość ludzi rozumie w ten sposób, to Oberon nie zadomowi się tu i za dziesięć lat.

Nie byłbym taki pewien. Wystarczy, że sprawi, aby na wierzbie wyrosły gruszki, a zobaczysz, co się stanie. Uwierzą we wszystko, co powie.

A co do Mariaszka — zapytał po chwili — to czym dla ciebie różni się to, co usłyszeliśmy od Guślarza, i to, co powiedział on?

Guślarza jest łatwiej zaakceptować?

Właśnie. — Rumcajs otarł wąsy z piany. — Jemu nie spadła na głowę kamienica, a do tego robi odpowiedni klimat, więc bez opo rów kupujesz to, co mówi. Gdyby się ślinił i bełkotał, nie uwie rzyłybyś. Wszystko jest kwestią metody. Przed wojną jedna sybiela zatrudniała się jako wróżka. Miała mieszkanie, szklaną kulę, ta lię kart, czarnego kota i co tam *jeszcze*... klientela waliła do niej drzwiami i oknami, aż raz pewnemu wojskowemu przepowiedziała przewrót majowy i zainteresował się nią wywiad, więc znikła...

Machnąłem ręką, ucinając kolejną opowieść domowika. Nie wątpiłem, że mógłby napisać niezły zbiór anegdot... tylko że moda na wspomnienia sprzed wojny minęła dawno temu.

Co ma być, to będzie. To nie na moją głowę.

Całkiem po ludzku — stwierdził domowik. — Co byś teraz poradził, człowieku? Komu bardziej wierzysz?

Nie wiem, to ty jesteś specem od intuicji. Gdybym miał jed nak posłać rozum na urlop i wybierać, stawiałbym na Guślarza. Sprawdź ten ślad. Ja muszę skończyć swoją robotę.

Skąd wiedziałem, że to powiesz...

Urwał nagle i odwrócił głowę. Do baru podeszło trzech facetów w jasnych koszulkach polo i spodniach w kancik, jeden miał nawet letnią marynarkę. Rumcajs spoważniał, przygryzł wąsa.

To on?

Ten rudy w marynarce. A ci dwaj to jego kumple i wspólnicy. Ten chudy z podkrążonymi oczyma to Dryśła, jest błędem. Kiedyś sprowadzał ludzi na bezdroża i robi to do tej pory, choć nieco inaczej. Tego drugiego nie znam, to polewik.

Cała trójka przepchnęła się między klientami, rudzielec dostrzegł domowika i skierował się w naszą stronę. Usiedli, przywłaszczając sobie krzeselka od sąsiednich stolików. Coś mi się w nich nie podobało. Może była to pewność siebie, jak u korpów wysokiego szczebla. A może te cwaniackie błyski w oczach.

No dobra, co się stało?

Coś nie tak z nawęzem — wyjaśnił zgryźliwie domowik, wyjmując z kieszeni wiązanekę. Podetknął ją kłobukowi pod nos gestem, jakim zwraca się kupiony przed pięcioma minutami zegarek.

Tamtemu nawet powieka nie drgnęła.

— Wiesz, jak jest — powiedział. — Daleko się na nich nie zajędzie. To nawęzy o krótkim działaniu. Można nimi oszukać tamtych raz, góra dwa. W sam raz na transakcję kwiatem paproci albo nawet i szybki wypad na Tamtą Stronę dla poratowania zdrowia, jeśli komuś starczy na to jaj. Używa się ich na własną odpowie działalność.

Rumcajs zacisnął szczękę.

— Nie mówię tu o niewłaściwym używaniu — odparł, tłumiąc gniew — ale o niewłaściwym wykonaniu. Wcisnąłeś mi bubel, Korman, i wiedziałeś o tym. A może chciałeś, aby mnie zwinęli, co? Pytanie tylko dlaczego?

Przy stole zapadła ciężka, nieprzyjemna cisza. Mogłem usłyszeć, jak Guślarz za ścianą tasuje swoje karty i co właśnie zamawiają przy barze.

Korman roześmiał się, szczerze rozbawiony.

Nie przeginaj. O co ty mnie posądzasz? Po kiego miałbym dybać na twoje życie, co? Przeciwnie, stary, lubię cię i szanuję. I właśnie dlatego, że cię tak lubię i szanuję, udam, że nie słysza łem

twojej insynuacji. Więcej, pozwolę, aby sprawę rozstrzygnął los, jak za dawnych czasów. Zagramy w kości. Dam ci szansę wygrać ode mnie jeden nawet ze sprawdzeniem składników. Najpierw dwie partyjki na rozgrzewkę, potem już na ostro. Pasuje?

Niech los rozstrzygnie — zgodził się z poważną miną Rumcajs. Pokręciłem z niedowierzaniem głową. Co tu się dzieje? Czy on tu przyszedł złożyć temu gościowi reklamację, czy też umówił się z nim na partyjkę? Już chciałem kopnąć domowika w kostkę, aby raczej wydusił z faceta należność, ale się powstrzymałem. W końcu ostrzegał mnie, bym się niczemu nie dziwił.

Twój kumpel również może grać. — Korman znowu popatrzył na mnie. Przyglądał mi się z ciekawością, ale i wyższością, niczym dziwnemu gatunkowi zwierzaka. Jesteś czymś nowym, mówiło jego spojrzenie. Dalej, rozbaw mnie. Pokaż, co potrafisz.

—Jego w to nie mieszaj — powiedział krótko domowik. — To sprawa między tobą a mną. Kłobuk uniósł teatralnie brew.

Dlaczego? Skoro to pojedynek, to możemy dobrać sobie se kundantów. Ja wybrałem Dryśłę, ty możesz wziąć jego. W ten sposób szanse bardziej się wyrównają.

I jeśli Dryśła wygra, wszystko i tak pójdzie na twoje konto, co? — jad z głosu Rumcajsa przeżerał blat stolika. — Co je twoje, to je moje, co je wasze, to też moje?

To działa też w drugą stronę. Inaczej mówiąc, zagramy w gru pach. Grając we dwóch, macie takie same szanse. Wybór należy do ciebie.

Naginasz reguły, stary — westchnął domowik. — Ale niech będzie, zagramy zespołowo. Co ty na to, Adam?

Rumcajs patrzył na mnie ponuro. Czulem, że to coś więcej niż zwykła rozgrywka, a do tego nie bardzo dowierza swojemu pobratymcowi. Coś szeptało mi, że we dwóch mamy większe szanse. Z kolei siadanie do grania w cokolwiek z tymi gośćmi mogło się skończyć jak partyjka w szulerni na *bazarze*. Los mógł nie mieć tu zbyt wiele do powiedzenia, a nawet jeśli, to Korman i tak zna pewnie sposoby, aby nakłonić go do współpracy. Orzną nas do czysta, nawet nie zauważę kiedy. A jednak Rumcajs się zgadzał. Może jednak się na tym zna?

Kiwnąłem głową, choć miałem wrażenie, że popełniamy właśnie straszną głupotę. Domowik ledwo zauważalnie odetchnął.

Na co gramy? — spytał. — Nie mam przy sobie zbyt wiele szmalu.

Nic się nie bój, zagramy po naszymu, na fanty — wyszczerzył się Korman. Powoli wyciągnął z kieszeni marynarki pięć starannie oszlifowanych kości. — Choć sam tego nie uznaję. Mnie pieniądze pozwalają żyć. To już nie te czasy, kiedyśmy tylko siedzieli na złocie i oddawali je przygłupom, którzy jakimś cudem na nas wpadli, albo za kąt za piecem, przy pajęczynie, na polepie bez słomy.

Rumcajs ujął małe sześciany i uważnie je obejrzał. Miały kremowy kolor przypominający starą, bardzo starą kość, w której wypalono stosowną liczbę dziurek. Wreszcie kiwnął głową i odłożył je na plastikowy blat.

Co by tu rzucić... a, niech będzie — Korman sięgnął do kieszeni i położył na stole podłużny, prostokątny przedmiot.

Klawisz z fortepianu Chopina, kość słoniowa, stan bardzo dobry — oznajmił suchym tonem licytatora. — Skradziony przez jednego z naszych, kiedy żołdaci wyrzucili instrument przez okno. Zawieruszył się gdzieś między kocimi łbami. Można wmontować w dowolny instrument klawiszowy i grać, co się żywnie podoba. Rezultat gwarantowany.

Rumcajs rzucił blachę z syrenką. Widziałem takie na filmach, nosili je granatowi policjanci.

Owinięta w roślinę niewidkę. Pomaga unikać stróżów prawa.

Ale tylko ich. Pamiętasz, jak kiedyś za okupacji wpadłem z ta kim amuletem na esesmana? — zaśmiał się Korman, grzechocząc

kośćmi we wnętrzu dłoni. — Ale się zdziwił, kiedy kazał blachami mnie ganiać, a oni nie wiedzieli kogo!

Aha. — Domowik pokiwał głową. — Ale wystrzeloną w ciebie kulę to już ja musiałem zawrócić, bo spieprzałeś, aż miło?

Tramwaj mi uciekał — mruknął kłobuk, jakby to wszystko tłumaczyło.

Wypadła mi dziesiątka. Nie najlepiej.

— Nie szkodzi, macie szansę się odkuć — powiedział radośnie kłobuk.

W głębi sali niespodziewanie rozległo się buczenie i gwizdy. W telewizji leciała właśnie zapowiedź nowej, poprawionej wersji „Władcy pierścieni” wypuszczonej do kin z okazji dwudziestolecia nakręcenia filmu. Kolega kłobuka zerknął w tamtą stronę i wykrzywił się pogardliwie.

Cholerne Importy. Wszędzie ich pełno.

A my bez roboty... ile to już lat? — westchnął melancholijnie sekundant. — Kiedy to ostatni raz wyszła zainspirowana przez nas książka, film, gra czy co tam *jeszcze?* Co, Korman?

Wiesz *przecież*, że te wydawnictwa są przez nich zupełnie opanowane — odparł sucho kłobuk.

— Wepchnęli swoje łapska głęboko, oczarowali ludzi i teraz wszyscy się wzorują na nich. Nawet Oberon. Jak sądzisz, dlaczego nadali mu takie imię? No dobra, gramy.

Importy? — szepnąłem do Rumcajsa, podczas gdy sekundant Kormana odstawiał święty taniec turlaczy. Domowik machnął ręką, aby mu nie przeszkadzać.

Kłobuk wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki złożony we czworo połówki papier w foliowej koszulce.

— Poświadczony notarialnie przedwojenny akt własności mieszkania na Złotej.

Sądząc po błysku w oczach kolegi Kormana, musiało być to coś cennego. Mieszkanie w jednej z tamtejszych kamienic? Niedawno je remontowali.

Rumcajs ostrożnie położył małą foliową torebkę zawierającą mnóstwo białawych, półprzezroczystych kryształków. Sekundant kłobuka nie mógł się powstrzymać i zaklął kwieście.

Oż taka twoja przez most Kierbedzia w te i z powrotem ganiana. — Korman uniósł torebkę pod światło lampy. — Skąd ty to masz?

Z Wieliczki, a skądże by indziej? — Rumcajs wzruszył ramio nami. Choć starał się zachować pokerową twarz, widać było, że reakcja tamtych sprawiła mu przyjemność. — Możesz sprawdzić. Żadne tam brudne syntetyki odparowane z zanieczyszczonej, sło nej wody. Czysta sól.

Sprawdź — obiecał solennie kłobuk, odkładając torebkę z powrotem na blat. Obchodził się nią tak ostrożnie, jakby zawie rała stężony kwas. Jeśli Rumcajs mówił dzisiaj rano prawdę, to właśnie tak było.

Podobno znowu widziano czarne BMW — powiedział drugi z kumpli Kormana. Sekundant wzdrygnął się.

— To już nie jeżdżą wołgami ani mercami? — zdziwił się domowik. — Jesteś bardzo do tyłu, stary — odparł kłobuk. — Teraz tylko

BMW albo te japońskie cacka dla bogaczy.

Znowu zaczną się zaginięcia — rzekł ponuro sekundant Kor mana. — Pamiętacie Wyrwanta? Widziano go przy takim wozie. Spotkał go potem ktoś?

To samo było z Łabajem — wyszedł za róg kupić papierosy i cześć. Słysząc było tylko silnik i wóz śmignął, zanim ktokolwiek zdążył zapisać jego numery. Nie wiem, czy je w ogóle miał...

A może po prostu wpadł pod niego, a kierowca zwiął z miejsca wypadku?

Sekundant domowika łypnął na mnie nieprzyjaźnie.

I nie pozostała po nim nawet mokra plama?

Dobra, bracia, nie gadać, rzucać. — Kłobuk zatarł niecierpli wie ręce.

Obserwowałem Kormana uważnie i poczułem, jak ogarnia mnie coraz większe obrzydzenie. Sukinsyn był najwyraźniej uzależniony od adrenaliny. Nachalnie przyglądał się wszystkim, chłonąc każdy grymas, drgnienie powieki, mimowolny gest. Widać było, że rozkoszuje się wiszącym nad stolikiem napięciem jak Koneser filiżanką dobrej herbaty. Albo usiłował odgadnąć, co komu wypadnie. Niewykluczone, że jedno i drugie.

Z kamienną twarzą Rumcajs rzucił osiemnastkę. Przy takim układzie mogłem tylko liczyć na cud. Kłobuk chuchnął na kości i cisnął je zamaszystym gestem.

Ostro grasz — zauważyłem. Tamten spojrzął na mnie błyszczą cymi oczami, w których czaiło się uniesienie.

Bez tego nie ma zabawy — powiedział, zbierając je drżącą z emocji ręką. — Dopiero czuję, że żyję.

Odetchnął głęboko i spojrzął mi w oczy.

Prawdę mówiąc, trochę się wam dziwię. Macie w sobie tyle fajnych substancji... endorfina czy adrenalina na ten przykład. Nie rozumiem, na co wam jeszcze te wszystkie alkohole, dragi... nie doceniacie tego, co macie.

Przyzwyczailiśmy się — mruknąłem, starannie maskując obrzyżenie. U Kormana ucłowieczenie posunęło się stanowczo za daleko.

Rzuciłem, przed oczami zamigotała mi masa ciemnych kropek. Dwadzieścia pięć. Kartka powędrowała do mnie.

— Moje gratulacje — powiedział Korman, szczerząc poźółkłe zęby.

— Właśnie stałeś się właścicielem Sali Kongresowej.

Rumcajs sapnął z irytacji, nie wiadomo, co wkurzyło go bardziej

— wredny numer kłobuka czy też moja naiwność. Swoją drogą mogłem się domyślić...

Obejrzałem papier. Trzydziesty ósmy rok. Gdybym się zakrzę—nął i opłacił pośrednika, mógłbym opchnąć go na sieciowej aukcji antykwarycznej jako ładną pamiątkę.

Kłobuk przeprosił, wyjął z kieszeni komórkę.

Cholerne trolle — warknął, wciskając klawisze. — Wszędzie się wcisną.

Właśnie, trolle w komórkach, elfy w czekoladzie, krasnoludy w... same, kurde, Importy! A my nawet własnej nazwy nie mamy — stwierdził melancholijnie jeden z towarzyszy kłobuka.

Fakt... Etnografowie nazywali ich „istotami demonicznymi niższego rzędu”. Nikt by nie polubił takiego określenia. Kiedy tydzień temu ktoś nazwał czarnuchem burmistrza megapleksu Bay Area, weterana Czarnych Panter, w dystrykcie Los Angeles do tej pory nie mogą doliczyć się trupów.

Tak naprawdę nigdy jej nie mieliśmy — poprawił Rumcajs, potrząsając kośćmi. — Domowiki to domowiki, utopce to utopce i tak dalej... byliśmy sami i nie było potrzeby z nikim się gryźć, by się nazywać.

Nie? — zdziwił się teatralnie kłobuk. — To z kim ja się tyle lat tłukłem na Warmii? Koboldy, choboły, jedna zaraza. Ani z takim pogadać, ani się napić, tylko w mordę przywalić. Do tej pory wystawiają je sobie szkopy w ogródkach. A te brodate kurduple, co przyływały długimi łodziami, pamiętasz?

Słuchałem tych pogaduszek, a przed oczyma stawali mi rozmaici goście naszej redakcji, którym w niepojęty sposób udało się przedrzeć przez ochronę. Widać teorie spiskowe pieniły się bujnie również tutaj. Nie mogłem jednak wykluczyć, że mówią prawdę... w końcu kilka dni temu sam nie przypuszczałem, że będę grał w kości z jakimiś domowikami i kłobukami pośród całego tłumu przeciętnych inaczej. Może *rzeczywiście* Rumcajs nie powiedział mi wszystkiego...

postanowiłem to sprawdzić prostym, w miarę neutralnym pytaniem.

— A czy któryś z panów — spytałem jakby od niechcienia — spotkał takiego Importa w rzeczywistości? A może widział tylko na ekranie komputera lub telewizora?

Nad stołem zapadła ciężka cisza. Ręka, w której kłobuk trzymał kości, zawisła w powietrzu. Cała czwórka popatrzyła na mnie dziwnie. W końcu sekundant kłobuka wycedził uprzejmie:

Chcesz powiedzieć, że kłamię?

Bynajmniej...

Nie udawaj, że nie wiesz, o co chodzi. — Tamten pochylił się ku mnie. — Zakładasz, że skoro żadnego z nich nie można zobaczyć, to nie istnieją? Nas też normalnie nie widać... a jednak nie możesz zaprzeczyć, że istniejemy, nie?!

Uspokój się, Dryśła — wtrącił pobłażliwie kłobuk. — Ten pan rzeczywiście może nie wiedzieć, o co biega.

Znowu poczułem na sobie świdrujące spojrzenie.

— Prawda jest taka — ciągnął Korman — że te france rzeczywiście istnieją. Nie widać ich, ale to nie znaczy, że nie widać ich działań. Atakują nas z ukrycia, a im mocniej będziesz starał się je odnaleźć,

tym bardziej się zamaskują. Niemniej podawanie ich istnienia w wątpliwość to błąd, poważny błąd... i to podwójny. Zobaczyłem w jego oczach niedobry błysk.

— Po pierwsze, ktoś, kto bagatelizuje ich istnienie, zarzuca, że mój dobry druh, Dryśła, powiedział nieprawdę. A jak powszechnie wiadomo, Dryśła nigdy nie kłamię. Tym samym zasugerował pan, że uczyłowieczył się do tego stopnia, iż zaczął łąać. Nam, jego przy jaciołom, nie wypada takich rzeczy słuchać spokojnie. Po drugie, ktoś, kto podaje w wątpliwość istnienie Importów, a już zwłaszcza człowiek, łatwo może zostać tutaj uznany za ich wysłannika, który w ten sposób osłabia naszą czujność i nas, istoty wiernie służące swojej królowej Goplane, prawdziwej pani tej ziemi.

Pokręciłem z podziwem głową. Takiej przemowy nie powstydziliby się żaden dyrektor korporacji... ani żaden z moich braci.

Daruj sobie, Korman — powiedział Rumcajs, siląc się na spo kój. — Ty nie wierzysz w to, co mówisz.

Przeciwnie. — Kłobuk machnął papierosem w stronę domo— wika. — Wierzę, i to głęboko. Nie grozę twojemu kumpłowi, stary. Tylko ostrzegam, aby jako gość nieznanący tutejszych obyczajów nie chlapnął czegoś, co go może sporo kosztować. Sądzę, że ta rada przyda się także tobie. No dobra, pobawiliśmy się, a teraz zagramy na poważnie.

Korman położył na stół kilka związanych razem traw, z wplecionymi w nie koralikami.

— Wchodzimy z tym nawęzem. Robi to samo co ten, który dałem ci po południu, ale jest świeży. Możesz go sprawdzić, jeśli chcesz. A wy co dajecie?

Rumcajs westchnął ciężko i rzucił na stół zasuszony palec, należący chyba do młodego strusia. Po raz pierwszy poczułem, jak piwo podchodzi mi do gardła.

No, to są chyba jakieś jaja! — zachnął się Korman. — I co ja mam z tego zrobić? Rosół na kościach?

Palec z nogi bannika mieszkającego kiedyś w łaźni carskich koszar — wyjaśnił krótko domowik.

— Osobiście drania ukatrupi łem, bo zabił dwie posługaczki, które nie wiedziały, jak się wobec niego zachować. Jako talizman się sprawdza.

W pełnej skupienia ciszy kłobuk wyrzucił dwadzieścia. Jego sekundant piętnaście. Rumcajs osiemnaście.

— Dawaj, stary — powiedział domowik. Starał się udawać, że nic go to nie obchodzi, ale słabo mu to wychodziło.

Wziąłem głęboki oddech, potrząsnąłem przez chwilę kośćmi i rzuciłem. Cztery grzecznie poturlały się po stole, za to z piątą stało się coś dziwnego. Potoczyła się po gładkim blacie, odbiła się od jednej ze swoich sióstr, podskoczyła na innej i wreszcie się zatrzymała.

Dwadzieścia dwa.

Wygląda na to, że przegraliście — powiedział Rumcajs, wycią gając rękę po nowy nawęż.

Zara, nie tak prędko — warknął Dryśła. — Widziałeś, co się stało z kością. Gość ma złe oko.

Złe oko, jak nic. — Pokiwał głową jego kumpel.

Co ty pieprzysz? — spytał zdumiony domowik. — Jakie złe oko? Przecież gdyby je miał, wygrałby wcześniej!

Korman podniósł głowę. Jego spojrzenie nie wróżyło nam nic dobrego. Zachowywał się jak kowboj, który odkrył, że ktoś z graczy kantuje. A ja poczułem, że mnie wrabiają. Jedną z najprostszych metod: zwalić oskarżenie na kogo innego. Ani ja, ani Rumcajs nie jesteśmy w stanie udowodnić, że nie jestem wielbłądem. Domowik siedział spięty, jego oczy przeskakiwały od jednego elfa do drugiego. Widziałem, jak drżą mu mięśnie szczęki.

Mogłem się tego po tobie spodziewać, człowieku — rzekł po woli kłobuk. — Widziałem już takie *rzeczy* po karczmach i auste riach, kości wirują i ustawiają się tak, jak chce ten, co je rzucił. Ale nie jestem jakimś borutą, co to go byle chłopiek może okantować, siedzę tu już zbyt długo. Coś czuję, że chyba sobie przypomnisz stare substancje, do których podobno się przyzwyczyłeś, kolego. I ty też — zwrócił się do domowika — jeśli masz już to szczęście.

Walę takie szczęście — warknął domowik, zaciskając dłoń na krawędzi blatu. Wyglądał, jakby lada moment chciał cisnąć stołem w swojego rozmówcę. — Idziemy stąd. Zatrzymaj sobie wygrane, Korman. Mogą ci się jeszcze *przydać*.

Rzuciłem na stół dokument. Spodziewałem się, że nas zatrzymają, że wyduszą z nas ostatni grosz, a w ostateczności spuszcza łomot. Nie zrobili tego, tylko Korman uśmiechnął się dziwnie. Kłobuk po prostu nie chciał oddać Rumcajsowi nawężu zgodnie z prawem, a teraz jeszcze dorzucił oszukiwanie przy grze, prędzej czy później zechce się za to dobrać Rumcajsowi do tyłka. Sam nie wiedziałem, co gorsze.

Wyszliśmy z lokalu na rozgrzaną ulicę. Robiło się coraz ciemniej, zaczęły zapalać się latarnie i światła w oknach domów. Niebo miało kolor ekranu telewizora wyrzuconego na śmietnik.

Czy ja ci nie mówiłem — Rumcajs starał się mówić spokojnie, choć w środku aż się gotował — żebyś uważał na język?

Chcieli nas zrobić.

A ty się podłożyłeś! Po cholere pytałeś o Importy?!

A dlaczego nic mi o nich nie powiedziałaś?! Czy one w ogóle istnieją, tak jak wy?!

Rumcajs zagryzł wargi.

Cholera ich tam wie... — przyznał niechętnie. — Ale patrząc na to, co się z nami dzieje, gotów jestem uwierzyć, że rzeczywiście to wszystko jest ich sprawką.

No pięknie — zirytowałem się. — Skąd mogłem wiedzieć, że to im wystarczy za pretekst?!

Może ty to potrafisz, ale ja nie czytam w myślach! Przecież widać było, że nie mam złego oka!

Powinieneś mi pomóc! W końcu kto z nas jest tu domowikiem?! Na coś ty w ogóle liczył, zgadzając się na tę partię?! Wiedziałeś przecież, do czego jest zdolny!

Na jego słowo i honor! — wybuchnął Rumcajs. — Skoro wywo łał na sędziego naszego sporu Los, to powinien uszanować jego wyrok! A on... sam widziałeś! Ale Los nie lubi takich numerów, marnie facet skończy. A ja zamierzam się do tego przyczynić. Masz rację, powinienem we właściwym momencie cię kopnąć. Nie spodziewałem się, iż Korman aż tak się ucłowieczy. Jego nawęzy były porządne, nikt się na nich nigdy nie przejechał. Widać docenił zalety masowej produkcji badziewia...

Chcesz powiedzieć, że on nie tylko pośredniczył, ale i sam produkował?

Pewnie! Ale teraz przegiął... Nie puszcę tego płazem.

Mam nadzieję, że nie będą chcieli cię z tego powodu uciszyć...

Zaraz się przekonamy — odparł domowik. — Idą za nami. Pociągnął mnie w bok, kątem oka zdążyłem tylko dostrzec trzy

kolorowe plamy, z których jedna bardzo przypominała Kormana. Znaleźliśmy się w wąskiej, cichej uliczce, wolno pnącej się do góry, ku zamykającemu perspektywę skwerkowi i porośniętej drzewami skarpie, gdzie czerniły się budynki uniwersytetu. Większość domów stanowiły tu albo nowoczesne plomby, albo odnowione pudełka. Miałem nadzieję, że może zobaczę ochroniarzy, ale oni zapewne oglądali właśnie mecz. Spotkanie wymiotło z ulic wszystkich; nie kręcił się tu nawet pies z kulawą nogą. Tylko rynsztokiem płynął sobie z szemraniem mały potoczek mający źródło w przeciekającym hydrancie.

Rumcajs krytycznie przyjrzał się zamontowanym kamerom i bramom z solidnych prętów założonym przez zapobiegliwe wspólnoty mieszkańców.

— Nawet schować się nie ma gdzie...

— Dziwisz się? — spytałem, rozglądając się nerwowo. — Ja też odwracam głowę, kiedy ktoś woła „ratunku”.

Domowik pociągnął mnie za rękaw: wcisnęliśmy się między ścianę budynku a kontenery na śmieci. Śmierdziało tu strasznie, w tym upale wszystko rozkładało się szybciej, niż powinno. Cholera, jeszcze niedawno w tej marynarce byłem na wieczorku poetyckim, teraz ląduję w śmietniku... staczam się coraz niżej.

— Dobra, zobaczymy, czy to przypadek — powiedział Rumcajs i wystawił głowę na zewnątrz. Przez długą, pełną napięcia chwilę obserwował przecnicę. Bardzo chciałem, aby Korman i jego kompania po prostu szli na kręgle w podziemiach bi blioteki uniwersyteckiej. Odruchowo klepnąłem się po kieszeni marynarki i wymacałem dziwny kształt. Solniczka. Na śmierć o niej zapomniałem. Wyciągnąłem ją z kieszeni i odkręciłem sitko. Nikt, człowiek czy elf, nie będzie zdolny gonić nas z solą w oku.

Rumcajs cofnął się i zobaczył, co trzymam w dłoni.

— Po co to wzięłeś?

— Na koleśi Oberona, gdybym się spóźnił i musiał ci pomóc inaczej niż słowem.

Domowik ze zmarszczoną brwią patrzył to na mnie, to na drugą stronę ulicy.

— Chodź.

Spokojnym krokiem przeszliśmy przez jezdnię i ruszyliśmy pod górę, co chwila rzucając za siebie czujne spojrzenia.

Może nas zgubili — zasugerowałem.

Nie wierzę w to. — Domowik pokręcił głową.

W pewnej chwili coś kazało mi się obejrzeć. Korman i jego ziomale właśnie pojawili się w uliczce. Z miejsca puścili się ku nam biegiem.

Domowik rzucił się w stronę ciekącego hydrantu. Szarpnięciem otworzył drzwiczki, chwycił zawór i pociągnął z całej siły. Szło mu ciężko, bo kran pewnie od dawna nie był używany i wszystko musiało skleić się na amen. Klął pod nosem i napinał ramiona, aż pojawiły się na nich żyły. Wyglądał na poważnie zdenerwowanego. Chyba rzeczywiście mieliśmy kłopoty.

— Po cholerę to robisz?

— Woda — wydyszał. — Nie... przejdą. Masz chusteczkę? Podałem mu złożony we czworo kwadrat z czystego chińskiego

jedwabiu. Dostałem ją od brata, kiedy wrócił z targów w wolnej strefie ekonomicznej pod Pekinem. Rumcajs owinał ją wokół za—tyczki i zakręcił. Pocięło mocniej.

Coś z szumem przeleciało nad naszymi głowami i poturlało się z brzękiem po chodniku. Była to krótka pałka, z jednego końca węższa, z drugiego szeroka jak moja pięść. Nie wątpiłem, że była też obciążona ołowiem.

— Gazu! — krzyknąłem do Rumcajsa.

— Kręć dalej! — warknął domowik. Oderwał się od kranu, pod niósł rzuconą pałkę, zakręcił nią parę razy. Twarz miał czerwoną, brwi ściągnięte, na skroniach widziałem pulsujące żyły. Bardziej przypominał teraz rozwścieczonego krasnoluda niż opiekuńczego ducha domowego.

Złapałem chusteczkę i pociągnąłem z całą siłą, jaką dala mi adrenalina. Chiński jedwab cudem nie pękł mi w dłoni, za to

zawór nieco puścił, woda pociekła mocniej. Tamci byli coraz bliżej, widziałem płonące żądzą walki oczy, zaciśnięte pięści, wyciągnięte nie wiadomo skąd krótkie pałki. To było gorsze niż tamte gnojki na osiedlu; oni nie mogli zabić nas krzykiem ani sparaliżować dotknięciem. Serce waliło mi jak młotem, chciałem rzucić to wszystko i wiać, ale wiedziałem, że już za późno, nie zdążę...

Już miałem sięgnąć po solniczkę, kiedy zawór puścił z głośnym zgrzytem. Strumień śmierdzącej chemią wody chlusnął z olbrzymią siłą na rozpalony chodnik, popłynął w stronę elfów, rozlewając się po jezdni szeroką, rwącą rzeką.

Rumcajs odetchnął z ulgą i wyciągnął dłoń.

— Solniczka — wydyszał rozkazująco.

Odkręciwszy wieczko, zamaszystym gestem wysypał sól do wody. Pierwszy nadbiegł Dryśła, usiłował zahamować, ale woda była szybsza, podeszła mu pod nogi. Zaklął głośno i dałbym głowę, że słyszałem w jego głosie autentyczne przerażenie. Odskoczył do tyłu jak oparzony, byle dalej od rwącego żywiołu. Pozostali zdążyli się zatrzymać i usiłowali przeskoczyć na chodnik, ale i tutaj woda lała się już szerokim strumieniem. Zaczęli się powoli cofać, spoglądając to na nas, to na rwący potok. Twarz kłobuka wyglądała jak maska demona. Prawdziwa natura na chwilę wzięła w nim górę nad ucłowieczeniem.

Jeszcze cię dopadnę! — rozdarł się, zagłuszając nawet dobiegający zza okien entuzjazm tłumów na stadionie. — Pożałujesz, że cię matka urodziła!

Przecież ja nie mam matki — zdziwił się teatralnie Rumcajs. — Może tu chodzi o ciebie, Adaś?

Oby nie — odparłem z głębi serca. — Oby nie.

W oknie naprzeciwko pojawiła się głowa, gdzieś za firanką mignęła czyjaś twarz... do ludzi wreszcie dotarło, że na ulicy coś się dzieje. Klepnąłem domowika po ramieniu, pobieглиśmy ku skarpie, wyrzuciwszy pałkę do śmietnika. Korman nie był przecież idiotą, mógł obejść naszą zaporę podwórkami lub sąsiednią ulicą. A jeśli nagrała nas któraś z kamer, to byliśmy ugotowani. Gliny może pozwoliła przyschnąć *afery* łapówkowej na pięć milionów euro, będą ślepi na wycinanie bezdomnym narządów na

przeszczepy i zabójstwo podręcznej, ale niszczenia publicznego mienia nie darują.

Jak na złość, nigdzie w pobliżu nie było ani jednej taryfy, która pozwoliłaby nam ulotnić się z niebezpiecznej strefy. Szybkim krokiem przeszliśmy między siedzącymi na skwerku menelami.

Nie wiem, czy jeszcze kiedyś będziesz mógł się pokazać w tym lokalu — powiedziałem, odrzuciwszy ofertę kupna srebrnej zapalniczki zippo.

I tak w najbliższym czasie się tam nie wybieram — wzruszył ra mionami domowik. — Dopóki nie udowodnię, że ten drań fałszuje nawęzy. Wszyscy wiedzą, że o kant tu równie łatwo co o wróbla farbowanego na kanarka, ale są granice. Jeśli mi się uda, to tak mu dupę obrobuję, że nie będzie się mógł nigdzie pokazać.

Dotarliśmy do skarpy, zaczęliśmy wspinać się po kamiennych schodach. Obok starego ujęcia wody, zwieńczonego głową lwa, jakiś bezdomny starannie mył zęby. Wśród drzew

przekrzykiwały się ogromne stada gawronów, które właśnie wróciły do gniazd.

— To już chyba wchodzi mi w nawyk — mruknąłem, oglądając się za siebie na szczycie schodów.

—Co?

Uciekanie... z twojego powodu.

O nie, stare metody jeszcze się czasem sprawdzają. Mamy chwilę spokoju. Muszę zebrać dowody, by załatwić Kormana na dobre.

A Oberon?

Nie bój się, cały czas o nim pamiętam.

Rozdział siódmy

Rankiem domowik umył się starannie łapą, zjadł resztkę wczorajszej kaszy i wyruszył sprawdzać kolejne miejsce, gdzie być może przebywa Oberon. Nie dałem się nigdzie wyciągnąć. Chciałem pobyc sam.

Usiadłem sobie w przyjemnie cienistej kuchni i popijając wy—studzoną herbatę, odrabiałem zaległości w niusach. Podczas korków, karamboli i zamieszek związanych z powrotem do miasta zginęło pięć osób, a dwadzieścia przedłuży sobie urlop o pobyt w szpitalu. Niektórzy z nich pewnie w panice rzucili się do roboty, gdy tylko odzyskali przytomność. Doczekałem się też potwierdzenia niewesołej prognozy, którą zawarłem w swojej analizie. Przez wojnę serbsko—macedońską Unia wdepnęła w najgorszy kryzys od momentu powstania. Przywódcy obu państw przeprowadzili się do Brukseli i pewnie już dawno byłoby po wszystkim, gdyby nie różne wpływowe oszołomy z obu stron, gotowe prowadzić walkę do zwycięskiego końca. Oddziały najmowane przez obie strony dogadały się i rządziły na górskim pograniczu, żyjąc ze szmuglowania wszystkiego, co dawało się przemycić. Mówiono

o wysłaniu naszych chłopaków w ramach misji ONZ, ale jak na razie rząd udawał, że o niczym nie wie. O skandalu z Krzekowskim

i jego podręczną ani słowa. Najęci przez niego szamani pijaru pewnie już pracowali nad wyciszeniem sprawy.

Rumcajs nie kłamał, elfy rzeczywiście pędziły dość nędzny żywot. Sama myśl o „Balladynie” sprawiła, że się wzdrygnąłem.

Najgorsza w knajpie była atmosfera: tam siedzieli goście, którzy wiedzieli, że w ich życiu nic się już nie zmieni, i czekali tylko na śmierć. Więcej nadziei jest już chyba w więzieniu. Nic dziwnego, że domowik zwrócił się o pomoc do ludzi, a nie do swoich braci. Przypomniałem sobie opowieść, którą uraczył mnie na Woli: niegdyś tak nie było. Na początku ucłowieczenia zachowali jeszcze resztki poczucia solidarności, współpracowali ze sobą, aby pomóc człowiekowi... możliwe, że Rumcajs samym faktem bycia przy swojej rodzinie pomagał jej zaadaptować się do życia w mieście. W pamięci zamajaczyły mi nudne ramotki czytane w szkole — dla ówczesnych przeprowadzka do miasta musiała być równie trudna, jak dla nas przeprowadzka na chińską wieś. Punkt dla domo—wika, że z nimi został... Czyżby jednak ciche współzycie z ludźmi i odwalanie swojej roboty, co od początku robiła Goplana, było najlepszym wyjściem? W takim przypadku najazd Oberona i jego chłopaków na ten świat, zgodnie z przypuszczeniami Rumcajsa, narobiłby więcej szkody niż pożytku. Nie wierzyłem, żeby ludzie nagle z radością zaczęli stawiać na powrót święte gaje, maść je kwieciami i pędem znosić ofiary. Prędzej puściliby na Oberona ateków albo przynajmniej zgnębili kontrolami skarbowymi.

Myśląc jednak w ten sposób, trzeba wcześniej założyć jedną drobną rzecz: że domowik nie kłamie.

Znowu przypomniały mi się wątpliwości, męczące mnie po pierwszym spotkaniu z Rumcajsem,

aż musiałem się opędnąć od tych uporczywie nawracających myśli. Jeśli założymy, że to prawda, wtedy nie pozostaje mi nic innego, tylko uznać metodę działania Goplany za słuszną, a Oberonowi trzeba wybić ze łba pomysł inwazji — czy co tam wymyślił — i przekonać go, by lepiej zajął się żoną i swoimi poddanymi. Biorąc pod uwagę to, co widziałem wczoraj, słowa Rumcajsa zyskiwały na wiarygodności...

Ciekawe, czy Oberon rekrutuje dostawę *rzeczy* z Tamtej Strony, podtrzymując elfy przy życiu, czy też raczej przez swoich agentów stara się trzymać poddanych Goplany w błogiej nieświadomości. Ja bym tak zrobił... co wcale nie znaczy, że on zachowa się tak samo. No chyba, że wyczytałby o czymś takim w książce lub czasopiśmie czy zobaczył na filmie. Nie bardzo wiadomo,

jak tego faceta odnaleźć... Skoro jest tak dla Rumcajsa ważny, trzeba by opracować konkretny plan. A do tego potrzebowałem więcej danych. Oberon rozkręcił własną firmę... warto zatem się jej przyjrzeć. Dokładnie, nie tylko przez pryzmat rejestru firm i sieciowych serwisów. Wygrzebać dane, którymi wymieniają się grube ryby i konkurencja. Najlepiej będzie spytać Piotra; nie ma to jak najstarszy brat na wysokim stanowisku. Przez chwilę rozważałem, czy nie złapać któregoś z agentów Oberona i nie zmusić, aby doprowadził nas do szefa. Niestety, do przymuszania ręcznego niezbyt się nadawałem, a do przymuszania jako dziennikarz musiałem mieć dobrą okazję, której brakowało. Wątpiłem zresztą, żeby Oberon zechciał z nami rozmawiać na takich warunkach. Przyciśnięty — mógłby stać się jeszcze bardziej niebezpieczny.

Przez parę chwil dokonywałem karkołomnych akrobacji logicznych, aby się nie poddać i nie uwierzyć w to, co widziałem, jednak cholerne myśli nie dały się tak łatwo odpędzić. Znowu powróciła teoria show, znowu stawiałem sobie pytanie, czy to wszystko, co mnie wczoraj spotkało, nie było ustawione. A jeśli to rzeczywiście jakieś poważniejsze zamieszanie? Czy gliny przydzieliły mi mieszkanie i ochronę, a może nawet operację i zmianę tożsamości? Ta myśl przyprawiła mnie o dreszcz strachu: mimo wszystko byłem zbyt przywiązany do domu i rodziny, aby ryzykować. W końcu nie wszystkie tajemnice oglądają światło dzienne, niektóre spoczywają nietknięte aż do tej pory, a osoby mogące coś powiedzieć czekają na odpowiednią chwilę, gdy sprawa albo przyschnie, albo zyskają ochronę ze strony konkurencji. Nie chciałem spędzać reszty życia pod innym nazwiskiem, mieszkając w domu—fortecy, bojąc się własnego cienia.

Spojrzałem na zalaną słońcem osiedlową uliczkę, po której niespiesznie spacerował ochroniarz w grubej, kuloodpornej kurtce i nieco oprzytomniałem. Korporacyjna afera? Jaka? Dlaczego w takim razie nie padła jeszcze żadna nazwa ani nazwisko? Na takie zamieszanie za wiele tu przypadku, za mało planowanego działania. Nikt, kogo na razie spotkałem, nie pasował na korporacyjnego tajniaka czy agenta. Chyba za bardzo się w to zaangażowałem... powinienem nabrać dystansu. Zacząć funkcjonować po staremu.

Dosyć dumania, dosyć łączenia dziwacznych faktów i kombinowania, uciec od tego jak najdalej. Czekać na dalszy rozwój wypadków i *znaleźć* sobie furtkę, dzięki której będzie można się w razie czego wycofać. Decyzji tej towarzyszyło jednak niejasne uczucie, że tak naprawdę do niczego nie doszedłem. Póki się nie dowiem, czy to prawda, czy fałsz — sprawa nie zostanie rozwiązana. Jednak wczorajszy dzień nie pozwolił tak łatwo o sobie zapomnieć. Niespodziewanie przy śniadaniu z owocowego jogurtu przypomniałem sobie o zaginionej południcy—podręcznej i Kaście. Niezależnie od tego, kim była ofiara, to by ją mogło zainteresować, zwłaszcza gdyby okazało się, że panna miała powiązania z Krzekowskim. Przez chwilę rozważałem, czy nie wystarczyłaby krótka informacja przez telefon czy Sieć, jednak wybrałem inne wyjście. Raz, że łączy w naszej firmie miewały uszy, dwa, byłem jej winien flaszkę za zakład, trzy, pragnąłem zrobić coś normalnego, co nie miałoby związku z Rumcajsem i elfami. Chciałem udać się w miejsce, gdzie słowo „import” będzie miało swoje zwykłe znaczenie.

Próbowałem zadzwonić do Piotra, ale mój najstarszy brat jak zwykle miał akurat cholernie dużo roboty i nie wiedział, do której potruwa zaplanowana na dziś nasiadówka. Jak zawsze, kiedy czegoś od niego chciałem, kazał zadzwonić za kilka godzin. Zakręciłem więc do Goplany, pragnąc się z nią spotkać i zadać kilka pytań. Na ekranie wideofonu pojawiła się wspaniale zaprojektowana interaktywna sekretarka, od której dowiedziałem się, że pani Mroziewicz jest dzisiaj na aukcji i przez cały dzień będzie nieosiągalna. Opuściłem sobie, gdy usłyszałem nazwę lokalu. Na aukcję w sponsorowanej przez Farmę Fundacji Krzewienia Kultury Polskiej na pewno mnie nie wpuszczą bez zaproszenia.

Chowając marynarkę do szafy, wyjąłem z kieszeni pustą sol—niczkę. Wrócił strach z wczorajszego wieczoru, podobny do tego, jaki pozostaje po obudzeniu się z sennego koszmaru. Przez chwilę zastanawiałem się, jakie są możliwości kłobuka i czy Dryśła oraz ten drugi to jego jedyne wsparcie. Jak dalece jest w stanie nam zaszkodzić? Co prawda domowik uspokajał mnie rano, że Korman może nam nagwizdać, ale to mnie nie przekonało. Już parę razy jego ocena sytuacji rozminęła się ze stanem faktycznym i nie miałem ochoty jeszcze raz się o tym przekonywać. Napeliłem solniczkę i postawiłem na stole, aby nie wyjść bez niej z domu.

W łazience zerknąłem do lustra i sięgnąłem po maszynkę. Może i wśród poetów oraz znajomych Rumcajsa wolno było pokazywać się z dwudniowym zarostem, ale nie w mojej redakcji.

Siedziba prasowa MediaGruppe wznosiła się niczym duża błękitna puszcza w Alejach Jerozolimskich, niemal na granicach miasta, między biurkami Budchemu i Poltonu. Znudzony upałem ochroniarz w budce przy bramie sprawdził moją legitymację i taksówka zajęła przed główne wejście otulone półkolistym, jasnoniebieskim daszkiem ze sztucznego tworzywa. Z ulgą wysiadłem z samochodu: kierowca, repatriant z Kazachstanu, przez całą drogę śpiewnym językiem przekonywał mnie o kretyńskim poziomie leżącego na siedzeniu obok brukowca. Nie sposób było się z nim nie zgodzić, lecz żeby było śmieszniej, ów brukowiec wydawała właśnie MG. Najwyraźniej nie zadał sobie trudu, aby zajrzeć do stopki, i do końca nie pojął, jak ślicznego babola strzelił.

Jak zwykle przed wejściem kręciło się kilku oszołomów, którzy liczyli, że najskuteczniej załatwią swoje sprawy osobiście; znowu musiałem odmawiać szepczanym prośbom o zabranie do redakcji „bardzo ważnych dokumentów”. Ochrona była na takich osobników dość wyczulona i kiedy tylko zauważała, że ktoś nagabuje pracowników, natychmiast wywalala delikwenta z budynku. Jeszcze tylko kontrola w bramce przy drzwiach i już znalazłem się wśród klimatyzowanych, skąpanych w słońcu białych ścian siedziby prasowej części MediaGruppe.

Wysiadłem z cichej windy na trzecim piętrze. Redakcja „Przeglądu Tygodnia” zajmowała kilka pokoi w lewym skrzydle; większość roboty i tak była odwalana przez łączki. Podłogę okrywały chodniki w kolorze miodu, a ściany utrzymano w barwie delikatnej żółci. Na korytarzu wisiały fotografie oficjeli, którzy kiedyś

raczyli *zaszczycić* nas swoją obecnością. Za jakiś czas zaczną, z braku miejsca, wymieniać stare fotki na nowe.

Kierowałem się właśnie do działu ekonomicznego, kiedy z pokoju gospodarczego wyrzwał Stasio, zwany Buddą z powodu dużego i ciężkiego kolczyka, wydłużającego mu ucho. Był nieprawdopodobnie wprost cwany i odcytany, ale miał jedną wadę: uwielbiał robić z siebie chama i prostaka, *zachwycać* się każdym najnowszym trendem i podkreślać jego *zalety*. Liczba osób, które się na tym nie poznały i rzeczywiście uznawały go za takiego, szła w dziesiątki, jeśli nie setki. Na szczęście w dziale kultury taka pozerka nie była cechą utrudniającą wykonywanie zawodu. Wręcz przeciwnie, wśród artystów Stasio cieszył się opinią rozkosznego enfant terrible i proszono go na wszystkie możliwe imprezy.

— Salaam pax, bracie — powiedział, błyskając śnieżnobiałymi wszczepami zamontowanymi w dziąsłach. W dłoni trzymał pa rujący kubek ze swoją ukochaną kawą zbożową. — Dobrze, że ciem widzem...

Skrzywiłem się uprzejmie i czekałem, co będzie dalej.

...przylazł jakiś korp, koniecznie chciał się zobaczyć z kimś z działu ekonomicznego. Jesteś jedyny, reszta ludzi siedzi na konferencjach...

Jakim cudem przepuścili faceta przez bramkę?

To doradca inwestycyjny.

Zmlełem w ustach przekleństwo i postanowiłem przy najbliższej okazji powiedzieć sekretarzowi redakcji, co o tym myślę. Ostatnio znowu tych drani namnożyło się ponad normę: non stop przypuszczali szturm na nasze kieszenie, namawiając do kupienia pakietów akcji mniej lub bardziej podejrzanych spółek. Po ostatnim najeździe przedstawiciele kilku agencji dostali *zakaz* wstępu do budynku, a wiadomości od innych wymiatały z naszych serwerów programy antyspamowe. Próba odwetowego włamania się na serwer „Przeglądu Tygodnia” skończyła się w sądzie, choć po zeznania wykonawców zlecenia prokurator latał do Chin, Finlandii i na Malaje.

Budda łyknął swojej lury, skrzywił się niemiłosiernie i cofnął do kanciapy. Korzystając z okazji, po cichu wszedłem do pokoju

kulturalnych, który miał połączenie z pomieszczeniem ekonomistów, i zerknąłem przez otwarte drzwi: faktycznie, siedział tam obrócony plecami do mnie krótko obcięty szatyn w jasnej marynarce zestawionej z ciemnymi spodniami i kontemplował wiszący nad jednym z komputerów wydruk antyreklamy. Był to fotomontaż przedstawiający zrzucającego bomby sztukasa z podpisem „Jun—kers: ciepło, które polubisz”. Nasz szef uwielbiał zbierać z Sieci takie kawałki: odgrażał się, że kiedyś opublikuje je w formie albumu na naszym serwerze albo jako primaaprilisowy dodatek do pisma. Najdziwniejsze było to, że gość siedział zupełnie spokojnie: żadnego machania nogą, spoglądania na zegarek czy bębnienia palcami, jak to zwykle bywało. Sprawiał wrażenie osoby, która posiada cały czas tego świata i jest skłonna tak siedzieć do jego końca i o jeden dzień dłużej.

Nie wiem, co mnie podkusiło, aby przechylić głowę i popatrzeć z ukosa. Kiedy zobaczyłem wokół niego jasną aurę, serce gwałtownie podeszło mi do gardła. Cofnąłem się na korytarz, gotów w pierwszym odruchu uciekać stąd, nie oglądając się za siebie. Oberon wiedział o mnie i Rumcajsie, wysłał jednego ze swoich, aby w przebraniu dowiedział się, co wiem i czy stanowię dla niego zagrożenie. Pewnie jakoś otumanił ochroniarzy, by go wpuścili.

Już miałem wycofać się cicho z pokoju, ale wtedy ponownie zjawił się Budda.

Niezbyt ci się do niego spieszy, he? Wiesz, jakbyś nie mógł się go pozbyć albo co...

...wiem, cichy alarm jest pod każdym biurkiem — mruknąłem zrezygowany. Wyglądało na to, że nie opędzę się od tych elfów, a cholerny Budda mi nie popuści. Nie zapomni, że spēkałem przed byle akwizytorem.

Wszedłem do pokoju gotów na najgorsze. Co prawda *zaalarmowani* goryle znaleźliby się tutaj w dziesięć sekund, ale nie bardzo wiedziałem, do czego będzie zdolny przyparty do muru elf dysponujący pełnią sił. Słyszając moje kroki, mężczyzna odwrócił się. Wyglądał zupełnie normalnie, a w brązowych oczach nie czaiły mu się żadne dziwne błyski.

Witam pana — powiedziałem, starając się, by mój głos brzmiał spokojnie. — Podobno chciał się pan widzieć z kimś z...

Jak najbardziej — odparł, wstając z fotela. Uścisk miał mocny. Ciekawe, kim był? Jeśli to jakiś czort, to może wykołować mnie niczym grzesznika przy podpisywaniu cyrografu. — Adrian Zawik, jestem doradcą inwestycyjnym, to moja wizytówka...

Przedstawiłem się możliwie niewyraźnie i przyjrzałem uważnie białemu kartonikowi.

Wolny strzelec? — spytałem, wskazując mu krzesło i siadając na drugim, tak aby w razie czego mieć guzik pod ręką.

Owszem. Przychodzę do pana z pewną dość nietypową prośbą. Otóż chciałbym prosić pana o nieoficjalną prognozę...

Przez następne kilka minut siedziałem coraz bardziej osłupiały, walcząc jednocześnie z wszechogarniającym poczuciem ulgi. Facetowi chodziło o prognozę na temat rynku płatnych gier wirtualnych, aby najlepiej zainwestować forszę w ich akcje. Jego klient właśnie stawiał na nim pierwsze kroki. Jeszcze rano zastanawiałem się, czy uda mi się *znaleźć* jakiegoś agenta Oberona, a teraz jeden z nich podawał mi się na talerzu i z przybraniem. Wyglądało na to, że za chwilę wyświadczę jego szefowi kolejną przysługę. Facet miał szczęście, że trafił na mnie: gdyby był tu ktoś z moich kolegów lub koleżanek, gość już zjeżdżałby na dół w towarzystwie goryli.

— Chwileczkę — przerwałem. — Jeśli moja rada ma być skuteczna, muszę poznać parę szczegółów. Rzecz jasna rozumiem, że obowiązuje pana tajemnica zawodowa, ale proszę chociaż powiedzieć, czy pański klient jest osobą fizyczną, czy prawną, czy obraca dużym kapitałem i w jakiej branży działa.

Gość dostrzegł furtkę i posłusznie dał w nią nura.

— To niewielka firma, która zamierza zaistnieć na rynku wirtualnych światów do gier. Dopiero rozpoczyna swoją działalność, ale posiada naprawdę spory kapitał... powiedzmy, rzędu pięciuset tysięcy euro.

Starłem się nie pokazać po sobie zaskoczenia. Domyślałem się, że Oberon mógł wyciągnąć z Tamtej Strony złoto czy klejnoty i powolutku je upłynniać, ale takiego rozmachu się nie spodziewałem. Dobry menedżer i grupa projektantów z niezłymi pomysłami mogliby z taką forszą wylansować prawdziwy przebój.

Ciekawe... i chce wykupywać akcje swojej konkurencji? Czy mówią coś panu pojęcia w rodzaju „czarny rycearz” i „wrogie przejęcie”?

Mój klient wolałby być *raczej* szarym rycearzem.

Aha, jasne. Dobra, powiem to najbardziej zrozumiale, jak się da.

Biorąc pod uwagę, że pański klient dopiero zaczyna działać, odradzałbym zakup akcji z tej branży. Nie, żebym obawiał się praktyk monopolistycznych i tak dalej, ale po prostu dlatego, że jeśli w jego posunięciach zorientuje się lepiej usadowiona i rozwinęta konkurencja, na przykład taki Snowstorm Entertainment czy Da Geekz, to, mówiąc obrazowo, zjedzą pana klienta na śniada nie, a resztki wypchają i powieszą w sali posiedzeń rady nadzorczej. Poza tym proszę pamiętać, że rynek wirtualny jest ze względu na swoją ekspansję w stronę Głębokiej Sieci dość chwiejny i można na nim bardzo wiele stracić... — zełgałem.

To ciekawe — uśmiechnął się tamten — bo analizy giełdowe z Sieci i innych periodyków mówią co innego.

W takim razie dlaczego zwraca pan głowę mnie zamiast analitykom z konkurencji?

Przy wielu źródłach robi się szum informacyjny, który jeszcze bardziej zaciemnia obraz — zacytował. — Dlatego wybrałem niezażętego specjalistę.

No tak, w taki sposób mógł się zachowywać tylko ktoś zupełnie nieobeznany z realiami. Z nieznanymi mi powodów Oberon, zamiast sięgnąć do biblioteki, zasugerował się tytułem i wyszkolił swojego elfa na „Białych rycearzach”, przez co ten wyglądał i wypowiadał się niczym wcielenie Jonathana Sandersona. Miał nawet podobny garnitur, buty przypominające kowbojki bez cholew i telefon z palmtopem, z którego korzystał, aby notować niektóre moje słowa. Nie rzucał się w oczy tylko dlatego, że od chwili, kiedy thriller z Sandersonem wszedł na ekrany, wśród korpów średniego i niższego szczebla zapanowała moda na takie garnitury. Taki feshyn stejment: jestem młody, dynamiczny, kuty na cztery nogi

i nie dam się okantować złemu klientowi, choćbym miał przy tym stracić życie.

Udałem, że jego wypowiedź mile polectała moją próżność, i powiedziałem:

— W takiej sytuacji znacznie bardziej polecałbym kupowanie czegoś porządnego i stabilnego, co zapewni niewielki, ale regu larny przyływ gotówki. Skoro mówimy o wirtualnych światach do gier, to może wybierzmy rynek zbliżony... co by pan powiedział na branżę elektroniczną, a konkretniej części komputerowe? Systemy operacyjne i programy odradzam, bo tam znowu coś się gotuje i lada chwila parę interesów znajdzie się na krawędzi bankructwa, zresztą i tak sporo ludzi korzysta z otwartego oprogramowania.

Uruchomiłem komputer, aby zjrzeć na specjalistyczny serwis giełdowy. Zawik pochylił się na krześle. Przez jakiś czas wspólnie przyglądaliśmy się podskakującym rytmicznie słupkom wykresów.

Te dwa — wskazałem na słupki czerwony i zielony, niewy— różniące się specjalnie wśród innych i przez większość czasu pozostające w bezruchu. — Mayana z siedzibą w RPA i irlandzki Rover. Oba właściwie tak samo stabilne, choć z różnych przyczyn. Pierwszy dlatego, że trzyma go *żelazną* łapą potężny tamtejszy kacyk, korzystając z opanowanych przez siebie kopalni diamentów, a drugi dlatego, że pławi się w luksusie przepisów *szcze* gólowych irlandzkiego prawa gospodarczego i zgarnia śmietankę inżynierów i projektantów z całej Europy. Rover jest nieco bardziej nastawiony na rozwój, ma już na swoim koncie kilka drobnych, ale cennych ulepszeń, Afrykanie robią masówkę dla kompute rów na całym świecie. Wreszcie Rover ma lepsze zabezpieczenia: jeszcze żaden atak, czy to fizyczny, czy komputerowy, nie zdołał wykraść im ich tajemnic. Wybór pozostawiam panu — dodałem, choć przypuszczałem, że ogłupiały od nawału informacji elf zrobi dokładnie to, co mu zasugerowałem.

Dziękuję panu bardzo. — Zawik schował palmtopa do kieszeni marynarki. — Pańskie informacje były dla mnie wprost niezwykle cenne. Czy *zgodzi* się pan przyjąć niewielką gratyfikację...

Nie trzeba, nie są to dla ekonomisty żadne arkana...

Nie załapał, widać „Potopu” jeszcze nie przerabiali.

Gdyby pan czegoś potrzebował... — powiedział, na pożegnanie błyskając uśmiechem — proszę się nie krępować.

Rozumiem. Z pewnością nie będę. — Gdybyż facet wiedział, jak bardzo czekałem na te słowa! Teraz pozostało mi oddać Obero— nowi jeszcze jedną przysługę i czekać na właściwą chwilę... znając sytuację na rynku, może to nastąpić bardzo szybko. Na pożegnanie chciałem zapytać go o mnóstwo rzeczy, które cisnęły mi się do głowy i na język. Być może pan Adrian miał dostęp do Oberona, w takim przypadku mogłem jednym celnym pytaniem zdjąć sobie z głowy Rumcajsa i całe to zamieszanie. Problem w tym, że jak na złość nic mi nie przychodziło do głowy.

Kiedy wdzięczny agent znikł za drzwiami, czym prędzej zadzwoniłem do brata. Łaskawie zgodził się spotkać za czterdzieści pięć minut na parterze swojej siedziby. Zaraz potem na komórkę zadzwonił wściekły Rumcajs, cholernie niezadowolony, bo niczego nie znalazł. Umówiłem się z nim na Świętokrzyskiej, niedaleko wieżowca brata. I tak miałem wolne do chwili, kiedy Paweł przeczyta mój tekst.

Odpaliłem czyjś komputer, zacząłem przeglądać pocztę. W reakcji na moją analizę sypnęło trochę bełkotem od różnych domorosłych szamanów ekonometrii. Było też zaproszenie do ogólnopolskiego eksperymentu mającego na celu manipulowanie notowaniami na Wall Street przy użyciu siły umysłów, przez dotykanie dłońmi monitorów wyświetlających stronę nowojorskiej giełdy. Podrzuciłem to Pawłowi, może wykorzysta na prima aprilis.

Ledwo wyszedłem na korytarz, trafiłem na Kaśkę. Dzisiaj miała na sobie luźną sukienkę bez rękawów, o staromodnym kroju, w żółto—zielone plamy. Sam wdzięk: jeśli wpadnie tu dzisiaj któryś z naszych fotografów, pewnie znowu będzie chciał się z nią umówić na sesję.

Dobrze, że cię widzę, musimy pogadać! — wykrzyknęła pod ekscytowaną, siadając przy swoim biurku i włączając kompa.

Przydała ci się na coś moja informacja? — zagadnąłem, stawiając na blacie butelkę rumu. Kaśka tylko rzuciła okiem, uśmiechnęła się lekko i wrzuciła zdobycz do torby.

— Właśnie o to mi chodzi. — Nerwowo przejrzała *zalegające* biurko papiery i dyski. — Boże, co za upał...

Wyciągnęła wydruki, usiadła i z westchnieniem ulgi zrzuciła buty. Zaraz potem zerwała się i zaczęła wirować po całym pokoju, usiłując odnaleźć na regałach kilka rzeczy *naraz*. W tej sukience, bosy i z rozwianymi włosami wyglądała niczym południca tańcząca nad zbożem... cholera, zaraz będę miał podstawy do oskarżenia ją o złamanie norm etycznych w miejscu pracy. Mam zeznania byłej podręcznej Krzekowskiego, tej, którą sprzedał Japończykowi — oznajmiła, rzucając na biurko kilka płyt. — Dzięki, że dałeś mi tę informację, przegoniłam sępa z „Show”. Jest coś innego... uzupełniając materiał, dowiedziałam się, że ma my trupa. W sobotę wieczorem znaleziono ciało młodej kobiety, lat około trzydziestu, zabitej strzałem w klatkę piersiową. Wygląda na rabunek, bo ukatrupiono ją na Ursynowie, ale nie to jest ważne. Kobieta była podręczną na kontrakcie.

Znowu Krzekowski?

Raczej nie, choć miała liczne obrażenia na ciele. Widzisz, te hece z podręcznymi stają się coraz częstsze...

Jakby cały ten pomysł z podręcznymi nie był jednym wielkim przejęciem...

Ciesz się, że nie czytałeś tych zeznań. — Kaśka usiadła wreszcie na swoim miejscu. — Ludzie na nowo odkryli, jak wspaniałą zabawką może być drugi człowiek, kiedy jest od ciebie całkowicie zależny. A przecież podpisując kontrakt, nie zrzekają się praw człowieka ani obywatela!

Wyciągnęła któryś z wydruków.

— W ciągu ostatnich dwóch miesięcy w kraju znaleziono co najmniej kilka trupów, a zgłoszenia złamania kontraktów przez pracodawców idą w dziesiątki. Nieoficjalnie są to pewnie setki. Procesów było zaledwie kilka, wszystkie kończą się albo odda leniem z braku dowodów, albo tym, że to podręczny musi się ukrywać. Mam przynajmniej jednego pewnego trupa z powodu niedbalstwa policyjnej ochrony, którą przydzielono podręcznemu, gotowemu zeznawać przeciw swojemu panu. Niedbalstwo było prawdopodobnie przez tego ostatniego dobrze opłacone.

Jednym słowem, sytuacja dojrzewa do reportażu interwencyjnego — podsumowałem. — Chcesz udawać podręczną?

Dziękuję, *jeszcze* mi zdrowie miłe. Na razie mam zeznania tej kobiety oraz co najmniej kilka sygnałów od wkurzonych sytuacją gliniarzy. Mam nadzieję, że przy okazji tego zabójstwa uda mi się nakłonić ich do mówienia. Może zdołam ruszyć kogoś na górze.

Naprawdę uważasz, że komuś z ministerstwa będzie się chciało anulować jakiś wielce intratny kontrakt tylko dlatego, że pan prezes lubi sobie w wolnej chwili poprzypalać Maszę cygarem?

Zapomniałeś o wystąpieniu prokuratury z urzędu. Muszę tylko wokół tego narobić odpowiednio dużo szumu.

I będę lawirować tak długo, aż wszystko przyschnie. Nawiasem mówiąc, chciałem ci jeszcze powiedzieć o zaginięciu podręcznej. Z twoich słów jednak wynika, że już o tym wiesz.

— Jesteś pewien, że chodzi o to samo wydarzenie? — spytała, podpierając brodę ręką. — Gdzie o tym słyszałeś?

W knajpie pod uniwersytecką biblioteką — zelgałem. — Wpadło mi w ucho, że zagięła czyjaś znajoma, dorabiająca jako pod ręczna.

Żaden podręczny nie ma wypisanego na czole swojego za wodu. Pamiętasz, kto to mówił? Być może zna jej właściciela...

Nie sądzę, to były zwykłe studenciaki. — Co prawda kobieta, która ze mną rozmawiała, miała otwarty umysł, ale w informację o tym, że ofiara to południca, a ja usłyszałem o tym od innego elfa, mogła już nie uwierzyć.

Kaśka milczała przez chwilę.

Mam do ciebie prośbę. Bywasz czasem na konferencjach, prezentacjach, pokazach i innych nasiadówkach. Nie wierzę, aby rozmawiano tam tylko i wyłącznie o interesach.

Jeśli tylko ktoś się pochwali podręcznymi, dam ci znać — za pewniłem. Zwłaszcza gdyby w tym zaginięciu przypadkiem maczał łapy Oberon. Ciekawe, czy spodziewał się najazdu prasy.

— Dzięki — uśmiechnęła się. I już. Więcej nie było mi potrzeba. Czas mnie gonił, musiałem się zabierać. Kilkapokoi dalej Budda

tłumaczył głośno operatorowi swój pogląd na to, w jaki sposób złamano jego tekst.

Znowu pudło — prychnął na powitanie Rumcajs. Tym razem miał na sobie dzinsy i mocno spłowiały czarny T—shirt, glany i czapka pozostały takie same. — Nie ma go tam i nigdy nie było.

„Tam”, czyli gdzie?

Przycupnęliśmy w niewielkim ogródku należącym do jednego z barów przy Świętokrzyskiej. Pora lunchu już dawno minęła, więc poza nami siedział tu tylko jakiś szczaw ze słuchawkami wkładanymi do ucha. Wkrótce z okolicznych wieżowców i biur mieszczących się w domach zacznie wypływać strumień pracowników, kierując się do domów i centrów handlowych.

— Poszedłem za tropem jelenia — domowik odkręcił butelkę soku pomidorowego. — Długo się zastanawiałem, czy tu nie chodzi o fabrykę mydła, ale to *raczej* było mało prawdopodobne. Sprawdziłem tamto miejsce — nic. Potem wybrałem się pod most Gdań ski, jest tam ujęcie wody, które całe wieki temu wskazał jednemu z tutejszych książąt złoty jelen. Zbudowano wokół niego taki fiku— śny pałacyk z wieżyczką, odremontowali go parę lat temu, niezłe miejsce na melinę. Obejrzałem dokładnie — ani śladu obecności kogokolwiek z nas, kamfory dostali. Mam nadzieję, że chociaż tobie lepiej poszło.

Opowiedziałem Rumcajsowi o spotkaniu z panem Zawikiem.

Fuksa masz — podsumował. — Jak to możliwe, że w tak krótkim czasie udało ci się pogadać z dwoma gośćmi od niego...

Nie tylko ty szukasz kontaktu z ludźmi — powiedziałem, wsta jąc. — Pora na mnie. Trzymaj kciuki.

Zaczekam — odpowiedział, unosząc zaciśniętą dłoń niczym lewacki spiskowiec.

Wieżowiec, w którym mieściła się firma Piotra, miał patio wyłożone szarym kamieniem, bardzo dobrze udającym marmur. Pod czujnym okiem dwóch nawszczepianych ochroniarzy i co najmniej kilku kamer powiadomiłem brata, że już jestem.

Zjawił się nawet dość szybko. Wysoki, gładko ogolony facet w drogim, ciemnym garniturze o odcieniu dobieranym kompu—

terowo pod kolor włosów. Piotr Chors, specjalista od konsultingu. Mój brat.

— Długo sobie nie pogadamy — oznajmił z kamienną twarzą na powitanie. — Miałem cholernie ciężki dzień, a czeka mnie *jeszcze* robota.

Jak zwykle.

Przeszliśmy do ulokowanego na parterze lunch baru. Znaleźliśmy miejsce na pięterku przy oknie, przy chromowanym stoliku, wśród chromowanych poręczy, siadając na metalowych krzeselkach jak z pokoju przesłuchań. Na ścianach wisiały fotografie sponsorowanego przez którąś z firm

artysty. W zamyśle miały pewnie pokazywać pęd i rytm miejskiego życia, ale kojarzyły się przede wszystkim z chaosem i rozmazanymi smugami. Przez okno dostrzegłem Rumcajsa w ogródku po drugiej stronie ulicy. Brodacz siedział z wyprostowanymi nogami i opuszczonym na twarz daszkiem czapki. Chyba ucinał sobie drzemkę.

— O co chodzi? — spytał Piotr, kiedy kelnerka postawiła przed nami dwie mineralne z cytryną.

Streściłem mu w kilku słowach wszystko, co wiedziałem o firmie Oberona.

— Potrzebuję twojej pomocy. Masz znacznie większe możliwości niż ja, a w tej sprawie śmierdzi mi sposób finansowania...

Piotrek wysłuchał mnie, upiwszy może milimetr słupka wody. Liczyłem na to, że wiadomość o finansowaniu może go zainteresować. Mimo to zapytał:

Dlaczego ja mam to zrobić? Nie masz własnych dojsć?

Kiedy zacznę się im przyglądać jako „Przegląd Tygodnia”, mogą wystraszyć się prasy i czmychnąć. Jeśli zrobisz to swoimi kanałami, nawet się nie zorientują; sprawdzanie przez ciebie roz—

, maitych firm to w końcu normalka. Tylko nie mów mi, że nie masz możliwości zrobienia tego, bo nie uwierzę.

Nie. — Piotrkowi nawet powieka nie drgnęła.

Dlaczego?

Po pierwsze, w kolejce do sprawdzenia czeka na moim biurku co najmniej kilka dużych przedsiębiorstw. Po drugie, na razie ta firma zupełnie mnie nie interesuje. Dla nas to płotka, poza tym

nie zgłosił się do nas nikt, kogo zlecenie nakazywałoby mi zająć się nią. Po trzecie, musisz się wreszcie nauczyć, iż nie wszystko dostaje się na talerzu. Musisz sam zbierać materiały do swojej pracy, bez ciągłego odwoływania się do pomocy mojej czy Artura.

Pokiwałem głową, zastanawiając się, kiedy ostatni raz prosiłem go o pomoc w sprawach zawodowych. Było to chyba kilka lat temu.

— Zaliczyłeś cztery kierunki studiów, w końcu zrobiłeś tego magistra ekonomii oraz kursy z dziennikarstwa i dla pisarzy. Do tej pory nie wiem, dlaczego rodzice pozwolili ci wyrzucić na to taką masę forsy. Może mieli nadzieję, że faktycznie zaczniesz zarabiać pisaniem.

Piotrek rozparł się wygodnie, pociągnął duży haust wody.

Do dziś nie zobaczyłem ani jednej książki autorstwa Adama Chorsa. Nie zobaczyłem też ani jednego opowiadania czy cho ciałby kawałka wiersza. Tata nie wtrącał się do naszych zawodowych wyborów, rozumiem go, był człowiekiem starej daty i nie pojmował wszystkich otwierających się przed nami możliwości. Ale w twoim przypadku ta metoda raczej się nie sprawdziła. Nie pojętym cudem załapałeś się do „Przeglądu Tygodnia” i tłuczysz teraz kawałki za głodowe stawki. Praktycznie żyjesz z dnia na dzień. Co ty z tego masz? Jaką korzyść z tego wynosisz?

Może to — warknąłem, zmieniając w gniew cały ból, który sprawiały jego słowa — że mogę spokojnie patrzeć na to, co napisałem? Że mogę pozostać czysty? A od mojej kariery to się odczep, mój drogi braciszku. Nie znasz określenia „kariera pozioma”? Po cholere mnie pouczasz? Masz wszystko i jeszcze zżera cię zazdrość? Kompleks masz? A może chodzi o to, że mam więcej czasu dla siebie?

Jeśli mój brat nawet poczuł się dotknięty, to zupełnie nie było tego po nim widać. Jak zwykle zresztą.

— Kariera pozioma... pozostać czystym... — uśmiechnął się iro nicznie. — Piękne słowa — wytrychy. Idealne wymówki wszystkich nieudaczników. Rzeczywiście, masz dla siebie mnóstwo

czasu. Tyle, żeby cały dzień ścigać mnie telefonami i zawracać głowę duperelami, które tak naprawdę mógłbyś przez ten czas załatwić

sam. Mam nadzieję, że dotrze do ciebie wreszcie, iż nie będziemy ci z Arturem pomagać przez całe życie. Jak widzisz, mimo iż miałem bardzo męczący dzień, siedzę tu z tobą. A ty jeszcze rzucasz się i bredzisz jak naćpany.

Coś we mnie kliknęło, otrzeźwiałem. Bardzo dobitnie zrozumiałem, że naprzeciwno nie siedzi mój brat, tylko zwykły korp. Przestałem się dziwić, że jego jedyna narzeczona uciekła mu niemal sprzed ołtarza.

— Przepraszam — powiedziałem zimno — zapomniałem, że mam przed sobą bardzo zapracowanego pana specjalistę. Proszę wyba czyć, że w podzięce za poświęcony mi czas nie będę się kłaniał do ziemi, ale sądzę, że swoją porcję hołdów już pan dzisiaj odebrał. Nie będę dłużej przeszkadzał. Miłego wieczoru.

Kiedy wychodziłem, Piotrek patrzył na mnie jak na dziwaczny okaz owada. Nie wyglądało na to, aby się w ogóle przejął moimi słowami. Nie uważał, by takie *rzeczy jak* więzy rodzinne zobowiązywały go do czegokolwiek.

Rumcajs siedział tam, gdzie poprzednio, i popijał jakiś obrzydliwie wyglądający fosforyzujący sok. Przyjrzał mi się uważnie i raczej dla formalności spytał:

Nie wyszło?

Jak to mówią w filmach: „Popełniłem wielki błąd, przychodząc tutaj” — westchnąłem melancholijnie. — Przyszedłem jak do brata, a powinienem przyjść jak do korpa. Chyba nie daję sobie w tym świecie rady aż tak dobrze, jak to sobie wyobrażasz...

Nie przesadzaj, to nie ty masz tutaj nie w porządku we łbie, tylko on. Obejrzałem was sobie przez okno. Ciężki przypadek... zrobiłeś, co mogłeś. Widziałem już sporo odmów, ale wy, ludzie, zawsze potraficie mnie jeszcze zaskoczyć.

Wypił swoje obrzydlistwo do końca i wyrzucił butelkę do śmietnika. Zaczęliśmy powoli iść w stronę metra, lawirując wśród rosnącej liczby przechodniów.

— Czy krew dla niego nic nie znaczy? Pokręciłem głową.

— Dla niego nie jestem bratem, raczej czarną owcą, robię mu tylko wstyd przed znajomymi. Najchętniej przestałby się ze mną w ogóle widywać, no, chyba żebym nagle zaczął robić karierę. A tak jestem tylko przeszkodą, którą *należy* obejść lub usunąć.

Nie wiem, dlaczego mu to powiedziałem. Może dlatego, że gorycz ścisnęła mi gardło, bulgotała w nim i szukała sposobu ujścia. Dawno nie czułem się tak podle. Zresztą dawno żaden z moich braci nie pokazał mi tak dobitnie, gdzie moje miejsce.

— Czy u was też tak jest? — spytałem, aby zmienić temat. Nie chciałem, aby wymknęło mi się *teraz* coś, o czym Rumcajs nieko niecznie musiał wiedzieć.

Domowik pokręcił głową.

— U nas nie ma rodzeństwa. Fakt, za dawnych czasów nazywa liśmy się między sobą braćmi i siostrami, wtedy rzeczywiście coś to znaczyło. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. *Teraz*... — westchnął — już nic. Zresztą sam wczoraj widziałeś.

Widziałem, i wcale nie było mi do śmiechu. Czułem to, co pewnie wczoraj czuł Rumcajs. Nie dziwił mnie jego pośpiech, chciał jak najprędzej dopaść Oberona. Takie życie musiało być niezłym piekłem. Tu nie chodziło tylko o przetrwanie, jeśli dzięki powrotowi na Tamtą Stronę domowik i jego pobratymcy mieli na sobie znowu patrzeć przyjaźniej, gra była warta świeczki. A może Rumcajs zna jakąś porządną sztuczkę, która sprawiłaby, że Piotrek i Artur zaczęliby ze mną inaczej rozmawiać? No nie... nawet jeśli coś takiego potrafił, to ucłowieczenie robi swoje. Poza tym to wszystko jest pewnie jeden wielki pic.

Pozbawiona emocji twarz Piotra uśmiechała się zimno w moim umyśle. Po raz kolejny zacząłem się zastanawiać, czy ten facet zachował jeszcze jakiegokolwiek uczucia. Nie pamiętałem, aby kiedykolwiek płakał, zaklął czy nawet wyglądał na zasmuconego; jedyny objaw uczuć stanowiło u niego zwykle rytmiczne zaciskanie prawej dłoni. Z ponurą satysfakcją wyobraziłem sobie, jak wraca do swojego pustego apartamentu w Piasecznie i dla rozrywki przegląda informacje biznesowe. Jak mimo wszystkich psychicznych zapór uczucia wreszcie biorą nad nim górę, dopada go chandra. Chciałbym zobaczyć, jak wtedy będzie wyglądał i co zrobi. Przecież każdy potrzebuje jakiejś kryjówki, gdzie bez obaw

o czystość wizerunku można być sobą, nawet popłakać. Bez tego człowiek w końcu po prostu zwariuje, jak ten facet z helpdesku, co zrobił sobie zastrzyk z trucizny i ostatnim gestem nacisnął guzik wideofonu, wysyłając do wszystkich ludzi, których miał w książce telefonicznej, arabską bombę infradźwiękową... Nie, ktoś taki jak Piotrek nie pozwoli dopaść się byle dołowi. Raczej wyrwie się gdzieś ze swoimi kolesiami z Klubu Menedżerów albo pożyczycy sobie od sąsiada podręczną — własną zwolnił, bo przesoliła mu zupę.

Będziemy musieli poradzić sobie bez niego — podsumowałem, wsadzając ręce w kieszenie.

Co planujesz?

Sprawdzić ruch pieniędzy. Przecież Oberon musi za te kursy płacić...

Zatrzymaliśmy się przy najbliższym automacie, skąd zadzwoniłem do Agaty. Uczęszczaliśmy *razem* na zajęcia z technik informatycznych, marketingu Sieci i statystyki. Studiowała wprawdzie ekonomię informatyczną, ale kiedy dostała dyplom, okazało się, że wydział miał nadprodukcję absolwentów. Wówczas szybko przekwalifikowała się na admina, ale, jak każdy admin, dorabiała sobie na boku i zwykle była bardzo dobrze poinformowana.

Minęła chwila, a potem na ekranie pojawiła się twarz drobnej Azjatki o włosach ściągniętych z tyłu głowy. Ciche klikanie w tle świadczyło, że cała rozmowa jest zabezpieczona programem antypodłuchowym... nie licząc kilku ochraniających jej sprzęt firewalli.

Witaj, Aga. Potrzebuję twojego talentu.

Kto tym razem?

Przytrzymałem wizytówkę przed kamerą na tyle długo, aby dziewczyna mogła zrobić sobie zrzut ekranu.

— Informacje o tym facecie chciałbym dostać w pierwszej kolejności. Chcę wiedzieć, dla kogo pracuje. A kiedy się dowiesz, zacznij się przyglądać zleceniodawcy. Wiem, że ta firma wykupiła sobie także szkolenia w „Telecomie”, może to być dla ciebie dodatkowy ślad.

— Biały czy czarny wywiad?

— Jak znam życie, będzie szary... podstawowe dane. Poza tym przyjrzyj się, skąd biorą szmal, jak on krąży, czy grają na giełdzie... przede wszystkim, czy inwestują w jedno z dwóch przedsiębiorstw: Mayanę albo Rovera.

Mayana i Rover? Coś ty wykombinował, Adaś? — zachichotała sieciówka. — Dobra, niech będzie... znasz moje stawki.

Pewnie — odparłem, z satysfakcją obserwując malujące się na twarzy Rumcajsja połączenie zaskoczenia i przerażenia.

Ile to wyniesie? — spytał z niepokojem, kiedy się rozłączyłem.

Przysługę, to moja koleżanka ze studiów — wyjaśniłem. — Ale nie każ mi tłumaczyć szczegółów.

Domowik odetchnął z ulgą.

Czyli stare zasady są jeszcze honorowane...

Gdzieniedzie. Na przykład wśród nurków Głębokiej Sieci.

Jak długo jej to zajmie?

To zależy od tego, ile ma roboty... może dostaniemy coś już dziś wieczorem, może jutro, a może za kilka dni.

Rumcajs zafrasował się nieco.

Ludzkie metody wymagają czasu, a tutaj należy działać szybko. Póki twoja kumpela się czegoś nie dowie, stoimy w miejscu, a mnie zegar tyka. Nie ma co, trzeba naszemu panu i jego podwładnym nieco utrudnić życie...

Co chcesz zrobić?

Przede wszystkim narobić im koło pióra, aby ta edukacja rozpoczęła się jak najpóźniej.

To nic nie da. Wpuścisz firmie wirusa czy podłożysz bombę? W obu wypadkach nakryją cię dość łatwo, bo się na tym nie znasz. Będziesz zdychał z ucłowieczenia w pierdłu, a oni będą dalej robić swoje.

Wzmianka o więzieniu musiała nim wstrząsnąć, bo nie odzywał się przez dłuższy czas, tylko kiwał głową.

— Kiedy tam gadałeś, odezwał się nasz wspólny znajomy — powie dział Rumcajs, gdy wraz z tłumem ludzi zbliżaliśmy się do stacji. — Zaprasza nas wieczorem do siebie na herbatkę.

— Świetnie — skrzywiłem się, bo miałem nadzieję, że wreszcie uda mi się spędzić wieczór przed telewizorem. — Przedtem wolałbym jednak coś zjeść.

Mieszkanie Konesera znajdowało się w willowej części Ochoty, w starym, dwupiętrowym domu, podzielonym na mieszkania. Starszy pan mieszkał samotnie w dwóch sporych pokojach, w których stały niezłe utrzymane kopie ciężkich, mieszczkańskich mebli z początku zeszłego stulecia. Mimo panującego upału w powietrzu unosił się delikatny zapach wilgoci. Musieli tu mieć niezłe kłopoty z grzybem, choć jak na swoje lata mieszkanie wyglądało na całkiem zadbane.

Podczas kiedy gospodarz krzątał się, serwując nam własną mieszankę herbacianą i nabijając fajkę, obejrzałem zgromadzone na regałach w salonie książki. Jeden z nich zastawiały gęsto polskie, niemieckie i angielskie pozycje o meteorologii oraz zbiory tablic i wykresów. Spodziewałem się *znaleźć* chociaż teleskop czy podobny przyrząd, jednak musiałem zadowolić się tylko starą rosyjską lornetką wojskową.

Jeśli chcę coś obserwować, używam raczej tego — Koneser pokazał na stary komputer z płaskim monitorem. — Jestem podłą czony do stron obserwatorium uniwersyteckiego, a czasem prze stawiam się na Teksas. Niestety, coraz częściej burze piaskowe zakłócają im działanie.

Nie lepiej po prostu wyjść do ogródka i popatrzeć wieczem na niebo? — spytał Rumcajs, wskazując za okno. Był tam niewielki kawałek terenu, który przy odrobinie wysiłku mógłby nawet ładnie wyglądać. Obecnie porastały go zdziczałe krzewy, wysuszone na wiór badyle i zrudziała trawa. Koneser pokręcił głową.

Światła miasta przyćmią wszystko. Lepiej jednak usiądźmy...

Zasiedliśmy przy stole. Podawana w ręcznie malowanych filiżankach herbata miała łagodny, pełny smak, z nutką bergamoty rodem z earl greya. Dobrze koła mój żołądek, podrażniony zjedzonym

wcześniej chińskim daniem, którego składników wolałem się nie domyślać.

Jak obiecywałem, udało mi się odświeżyć kilka starych zna jomości, co zaowocowało konkretnymi informacjami — zaczął Koneser, puszczając kłęby dymu. — Potwierdziły się twoje przy puszczenia, Janku: Oberon rzeczywiście ma zamiar tu powrócić, święcie przekonany, że Era Wodnika mu w tym pomoże.

To ktoś w to jeszcze wierzy? — zdziwiłem się. — Myślałem, że ta idea przepadła wraz z końcem zamieszania wokół nowego tysiąclecia i nawet astrologowie przestali nią sobie zawracać głowę.

Widać jemu to nie przeszkadza. Zresztą cała kłótnia z Go— planą, o której panu wspominaliśmy, również, jak się okazuje, miała nieco inne podstawy. Tu nie chodziło wyłącznie o jej uczo wieczenie, ale o sposób, w jaki wraz z Oberonem mieliby ponownie nawiązać kontakt z ludźmi. Domyślam się, że Goplana, przeby wająca na ziemi przez cały czas i lepiej znająca tutejsze warunki, wołała pokojową koegzystencję i znalezienie sobie spokojnej niszy pośród ludzi, aby dalej robić to, co do elfów należy. Oberonowi zaś marzy się tryumfalny powrót na ziemię, objawienie całej swej mocy i potęgi w taki sposób, aby wszyscy ludzie bezwarunkowo poddali się jego władzy.

Hm, skądś to znam...

Początkowo Oberon udawał, że zgadza się z małżonką, za razem badając, czy może liczyć na pomoc jej poddanych. Jak się łatwo domyślić, rezultaty były niezbyt zadowalające, zresztą Goplana szybko odkryła, że małżonek tak naprawdę wcale nie chce jej pomagać, co spowodowało ową słynną awanturę. Resztę już znacie.

Rumcajs wypił herbatę do dna i podrapał się po brodzie.

Co robi teraz?

Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, iż dalej realizuje swój plan i przeprowadza rozpoznanie wśród ludzi przy pomocy swojego dworu. Cel stara się utrzymać w tajemnicy, zarówno przed swoimi, jak i przed wami, poddanymi Goplany.

Nie podoba mi się to — powiedział stanowczo Rumcajs. — Ten cały patent z inwazją i tak dalej... Nie to, żebym tamtych skurwieli

kochał, ale jeśli tego nie powstrzymamy, to uczyłowieczą się jeszcze szybciej niż my i szlag trafi po równo nas, jak i ich. Nie da się wrócić do starych czasów. Fakt, sporo się ich ostatnio namnożyło. Turystów udają, szwendają się wszędzie, już dwa razy Adam się na nich nadział. Niby od wieków nas odwiedzali, chodzili oglądać miejsca, gdzie kiedyś stały święte gaje albo gdzie tańcowali na polach, a przy okazji można było z nimi pohandlować, zdobyć coś z Tamtej Strony dla podreperowania zdrowia. A teraz tylko patrzeć, kiedy zaczną wpadać na jednego do „Balladyny”. Ciekawe, ilu rzeczy o ludziach dowiedzieli się od naszych.

Znając was, to niewiele — uśmiechnął się pod nosem Koneser.

Bo i sobie niezbyt zasłużyli, buce — warknął domowik. — Przychodzi taki jeden z drugim i myśli, że jak się świeci niczym lampka na choince, to już wszyscy będą mu do nóg padać. A kiedy przegrają w uczciwej partyjce, nie bardzo chcą płacić...

Cóż, jeśli po drugiej stronie stolika siedział Korman i jego kumple, mieli prawo czuć się okantowani.

A co z Oberonem? — wtrąciłem, bo Rumcajs gotów był wyliczyć zaraz wszystkie wady swoich pobratymców. — Pojawia się tu od czasu do czasu czy znowu będziemy musieli przedzierać się na Tamtą Stronę?

I w tym właśnie problem — westchnął Koneser, łyknąwszy herbaty. — Według moich informacji jest wyjątkowo ruchliwy. Chce się dowiedzieć jak najwięcej o ludziach, dlatego szaleje po bibliotekach, kinach, Sieci, ogląda telewizję... dzięki swoim mo com jest praktycznie nie do zmęczenia, funkcjonuje dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jego podwładni zresztą też. Ale najgorsze jest coś innego.

Starszy pan zrobił efektowną pauzę, pyknąwszy fajeczkę.

— Nikt mi tego nie powiedział wprost, ale odnoszę wrażenie, iż on potrafi zmieniać wygląd i tłumić swoją aurę, aby nie wyróżniać się z tłumu.

W zapadłej ciszy kwieciste przekleństwo Rumcajsa zabrzmiało wyjątkowo dobitnie.

— Może być praktycznie każdym... miasto ma cztery miliony ludzi, do tego jeszcze przyjezdni.

— Nie jest chyba tak źle — powiedziałem raczej do siebie niż do nich. — Skoro naoglądał się szpiegowskich filmów, to pewnie opracował sobie konkretny zestaw tożsamości na najważniejsze okazje. Jedną już poznaliśmy, będzie ją wkładał na spotkania z kontrahentami.

Rumcajsa to nie pocieszyło.

Musi być sposób, aby go mimo wszystko rozpoznać. W końcu to nie byle kto.

Na każdego elfa znajdzie się jakiś sposób — odparł Koneser. — Na niego również jest. Potrzebujemy tylko odpowiedniego nawęzu.

Domowik nieco się ożywił.

Trudno zdobyć zioła? Długo się go robi?

Wiem, gdzie zdobyć składniki. Problem w tym, że każdy musi zebrać te zioła osobiście; nawęzy wykonam sam.

A kiedy go już znajdziemy, można będzie z nim pogadać — powiedział Rumcajs z dziwnym błyskiem w oczach. — W razie czego znowu zamontuję mu pluskwę, tylko lepszą niż poprzednio. Najlepiej pod but.

Żeby się zorientował, że ktoś koło niego węszy, i jeszcze lepiej się zamaskował? — spytałem. — Po takim numerze będziesz u niego skreślony na samym początku. No i musiałbyś mieć cholerne szczęście, aby mu to dyskretnie przyczepić.

O to się nie martw — odparł dumnie Rumcajs. — Na razie mamy mnóstwo wręcz bajkowego szczęścia. Spotkaliśmy latawca, uratowaliśmy gołębia, ocaliłeś mnie przed wpadką między tymi poetami...

To może nie trwać wiecznie — najwidoczniej perspektywa zała twienia sprawy w znany i zrozumiały dla siebie sposób stanowiła dla domowika światełko w tunelu. Oby to tylko nie było światełko nadjeżdżającego metra.

Rzuciłem okiem na Konesera: starszy pan spoglądał we wnętrze swojej filiżanki, jakby chciał wyróżnić z herbaty, co powinniśmy zrobić dalej.

Są najmniejsze nawet dowody na potwierdzenie tej plotki?

Jeśli sądzi pan, panie Adamie, że któryś z moich kontaktów posługuje się aparatem i udało mu się zrobić Oberonowi choć

jedno zdjęcie bez pęknięcia kliszy lub uszkodzenia chipa, to jest pan w błędzie. Obawiam się, że w tej kwestii będzie mi pan musiał uwierzyć na słowo.

Mogłem się tego spodziewać. Za to do głowy przyszło mi coś innego.

— Skoro potrafi tłumić aurę, może rzeczywiście to jego widzie liśmy wczoraj na Woli?

Rumcajs zarechotał radośnie, niemal opluwając sobie brodę.

— On? W życiu! — wykrztusił. — To nie w jego stylu. Jak by chciał mieć czystą brykę, zapędziłby podwładnych. Raczej będzie kimś, kogo nie będą pytali, gdzie wchodzi. Taki na przykład pismak, biznesmenel...

Napiłem się herbaty. Mimo iż nieco wystygła, nadal zachowała bardzo oryginalny smak.

Zastanawia mnie jedno: jak do tej pory, mówimy tylko o pod danych Goplany albo Oberona. A co z nami? Dlaczego on w ogóle nie posługuje się ludźmi? W książkach czy filmach demon czy wampir zawsze znajduje sobie człowieka do pomocy... nie ufa nam?

Sam sobie odpowiedziałeś — wzruszył ramionami Rumcajs. — Ma do was uraz, jeszcze ze starych czasów, bo się na nas wypięliście. A swoim zawsze może pogrozić, że zabroni im wrócić na Tamtą Stronę. To działa jak cholera, bo widzą, co się stało z nami. Dla nich uczłowieczyć się to...

...stoczyć się do roli niewolnika — dokończyłem ponuro. Obe— ron coraz mniej mi się podobał. Jeśli rzeczywiście miał takie plany, jak opowiadał Koneser, to bardzo chętnie pomogę Rumcajsowi go stąd usunąć. Ten pomysł był jednak tak nierealny, tak wielokrotnie wałkowany w

książkach, filmach i grach...

A czego innego można się spodziewać po jakimś bożku, który edukację na temat ludzi zaczyna od współczesnych bajeczek dla młodszych i starszych?

Właściwie z punktu widzenia władcy elfów nie było to może wcale takie głupie. Zorientuje się, o czym marzy współczesny człowiek, a potem mu to zaofiaruje. Za darmo.

Koneser sięgnął do stosu prasy *leżącej* na stoliku obok jego krzesła i wyciągnął wydruk reklam co najmniej kilku salonów

wróźb. Rzuciłem okiem na adres strony: pochodziły z renomowanego serwisu dla korpów, gdzie mieściły się pewnie obok reklam piór krytych czystym złotem, złożonych futerałów na palmtopy, robionej na zamówienie odzieży sportowej i tym podobnych gadżetów.

Mam znajomą wróżkę — powiedział. — Ostatnio skarżyła się na przyrost konkurencji zabierającej jej najbogatszą klientelę. Prosta metoda, wystarczy dobrać kilku widzących przyszłość podwładnych, dodać kilku innych, którzy pomogą tym przepowiedniom się spełniać, i gotowe. Panowie kierownicy i menedżerowie będą wkrótce robić dokładnie to, co im powiedzą. Brakuje jeszcze, aby pokazał się neopoganom — westchnąłem.

Adaś, *ty weź* mnie nie rozśmieszaj — prychnął Rumcajs. — Kiedyś chodziłem do nich, bo liczyłem, że może go tam znaleźć. Nigdy nie widziałem tam nikogo z naszych, a co dopiero od niego. Lepiej opowiedz, co ci ta sikorka znalazła.

Po raz kolejny zrelacjonowałem, jak zarobiłem u Oberona drugą przysługę. W tym czasie Koneser ponownie nabił sobie fajkę i pykał ją miarowo.

A ten... agent? — spytał, wydmuchując kłęby wonnego dymu.

Wolny strzelec. Zarejestrowana działalność, zaczął karierę mi sięć temu wraz ze swoim kolegą...

Pewnie też od Oberona — mruknął Rumcajs.

Jest problem z numerem uprawnień. Co prawda obaj figurują w rejestrach państwowych, ale nie sposób określić, czy ich numery są prawdziwe, czy też zostały wklejone przez kogoś z zewnątrz. Przy rządowych zabezpieczeniach jest to trudne, ale nie niemożliwe. Na podstawie tego, co wiemy, przypuszczam, że chodzi *tucze*) o to drugie. Pytanie, czy Oberon byłby to w stanie...

Byłby. — Rumcajs kiwnął głową. — Mówiłem ci o skierkach i kilku naszych, którzy siedzą w komputerach.

Próbujemy teraz dowiedzieć się, dla jakiej firmy pracuje.

Miałem szczerą nadzieję, że Adze się uda. Nie bardzo potrafiłem wyobrazić sobie, jakie zabezpieczenia może mieć komputer obsługiwany przez agentów Oberona. Tam mogło być wszystko.

— Tu się nie ma co pieścić — powiedział Rumcajs, obracając w palcach wizytówkę agenta. — Iść pod wskazany adres, przydusić faceta i już. Wiem nawet, kogo poprosić o pomoc...

Z pewnością leszy zwany Leszkiem byłby szczęśliwy, mogąc to uczynić.

— Powoli — odpowiedział starszy pan, wypuszczając ostatnie kłęby dymu. — Lepiej nie płoszyć Oberona. Warto dowiedzieć się, co on dokładnie zamierza, a skoro pan Adam ma możliwości, aby to sprawdzić... A nuż dowiemy się czegoś, co da się użyć przeciwko niemu.

Domowik popatrzył na nas, westchnął ciężko i wyszedł do kuchni po piwo. Skorzystałem z okazji i cicho zagadnąłem Konesera o Importy.

Starszy pan uśmiechnął się z wyrozumiałością.

— Istnieją, panie Adamie, istnieją... tak samo jak mędrcy Syjonu i bawarscy iluminaci. O czarnym mercedesie czy BMW szepczą już od bardzo dawna. Nie wiadomo za bardzo, kto nimi jeździ, może podwładni Oberona, może ktoś inny. Widzi pan, zauważyłem, że jeśli któryś z nich uczłowieczy się do końca... znika. Staje się NN, człowiekiem bez papierów, danych osobowych,

a co najważniejsze, a może i najgorsze — bez pamięci, kim był. Nie poznaje nawet swoich krewniaków na ulicy. Oni muszą to sobie jakoś tłumaczyć...

Domowik zatrzymał się w progu i pociągnął solidnie z puszki.

— Trzeba pomyśleć, gdzie najłatwiej *znaleźć* Oberona. Wpadło wam coś do głowy?

Zgodnie pokręciliśmy głowami.

To wcale nie takie proste — powiedział Koneser. — W tym mieście funkcjonuje prawie czterdzieści kin, kilkanaście teatrów, bibliotek, opera, operetka, a kalendarium rozmaitych imprez kul turalnych w *gazecie* jest długie jak moje ramię.

Owszem, ale pewne miejsca mogą być bardziej prawdopo dobne, choćby promocja tego tomiku... — W zamyśleniu potarłem podbródek.

Kilka minut później siedzieliśmy nad wydrukami z programem imprez kulturalnych na cały miesiąc.

I jak tu coś znaleźć? — Rumcajs podrapał się po głowie.

Najlepiej skupić się na takich imprezach, które mogłyby po wiedzieć mu najwięcej o ludziach. A także takich, które zahaczają o tematykę związaną bezpośrednio z wami. Pewnie chce zobaczyć, jak teraz was postrzegamy.

Podzieliłiśmy się tekstem i zaczęło się znuodne grzebanie. W końcu ustaliliśmy listę miejsc, gdzie najprawdopodobniej mógłby pojawić się Oberon.

— Nie ma imprez powiązanych bezpośrednio z nimi — westchnął Koneser. — Co jeszcze... początek ogólnopolskiego konwentu mi łośników fantastyki. Pojutrze, trwa do niedzieli. Filmy, dyskusje, prelekcje, gry wirtualne, pokazy starych gier karcianych i RPG...

Słuszne posunięcie. Kilka rozmaitych form kultury w jednym miejscu. Do tego, jeśli wiele się przez ostatnie lata nie zmieniło, przechowalnia dawno zapomnianych ideałów i pieczołowicie pielęgnowanych wartości. Dużo dzieciaków z bogatych domów albo ludzi u progu kariery, z których można wycisnąć nieco grosza. Biorąc pod uwagę zainteresowania, może nie pogonią władcy elfów i jego podwładnych tak od razu. Tak, tam Oberon może wypłynąć.

Sądzę, że możemy to sprawdzić osobiście — zgodziłem się. — Znalazłem coś ze dwadzieścia potencjalnych filmów: klasyki, przeglądy, kluby dyskusyjne, nowości... nie wiem, jak to wszystko obejrzymy. Trudno przewidzieć, który seans i w którym kinie wybierze.

Jak dobrze pójdzie, to nie będziemy musieli — powiedział Rumcajs, spoglądając na Konesera. — Może znowu uruchomisz swoje kontakty, co, kolego?

Przypomniałem sobie nasze spotkanie w Łazienkach i nieco się wkurzyłem.

Chyba pora, aby się pan pochwalił i wyjaśnił dokładnie, o ja kich kontaktach tu mowa — powiedziałem zimno. — Być może otworzą przed nami całkiem nowe możliwości. Ja byłem z wami szczery. Jak pan zdobył te wszystkie informacje o Oberonie?

Ma swoje kontakty po Tamtej Stronie — uśmiechnął się chytrze Rumcajs. — W końcu jest planetnikiem, nie?

— Kim?! — wykrztusiłem zaskoczony. Przekrzywiłem głowę, szu kając u starszego pana choćby śladu aury, której być może nie dostrzegłem wcześniej. Nic. Widząc moje zmieszanie, domowik zarechotał radośnie.

Koneser uśmiechnął się przepraszająco.

Proszę mi wybaczyć, panie Adamie, że nie poinformowałem pana o tym fakcie nieco wcześniej. Uznałem, że tak naprawdę nie jest on istotny, teraz widzę jednak, że był to błąd. Jeszcze raz przepraszam. Moje zaangażowanie w tę sprawę bierze się stąd, że nie sądzę, aby po swoim zwycięstwie Oberon potraktował nas lepiej niż innych ludzi. Widzi pan, są planetnicy i planetnicy. Jedni pasą chmury, drudzy latają w w powietrzu jako smoki, a inni są zwykłymi ludźmi, którzy na pewnym etapie swojego życia otrzy mali dar od innego planetnika. Można

powiedzieć, że tkwię gdzieś pośrodku, między Tą Stroną a Tamtą. Otrzymałem ten dar od pewnego dziadka ze wsi pod Pułtuskim, kiedy przebywałem tam na praktykach; wieźliśmy go do szpitala z zawałem, umarł nam w samochodzie. Wkrótce potem spotkałem innego pλανetnika, od niego nauczyłem się wszystkiego, co powinienem umieć. To, że wpadłem na Rumcajsa i jego pobratymców, było naturalną konsekwencją tego stanu rzeczy. Zacząłem robić to, co do mnie należało...

Czyli?

Przesuwanie chmur deszczowych tam, gdzie jest susza, z miejsc, gdzie grozi podtopienie, odpędzanie burz, walka z gra dobieciem... — wyliczył jednym tchem Rumcajs. — To weteran, tylko orderów za takie bitwy nie przyznają.

Nie przesadzaj. — Koneser machnął ręką. — Akurat dla meteoro loga to nie przekleństwo, lecz ułatwienie w pracy. Robię tylko to, co powinienem.

Tia, jasne. A walka z chiałami na szczycie Pałacu Kultury, między antenami, podczas gołoledzi, w zimę stulecia, to co? Gdyby nie ty, ludzie nie obejrzeliby olimpiady.

Powiedzmy, że byłem wtedy młody i bardzo, ale to bardzo nieostrożny. — Na ustach starszego pana błąkał się delikatny uśmiech.

Zerknąłem za okno na *prażące* się w upale ulice i uznałem, że obecnie Koneser coś słabo się stara.

A te kontakty?

Wiele istot, które *należały do* dworu Oberona, *to moi...* dawni współpracownicy. Razem dbaliśmy o dobrą pogodę dla zbóż, wal czyliśmy z burzowymi chmurami i chiałami. Odszukałem tutaj kilku z nich i odnowiłem stare znajomości. Są z natury dość plotkarscy i wystarczyło pociągnąć ich za język, a potem tylko słuchać. Może się wygadają, gdzie jest ich szef. Powiem, że chciałem bym pokłonić się ich panu.

Domowik strzelił kostkami palców.

— Dobra, a co z tymi nawężami? Bez nich i tak nie ruszymy. Mówiłeś, że wiesz, gdzie zdobyć zioła.

W Kampinosie — westchnął zrezygnowany Koneser. Rumcajs pochylił się nad stołem z dziwnym błyskiem w oku.

I jak zwykle zbiera się je nocą?

O cholera. Wyglądało na to, że dzisiejszy dzień szybko się nie skończy.

Rozdział ósmy

Koneser zostawił swój wóz w ciemnej uliczce, gdzie nie zapuszczali się za często patrolujący osiedle ochroniarze. Wokół stały pomalowane na stonowane kolory szeregowe domki dla zwykłych urzędasów i przedsiębiorców, których nie stać było na porządną willę z basenem i stadkiem podręcznych. Niektóre domy nosiły jeszcze ślady nowobogackiego stylu z końca ubiegłego wieku. Tu i ówdzie za przesłoniętym żaluzją oknem paliło się światło, migotał telewizor, gdzieś z cichym szumem silnika przejechał samochód. W ogrodach najpopularniejszym drzewem była wysoka na kilkanaście metrów, wykręcona przez wiatr sosna — żywy dowód, że tę ziemię, jak wieki temu, wydarto rosnącej kilkaset metrów dalej puszczy. Nocny wiatr przyniósł stamtąd zapach igliwia i rozgrzanej żywicy.

Rozumiem, że nie chcemy, aby nas zgarnęli za niszczenie przyrody albo wzięli za mafię, ale czy nie warto by stanąć gdzieś bliżej? — spytałem cicho Konesera.

Mieszka tu mój były szef, zawsze mogę powiedzieć, że przyjechałem do niego — odparł starszy pan, pikając alarmem. Jego srebrzyste rialto błysnęło w odpowiedzi światłami. Jak na swoje lata, trzymało się całkiem nieźle, widać Koneser interesował się czymś więcej niż tylko gatunkami herbaty. *Zaliczał* się do pierw szego pokolenia na nowej emeryturze, które mogło sobie pozwolić

na więcej. Niektórzy jego rówieśnicy rozbijali się po świecie, w pozukiwaniu nowych wrażeń pchali się do Głębokiej Sieci albo po prostu szukali lżejszych, dodatkowych zajęć. Wszystko lepsze od przymusowej beczynności. Niespodziewanie tuż koło nas rozległo się ochryple szczekanie. Rumcajs spojrział w tamtą stronę i wykonał delikatny ruch ręką. Szczekanie ustało.

— Nigdy się nie zmienia — pokręcił głową z niesmakiem. Koneser popatrzył na niego z ironią.

A potem właściciele będą się dziwić, dlaczego ich ostry, treno wany na obrońcę i karmiony hormonami zwierzak zachowuje się jak głupawe chihuahua...

Szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie, co? — spytał Rumcajs, wskazując wiszącą na jakiejś pancерnej bramie tabliczkę: „Teren prywatny. Wstęp wzbroniony pod karą śmierci”.

Przesadzasz. Właściciel może tak sobie chcieć, ale gdyby przy szło co do czego...

A jednak coś w tym jest... Jakaś prawda została.

Widać nie słyszałeś, jak w dzienniku mówili o korporacyjnych specgrupach — wtrąciłem się. — Oni takie zakazy łamią zawodowo.

Tia, dla ludzi oni są tak samo prawdziwi jak my. Można na nas zwalić wszystko.

Nie zawsze. Ludzie nauczyli się, że większość wypadków to ich wina, a jeśli chcą coś na kogoś zwałać, to raczej na drugiego człowieka niż na elfy.

Pewnie. — Rumcajs wzruszył ramionami. — Ale zawsze znajdują się sprawy, kiedy nawet panu dyrektorowi ciśnie się na usta „kie lichó”?

Wtedy zwykle mówi się raczej o szczęściu lub pechu...

...a to nasze dzieło — dokończył Rumcajs.

Przeszliśmy przez ulicę na drugą stronę, weszliśmy na wydeptaną kołami samochodów ścieżkę wiodącą w głąb lasu. Ta część Kampinosu była jeszcze ogólnie dostępna; rezerwat zaczynał się nieco dalej.

Zapiąłem marynarkę. Wśród drzew było chłodniej niż w mieście. Wydawało się, że rośliny i piach wysysały większość ciepła, w niewyjaśniony sposób wydzielając w zamian chłód. Wokół nas rosły brzozy, dęby, klony, ale najwięcej było oczywiście sosen.

Widziałem na tle nieba czarne kształty powykęcanych przez wiatr konarów, podobnych do palców reumatyka. Wystarczał najmniejszy powiew wiatru, aby w koronach rozlegał się szum niczym podczas potężnej wichury. Pod naszymi nogami szeleściły liście, suche igły i szyszki. Domowik szedł pewnie i szybko, niczym ktoś, kto doskonale zna teren i widzi równie dobrze jak w dzień. Starszy pan ku mojemu zdziwieniu dotrzymywał mu kroku. Kilka razy potknąłem się o gałąź albo wystający korzeń. Żałowałem, że nie mam chociaż gogli z rozjaśniaczem. W tej ciszy i ciemności wyobraźnia dawała o sobie znać coraz mocniej. Po tym, co przeżyłem wczoraj, wcale nie byłem pewien, czy trzaski gałęzi i szelesty nie zwiastują nadejścia jakichś znajomych Rumcajsa, których zamiarów nie mogłem być całkowicie pewien. Obecność domowika wcale nie działała uspokajająco. Znowu groziło mi, iż oberwę tylko dlatego, że ktoś miał do niego żal. Równie dobrze mogliśmy napatoczyć się na załatwiających swoje sprawy mafiosów albo nielegalną imprezkę ambitnej korporacyjnej młodzieży z drągami, wódą i cholera wie, czym *jeszcze*. Sam nie wiedziałem, co gorsze. Co prawda dykcja parku zamontowała wszędzie wykrywacze ciepła oraz patrolowała teren zdalnie sterowanymi samolocikami z kamerami, ale liczba przestępstw spadła nieznacznie. Ciekawe, jak Rumcajs zamierza ominąć te zabezpieczenia. Domowik zauważył, że odstaję, zatrzymał się.

Dziwnie się czujesz, co? — burknął. — Mogłem się tego spodzie wać... stworzyliście środowisko nieprzychylnie nie tylko naturze, ale i samym sobie.

Co zatem proponujesz? — warknąłem.

Powinniście przenieść się na wieś, jak za dawnych czasów. Po dwadzieścia dymów, nie więcej. Istoty z was stadne, taka gromada spokojnie wystarczy, aby sobie pomóc i pogadać. Wiem, co mówię.

Na moment zapomniałem o nierównym gruncie. Domowik z własną wizją społeczeństwa ludzkiego to było coś.

A jeśli ktoś w takiej wsi zachoruje? Jak daleko będzie do najbliższego lekarza? Trzy dni wołami? Od tego, aby nikomu włos tam z głowy nie spadł, będziemy my! — odparł dumnie Rumcajs.

Aha, a jeśli będę chciał kupić sobie coś więcej niż chleb i masło, telewizor chociażby, to będę musiał jechać na targ dwie wsie dalej? A żeby spotkać się z kimś, kto mieszka gdzie indziej, to przyjdzie karczmy między wsiami stawiać.

Zawsze chcecie mieć wszystko na miejscu! — zirytował się domowik. — Tacy jesteście wygodni, że wam się nie chce dupy za daleko ruszać. To się musi zmienić, mówię ci. Inaczej wleziecie sobie nawzajem na głowy i zaczniecie się gryźć między sobą, bo wam za ciasno będzie... jeżeli wcześniej nie padniecie od tych wszystkich trucizn, którymi się tak radośnie faszercujecie. Sami się wyniszczycie.

Pokręciłem głową, słysząc w głowie radosny chichot van der Boeka, którego teorie powtarzał teraz elf. Spojrzałem na Konesera — starszy pan jedynie wzruszył ramionami i machnął zniechęcony ręką. Najwyraźniej już to przerabiał, i to nie raz. Tłumaczenie zasad ekonomii domowikowi było skazane na porażkę, trzeba było mówić do niego inaczej. Jak? Tak, aby zrozumiał.

— Tak się nie stanie — powiedziałem. — Dopóki pozostaniecie wśród ludzi i będziecie pobudzać naszą wyobraźnię i marzenia.

Rumcajs zatrzymał się jak wryty.

Jak to? — spytał ostrożnie.

Prosta sprawa — odparłem. — Gdyby nie wy, twoja wizja już dawno by się sprawdziła. Na szczęście pokazywaliście ludziom — przez opowieści, podania, nawet bajki — że może być inaczej. Bez zaśmiecania wszystkiego dookoła, bez szprycowania *żarcia*. chemią, bez dorabiania się przekrętami. Może kogoś przed tym uchroniliście.

Domowik zamilkł, ale w ciemności wydawało mi się, że wyprostował plecy i zaczął iść pewniejszym krokiem. Koneser popatrzył na mnie, mimo ciemności mogłem rozpoznać wyraz jego twarzy, był bardzo, ale to bardzo zaskoczony.

Dostrzegłem przed nami jasną wstęgę. Las skończył się po kilku metrach, wyszliśmy na szeroką, piaszczystą drogę. Z jednej strony ograniczały ją drzewa, z drugiej niskie, ale urwiste zbocze. Księżyc wyszedł zza chmur i rzucał na drogę nasze cienie.

Możemy zaczynać. — Koneser wyciągnął portfel i wyjął z niego dwa dobrze mi znane, białe kwiatki. — Zostały mi po naszej ostatniej wycieczce. Proszę trzymać go w ręku albo schować sobie do kieszeni — powiedział, podając mi jeden. — Nie znam lepszego wykrywacza zakopanych w ziemi skarbów. W tym przypadku chodzi o fulguryt. Takie podłużne, nieco poskręcane pręciki, trochę podobne do spalonego żużla — dodał, widząc moje tępe spojrzenie.

Aha. — Odwróciłem się i zamrugałem. Kilka kroków od nas spod ziemi wydobywał się słaby, żółtawy blask. Pokazałem to miejsce Koneserowi, ale starszy pan pokręcił głową.

Jakieś zabytki, które teraz są równie cenne co skrzynia złotych monet. Przydatne, jeśli zna się handlarzy z bazaru na Kole albo na internetowej aukcji. Fulguryt będzie świecić bardziej na czerwono. Trzeba się dobrze przypatrzeć, bo na miejscu może rosnąć mech albo zasłonią go krzaki.

Ruszyliśmy przez las oddaleni od siebie o kilka metrów, uważnie rozglądając się wokoło. Co chwila ten czy inny kawałek ziemi świecił niezwykłym blaskiem.

Ciekawe, co tam może być? — zastanowiłem się.

Nie licz na walizkę szmalu zakopaną przez zbójców — od powiedział Rumcajs. — Raczej hełm z drugiej wojny. Łuska od działa. Zardzewiały jak nieszczęście karabin. Ba, może szkielet szwabskiego wojaka w kompletnym mundurze i z giwerą. Można opchnąć kolekcjonerom, choć nie płacą za wiele. A swoją drogą, Marcin, nie masz może jeszcze jednego kwiatka? Lagusowi by się taki jeden przydał...

Na co mu? — zdziwił się Koneser. — Przecież to domowik, jak ty. Nic dzięki niemu nie zobaczy.

Zapomniał, *gdzie* znajduje się jego skarb. Wynajęcie czło wieka, aby go dla niego znalazł, to już betka.

Słusznie. Pospacerujecie jeszcze trochę, to was namierzą — usłyszeliśmy gdzieś z przodu. — Ciągłe sprawdzają, bo znowu parę trupów z lasu wywieźli.

Zza drzewa wyszedł niski, obcięty na jeża osobnik w mundurze pracownika rezerwatu. Był krępy, brodaty niemal tak samo jak

Rumcajs, a pod koszulą rysował mu się całkiem pokaźny brzuszek. W pierwszej chwili wydawało mi się, że z boków głowy wyrastały mu jelenie rogi, były to jednak tylko suche gałęzie kołyszące się na drzewie.

Brzuchaty leśniczy trącił butem wystający ze ściółki przedmiot, który z daleka wzięłem za wyrosniętego grzyba. Grzyb zadźwięczał metalicznie.

Niedobrze. Nawet o tym nie wiedząc, przekroczyliśmy granicę rezerwatu i stanęliśmy obok wykrywacza podczerwieni. Patrol pewnie jest już w drodze, a jak nas złapią, to przegonią po wszystkich możliwych sądach. Muszą sobie poprawić statystyki, a prawdziwi przestępcy są zbyt niebezpieczni, aby ich łapać.

— Witaj, panie Borowy. — Rumcajs uścisnął mu dłoń. W jego głosie brzmiał nietypowy jak na niego szacunek. — Czy pozwolisz, abyśmy trochę... połazili po twoim królestwie?

— Lepiej powiedz od razu, po co — odparł spokojnie tamten. Przez chwilę rozmawiali tak cicho, że nic nie słyszałem. Popa trzyliśmy po sobie z Koneserem, niepewni, co z tego będzie.

Kto to? — spytałem szeptem.

Borowy, władca Kampinosu — wyjaśnił cicho starszy pan. — Wie o wszystkim, co się w lesie dzieje, obojętnie, rezerwat, czy nie. Lepiej zawsze pytać go o zgodę.

Pomoże nam?

— Nie wiem. Podobno potrafi być humorzasty. Dostrzegłem, jak Rumcajs wsunął coś Borowemu w dłoń. Ten

obejrzał prezent, kiwnął głową i schował go do kieszeni koszuli. Domowik machnął na nas ręką. Znowu zagłębiliśmy się w las.

Borowy poprowadził nas gęsiego mało znanymi skrótami i ścieżkami, o których nie wiedzieli pewnie sami leśnicy. Znów było tak cholernie ciemno, że szedłem jak ślepy, wpatrując się w nieco jaśniejszą plamkę czapki Rumcajsa. Od czasu do czasu przelatywał nad nami zdalnie sterowany samolot z kamerą na podczerwień i low—light, jeden z kilku patrolujących z nieba rezerwat. Borowy wyjaśnił, że dopóki jesteśmy z nim, samoloty i stacjonarne wykrywacze nas nie widzą. Dla nich, mówił, jest gatunkiem lokalnym, tylko na szczęście chipa mu jeszcze nie wszczepili. Przez większość czasu rozmawiał z idącym tuż za nim domowikiem. Dziwił mnie trochę ten nabożny szacunek, jaki Rumcajs do niego żywił. Wyglądał na kogoś, kto zdążył się już nieźle uczyłowić.

Czy już wróciły stare, dobre czasy? Na powrót stawiają garnki z prochami przodków na palach?

Niestety, nie.

Szkoda — westchnął Borowy — bo kiedy was zobaczyłem, to tak sobie pomyślałem... zawsze

się na tryźnie obżerałem, nawet chudy kurczak lepszy niż te korzonki i sosnowe nasionka. Ten facet to nie na ofiarę może? — spytał ze słabo ukrywaną nadzieją.

Pomaga mi — odparł ku mojej wielkiej uldze Rumcajs. — To przewodnik.

Borowy pokręcił z niedowierzaniem głową.

— Przewodnik? To już potrzebujemy ludzi, aby się po świecie poruszać? Świat się kończy.

Niespodziewanie na jednym z drzew rozbłysła para ogromnych oczu. Wzdrygnąłem się, chwilę potem dostrzegłem na tle nieba krępy, pierzasty kształt. Sowa.

— Ja ci dam sowę! — usłyszałem niespodziewanie z góry. — Jestem bobo! Bobo!

Ogromny ptak zahukał i odleciał w ciemność.

— On tylko dzieci straszy — wyjaśnił Borowy. — Ty jesteś dla niego za stary.

Możliwe. Było w tym ptaku coś, co kojarzyło mi się z rozkołysanymi gałęziami za oknem, straszliwymi cieniami na ścianach i suficie, z dziwnymi, tajemniczymi odgłosami. Przywodziło na myśl koszarne potwory ciemności, naciągniętą na głowę kołdrę i zimny pot po obudzeniu.

Nie wiem, jak długo szliśmy, ale znowu trafiliśmy na piaszczystą drogę. Po lewej wznosiły się pagórki porośnięte suchą trawą, rachitycznymi krzakami, mniej lub bardziej powyginanymi wiatrem sosnami. Borowy zatrzymał się przy jednej z nich, wyjątkowo starej i przypominającej gigantyczne drzewko bonsai. Pewnie był to jakiś pomnik przyrody. Jedno ze zboczy osunęło się tutaj, odsłaniając potężny, rozdzielony na trzy główne części gąszcz

korzeni. Przestrzeń pod nimi skrywała ciemność. Równie dobrze mogła znajdować się tam płytka jama, jak i głęboka jaskinia.

Kilkanaście lat temu uderzył tu piorun — powiedział elf. — Oberwało kawał gałęzi i weszło w ziemię. Na pewno jeszcze tam coś zostało. Dobrze, że akurat byłem poza domem...

Mieszkaś tu? — spytał ze zdziwieniem i podziwem Rumcajs. — Patrzcie ludzie, tak winien mieszkać pan lasu. Jak za dawnych lat...

Podczas gdy domowik kontemplował drzewo, wraz z Borowym i Koneserem wdrapałem się na górę.

Stanęliśmy pod nisko zwisającymi gałęziami, na miękkim dywanie z piasku i mchu przetykanego suchym igliwem i szyszkami. W świetle księżyca wydawało się, że kora na pniu jest rudobrazowa. Pachniało tu niczym w samochodzie mojego ojca — ze wszystkich odświeżaczy powietrza uznawał tylko sosnę.

Borowy stanął po przeciwnej stronie drzewa i tupnął nogą. W piasku natychmiast utworzył się dość płytki lej. Kiedy podszedłem bliżej, dostrzegłem na jego dnie słaby blask.

— Bierzcie — zaprosił nas gestem władcy lasu.

Koneser powoli uklęknął na krawędzi leja i bez wahania zanurzył dłoń w jamie. Filmowa edukacja znowu dała o sobie znać, odruchowo sprężyłem się, gotów ratować starszego pana, gdyby nagle coś zaczęło wciągać go do środka.

Koneser cofnął rękę i z dumą zaprezentował otoczony jasną aureolą krzywy pręcik przypominający laseczkę wanilii.

— Kruche, trzeba uważać — uprzedził.

Borowy skubał jakieś wyciągnięte z kieszeni pestki i z dziwnym zaciekawieniem przyglądał się naszym wysiłkom, jakby się zastanawiał, kiedy nas coś zabije. Podszedłem do dołu z duszą na ramieniu.

Na dnie leja dostrzegłem *jeszcze* kilka skąpanych w żółtawym blasku pręcików. Wepchnąłem rękę. Po omacku namacałem ich czubki, chwyciłem za jeden i ostrożnie, niczym saper rozbrajający podskakującą minę, zacząłem ciągnąć. Z początku szło mi opornie, jednak już po chwili mogłem sobie obejrzeć piorunową strzałkę z bliska.

Wierzyć się nie chce, że to takie potężne — mruknąłem.

Ale w to, że cały świat stoi na machinach z piasku, wierzysz — parsknął Rumcajs, który tymczasem wdrapał się na górę. — I oby wam się nie zawalił jak zamek z piasku podczas pierwszego sztormu.

Borowy pokiwał głową i poczęstował Rumcajsa swoimi pestkami.

Umm, szyszunia, mięciutka — mlasnął domowik. — Co prawda nie mój smak, ale panu lasu się nie odmawia. A świeży soczek sosnowy? Tia, nic dziwnego, że trzymasz formę... Jakby to po wiedzieli ludzie: dobre mieszkanie, właściwa dieta i dużo ruchu. Chemia ci nie szkodzi?

Bożyby to cudo. Pryskają te lasy różnymi świństwami, aby wytepić szkodniki, ale jakoś mnie to nie przeszkadza. Właśnie dzięki niemu. Jedz go, a żadne ludzkie wynalazki ci nie zaszkodzą. Tak mi powiedział jeden krewniak, co w dawnym gaju Starzów od najstarszych lat siedzi. I trzymaj się z daleka od techniki, bo nic tak nie uczyłowicza jak ona...

Staram się. — Domowik wzruszył ramionami. Widać było, że temat mu nie leży. — Ale pustelnikiem przecież nie zostanę. Mam między ludźmi ganiać w lnianych portkach z powrośtem? Sam też chodzisz po ludzku.

Borowy położył dłoń na ramieniu Rumcajsa.

Wiesz *przecież*, że to jeden z moich darów — rzekł tak cicho, że ledwo go słyszałem. — A dlatego jeszcze go mam, że trzymam się z dala od techniki. Nie mówię, że znowu staniesz się taki jak dawniej, ale na pewno dłużej pożyczysz i zachowasz swoje dary. A przeżyć każdy dzień to nadzieja, że jutro Bramy się otworzą.

Jasne — prychnął domowik — a wtedy oberonowi rozgonią nas na cztery wiatry. Dla nich jesteśmy śmiecie.

Żaden jego latawiec czy wietrznik — powiedział powoli i do bitnie władca lasu — nie zostanie borowym. Do tego trzeba się urodzić. No, twoja kolej! — huknął, widząc, że już mam swoją zdobycz.

Rumcajs nie starał się być ostrożny, tylko złapał pierwszą strzałkę z brzegu i wyciągnął. Złożyliśmy fulguryt do podstawionej płóciennej chusteczki Konesera. Starszy pan zwinął ją pieczołowicie i schował w wewnętrznej kieszeni kurtki.

Dziękujemy — rzekł z szacunkiem Rumcajs. — Wielceśmy ci wdzięczni...

Nie dziękuj, zapłaciliście z góry. Niczego więcej wam już nie potrzeba? Chętnie bym jeszcze pogadał, bo rzadko mam gości, ale stłumiłem dziś w zarodku przynajmniej siedem pożarów w całej puszczy i padam już na pysk, a kawa mi szkodzi. Odprowadzę was tylko na skraj lasu, byście nie narobili jazgotu.

Przez kwadrans szliśmy piaszczystą drogą, po czym skręciliśmy w las.

— Uważajcie na okopy — ostrzegł nas. — Co prawda nie można tu utonąć, jak Szwaby na bagnach, i nie ma tu świecków, co na złe drogi zwiodą, ale i tak zwichnąć nogę można.

Przez dłuższy czas opowiadał nam, jak to podczas wojny zwodził Niemców i topił ich na mokradłach. Był najwyraźniej rad, że może się tym wreszcie komuś pochwalić, a sądząc po tonie głosu, miał wielką ochotę znowu się tak zabawić.

Nagle przerwał w pół słowa i znieruchomiał. Trwał tak przez chwilę, nadstawiając ucha na słyszalne tylko dla siebie dźwięki.

— Oho, obowiązek wzywa. Czekaście. Bezszelestnie przepadł w zaroślach.

— Ej, Łusy! — rozległ się po chwili grzmiący i groźny głos. Omal nie padłem na zawał. Głos był szorstki i chropawy, jakby posługiwał się nim ktoś, kto dawno tego nie robił, wydawał się dobiegać zewsząd i znikąd. — Kolejny trup, co?! — grzmiał dalej władca lasu. — Pełno w tym lesie tych, których własną ręką zgładziłeś! Ziemia krwią nasiąkała! Krew zemsty woła!

W bezcielesnym głosie było tyle pasji i nienawiści, że mnie zmroziło. Przez chwilę nie byłem

nawet pewien, czy jeszcze oddycham. W krzakach przed nami rozległ się dziwny szelest. Gałęzie drzew poruszyły się.

— Idę po ciebie — oznajmił głos.

Szelest przed nami przybrał na sile. Zaraz potem rozległ się pełen bólu i przerażenia wrzask.

— Oho, pokazał mu się — mruknął Rumcajs. — Znaczy, jak na prawdę wygląda.

Łysy darł się krótkim, urywanym wrzaskiem, jakby chciał wypluć płuca. Krzyk zmieniał natężenie, czasem słabł, aby po chwili buchnąć z nową siłą. Koneser przysłuchiwał się temu z lekkim niesmakiem.

— Lepiej usiądźmy. — Rumcajs sięgnął do kieszeni po papierosy, ale rozmyślił się w ostatniej chwili. — To może jeszcze potrwać.

Stałem bez ruchu, bojąc się nawet oprzeć o najbliższy pień. Starszy pan miał rację, Borowy rzeczywiście władał Kampinosem. Las nie wydawał się już tylko zbiorowiskiem drzew, krzewów i innej zieleniny: wokół mnie pulsował żywy, świadomy organizm, który nagle, na rozkaz swego pana, szumem i szelestem manifestował swoje niezadowolenie.

Krzyki Łysego były coraz słabsze, najwyraźniej Borowy kończył już wypełniać swoją powinność. Szelest jednak nie ścichł i zaczął się zbliżać w naszą stronę.

— Nie uciekniesz, Topek! — znów zahuczały drzewa wokół, za szeleściły krzewy. — Wiedziałeś, co cię czeka, jeśli wrócisz, zdrajco!

Spomiędzy drzew wypadł niski, krótko obcięty facet w ciemnym ubraniu. Dostrzegł nas i przysiągłbym, że w jego oczach zapalił się jakiś dziwny blask.

— Topek? — zdumiał się Rumcajs. — O cholera...

Nie miałem nawet czasu na przekrzywianie głowy, bo facet zaszarżował na nas. Kiedy dzieliło nas zaledwie kilka metrów, potknął się i legł jak długi, klnąc cicho przez zaciśnięte zęby. Zerwał się, ale nie ruszył dalej, noga zaplątała mu się w niskich krzakach. Pewnie rośliny przyszły z pomocą swojemu panu. Uwięziony szarpnął się kilka razy, spoglądając z wściekłością to na pułapkę, to na nas. Dlaczego tak chciał nas dopaść? Bo byliśmy świadkami? Liczył, że weźmie nas jako zakładników?

Niespodziewanie Rumcajs pociągnął mnie za rękaw.

— Chodu! — syknął przerażony. — Byle dalej!

Nie zdążyłem się obejrzeć, a domowik już kluczył między drzewami, wlokąc za sobą Konesera i mnie. Niemal wrzucił nas na dno jakiegoś płytkiego dołu, który dawno temu mógł być okopem.

Ostrożnie wystawiłem głowę: od szamoczącego się Topka dzieliło nas kilkanaście metrów. Lada chwila mógł się uwolnić.

— Jeśli się wyrwie — tłumaczył pospiesznie domowik — zatkać uszy, bo szlag nas trafi!

W tym momencie utopcowi udało się wreszcie wyszarpnąć nogę, razem z zaplątaną do niej rośliną.

Rozległ się potworny wizg, jakby ktoś odpalił infradźwiękową bombę. Nawet przez zatkane uszy dźwięk wwiercał mi się do mózgu i wprawiał czaszkę w wibracje, od których zaraz mogła pęknąć. Musiałem chyba krzyczeć. Zobaczyłem, jak Koneser i Rumcajs też zasłaniają uszy i wtulają twarze w mech. Zrobiłem to samo, licząc, że przyniesie to ulgę, że wreszcie się skończy...

Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że wokół panuje kłująca w uszy cisza. Ostrożnie podnieśliśmy głowy, a upewniwszy się, że nic nam już nie grozi, chwiejnie stanęliśmy na nogi. Szelest ściółki upewnił mnie, że udało mi się zachować słuch. Topka nigdzie nie było widać.

No, Adaś — powiedział cicho Rumcajs, otrzepując spodnie — teraz już wiesz, dlaczego do wyciągania mandragory używało się psów.

Co? — wykrztusiłem. Pomysłowość władcy lasu nie miała gra nic. Po głowie tłukła mi się myśl,

że w uprawach medycznych nie noszą nauszników, ale wobec tego, co przeżyłem, te słowa wydawały mi się dziwnie nie na miejscu.

Sądząc po wrzasku, roślina już nieźle wyrosła — rzekł Koneser.

Spojrzelśmy na majaczące wśród krzewów ciało. Rumcajs spokojnie podszedł do niego, przyjrzał mu się i wrócił, niosąc coś w ręku.

— Faktycznie, spory — pokazał nam duży, poskręcany korzeń. W ciemności w żaden sposób nie mogłem rozpoznać w nim kształtów człowieka. — Masz, Adaś, może ci się na coś nada. Pomaga na wszystko, od kataru przez malajskie zapalenie wątroby po wzmożenie męskich sił...

— Niezły prezent — dodał Koneser. — Radziłbym *przyjąć*. Posłusznie schowałem korzeń do kieszeni, w domu sprawdzę,

na co faktycznie może mi się przydać. Zdziwiło mnie, że ani domowik, ani tym bardziej starszy pan w ogóle nie przejmowali się leżącym nieopodal trupem.

A on? — spytałem, wskazując ciało.

Co on? — wzruszył ramionami Rumcajs. — Trup, i dobrze. To był topek, utopiec znaczy, a one zawsze są wredne, zapamiętaj to sobie. Znałem tego drania jak zły szeląg. Uczłowieczył się, w spółkę z ludźmi wchodził. Pewnie mu kiedyś rzeczkę czy staw zasypali, to i się zabrał za inną mokłą robotę. Wierz mi, nie ma co po nim płakać.

Nie wiedzieć skąd, niespodziewanie pojawił się Borowy. Nawet mnie to specjalnie nie ruszyło — pewnie zacząłem się już przyzwyczajać. Ledwo zaszczyił trupa spojrzeniem. Znacznie bardziej zainteresowało go, skąd mamy mandragorę.

— Psem ludzi się stał, to i psią śmiercią zginął — skwitował całe zajście. — Możecie ją sobie zatrzymać, choć nie wiem, czy na uczłowieczenie coś pomoże. Zebraliście już wszystko, co wam potrzebne? W takim razie bywajcie; idźcie przed siebie, a zaraz dotrzecie do drogi, zresztą tutaj nie ma już czujników. Tylko omijajcie tamte drzewa, bo sobie buty ubrudzicie. Łysy mi się trochę rozmazał.

Wszedł w gęstwinię krzaków i tyle go widzieliśmy. Ruszyliśmy w kierunku wskazanym nam przez Borowego, starannie omijając miejsce, przed którym nas ostrzegwał. Nie interesowało mnie, co zostało z Łysego.

To jak, nastawiamy nalewkę na mandragorze? — spytał domowik, chcąc przerwać przedłużającą się ciszę.

Mam lepszy pomysł — odparłem w nagłym błysku zdrowego rozsądku. — Ofiaruję go pani Goplanie. Sądzisz, że będzie to odpowiedni prezent?

Pewnie się jej na coś przyda. — Rumcajs popatrzył na mnie podejrzliwie. — Tylko po cholere chcesz tam iść?

Pogadać z nią o paru sprawach, a przede wszystkim o jej małżonku. Spokojnie, nie zdradzę was. Dla pewności któryś z was może udać się ze mną...

Jakoś wolę nie pchać się jej przed oczy — burknął domowik. — I nie liczylibym na to, że wyjawi pierwszemu lepszemu dziennikarowi pikantne szczegóły swego związku...

Zerknąłem pytająco na Konesera.

— Mogę do pana dołączyć — odparł spokojnie starszy mężczyzna. — Biorąc pod uwagę okoliczności, w jakich spotkaliśmy się z panią Goplaną, będzie to wyglądać dość naturalnie. Ot, zasmakowała nam herbata z kwiatem paproci.

Pokiwałem głową. Tutaj, w środku ciemnego lasu, nad którym władzę wciąż sprawował jego opiekuńczy duch, myśl o odwiedzeniu galerii w Hyacie wydawała się równie abstrakcyjna jak lot na Księżyc.

Las przerzedził się, wyszliśmy na drogę. Odetchnąłem z ulgą, czując pod nogami znajomą,

asfaltową nawierzchnię. Czulem się tak, jakbym właśnie — bez pomocy żadnych Bram czy środków poszerzających świadomość — nagle wrócił z Tamtej Strony. Ruszyliśmy w dalszą drogę prowadzeni przez orientującego się według gwiazd Konesera.

Czy teraz masz już wszystko? — zapytał go domowik, otrzepując czapkę z igieł.

Tak. Postaram się uwinąć jak najszybciej, ale i tak zajmie to co najmniej dobę.

A kiedy już się będziecie wybierać do szefowej — wtrącił Rum — cajs — nie zapomnijcie odpowiednio tego prezentu zapakować. Najlepiej zróbcie mu ze wstążki kokardkę na szyi.

Rozdział dziewiąty

Na spotkanie z Koneserem o mało się nie spóźniłem. Pod ambasadą rosyjską odkryto kolejną w tym tygodniu islamską bombę i policyjni saperzy znowu zablokowali cały pas jezdni. Starszy pan, jak zwykle nienagannie ubrany w letni garnitur, przyjął to ze stoickim spokojem. Niespiesznym krokiem udaliśmy się w stronę lśniącej w słońcu białą elewacji Hyatta. Hotel niedawno przeszedł remont, podczas którego fronton obłożono białymi płytami o wymiarach podobnych jak okna, dzięki czemu całość zaczęła wyglądać niby wielka, trójwymiarowa szachownica. Tak też go czasem nazywano. Kiedy podeszło się bliżej, widać było wyłożony miodowymi panelami hall i kręcących się po nim gości.

Obaj ubraliśmy się odpowiednio, stojący przy szklanych drzwiach ochroniarz w gajerze nawet nie mrugnął okiem. Klimatyzacja spisywała się bez zarzutu, powietrze było tu znacznie chłodniejsze, z barku dolatywał zapach kawy. Skierowaliśmy się w lewo, ku galerii „Goplana”.

Wnętrze, które oglądałem już na ekranie komputera, w rzeczywistości wydawało się mniejsze. Pewnie dlatego, że pani Mro—ziewicz wystawiała właśnie kilka ogromnych płócien i sporych, przeznaczonych do stawiania na ziemi rzeźb. Za standardowym biurowym narożnikiem siedział przy komputerze Skierka, tym razem w niebieskiej koszuli z krótkim rękawem. Zerknął na nas z nas twarzą pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu, po czym gestem zaprosił w głąb sali.

W swojej galerii Goplana wystawiała rzeczy, które mogły spodobać się mieszkającym w hotelu korpom. Obrazy wyglądały jak impresjonizm skrzyżowany ze sztuką ludową bądź stanowiły typowe przykłady sztuki naiwnej. Ku mojemu zaskoczeniu na jednym z nich dostrzegłem nieco tylko przetworzone pole kwitnących paproci. Przyglądając się innym dziełom, odniosłem wrażenie, że choć nie poznaję miejsc, to prawie na pewno znajdowały się one po Tamtej Stronie. Właścicielka wynurzyła się zza ciemnej ruchomej ściany, na której wisiało kilka obrazów. Dzisiaj miała na sobie granatowy kostium, co przy obecnej pogodzie groziło śmiercią z przegrzania.

Witam panów — powiedziała serdecznie, ściskając nam dłonie i prowadząc za przepierzenie na drugim końcu sali. Znajdowało się tam niewielkie biuro: szafa z barkiem i pudełkami na minidy — ski, zawinięte w bąbelkową folię pudło, dyrektorskie krzesło przy biurku z laptopem i miseczką malin, wielkie okno przesłonięte verticalami. Wszystko z Radicała, funkcjonalne i względnie tanie.

Mają panowie szczęście, że mnie zastali — ciągnęła, kiedy zasiedliśmy już na wygodnych krzesłach. — Właśnie otwieram w Domku Mauretańskim na Puławskiej filię ze sztuką ludową i mam tu trochę bałaganu...

Poruszyłem się niespokojnie na krześle. Idąc tu, konsekwentnie realizowałem to, co postanowiłem poprzedniego dnia. Ofiarowanie jej mandragory było dobrym pretekstem, ale potem musiałem przejść do *rzeczy* ważniejszych — zadawania pytań. Zastanawiałem się, czy pani Mroziewicz pamięta, iż wraz z Koneserem widzieliśmy ją na haju. Teraz może zachowywać się sztucznie albo spróbuje zatuszować złe wrażenie.

Herbaty? — spytała, podchodząc do barku. Jak się okazało, miast baterii alkoholi mieścił w sobie niewielki czajnik, filizanki, imbryk i pudełko na herbatę. Kaprys godzin właścicielki galerii.

Nie odmówię — uśmiechnął się Koneser, a mnie nie pozostało nic innego, jak pójść w jego ślady.

Wbrew moim podejrzeniom, dostaliśmy coś normalnego i bez kwiatu paproci. Widocznie Goplana wyznawała zasadę, że w pracy nie zażywają. Słusznie.

A zatem, czym mogę panom służyć? — spytała, siadając. Poło żyłem na blacie papierową torbę na prezenty, w której znajdował się korzeń mandragory. Wbrew radzie Rumcajsa — bez kokardki na szyi.

Przynoszę coś, co, jak sądzę, może się przydać potężnej władczyni natury — powiedziałem z uprzejmym uśmiechem. Goplana uśmiechnęła się samymi oczami, po czym ostrożnie rozchyliła opakowanie. Zaskoczyłem ją. Chyba dała się nabrać na numer z nieorientowanym w temacie człowieczkiem.

To rzeczywiście magiczny dar — powiedziała, odkładając to rebkę na biurko. — Czym sobie zasłużyłam?

Niech to będzie skromny dowód naszej wdzięczności — po spieszył mi z pomocą Koneser — za te rozkosze podniebienia, które nam pani ofiarowała.

Goplana skwitowała komplement kolejnym uśmiechem, tym razem dla starszego pana. Ciekawe, czy orientowała się, kim naprawdę jest?

Cóż, jeśli o to chodzi, nie widzę przeszkód, aby panowie zgłosili się w tej sprawie bezpośrednio do herbaciarni. Na wszelki wypadek wystawię panom upoważnienie dla obsługi, aby mogła przygotować kolejne paczki mojej mieszanki. Obawiam się jednak, że będę musiała znowu poprosić panów o drobną przysługę...

No właśnie. Od naszego ostatniego spotkania dręczy mnie pewne pytanie. Jesteśmy zwykłymi, całkiem przeciętnymi ludźmi. A teraz, kiedy stałem się koncesjonowanym dostawcą — pozwoliłem sobie na nutkę ironii — zastanawia mnie, czym sobie zasłużyliśmy na taki zaszczyt? Chodzi mi o to, że objawiła nam pani swoją prawdziwą tożsamość. Czy tylko dlatego, że byliśmy we właściwym czasie we właściwym miejscu? A może to jakiś happening albo reality show? Przyznam, że taka wersja najbardziej mi pasuje. Tylko po co ciągnąć to dalej, skoro już wiem, że to wszystko na niby?

Koneser w milczeniu piorunował mnie wzrokiem, oczekując pewnie, że za chwilę Goplana zamieni nas w wierzby. Władczyni elfów słuchała tymczasem z uprzejmym zainteresowaniem, kiedy zaś doszedłem do happeningu, roześmiała się. Odchyliła się nieco w fotelu i pociągnęła łyk herbaty.

— Nic z tych rzeczy — odpowiedziała, uśmiechając się ciepło.

— Panie Adamie, ilu jeszcze cudów i niezwykłych wydarzeń trzeba, aby pan uwierzył, że to wszystko prawda? Rozumiem, ma pan pełne prawo czuć się zaskoczonym. W końcu niecodziennie spo tyka się takie istoty jak ja, niecodziennie przechodzi się do świata, którego istnienia się nie podejrzewało.

Spodziewałem się podobnej odpowiedzi.

— Pojmuję, że są rzeczy, których pani sama nie zdoła wykonać

— brnąłem dalej. — Zdziwiał mnie jednak sens tego wszystkiego. Teraz są inne czasy. Neopogan jest zbyt niewielu, by stanowili liczącą się siłę. Dawno nie ma już Swaróżyca, Światowida i tak dalej. Dlaczego zatem, mówiąc brutalnie, nie zniknęliście wraz z nimi?

— A czy po śmierci człowieka umiera też jego brat? — odpowie działa Goplana. — Owszem, kiedyś żyliśmy razem, ale działaliśmy samodzielnie. Wypełnialiśmy swoje zadania i nadal to robimy, w miarę możliwości jak najlepiej.

Czemu w takim razie pani Mroziewicz nie siedzi nad Gopłem, czy gdzie tam znajdowało się jej jezioro?

Dopasowaliśmy się — ciągnęła dalej pani elfów. — Przeczeka liśmy za piecami chałup, w lasach i wodnych głębinach, tam gdzie każde z nas miało swoje miejsce. Od czasu do czasu pokazywaliśmy się ludziom, i powoli, powoli zaczęliśmy wcho dzić do gadek, bajań, historyjek opowiadanych przy darciu pie rza i podczas długich zimowych wieczorów. Dzięki temu wciąż żyliśmy, robiliśmy to, co do nas należy. Ostatnie trzysta lat sprawa wilo, że zaczęło być z nami coraz gorzej, z wolna traciliśmy siły. No bo co może zrobić na przykład wodnik, którego akwen z każdym dniem gorzej śmierdzi? Dopasować się lub poszukać sobie innej wody. Różnie wybieraliśmy, nie zawsze dobrze... i słabiliśmy. Prawdę mówiąc, liczyłam na to, że uda nam się przetrwać w lepszym stanie.

Cały czas słyszę „my” — zauważyłem, udając zaskoczenie. — A zatem poza panią i pani sekretarzami są *jeszcze* inni?

Goplana zmarszczyła na moment brwi, skonsternowana, po czym napiła się herbaty i splotła dłonie na blacie.

— Nie są to rzeczy dla mnie przyjemne, powiem więc krótko i proszę nie wypytywać mnie o szczegóły — zaczęła mówić z lekką niechęcią w głosie. — Owszem, żyje jeszcze część moich poddanych, lecz i oni, pomimo że dokładam wielu starań, rozpuszczają się powoli wśród ludzi. Jest też i mój małżonek. Nie utrzymywałam z nim kontaktu od bardzo długiego czasu... powiedzmy, że żyjemy w separacji. Nie mogliśmy się porozumieć co do tego, jak żyć po zniknięciu bogów. On starał się uporczywie trwać przy starych zwyczajach, liczył, że nowa religia szybko przeminie, ale wkrótce okazało się, że się bardzo mylił. Zdecydował się wyruszyć z tymi, którzy mu służyli, na Tamtą Stronę, ja postanowiłam zostać. Od tamtego czasu nie widzieliśmy się.

Słuchałem w milczeniu, zachęcając panią Mroziewicz do dalszych wynurzeń. Wyglądało na to, że wbrew deklarowanej niechęci do zwierzeń za długo już dusiła to w sobie.

— Nie mam powodów przypuszczać, by przez ostatnie wieki coś w jego nastawieniu się zmieniło. Gdyby chciał wcielić w życie swoje plany teraz... popełniłby jeszcze większy błąd. Proszę mi wierzyć, mieszkam tu bardzo długo i nie interesuje mnie powrót do ofiar, obrzędów i tym podobnych... trzeba zostać wśród ludzi i dalej robić to, co się robiło, albo — wskazała na otaczające nas malarstwo i rzeźby — przenieść się w inny rejon kultury ludzkiej. Gdyby zdecydował się nagle powrócić i zrealizować swój plan, byłaby to klęska dla nas wszystkich, niezależnie od tego, kto komu ślubował wierność i posłuszeństwo. Nie dość, że jego poddani niemal na pewno staliby się ludźmi, to niewykluczone, że ludzka technika i zwyczaje... powiedzmy, zaraziłyby Tamtą Stronę, zmieniając ją na obraz i podobieństwo waszej wyobraźni. Tajni agenci, małe istotki o spiczastych uszkach ze skrzydełkami, superżołnierze, wojownicy w futrzanych gaciach, bohaterowie Sieci. Niezły śmietnik, prawda? Próbowałam go o tym przekonać już dawno, dawno temu, niestety, nie chciał mnie słuchać...

Na chwilę zapanowała cisza, zakłócana tylko szumem klimatyzacji. Siedziałem bez ruchu, zaskoczony szczerością tej istoty. Na twarzy Konesera malowało się głębokie współczucie. Pewnie jeszcze lepiej ode mnie wiedział, o czym mówi pani elfów.

Goplana pokiwała głową.

— Teraz wiedzą już panowie, dlaczego pani przyrody, władczyni licznych zastępów skierek, chochlików, borowych, ubożąt i tak dalej, musi prosić ludzi o pomoc, by zyskać choć drobną pamiątkę ze swojej ojczyzny. Dzięki temu utrzymuję jakiś, choćby słaby kontakt, podtrzymuję siły...

O tak, na pewno. Szkoda tylko, że na tak krótko i takim kosztem.

— A nie próbowała pani — zapytałem, starannie ważąc każde słowo — dać mu znak, że chce się z nim spotkać i porozmawiać?

Niespodziewanie spojrzenie Goplany stwardniało.

— To niemożliwe — odparła stanowczo. — Mój małżonek postarał się, bym nie mogła się z nim skontaktować. Osobiste wejście na Tamtą Stronę absolutnie nie wchodzi w rachubę. Grozi mi to śmiercią.

A zatem Rumcajs nie łągał... widać, kto tutaj trzyma klucze. Do środka zajrzał Skierka.

Przepraszam, ale zjawili się ci od rzeźb Gustlika.

Panowie wybaczą — rzekła władczyni elfów, wstając. — Klienci... często sprzedają to, co stworzą moi poddani. To na przykład — wyjaśniła cicho, wskazując na zapakowane pudło wynoszone właśnie przez jej sekretarza — dzieło jednego mieszkańca śląskich kopalń, który rzeźbi figurki w soli i węgłu. Pomagam, jak mogę.

Wyszliśmy, mijając przy wejściu delegację Japończyków czy Koreańczyków. Po takiej rozmowie nie było zresztą już nic do dodania.

Osiedle za Żelazną Bramą nazywano czasem Sajgonem. Stare bloki, przy których budowie zakładano, że na jednego człowieka przypadają dwa metry kwadratowe mieszkania, cieszyły się wśród emigrantów z Azji dużym wzięciem. Równie popularne były tylko osiedla Pragi, Ochota i Ursynów. Nad szarymi domami górowały trzy walcowate, szklane biurowce, postawione tam jeszcze pod koniec ubiegłego wieku. Kolejne miejsce, gdzie wielki biznes zbliżał się do społeczeństwa.

— I co, wypowiadała ci się? — spytał Rumcajs, kiedy już wy siedliśmy z tramwaju. Nie odpowiedziałem, zajęty przeciska niem się między ludźmi w stronę świateł. Przy Hali Mirowskiej już o drugiej panował tłok, jakby właśnie zaczęły się godziny szczytu.

Nadal nie doszedłem *jeszcze* do siebie po rozmowie z Goplaną. Nagle stałem się powiernikiem tajemnic władczyni elfów. To wszystko było dla mnie za spójne. Chciałem o tym zapomnieć, uparczywie starałem się skupić na tym, po co tu przyszliśmy. Agata zadzwoniła niecałą godzinę po naszym wyjściu od Goplany i zapowiedziała, iż chce się ze mną podzielić tym, co znalazła. Nie odmówiłem sobie przyjemności wyciągnięcia Rumcajsa. Chciał szukać Oberona, to niech ma.

Minęliśmy pamiętającą wiek pary i żelaza Halę, budki z kwiatami oraz przytulony do budynku i zdobiony dwujęzycznymi napisami *bazar*, na którym można było dostać wszystko, zwłaszcza tanie ciuchy i elektroniki. Jeśli wierzyć Agacie, ci dysponujący wystarczającą ilością grosza i lubiący ryzyko mogli sobie tu wstawić nawet coś z bogatej kolekcji tajwańskich wszczepów. Ponoć największym powodzeniem wśród towarzystwa cieszyły się ruchome tatuaże i sztuczne włosy. Dzieciaki z całej Warszawy wydawały na to ostatnie pieniądze, nie zważając na grożące komplikacje i możliwość zakażenia. Niedaleko wejścia omal nie wpadła na nas taka trójka, świecąca włosami jak policyjne koguty i naładowana po dziurki w uszach rozweselającymi drinkami.

Kurde, całkiem inne ludzie — powiedział Rumcajs ponuro. — I pewnie inne domowiki... wyczuwam je.

Spokojnie... nie sądzę, aby zrobiły krzywdę koledze po fachu.

No, nie wiem... dobre miejsce sobie ta twoja koleżanka znalazła. Żaden agenciak Oberona tu nie wejdzie bez obicia mordy.

Aga wpuściła nas, jak tylko zadzwoniłem wideofonem. Weszliśmy do dusznego holu, którego ściany chyba tylko dla zachowania tradycji pociągnięto do połowy jasnozieloną emulsją. Następnie wybraliśmy tę windę, która najlepiej pamiętała ostatni remont.

— Masz słownik? — mruknął Rumcajs, oglądając sporządzone ideogramami napisy na ścianach.

— Nie sędzę, żeby ci był potrzebny. Na całym świecie w takich miejscach ludzie piszą to samo.

Z wyjątkiem kąta przed windą korytarz na piątym piętrze tonął w półmroku: niewielkie okno na jego końcu nie było w stanie rozświetlić długiej kieszki, wzdłuż której po obu stronach znajdowały się drzwi do mieszkań. Znalazłem piątę drzwi na prawo i zapukałem.

Cześć! — Aga cmoknęła mnie na powitanie w policzek. Poczuję łem zapach nietypowych perfum. Agata może i była świetnym adminem oraz nurkiem, mogła nosić w spodniach z grubego płótna multitoole oraz inne niezbędne gadzety, mogła mieć na sobie czarny podkoszulek z okazji kolejnego Dnia Walki ze Spa— mem, ale nie przestawała być kobietą.

To jest Rumcajs — przedstawiłem. — Facet, któremu zależy, by wiedzieć.

Zaskoczony domowik nieśmiało uścisnął podaną dłoń, mrużąc coś w brodę. Chyba nie spodziewał się, że Aga będzie tak wyglądająca.

Zrobiłem krok do maleńkiego przedpokoju i zorientowałem się, że za mną panuje martwa cisza. Odwróciłem się i zobaczyłem, jak Rumcajs wpatruje się szeroko otwartymi oczyma w coś za moimi plecami. Wiedziałem, o co mu chodzi. Na ścianie działowej, tuż naprzeciw drzwi, wisiał namalowany na jedwabiu wizerunek smoka.

Właż — powiedziałem cicho. — Nie ugryzie cię, jestem pewien.

Mam nadzieję — burknął domowik przez zaciśnięte zęby, robiąc ostrożny krok, jakby wchodził na bardzo kruchy lód. Kiedy smok nie zionął na niego ogniem, odetchnął z ulgą.

Mieszkanie Agi składało się z dwóch pokoi, maleńkiej kuchni i równie małej łazienki. W mniejszym pokoju większość podłogi zajmował szeroki materac oraz szafa. Większy stanowił pracownię i coś w rodzaju salonu. Biorąc jednak pod uwagę, że gospodyni większość czasu spędzała w Sieci, rzadko spełniał swoją funkcję.

W starej meblościance, gdzie projektant przewidział miejsce na telewizor, znajdował się warsztat pracy Agaty. Stojąca tam obudowa nie była większa niż u mnie, jednak to, co kryło się w środku, posiadało moc kilka razy większą. Obok stał niewielki płaski monitor, zaledwie siedemnaście cali. Agata korzystała z niego rzadko i wyłącznie do Płytkiej Sieci. Większość czasu spędzała w Głębokiej. Gogle i rękawice walały się wśród stosu minidy—sków, wydruków i różnych elektronicznych bebeczków wysypujących się z tekturowych pudeł. Mimo popołudnia było tu względnie chłodno — Agata, jak większość tutejszych mieszkańców, miała klimatyzację.

Właśnie modernizowałam pudło sąsiadce — wyjaśniła gospo dyni, zsuwając części na bok i robiąc miejsce na niskim stoliku. — Napijcie się czegoś?

Dzięki... czytałaś to? — spytałem, wyciągając spod wydruków tomik poezji naszego kolegi Zbyszka. Agata miała pewien sen tyment do papierowych książek, zapełniła nimi wszystkie półki w salonie.

Zaczęłam, ale nie mogłam skończyć — odpowiedziała, tym razem z maleńkiej kuchni.

Czemu?

Bo zadzwoniłaś — usłyszałem za plecami. Na wykładzinie jej białe stopy poruszały się bezszelestnie. Wypiłem szczypiącą w język bąbelkami gazu mineralną i od razu poczułem się lepiej.

No właśnie, co odkryłaś?

Dziewczyna pstryknęła palcami przed monitorem, system zareagował i ekran się rozjaśnił. Zobaczyłem migoczące tysiącami odcieni szarości tło. Rumcajs stanął tak, bym ja i Agata na wszelki wypadek oddzielali go od komputera.

Co to? — szepnął.

Wizualizacja Głębokiej Sieci — wyjaśniłem równie cicho. — Dla tych, co tam nie wchodzi...

Zgadza się, choć nie jest to najwyższa rozdzielczość — Agata miała stanowczo za dobry słuch.

Usiadła przed monitorem ze skrzyżowanymi nogami, kładąc na kolanach klawiaturę na podczerwień z zamontowaną myszką. — Straszny ruch na serwerach, gnoje zatykają łącza, co chwila jacyś wybrańcy, morfeusze... trójwymiarowa wersja „Matrixa” wchodzi dopiero na jesieni, prawda?

Kampania reklamowa zaczęła się już *teraz*. Powiedz lepiej, czego się dowiedziałas o tej firmie. Facet, którego dane mi podałeś, to doradca finansowy, wolny strzelec, jednoosobowa działalność gospodarcza zarejestrowana na wynajętą kawalerkę. Nawet łącze ma dynamiczny numer, trochę się namęczyłam, aby go namierzyć. Idealne rozwiązanie, można się piorunem ulotnić. Pokiwałem głową. Znałem co najmniej kilka osób, które funkcjonowały w taki właśnie sposób. Zaliczała się do nich także Aga.

— Jego ostatnie zlecenie to niewielka firma komputerowa. Za rejestrowano ją dwa tygodnie temu na nazwisko Gniewomira Zarzyckiego.

Gniewomir Zarzycki... a zatem tak nazywało się oficjalne wcielenie Oberona.

Siedziba mieści się w dwu pokojach biurowca na Pradze, tu masz dokładny adres. — Sieciówka poprawiła koszulkę, podkre ślając przy okazji kształt talii oraz piersi. — Zajmować się będą tworzeniem gier działających w Głębokiej Sieci. Cóż, życzę im powodzenia. Wiesz, jaka tam jest konkurencja.

Grają na giełdzie?

Tak jak mówiłeś. Wczoraj kupili pakiet Irlandczyków z Rovera i są już do przodu o jakieś kilkanaście tysięcy euro.

A zatem Oberon posłuchał mnie. Ale żeby tak szybko udoił aż tyle szmalu?

Kto go obsługuje? Skąd wziął na to pieniądze?

Powoli... — delikatne palce stukwały w klawiaturę, obraz na ekranie zmienił się po raz kolejny. Pojawiły się trzy kolumny, po lewej — rozmaite nazwy.

Po pierwsze, spieniężył trochę złota. „Trochę”, czyli około kilkudziesięciu kilo. Mam tu listę transakcji, przede wszystkim z NBP. Sprzedawało je co najmniej kilkadziesiąt osób, obywateli polskich. Potem przez kilku pośredników trafiły na ich konto.

Agenci — mruknął Rumcajs. Zapomniał o swoim strachu i gładził w skupieniu brodę. — Załatwili swoje i wrócili na... do domu.

To nie wszystko. — Znów kilka stuknięć, następne kolumny. — Zarzycki ma inne, utajnione konto, na którym pracowicie zbiera pieniądze przywłaszczane metodą skoku na furgonetkę.

To znaczy?

Przy okazji przelewów bankowych. W teorii pieniądze idące kablem są nie do ruszenia, w praktyce zawsze podczas transferu może wydarzyć się jakiś niewielki błąd i obie strony są zwykle na to przygotowane, a kwota wyrównywana z automatu. Ową różnicę zagospodarowywał właśnie wasz szef...

Na ekranie pojawił się węzeł sieci pod postacią neuronu, do którego spływały migoczące aksony połączeń. Płynące nimi strumienie danych zlewały się w jeden lśniący ciąg.

— To serwer jednego z banków szwajcarskich. Popatrzcie tu. Ruch zwolnił, można już było zobaczyć płynące w obie strony

strumienie danych pod postacią szeregów zer i jedynek, wokół których niczym białe krwinki krążyły programy zabezpieczające. Niespodziewanie z zewnątrz do kanału przedostała się kolejna biała krwinka. Obraz zwolnił jeszcze bardziej, jak na transmisjach z mundialu, kiedy pokazują zwycięską bramkę. Nie zatrzymywany przez programy zabezpieczające intruz na ułamek sekundy musnął powierzchnię strumienia danych wchodzących do serwera. Na ten ułamek sekundy maska opadła i tajemniczy gość rozblęsnął złocistożółtym światłem. Nim jednak którykolwiek z programów zabezpieczających zdążył zarejestrować nieprawidłowość i wszcząć

alarm, blask zaraz przygasł i włamywacz zniknął w taki sam sposób, w jaki się pojawił. Obraz ruszył z normalną prędkością.

Obejrzałam to sobie z dala, Lornetką — wyjaśniła spokojnie Agata, a ja znów poczułem podziw dla jej umiejętności. Zabezpieczenia bankowe w Głębokiej Sieci były niezwykle czułe, nawet przebywanie w ich pobliżu mogło wywołać alarm. No, ale ona była fachowcem. Kiedyś poszła na ostre z kilkoma hinduskimi programistami zatrudnionymi przez Bayera i wyszła z tego cało.

Facet był bardzo cierpliwy i zjadał ten tort powoli, małą łyżeczką. Zerknij na tę listę, różnice czasowe są znaczne, nie ma w tym również żadnej regularności, która pozwoliłaby go nakryć.

A przeczesał całą wierchuszkę, chyba wszystkie sto najbogatszych firm świata. Nie sądzę, aby ktokolwiek w księgowości zorientował się, że ich krwawica przydała się do uruchomienia czyjejs prywatnej inicjatywy. Widzieliście, wykorzystywał do tego celu jakieś cholernie małe, wyspecjalizowane programy. W życiu czegoś takiego nie widziałam, musiał je napisać sam albo ktoś mu je zrobił na życzenie.

Dłoń Rumcajsa znieruchomiła na brodzie, domowik pokręcił głową.

Przez chwilę panowała cisza, zakłócana tylko krzykami bawiących się na podwórku dzieci i szumem wektorówek kierujących się ku dachom sąsiadujących z blokiem Agaty biurowców.

I co on zrobił z tą sałatą? Uprał?

Nie, co należy uznać za błąd. — Agata pokręciła głową. — Ja bym tak zrobiła. Powierzył je firmie maklerskiej Zaimona. Świadczy to albo o jego skrajnej głupocie, albo o zamiarze robienia małego legalnych interesów. Ci goście specjalizują się w rozmaitych lewych interesach giełdowych. Nie pracują w białych rękawiczkach.

Zostawił giełdę ludziom... dobrze, że wykazał się choć odrobiną rozsądku. Gorzej, że niewłaściwym.

Nie wiesz, czy skarbowka ma już tych chłopaków na oku? A może dla niej pracują?

O ile wiem, jeszcze nie. Mam się upewnić?

Uhm. — Poczułem, że oto być może otwiera się przed nami kolejna furтка do uratowania Oberona. Nie było wyjścia, po czymś takim musiałby spełnić każde moje żądanie. Proszę, panie Obe— ron, oto pańska żona i jej dwór. Zabieraj pan to stado z tego pięknego miasta i starannie zamknij za sobą drzwi z drugiej... to jest Tamtej Strony. — Co teraz robi Zarzycki? Na co wydaje?

Lokal mają już urządzony. — Agata wyświetliła wyciąg z obero— nowego konta. — Nie dalej jak wczoraj poszły pieniądze do „Tele— comu”. To pewnie te kursy, o których mówiłeś. Odbywać się będą dwa razy w tygodniu po cztery godziny, we wtorki i czwartki, od dziewiątej do pierwszej. Mają ich uczyć podstaw programowania w Visualu, grafiki trójwymiarowej, nurkowania w Głębokiej Sieci... wszystkiego, co jest potrzebne do tworzenia wirtualnych gier.

Dziwne to trochę, zawsze sądziłam, że do takiej roboty bierze się ludzi z doświadczeniem...

Właśnie, ludzi, nie istoty z zamierzchłej przeszłości. Potwierdzały się obawy moje i domowika.

Zrobiłaś dla mnie kopię tego wszystkiego?

Tu leży.

Jesteś wspaniała. — Delikatnie objąłem jej drobne ramiona. Zawsze się bałem, że wystarczy mocniejszy uścisk i dziewczyna się połamie. — Obserwuj dalej ich szmal, ale z daleka i bez szaleństw. Jeśli zrobią coś dziwnego, daj znać, OK?

Jasne. — Aga poklepała mnie po dłoni. Jej dotyk był ciepły i delikatny.

Można by go namierzyć w biurze albo na tym szkoleniu i po sprawie — zastanawiał się Rumcajs, kiedy wyszliśmy.

Mało prawdopodobne — zauważyłem. — Pamiętasz, co mówił nasz planetnik, on jest ciągle w ruchu. Poza tym *raczej* nie sądzę, by kształcił się ze swoimi podwładnymi.

Fakt, on jest stworzony do wyższych celów. Ale musi przecież czasem tam zajrzeć, nie? Pogadam z Mariaszkiem, niech się trochę pokręci.

Tam jest ochrona, mogą go pogonić. A te programy od zbiegania szmalu... to były skierki, prawda? Te, które przeniosły się najpierw do gniazdek, a potem do Sieci.

Rumcajs znów pogładził brodę.

Możliwe — przyznał. — Dawno żadnego z nich nie widziano, ale to małe, szybkie, wredne świry, więc nikt za nimi nie tęsknił. Ciekawe, co im Oberon obiecał za służbę.

Źle, że jej nie uprzedziliśmy. Może byłaby ostrożniejsza — rzekłem ponuro.

A uwierzyłyby? — spytał ironicznie domowik, kiedy wysiedli śmy z windy.

— Gdybyśmy powiedzieli, że to nowe programy... Wyszliśmy na zewnątrz. Słońce paliło jak dawniej, a wyprażone

na żużel mury i chodnik oddawały ciepło. Tłum na ulicach był jeszcze większy. Ruszyliśmy powoli w stronę ronda ONZ, starając się skryć w cieniu przedwcześnie kwitnących lip.

— Troszczysz się o nią — zauważył Rumcajs. — Nie dziwię się, ładny z niej okaz... czemu się wokół niej nie zakręcisz?

Daj spokój, to *przyjaźń*. Od bardzo dawna. Rumcajs uśmiechnął się porozumiewawczo.

Jedno drugiemu nie *przeszkadza*..

Jak komu — warknąłem zirytowany.

Aha, i pewnie dlatego *jeszcze* sobie żadnej nie sprowadziłeś?

A co cię to obchodzi?!

Twój dom mi powiedział.

Taak? A co konkretnie?

Że ci tego potrzeba.

Dziwne, że nie powiedział ci też i przyczyn — moja ironia musiała już wyżerać dziury w chodniku.

Ja nie odbieram myśli, tylko emocje. Ale one nie biorą się ot, tak. Zawsze coś za nimi stoi. Jakieś wydarzenie, czasem cały ich szereg.

Może u was takie sprawy to normalka, ale dla mnie nie jest to takie proste, jak ci się wydaje — warknąłem. — Więc może przestań drążyć, bo sam poszukasz swego władcy.

Oho, wkurzyłeś się — mruknął domowik, spoglądając na mnie uważnie. — Znaczy, to coś ważnego.

Pewnie, że ważnego, nawet nie wiesz, jak bardzo, ty ciekawski, bezczelny kurdupłu. Znaliśmy się z Agą od dawna, ale poprzestaliśmy na przyjaźni i nikomu z nas nie przyszło do głowy, aby pójść dalej. Słowa domowika przywołały wspomnienia wcześniejszych związków — nie trwały za długo. Z Agą mogłoby być tak samo, a nie chciałem tracić dobrego przyjaciela i fachowca. Wszystkie dotychczasowe *idące dalej* znajomości prędzej czy później okazywały się większą lub mniejszą pomyłką. Dla jednych pańienek zarabiałem zbyt mało, dla innych byłem zbyt korporacyjny. Pamiętam, że na jakiejś promocji trafiła mi się sztuka, która chciała po prostu spędzić rozkoszne chwile z literatem. Gotowa była nawet mnie, jak to ładnie ujęła, zasponsorować. Zrugąłem ją i spuściłem po schodach. Zresztą znając Rumcajsa, mogłem domyślić się, co by mi zaproponował: pewnie usługi jakiejś mądrej baby, która potrafi przyrządzać bardzo skuteczne

lubczyki. Nie wierzyłem w to, a na wodę kolońską z feromonami mnie nie stać.

Najgorsza w takich sytuacjach była jednak nie tyle samotność, ile kwestia wypełnienia sobie na nowo czasu po każdym związku. Wcześniej spędzało się z kimś całe dnie, coś wspólnie robiło, a tu nagle trach, nie ma, pustka. Trzeba sobie znaleźć jakieś zajęcie w zastępstwie, a to zwykle

trwa. Zanim się człowiek na nowo przyzwyczaił, umysł tłukł się jak oszalały i nie wiadomo było, co ze sobą zrobić. Syndrom odstawienia.

— Skoro już przy tym jesteśmy, to może wytłumaczysz mi, dla czego twoja znajoma południca zalegalizowała działalność i zo stała podręczną? Co się z wami dzieje?

Teraz musiałem trafić domowika, bo milczał przez dłuższy czas.

— Nie ma o czym mówić — przyznał niechętnie. — Uczłowieczenie i tutaj wszystko zmieniło. Jednych w ogóle już to nie interesuje, innych wręcz przeciwnie. Niektóre rusalki i południce unikają ludzi, a grochowe baby i mamuny, co wcześniej nie dawały się wam nawet zobaczyć, całkiem się przestawiły na... — dodał z obrzy dzeniem. — Niektórym się nawet dzieciaki rodzą, ale chore, słabe, to i szybko umierają. Umierają, rozumiesz? Jak ludzie! Dlatego większość w ogóle dała sobie z tym spokój. A wiesz, co się dzieje, kiedy rusalka ma dziecko z człowiekiem?

Sięgnąłem pamięcią do dawnych lektur.

— Sama staje się człowiekiem? — spytałem ostrożnie.

— Właśnie. I żadne odnalezienie koszulki nic na to nie pomoże. W tym momencie przypomniałem sobie pewną zanedbaną blondynkę, którą spotkaliśmy w „Balladynie”, i cała rozmowa stała się niepokojąco konkretna. Zatem ta panna, która w barze wzięła mnie za swojego byłego...

Zgadza się, Bronia jest już właściwie człowiekiem. Pokiwałem głową. O pewnych sprawach zupełnie inaczej się

rozmawia, kiedy nie widziało się żywego przykładu. Żal mi się zrobiło dziewczyny.

— Szlag — wydusiłem z siebie wreszcie, nie potrafiąc znaleźć lep szego słowa. — A jeszcze odgrażała się, że mnie zamieni w kamień, choćby nie wiem co...

— I bez wątpienia by się to jej udało — zapewnił mnie Rumcajs. — Choć teraz pewnie przypłaciłaby to życiem.

Pokręciłem głową.

— Nic się z tym nie da zrobić? Żadnych nawęzów? Cudownych eliksirów?

Rumcajs spojrział na mnie z dziwnym błyskiem w oku.

— Jeśli chcesz ją uratować, musisz pomóc mi przekonać Obe—rona, by otworzył Bramę. A co do nawęzów — zmienił temat, nim zdążyłem zaprotestować — to popołudniem zabieram cię na przejażdżkę. Ugadałem się ze znajomymi.

Klimatyzacja we wnętrzu furgonetki pracowała pełną parą, a przyciemniane szyby nie wpuszczały zbyt wiele światła. Nie pytałem, skąd kumple Rumcajsa wzięli tego granatowego forda, ale mogłem się założyć, że w dowód rejestracyjny jest wpisany kto inny. Jechaliśmy wśród starszych i nowszych bloków Ursynowa, tam gdzie według danych Rumcajsa mieszkał teraz Korman.

Część domów powoli się sypała, część doczekała się już unijnych dotacji. Niektóre wspólnoty i administracje poodgradzały się kratami i ochroniarzami, a w niektóre okolice nie zapuściłbym się, jak na Osiedle, bez odbezpieczonego gnata. Był to rozsadnik an—tyglobalistów, cyberpunków i innych lewicowców mieszkających po sąsiedzku z gangerami, dilerami, ale także i z ludźmi, którzy niedługo przeniosą się do bezpiecznych dzielnic korporacyjnych. Mieszkanie tutaj kojarzyło się zwykle z dziwnym, knajackim i niespokojnym stylem życia. Tutaj słuchało się loop metalu, cy—berocka, chilla albo różnych zaangażowanych składów, organizowało blokady korporacyjnych serwerów bądź włamywało i robiło w nich netparty, w kotłowniach bądź piwnicach urządzało slamer—skie wieczorki poetyckie tudzież dyskutowało przy trawce. Potem wracano dużymi grupami, aby odstraszyć polujących gangerów, choć jeśli wierzyć Buddzie, nie

zawsze to działało. Jedni czcili słowo, drudzy kasę, potęgę chemii i wszczepów. Ci drudzy polowali czasem na tych pierwszych. Kilka przecznic stąd mieszkał

Zbyszek; może właśnie dlatego jego wiersze brzmiały tak, jak brzmiały?

Domowik umówił się ze swymi kumplami koło Muzeum Ziemi, w miejscu, gdzie znajdował się niewielki ponemiecki bunkier. Znając Rumcajsa, można było przypuszczać, że miał z nim związane jakieś wspomnienia.

— Na pewno przyjdą — powiedział, kiedy zaczynali się spóźniać. — Zapłaciłem im porządnyimi wyrobami metalowymi, które robi pewne ubożę kowalskie. Spec wysokiej klasy, nie jak te partacze, co to teraz kują metaloplastykę albo ostrzą po supermarketach nożyczki. On i z drutu pierwszorzędną igłę dla łapiduchów robi.

Znajomi domowika zjawili się po piętnastu minutach. Okazali się trójką ponurych i całkiem jeszcze czerstwych elfów w ciemnych wdziankach. Krótco przywitani się z Rumcajsem, na mnie popatrzyli ze zdziwieniem. Nie wygłaszali jednak komentarzy, kazali tylko siadać z tyłu. Podczas jazdy przyglądałem się im i usiłowałem zgadnąć, jaki numer Rumcajs zamierza wyciąć Kor—manowi. Furgonetkę prowadził Wroniec, chudy, nerwowy osobnik o rozbieganym spojrzeniu. Facet kojarzył mi się z psycholem w fazie maniakalnej. Obok niego siedział gość, którego domowik nazywał Larysz. Wyglądał jak emerytowany gliniarz: po pięćdziesiątce, z niewielkim brzuszkiem, posiwiałymi włosami i szlacheckim wąsem. Po sposobie, w jakim zwracali się do niego pozostali, wnioskowałem, że to on tutaj dowodził. Obok nas Lagus, krótko obcięty, pyzaty gość, hołubił na kolanach niewielką czarną teczkę. Pewnie nie nosił w niej niczego miłego. Zacząłem już kombinować, jak by tu uniknąć wmieszania we włamanie, rabunek lub pobicie, niewykluczone, że ze skutkiem śmiertelnym. Cholerny Rumcajs wiedział, że mogę mieć obiekcje, i dlatego pewnie do ostatniej chwili nie zdradził, po co zamierza się spotykać i z kim. To też mi się nie podobało.

Po drodze dowiedziałem się też, jak Rumcajs zdobył nowy adres swojego byłego przyjaciela. Pierwszy okazał się nieaktualny, wobec tego domowik zwrócił się do osoby, z którą kłobuk obecnie się prowadził. Była to Wiślana: mieszkała z ekipą radykalnych ekologów w którymś z praskich squatów jako mentorka tej

wesołej gromadki. Korman wspomagał jaswoimi umiejętnościami oraz groszem w ratowaniu zatrutego i zagarniętego przez ludzi dziedzictwa, ona w zamian ogrzewała mu łóżko.

I dała ci go, tak bez bólu? — spytał Lagus.

Po browcu z zieleń prawdy wszystko wygadała. Nawet jej ofiarowałem potem w prezencie parę ziółek na odkażanie wody, aby się zbytnio nie martwiła.

Nie szkoda ci ich było na taką fretkę?

Ni cholery — uśmiechnął się Rumcajs. — Wszystkie były... jak to się nazywa? prawnie chronione.

Potem domowik powiadomił mnie, że mam być ich przykrywką i w razie wpadki machać swoją legitką. Skwitowałem to krótkim parsknięciem, gdyż żaden glina nie uwierzyłby, iż w ramach dziennikarskiego śledztwa specjalista od ekonomii posunął się do wynajęcia ekipy włamywaczy pracujących metodami naturalnymi. Udało mi się wreszcie przekonać Rumcajsa, by dał spokój. Dostałem za to potężnego laptopa sprzężonego z okularami, w których mieściła się kamera z mikrofonem. To już nie był standardowy sprzęt włamywaczy. Jak powiedział Wroniec, podobno Amba im dała. Owa Amba, kimkolwiek była, musiała mieć niezłe układy w wojsku, sądząc po oznaczeniach na sprzęcie, może nawet w korporacyjnych jednostkach specjalnych. Domowik wyjaśnił, że mam w razie czego pomagać im z techniką. Przy moim poziomie wiedzy zakrawało to raczej na nieświadomą próbę znalezienia mi na siłę jakiegoś zajęcia, abym nie pętał się pod nogami i nie marudził. Pierwszym zadaniem było założenie okularów Rumcajsowi; elf dotykał

ich tak, jakby za chwilę miały wybuchnąć.

Czas na eliksiry, panowie — oznajmił Larysz, wyciągając dwie małe buteleczki z ciemnego szkła, wypełnione przezroczystymi cieczami. Pozostali wyjęli swoje, po czym cała trójka golnęła sobie strzemiennego. W powietrzu rozszedł się zapach ziołowej nalewki.

Sprawdźcie sprzęt.

Powoli i metodycznie przeglądali swoje nawęzy i kaptorgi. Do mojego sprzętu Lagus przykleił taśmą jakieś kwiatki. Starannie, wręcz z namaszczeniem, sprawdził multitoola i podobną do śrubokręta chińską wiertarkę. Nawet nie komentowałem. Ich cyrk, ich mały.

Zerknąłem na monitor i ujrzałem świat oczami domowika. Siebie też.

Działa? — szepnąłem w mikrofon.

Tak — usłyszałem jego drżący głos.

Wysadź mnie, Lagusa i jego na światłach. Zrób rundkę dookoła i sprawdź, czy teren czysty. Potem wchodzimy, a ty przestaw wóz na tamten parking — polecił Larysz. Kierowca posłusznie zrobił, co mu kazano.

Blok, w którym mieszkał Korman, składał się tak naprawdę z dwóch mniejszych budynków różniących się od siebie dwoma piętrami wysokości i zestawionych ze sobą pod kątem prostym. Górował nad otaczającymi go niższymi domami niczym wieża strażnicza. Na szczęście okna mieszkania kłobuka wychodziły na ulicę, gdyby nie rozłożyste drzewo pod oknami, moglibyśmy zajrzeć mu do środka.

Zaparkowaliśmy we wskazanym miejscu, wśród samochodów tych, którzy mieli szczęście już wyrwać się z powrotnych korków. Wroniec umocował za szybą tabliczkę kuriera z firmy „Błyskawica”, po czym sięgnął do schowka. Przechodząca grupka gangerów zerkała na nas ciekawie, ale szybko odwróciła oczy. Zaszczepiony raczej przez filmy i gry niż przez życie instynkt podpowiadał, że skoro furgonetka tu stoi, to pewnie „Błyskawica” ma w tym swój interes. A jest to firma, która potrafi okazać swoje niezadowolenie w mało przyjemny sposób. Szkoda wypadać z obiegu w tak młodym wieku. Starsi też patrzyli, ale odwracali głowy i udawali, że nie interesują się tym samym, czym gangerzy. Parę metrów od nas dostrzegłem na chodniku kilka kropel zakrzepłej krwi: ktoś musiał tu niedawno załatwiać swoje sprawy.

Elf dalej grzebał w schowku, klnąc pod nosem.

Pomóc?

Faję masz? Znowu mi zabrali.

Nie.

Zagryzając wargę, elf rozejrzał się po wnętrzu, sięgnął pod fotel pasażera i wydobł spod niego pustą puszkę po piwie, którą przygniótł nieco z góry. Z kieszeni koszuli wydobł stary jak nieszczęście scyzoryk, wyciągnął szpikulec i paroma szybkimi ruchami poznał spłaszczoną część kilkunastoma otworkami. W powstałe zagłębienie nasypał nieco wyciągniętych z plastikowej torebki suszonych ziół, podpalił zapalniczką i zaciągnął się przez otwór przeznaczony do picia. Dym leniwie rozchodził się we wnętrzu wozu. Był ostry, ale wyczuwałem w nim przyjemną nutę.

Co to? — spytałem, chcąc jakoś nawiązać rozmowę.

Lulek, borag, ciemierzycyca oraz odrobina wiśniowego tytoniu do smaku. Chcesz dymka?

Dzięki.

Wroniec przez chwilę palił w milczeniu.

Wszczepy masz? — spytał po chwili.

Nie. Pomyślę o tym, kiedy ulegnę poważnemu wypadkowi.

Nigdy cię nie kusilo?

Nie. — Nie chciałem zdradzać się przed nieznanym gościem ze swoimi wątpliwościami. Najczęściej brakowało mi lornetki w oku, bo dyktafon i tak miałem w telefonie, a nową rękę czy nogę pew nie kazałbym sobie sklonować. Przykład moich kolegów z pracy, którzy mieli wszczepione w oczy czy uszy aparaty lub dyktafony, działał odstręczająco. Ciągłe grzebali sobie przy twarzy, wymie niając chipy. Dyski o gigowych pojemnościach nadal kosztowały morze kasy. — Zresztą, na takie rzeczy mnie nie stać.

Ja gdybym mógł, to bym nie czekał. — Wroniec wydmuchnął przez okno wielki kłęb dymu i puknął znacząco w puszkę. — Niestety, to są moje wszczepy. Poza tym i nawęzami niczego innego nie mogę używać, bo mnie szlag trafi. Zazdroszczę wam.

Patrząc po was, można powiedzieć, że nawęzy też się nieźle spisują — odparłem dyplomatycznie.

Teraz to już nie to co kiedyś. — Elf machnął ręką. — Przebiliście wszystko, co możemy osiągnąć. Taki świetlik na przykład... Owszem, rozświetli spojrzenie, widzisz po ciemku, ale nie tak dobrze jak z rozjaśniaczem. Wątpię, by ktokolwiek z nas dawał sobie radę tak dobrze. Za to takie oczy z lornetką...

Zioła musiały zacząć działać na dobre, bo elf długo jeszcze raczył mnie opowieściami o możliwościach różnych rodzajów wszczepów, z analizą poszczególnych modeli włącznie. Okazałem się cierpliwym słuchaczem i mu nie przeszkadzałem.

W pewnym momencie urwał i zerknął w boczne okienko.

— Oho, są już na stanowisku.

Przyjrzałem się domowi, ale nigdzie nie mogłem dostrzec brzuchatej sylwetki szefa.

— Czwarty konar na lewo — podpowiedział elf.

Wyteżyłem wzrok i dopiero po chwili dostrzegłem wśród liści przechadzającego się w tę i z powrotem rudego kota. Zwierzak zachowywał się tak, jakby usiłował przeskoczyć na najbliższy balkon. Domyślałem się, że należał do Kormana. Niestety, drzwi były zamknięte.

Przyglądałem się kotu i tępo usiłowałem dociec, kto może ukrywać się w jego postaci. Larysz? A może Lagus?

A gdzie reszta?

Co, na monitorze nie widać?

Zerknąłem posłusznie na leżący obok sprzęt. Rzeczywiście, Rumcajs i Lagus stali już przed drzwiami do mieszkania Kormana. Były to solidne drzwi antywłamaniowe z magnetycznym zamkiem.

Jak tam Larysz? — spytał Lagus, na chwilę odrywając się od kontemplacji zamka.

Na drzewie, balkon zamknięty — odpowiedziałem.

W tej samej chwili za plecami domowika trzasnęły drzwi i zaskrzeczał czyjś głos:

— Panowie do kogo?

Obraz rozmazał się, aby się po chwili ustabilizować na wysuszonej niczym egipska mumia babci. Przykład doskonałego świadka policyjnego, który wie wszystko o wszystkich. Szkła jej okularów były tak grube, że miała w nich pewnie powiększacz; na rączkę łaski nałożono gumową nakładkę; możliwe, że zamontowano w niej taser, jeden z tych modeli, które wciskali ogłupiałym ludziom przez telezakupy, w Sieci i na bazarach. Tak naprawdę nie wiadomo, dla kogo były bardziej niebezpieczne: dla napastnika

czy dla użytkownika, mimo to w naszych niebezpiecznych czasach szły jak woda.

— Kot mi wlaź na drzewo — wyjaśnił Lagus, stając obok Rumcajsa. Domowik kręcił głową niczym fachowy kamerzysta, poka zując to elfa, to babcię. — Siedzi tuż przy balkonie, łatwo by go stamtąd zdjąć, ale chyba w tym mieszkaniu nikogo nie ma...

Staruszka zlustrowała obu spojrzeniem bardziej przenikliwym niż bramka w koncernie; w tym

samym momencie na zewnątrz rozległo się dramatyczne, rozdzierające serce miauknięcie. Kiepsko — zafrasował się Wroniec. — Klient się zabezpieczył.

Alarm?

Można tak powiedzieć. Powiesił coś w oknie.

Biorąc pod uwagę, czym kłobuk zarabiał na życie, można się było tego spodziewać. Nie wątpiłem, że kumple Rumcajsja też byli na to przygotowani. W końcu podobno mieli ten dom dłuższy czas na oku.

Oj, niedobrze — w oczach staruszki pojawiła się szczerza troska — w sąsiedniej klatce mieszka taki jeden wariat, co do wszystkich zwierząt strzela, jak są za głośno... muszą się panowie pospieszyć, nim się zorientuje... widzę wszystko, okna mam niemal naprze ciwko...

Może go pani mieć na oku? — spytał krótko Lagus. — W razie czego proszę nas zawołać.

Ale on jest niebezpieczny...

My też — powiedział twardo Rumcajs. Nie miałem wątpliwości, co by mu zrobił, gdyby go dopadł. Chciałbym to zobaczyć.

Drzwi zatrzasnęły się, a obarczona zadaniem babcia zniknęła we wnętrzu mieszkania. Lagus przeszedł wzdłuż ściany między drzwiami Kormanana a oknem, dotykając jej dłońią. Spojrzał na Rumcajsja i pokręcił głową. Chwilę potem zobaczyłem dłoń do—mowika ostrożnie dotykającą ściany.

— Zabezpieczył się i tutaj. Nie wiem, czy się przebijemy... Zobaczyłem, jak pulchny elf wyciąga z kieszeni dwie cienkie i sztywne plastikowe okładki. Między nimi, niczym mucha w bursztynie, tkwiła malutka roślinka.

— Co to ma być?

— Rozrywziela z czosnkiem — szepnął Rumcajs. — Ale nie wiem, czy podziela.

Lagus przejechał zaimprovizowaną kartą przez czytnik zamka i pchnął drzwi. Bez skutku. Rumcajs rzucił pospiesznie okiem w stronę mieszkania staruszki: babcia mogła pojawić się w każdej chwili. Aż bałem się pomyśleć, co może zrobić, jeśli się przestraszy.

Nagle domowik odwrócił się, a ja zobaczyłem, że drzwi do mieszkania kłobuka są otwarte. Lagus stał właśnie w progu i wyjętą skądś krótką teleskopową pałką zrzucił wiszący nad progiem pęczek jemioli. W drugiej ręce trzymał skierowane do góry lusterko.

Ale się zabezpieczył — mruknął Rumcajs. — Aż strach pomyśleć, co może być w środku. Nagrywaj.

Czego ty właściwie szukasz? — spytałem, naciskając odpo wiedni klawisz.

Dowodów na jego kanty — odparł zdecydowanie. Z chwilą, kiedy znalazł się na terenie wroga, jakby zapomniał o strachu przed goglami. Zasłoniłem dłońią mikrofon i odetchnąłem z ulgą. Przynajmniej nie wkręcał mnie w morderstwo.

Lagus wyciągnął spod koszuli ukrytą tam wcześniej kaptorgę i trzymając ją w dłoni, zaczął obchodzić mieszkanie. Dał znak Rumcajsowi, by zamknął drzwi i zaczął w przedpokoju, a sam udał się w głąb lokalu. Stąpał powoli, jak po polu minowym, zatrzymując się co chwila i zrzucając wiszące tu i ówdzie wianki, bukiety i kompozycje z polnych kwiatów. Gdziekolwiek się obrócili, było ich pełno.

— Brzoza, bylica, hebd, jemiola, dąb, dyptam... wszystko tu jest. Wszystko.

Samo mieszkanie wyglądało dość przeciętnie: stare, lecz dobrze utrzymane seryjne meble, względnie czysto. Brak drogiego sprzętu. W łazience nie było nawet szczoteczki do zębów. Właściwie wcale mnie to nie dziwiło: dzięki nawęzom Korman miał pewnie końskie zdrowie.

Rumcajs dotknął jednej ze ścian.

— Wynajęte, jak pokój hotelowy... bezosobowe, używane jako towar. Ktoś na nim po prostu

zarabia.

Na drugim planie rozległ się cichy szmer, domyśliłem się, że to Larysz kończy w salonie zmieniać się w człowieka. Chwilę potem cała trójka zaczęła intensywnie myszkować po pokojach.

Pierwszy trop znaleźli dość szybko w umieszczonym w meblo—ściance barku. Mieścił się tam skład rozmaitej zieleniny.

Brodawnik — wyjaśnił domowik, wskazując jakąś roślinę — dla rozpusztników, aby nikt o nich źle nie mówił.

Znajdź mi listę klientów, którzy to u niego zamówili — pora dziłem. — To może wyjaśniać, dlaczego o pewnych aferach do tej pory jest cicho.

Jasne, tu nawet nie ma komputera... o, korzeń strzałkowy, czyli kamizelka kuloodporna...

Ktoś zawołał za ich plecami, oba elfy szybko przeniosły się do kuchni. Stał tam Larysz: po jego zatroskanej minie można się było domyślać, że to coś poważnego. Rumcajs zajrzał do jednej z szafek i zaklął. Ujrzałem dużą bryłę soli kamiennej. Za nią sporo rozmaitych roślin.

No pięknie, ziółka Stamtąd — mruknął ponuro Rumcajs. Nie spodziewanie obraz się rozmazał, jego krawędzie stały się wypukłe.

Spoko, wszystko pod kontrolą — usłyszałem jego głos. — To woda pamięci, muszę spoglądać przez butelkę.

Ale o co chodzi...?

Potem ci wyjaśnię. Co jeszcze... gorczyca, betonika przeciwko zalewaniu pały, dziewięciśli...

W tym momencie ekran ściemniał, a w słuchawkach zapanowała niepokojąca cisza. Wcisnąłem bezskutecznie kilka guzików i klawiszy, po czym zacząłem przeglądać wszystkie opcje, licząc na to, że to tylko zwykły błąd źle używanego systemu.

Zza sąsiedniego bloku wyszło dwóch facetów. Szli, rozmawiając o czymś, pewnym krokiem ludzi, którzy mają konkretną sprawę do załatwienia.

— Jacyś dwaj goście tu idą — uprzedziłem Wrońca. Elf mruknął twierdząco, ale się nie poruszył.

Powoli, aby nie zdradzić, że w samochodzie ktoś jeszcze jest, wycelowałem w nich podpięty do zestawu mikrofon kierunkowy. Jeśli coś planowali, może się zdradzą.

...po kiego my tu w ogóle jesteśmy? — usłyszałem zirytowany głos. — Mieliśmy być na wernisażu.

Mamy odebrać towar dla jego wysokości — wyjaśnił drugi, spokojniejszy.

...szefa, tak się teraz mówi...

Jedna cholera, i tak wiadomo, o kogo chodzi. Jakiś tutejszy miał mu przygotować materiały do nawęzów, w piątek dostał wiadomość na telefon, że będzie gotów na dziś...

O kurwa, to nasi! — syknął zdenerwowany Wroniec. Wyjrzałem przez zaciemnioną szybę i musiałem przyznać mu rację. Agenci Oberona.

— Jak tu ich wywołać?! — jęknąłem, wyświetlając na laptopie wszelkie możliwe opcje.

— Mnie nie pytaj! — krzyknął zdenerwowany elf. Ręce latały mu gorączkowo, zioła jednak robiły swoje. — Nam to tylko raz pokazano! My się na tym nie znamy!

Klnąc na czym świat stoi, zacząłem gorączkowo przeglądać wszystkie opcje, przypominając sobie czasy, kiedy w liceum bawiłem się programami muzycznymi. Uznałem, że nazwy niektórych komend przy sprzęcie do nagrywania są niezmiennie, i zaznaczyłem kilka okienek, po czym uruchomiłem łącze. Ponownie usłyszałem biały szum.

Skręcili w alejkę — raportował gorączkowo elf, choć wcale go o to nie prosiłem. — Zaraz będą przy drzwiach...

Idzie do was dwóch oberonowych — wyplułem w mikrofon, starając się mówić jak najbardziej

składnie. — Wiejcie balkonem albo przez ściany.

Ekran nadal pozostawał ciemny, biały szum nieco ścichł. Rozpaczliwie przesuwałem potencjometry, gorączkowo pragnąc wyciszyć tło i wychwycić jakikolwiek dźwięk. W tej ciszy w słuchawkach nagle rozległ się przytłumiony świergot domofonu.

W tej samej chwili wrócił obraz, kamera poruszała się chaotycznymi skokami, widziałem wykręcone pod dziwnym kątem fragmenty ścian, mebli, sufitu i podłogi oraz rozmazane sylwetki elfów. Jeździłem po ekranie wskaźnikami, aż wreszcie oprócz natarczywego dzwonienia udało mi się wychwycić

szelest materiału i przyspieszony oddech Rumcajsa. Ktoś ciągnął go przez przedpokój na korytarz, obok wind, do klatki schodowej. Wydawało mi się, że wychodzący ostatni Lagus robi jakiś gest nad zamkiem i czytnikiem. Potem był szybki bieg po schodach z Laryszem na czele, dotknięcie rozrywielem zapomnianych przez wszystkich tylnych drzwi i oto znaleźli się na podwórku.

Nie wyjdźcie na nich — ostrzegłem, zerkając przez okno. — Są przy wejściu, na prawo od was, za tymi krzakami.

OK, na przystanek — usłyszałem niewyraźny głos Larysza. Wydawał się spokojny, jakby takie sytuacje były dla niego chlebem powszednim.

Przekazałem wiadomość Wrońcowi, elf z ulgą uruchomił silnik. Zaciśnięte na kierownicy dłonie trzęsły mu się tak, że nie wiedziałem, czy będzie w ogóle w stanie prowadzić. Mimo to dość gładko wyjechał z parkingu i zatrzymał się za rogiem na przystanku, gdzie czekali już nasi. Co prawda popijało tam piwko kilku tubylców, ale widząc podjeżdżającą czarną furgonetkę z przyciemnionymi szybami, zaczęli udawać, że ich wcale nie ma.

Co tam się w ogóle działo? — spytałem, kiedy cała trójka już usiadła, sapiąc głośno.

Myślałem, że ty nam powiesz — prychnął Rumcajs, ściągając gwałtownie okulary. Był tak wkurzony, że zapomniał o zwykłej ostrożności.

Pewnie, dziennikarz—ekonomista to najlepszy spec od takich spraw — parsknąłem ironicznie. — Ktoś wam tego sprzętu dobrze nie zaczarował przed akcją.

Niemożliwe — odparł Lagus, składając okulary Rumcajsa. — Wszystko robiłem tak jak zwykle. Chyba że to ci dwaj mieli na—węzy...

Właśnie. — Larysz popatrzył na mnie spojrzeniem ciężkim niczym kamień ofiarny. — Skąd się oni wzięli?

Nie wiem. — Rozłożyłem ręce. — Wyszli zza bloku. Mówili, że muszą coś od niego odebrać, coś o składnikach do nawęzów...

Larysz przyglądał mi się długo i uważnie. Miałem wrażenie, że czyta w moich myślach niczym w książce.

— No, to wiadomo, skąd ma tyle rzeczy Stamtąd — wtrącił się Rumcajs. — Dla Oberona robi, jemu się wysługuje, a nam byle szajs wciska. Ciekawe, co mu obiecał...

Popatrzył nagle na pozostałych i urwał, chyba nie chcąc zdradzać przy nich swoich myśli. Siedział tylko z zaciętym wyrazem twarzy i gładził się po brodzie, od czasu do czasu mamrocząc jakieś przekleństwo.

— Wszystko dostaliście? — spytał nagle Larysza. — Wszystko git? Wysadźcie nas zatem przy metrze, dobra?

Sądziłem, że wobec tak nagłej zmiany tematu zechcą nam zadać kilka dodatkowych pytań, jednak najwyraźniej mało ich to obchodziło. Kiedy tylko przy chodniku zamajaczyło żółto—czerwone logo, Wroniec posłusznie zatrzymał forda przy krawężniku.

Nie powiedziałaś im wszystkiego — zauważyłem, kiedy furgo netka zniknęła za rogiem.

Ty też nie.

No dobra — westchnąłem, bo wypytywanie Rumcajsa o to, w jaki sposób się o tym dowiedział, było w tej chwili sprawą drugorzędną. — Kto zaczyna?

—Ty.

Streściłem mu pokrótce, jak w piątkowy wieczór uratowałem Oberona przed blamażem, włamując mu się na komórkę i wysyłając wiadomość. Rumcajs słuchał grzecznie i nie przerywał. Nawet nie wydawał się specjalnie zły.

W ogóle do głowy mi nie przyszło, że to może mieć aż takie konsekwencje — zakończyłem. — Podejrzywałem, że jeśli czegoś szybko nie zrobi, to zostanie w oczach tamtych gości uznany za niesolidnego partnera i po kontrakcie. A to mogłoby go skłonić do szybszego wycofania się na Tamtą Stronę.

E tam, *znalazłby* sobie kogoś innego w Sieci albo książce tele fonicznej — skwitował mój wywód domowik. — Może i faktycznie ocaliłeś mu wtedy twarz, ale i narobiłeś zamieszania, nie mnie zresztą, tylko Oberonowi i Kormanowi. Pewnie się mój druh nieźle zdziwi, kiedy wróci do chaty i zastanie tych dwóch. Ciekawe, czy spuszczą go z balkonu, czy tylko wsadzą do maszynki do mięsa, Oberon ceni sobie robotę na czas... ale to już nie moje zmartwienie.

— Dobra, teraz ty.

Rumcajs milczał przez chwilę, gryząc wąsa.

Wniosek z tej zadymy jest taki, że Oberon — zaczął powoli — musiał się od dawna z Kormanem kumać; kiedy dostał cynk od ciebie, to nawet nie sprawdzał, tylko od razu w ustalonym czasie posłał kogoś po odbiór towaru. Widziałeś zresztą, ile ten cholerny kłobuk tego dobra tam trzymał. Nie wiem, co mu za to Oberon obiecał, i mało mnie to obchodzi. Bardziej mnie boli, że nas oszukuje, lewiznę i słabe rośliny w nawęży wstawia, a jemu wszystko co najlepsze znosi. A przecież cały czas ktoś do Kormana po różne rzeczy przychodzi... jakim cudem nikt się jeszcze nie połapał?

Bo wierzycie, że jak coś jest od Kormana, to ma działać — podpowiedziałem. — To się nazywa „marka”.

Nad czym innym się zastanawiam. Na cholerę Oberonowi nawęży i kaptorgi składane z tutejszych materiałów, zbieranych przez tutejszego nawężnika?

Rozdział dziesiąty

Warszawskie Dni Fantastyki zorganizowano w okolonym żywoplotem ośrodku konferencyjnym przy placu Grunwaldzkim, wstawionym między szare pudełka sprzed kilkudziesięciu lat i nowe, firmowe osiedle zbudowane przez Sarabutu. Kiedy dotarliśmy na miejsce, prowadząca do niego uliczka i parking ośrodka były już zastawione samochodami. W takich chwilach cieszę się, że nie mam swojego wozu.

Przed ocienionym kilkoma starymi drzewami budynkiem i w pomalowanym na neutralny beż holu kłębił się kolorowy tłum fanów w różnym wieku. Od razu rzuciło się w oczy, że konwent przebiega pod znakiem edycji specjalnej „Władcy Pierścieni” i trójwymiarowego „Matrixa”. Po zawieszonych wszędzie plakatach, tryskających różnymi efektami standach i reszcie reklamowego śmiecia można było zauważyć, że kampanie promocyjne nowych wersji starych przebojów idą pełną parą, a marketing robi wszystko, by nie dało się o tym zapomnieć.

W recepcji siedział chłopak z laptopem i podłączonymi do niego okularami, pełniącymi również funkcję eye—trackera. Przejrzelśmy się w jego wypukłych szklach jak w krzywym zwierciadle, dziwnie powolnymi ruchami zainkasował forszę za dwie wejściówki. Widać należał do tych mutantów, którzy nie potrafili szybko przestawiać się między rzeczywistością wirtualną a zwykłą.

W klimatyzowanym wnętrzu na moich odsłoniętych rękach pojawiła się gęsia skórka. Poklepałem się po kieszeni dzinsów,

gdzie trzymałem dostarczony wczoraj przez Konesera nawęż. Nadal nie mogłem się przyzwyczaić, że go noszę. Coś w tyle głowy dziwiło się, jak mogłem się na coś takiego zgodzić. Za to Rumcajs ze swoją gęstą brodą, dżinsowym kompletem i czerwoną czapeczką doskonale wpasował się w otoczenie. Wyglądał na przedstawiciela licznej grupy dyrektorów, kierowników i ekspertów Sieci, którzy *zaczynali jeździć* na konwenty w tym samym czasie co moi rodzice. Tylko że moim to przeszło, a oni zostali. *Teraz* przychodzili tu jak na koleżeńskie spotkanie, nierzadko całymi rodzinami. Dzieciaki rzucały się oglądać trójwymiarowe spoty reklamowe, a rodzice witali się, klepali po ramionach i szli na prelekcje dawno nie widzianych znajomych lub okupowali bar. Przyglądałem się tym starszym i tym nieco młodszym, reprezentującym wszelkie dostępne style: geeki, stare korpy z brzuskami, młode korpy bez brzusków, normalsi, looperzy, metale... przypomniaty mi się stare, skanowane fotografie, oglądane na kolanach rodziców z monitora, *jeszcze* z wielkim kineskopem. Ojciec w czasach, kiedy nosił długie włosy, w dżinsach i oliwkowej koszulce, reklamującej jakąś grę komputerową, matka obcięta na krótko... Większość jego kolegów, z którymi *nasza* rodzina utrzymywała kontakty do dziś, teraz stanowiła ekipę z górnej półki: profesorowie, pisarze, dyrektorzy, wysokiej klasy specjaliści, głównie od kompów. Spoglądając na zdjęcia z rozmaitych imprez, nie zawsze dawało się przewidzieć, kim się staną. Równie dobrze mogli teraz żyć jak wolne ptaki, od zarobku do zarobku. Sporo tego — mruknął zafrasowany domowik, spoglądając na wypełniający hol tłum. — Czy my go tu w ogóle znajdziemy?

Właśnie, dlaczego nie wybrałeś sobie za przewodnika kogoś stąd?

Kogo? — Rumcajs machnął ręką. — Te dzieciaki? Kto ich posłu cha? W czym mi pomogą? A ci starsi zwykle mają z kolei za dużo rozsądku. Wiesz, bujać to my, ale nie nas.

Wcisnąłem mu zabrany przy wejściu plan spotkań połączony z mapą pomieszczeń.

— Masz telefon?

Domowik poklepał się po wypchanej kieszeni, w której trzymał kupioną wczoraj jednorazówkę z kontem na pół godziny rozmów. Cały wieczór uczył się ją obsługiwać.

— Dobra. Spotkamy się tutaj o pierwszej.

Ruszyliśmy w swoje strony. Czekają nas cztery godziny prelekcji i spotkań, które uznaliśmy za miejsca, gdzie można było liczyć na obecność kogoś z podwładnych Oberona lub jego samego.

Wiedziałem, że będzie tu kilku starych znajomych mojego ojca, i nie zawiodłem się. Co pewien czas kolejny redaktor, dyrektor lub tłumacz ścisłał mi dłoń, pytał, co tu robię, co słyszeć, co u rodziców i zapewniał, że się odezwie do matki. Zastanawiałem się, czy nie są mi w stanie pomóc. Ale jak im wytłumaczę, kogo szukam? Widzieliście faceta z aurą wokół ciała? Dlatego odpowiadałem uprzejmie, lecz zdawkowo, jednocześnie rozglądając się wokół, gdyż po budynku przewalały się coraz większe tłumy. Na szczęście większość z nich szła tam, gdzie był Rumcajs, który z niewiadomych przyczyn wziął na siebie komputery i prezentacje multimedialne. Pewnie chciał przełamać swój lęk. Na prelekcjach nie było tak źle: większość dyskusji toczyła się między ludźmi znającymi się od dawien dawna i potrafiącymi zapewne podać argumenty drugiej strony do trzech wypowiedzi naprzód. Młodszy lub niezorientowany w temacie słuchacz swoimi pytaniami dolewał tylko oliwy do tego wiecznego ognia. Siedziałem sobie w najdalszym kącie i przekrzywiwszy głowę na bok, z udawanym znużeniem obserwowałem toczącą się przede mną słowną szermierkę. Niestety, większość prelegentów stanowili ludzie. Komórka również milczała. Czyżbyśmy się pomylili?

Sytuacja zmieniła się niespodziewanie, kiedy rozmawiałem z kolejnym znajomym taty, profesorem etnografii. Właśnie po raz kolejny opowiadałem, co u matki, kiedy przyskoczył do nas facecik we flanelowej koszuli z podwiniętymi rękawami. Dość nietypowy strój, biorąc pod uwagę panujący na zewnątrz upał i nieco tylko niższą temperaturę wewnątrz. Przedstawił się, że

jest dziennikarzem „Expressu”, machnął nam przed oczami legitymacją i spytał, czy może zadać kilka pytań i czy zgadzamy się na nagranie rozmowy. Profesor zgodził się, choć niechętnie. Ja miałem lepszą motywację.

Nie przypuszczałem, że Oberonowi uda się wkręcić kogoś ze swoich do ludzkiej gazety.

A może po prostu wiedział, gdzie zamówić doskonałe kopie legitymacji prasowych. Tak czy inaczej, kamuflaż był dobry: widziałem tego gościa już kilka razy na korytarzu, jak usiłował rozmawiać z różnymi ludźmi. Fani od razu poznawali w nim łowcę sensacji z brukowca i albo zbywali go ogólnikami, albo po prostu odmawiali rozmowy. Ja też dałbym się nabrać, gdyby nie potrafił mnie metal o podgolonych z boku włosach. Odruchowo obróciłem głowę i w kącie oka błysnęła mi niezwykła, mocna poświata.

Elf wyjął komórkę z dyktafonem, wcisnął odpowiednie klawisze i zaczął od profesora.

Tematem swojego wykładu uczynił pan zagadnienie, czy we współczesnym świecie jeszcze jest miejsce dla wampirów. Czy za tem wierzy pan w ich istnienie?

Skądże — odparł profesor.

— Jak to? — zdziwił się elf. — Przecież opowiadał pan o nich. Profesor westchnął.

Wie pan, moja prelekcja dotyczyła wierzeń, przesądów z nimi związanych... całej otoczki kulturowej.

Ale przecież otoczka kulturowa nie może powstać bez istniejącej przyczyny. Zatem czy one naprawdę istnieją? A może raczej: czy wierzy pan w ich istnienie?

Nie — odparł twardo profesor.

A pan? — spytał elf, kierując dyktafon na mnie.

W tym momencie poczułem, że wstępuje we mnie zło. Ciekawe, czy miał kiedyś do czynienia z prawdziwym dziennikarzem?

Czy czytał pan „Kubusia Puchatka”? Reporter zamrugnął zaskoczony.

Owszem.

Może mi pan zatem powiedzieć, co u niego słychać?

Na to go nie przygotowano. Z kamienną twarzą wyłączył sprzęt.

— To naprawdę ciekawe — powiedział, chowając dyktafon do kieszeni koszuli. — Wszyscy tutaj twierdzą, że w to wierzą, a jak

się dopytać, to tak naprawdę nie wierzą. Coś mi w tym śmierdzi. Ciekawe, co by zrobili, gdyby nagle na ich oczach pojawił się smok zionący ogniem?

— Zapewne — odpowiedział profesor — zaczęliby szukać, gdzie ma zawór.

Reporter Oberona odszedł w stronę pokoju, gdzie prezentowano sesje gier fabularnych prowadzone tradycyjnym sposobem, przy użyciu kostek, ołówków i papierowych kart postaci. Kiedy tam ostatnio zaglądałem, widzowie robili zakłady, w którą stronę skręci fabuła przygody.

Pożegnałem się i ruszyłem na dół, by odnaleźć Rumcajsa. Na rogu korytarza znowu ktoś na mnie wpadł.

A ty co tutaj robisz? — spytałem, bardziej zdziwiony niż zde nerwowany.

Ja prywatnie — odparł Jasiu Łania, poprawiając przekrzywiony identyfikator. — Zajrzałem z ciekawości.

Uśmiechał się przy tym z zakłopotaniem, jakbym złapał go na pisaniu miłosnego listu. Znałem chłopaka, parę razy zamieniliśmy kilka słów na korytarzach MediaGrupy i różnych koncertowych imprezach, plotkarz Budda dodał jeszcze to i owo. Wychowywał się w państwowym domu dziecka, gdzie oddano go pół roku po narodzinach. Nie wiem, jak to wytrzymał, bo sprawiał wrażenie delikatnego i kruchego niczym równowaga gospodarcza Konga, pewnie dlatego dano mu takie nazwisko. Dzięki fundacji na rzecz sierot zrobił studia; dostanie się do zespołu krajowego „Przeglądu Tygodnia” stanowiło dla niego otwarcie bram raj.

Należał do tej grupy dziennikarzy, którym jeszcze zależało, czym zjednął sobie mój szacunek. Nie odwalał żadnego tematu, który mu się trafił, choćby pozostały już najgłupsze zagadnienia z rozdzielnika. W porównaniu z resztą ekipy nieco odstawał, lecz mimo to — a może właśnie dlatego — lubiłem tego chłopaka.

Widziałem, że walcuje cię konkurencja, i nie chciałem prze szkadzać. Swoją drogą, dziwnie się zachowywał... kto to był?

Pojęcia nie mam, jakieś dziwne coś z „Expressu”... może elf? — rzuciłem żartobliwie.

Oczy Jasia zrobiły się nieco większe.

Tutaj? — spytał z niedowierzaniem i zaskoczeniem. Dziwne. Nie wychwycił dowcipu?

No — przyznałem. — Mnie też to nieźle zaskoczyło. Rzadko się je dzisiaj spotyka.

W sumie racja, gdzieś indziej mieliby się bezpiecznie pokazywać, prawda?

Właśnie, a co byś zrobił, gdybyś spotkał takiego na swojej drodze? — spytałem, starając się, by nie zabrzmiało to jak drwina. Tym razem mi się udało, bo Jasiu uśmiechnął się lekko.

Chyba nie uciekłbym z wraskiem. Jednak nie jestem pewien, czy rzeczywiście wyglądaliby i zachowywali się tak, jak to się opisuje i pokazuje. Moglibyśmy się mocno rozczarować.

Pokiwałem głową. Facet nawet nie wiedział, jak bliski jest prawdy.

Nie bałbyś się, że ci potem... nie uwierzą?

Dlaczego? Przynajmniej miałbym dowód, że te opowieści, które czytałem, jednak mają coś w sobie... Nawet nie wiesz, jak takie historie przydają światu barw.

Zapadła niewygodna cisza. Nie bardzo wiedziałem, co odpowiedzieć. To oczywiste, że musiał gdzieś uciekać, inaczej nie przeżyłby tego sierocińca, to i tak lepsze niż woda czy narkotyki... mimo to poraził mnie szczerością swojego wyznania. Nie słyszałem, aby komuś zwierzał się ze swojej przeszłości. W naszym świecie nadzieja potrafiła czasem zabijać, bujanie w obłokach bywało niebezpieczne. Nie dość, że można stracić prestiż, to jeszcze opuszcza się w ten sposób tarczę i można zostać trafionym przez kogoś, kto tylko czeka na taki dowód słabości. Można też zostać zarżniętym ot tak, dla czystej przyjemności. Dobrze, że trafił akurat na mnie.

Jasiu musiał wziąć moje milczenie za znudzenie lub niechęć, bo nagle jakby się ocknął:

No, muszę lecieć, Elka czeka, wyrwałem się tu tylko na chwilę...

Jasne, nie zatrzymuję.

Zbiegł po schodach, na dole omal nie tratując Rumcajsa.

— Możesz mi coś wyjaśnić? — Aha?

— Co zrobisz, kiedy już go znajdziemy? O co chcesz spytać swojego szefa?

Siedzieliśmy w restauracji ośrodka, w dziwnych, lecz zaskakująco wygodnych krzesło—fotelach. Domowik zażerał się makaronem z białym serem i truskawkami, po mojej pizzy został już tylko ostry smak sosu na języku. Co prawda Rumcajs narzekał, że owoce smakują jak tektura, a makaron jest ze źle ugotowanych sznurowadeł, ale widać zbytnio mu to nie przeszkadzało. Poza tym tutaj była klimatyzacja, panował również miły półmrok — obsługa przyciemniła okna i włączyła wijące się przez bar oraz ściany kolorowe neony. Ich blask odbijał się w chromowanych elementach krzeseł i stolików oraz zastawie z polerowanego aluminium.

Za plecami domowika duża grupa gości zestawiała kilka stolików *razem*, kelnerki non stop donosiły coś z karty. Jak świat światem konwentowicze zawsze zmieniali ustawienie stolików na sali. Niektórzy siadali, jak to mawiał ojciec, po rolplejowemu — plecami do ściany, aby widzieć drzwi i resztę sali.

Po co ci to? — spytał domowik z pełnymi ustami.

Jestem ciekawy. Biegamy za nim już kilka dni. Szkoda by było, aby cały ten wysiłek szlag trafił tylko dlatego, że coś źle powiedziałeś.

Rumcajs zatrząsł się od tłumionego śmiechu, usiłując jednocześnie przełknąć za duży kęs makaronu.

No nie, weź ty mnie nie rozśmieszaj. Nie szukałbym go, gdy bym wcześniej dokładnie nie wiedział, co powiedzieć.

A czy to, czego dowiedzieliśmy się o jego planach, coś zmieniło? Wiesz, te spotkania z agentami, ćwiczenia z przysposobienia do życia z ludźmi?

Spodziewałem się czegoś takiego.

I co? Jeśli zgodzi się was znowu przyjąć, pomożesz mu spełniać jego plany?

Domowik popatrzył na mnie znad talerza.

— Co ty, zaćmienie masz? Mówiłem ci, to nie ma sensu. Mam nadzieję, że Goplana mu to wyjaśni.

Ja też mam taką nadzieję.

Będzie wam ciężko. Siedzisz tu cały czas, więc wiesz, gdzie was lokują ludzie... szczerze mówiąc, bliżej lamusa niż topu.

Nie pieprz, z łaski swojej — warknął zjadliwie Rumcajs. — Do waszego dziewiętnastego wieku wcale nieźle sobie radziliśmy. Nam naprawdę niewiele potrzeba. Musimy tylko *znaleźć* sobie jakąś niszę i się w niej utrzymać.

A nie kusi cię, aby po uzyskaniu zgody Oberona już tu nie wracać?

Nie da rady. Jesteśmy... jakby to... przypisani do tego świata. Bez niego staniemy się niepotrzebni, nie będziemy mieli co robić. Każdy z nas ma swoje zadania pośród ludzi, domowiki też. Będę robił swoje, póki sił mi starczy.

Wiesz, dużo już było idei, które odeszły w niepamięć i nikt za nimi nie płakał. Więcej, niektórzy się nawet cieszyli...

Nie jestem jakąś tam, kurwa, ideą, tylko żywą istotą! — Domo— wik podskoczył tak gwałtownie, że omal nie rozlał swojej niegazo— wanej wody. — Chodzę, oddycham, jem, zamieniam się w kota! Ja i moi pobratymcy jesteśmy nieśmiertelni, człowieku, radzę ci o tym nie zapominać! Gdyby nie uczłowieczenie i zamknięcie Bram na Tamtą Stronę, do tej pory zachowałbym parę i nie siedziałbym teraz z tobą, tylko pilnował swojej rodziny!

Kilka najbliższych siedzących osób uniosło głowy, lecz uznawszy, że Rumcajs streszcza mi ostatnie wydarzenia w jakiejś wirtualce, wróciło do swoich dań. Uniosłem dłonie w uspokajającym geście.

— Okej, jesteście nieśmiertelni... ale kiedy zeszlście ze sceny, w naszej kulturze się trochę pozmieniało. Wiesz, technika na prawdę rozpała wyobraźnię... — ogarnąłem salę gestem dłoni. — Inaczej ci ludzie by tu nie siedzieli. My już nie potrzebuemy opowieści z waszym udziałem, mamy nowe, własne. Prze kazujemy je sobie podczas przerw na lunch, krążą po Sieci. Zawsze dzieją się w bliskim, swojskim otoczeniu, mogą się zdarzyć sąsiadowi. Wielkie wygrane bez znajdowania ukrytego skarbu, a zamiast czarnego luda boimy się, że jemy zmutowanego kurczaka z trzema nogami i bez pierza. Już nam nie trzeba ubożać.

Dawno, dawno temu — zaczął Rumcajs — za wielkim morzem, za siedmioma górami, mieszkał w wysokim wieżowcu pewien korp. Miał wszystko, czego dusza zapagnęła, ale brakowało mu żony. Pewnego dnia spotkał na rogu ulicy panienkę i zakochał się, bałwan. Udawał, że jest zwykłym urzędasem, kształcił ją, aż w końcu ona zaczęła się zachowywać jak prawdziwa dama. Przy padkiem poznała, że urzędas i pan prezes to ten sam facet, pobrali się i żyli długo i szczęśliwie. I co, może powiesz, że to nie legenda w starym stylu? Niczym się nie różni od tych opowieści o nas. A te o złych korporacjach, tajnych projektach, wielkich przekrętach, romansach, dyrektorach, co sami składają dymisje, o sekretarce, co odcięła szefowi...

Daj spokój, niektóre takie historie to brednie, ale niektóre są udowodnione. Nawet w sądowych

aktach.

A na nasze istnienie i nasze opowieści nie ma dowodów?

— spytał ironicznie Rumcajs. — Jasne, wszystko ma być na pa pierze, ze stosowną pieczętką i podpisami całego sztabu jajo głowych. A jednocześnie pierwsza lepsza wróżka może zmienić tok sesji giełdowej. Ech, nie trafi się za wami, ludzie. Mam tylko nadzieję, że Oberon też zgłupieje... Wierzysz, że pewna firma wypuściła chorobę w Stanach, by upłynnić zalegające im w magazynach leki? No to zajrzyj w tę swoją Sieć i po staraj się odnaleźć informację, kiedy i gdzie ta choroba miała się zacząć. Albo gdzie była zatrudniona ta sekretarka, co się lubi tak ostro zabawić. Głowę daję, że nie znajdziesz, bo to legenda. Papierki i stempelki są wam tak potrzebne, jak „abra— kadabra” i różdżka do wyciągania królika z kapelusza. Wiesz dlaczego? — spytał tonem sugerującym, że za chwilę wygłosi prawdę objawioną. — Bo już sami tego świata nie ogarnia cie. Nikt nie zna się na wszystkim tak, by sprawdzić, czy to prawda.

— Ludzie wiedzą to już od bardzo dawna — odparłem spokojnie.

— Oberon też się o tym dowie. Pewnie jeszcze uznaje to za korzyść, bo można nam wcisnąć byle co, ale szybko się sparzy. Skoro usiłuje zebrać całą dostępną wiedzę o ludziach, to im więcej zechce złapać, tym więcej mu przeleci między palcami. Nawet gdyby dysponował całym sztabem ludzkich fachowców. Może i te nasze opowieści są z pozoru takie same jak te o was, ale już ich nie pojmujecie. Zbytmię zmieniły się środki i dekoracje. Myślenie.

Rumcajs kiwał głową z posępną miną.

Mówiłem, Adaś, technika. Niektórzy próbowali się dopaso wać, widziałeś w *barze*, co z tego wyszło. To głupota, przecież nie będziemy dobrze udawać kogoś, kim nie jesteśmy. Nasze pole jest zupełnie gdzie indziej.

Nie przejmuj się, teraz cały świat stoi na udawaniu. Skoro do tąd ludzie nie połapali się, że wśród nich łążą podwładni Oberona...

Tia, no i nic dziwnego, że tak bardzo stajecie na głowach, żeby wreszcie *znaleźć* coś autentycznego, nie udawanego. To się zawsze świetnie sprzedaje, bo to rzadka rzecz. Nieczęsto słyszę o takich, którzy mówią to, co naprawdę myślą i czują. Kiedy nie mają siły gnać, udawać, zatrzymują się i mówią: „Nie wychodzi? Trudno, zostajemy sobą”.

Pokręciłem głową, bo w przypadku podwładnych Goplany chodziło przecież o coś więcej niż zwykłe udawanie. Dla nich udawać symbol nowego mitu znaczyło zostać zaakceptowanym przez ludzi, zachować starą pozycję, czyli — przetrwać. A z tą autentycznością to domowik może i miał trochę racji. Jeszcze na studiach przyznałem się sam przed sobą, że nie nadaję się na szczura korporacyjnego. Wolałem przyglądać się temu wyścigowi z boku i przyjmować zakłady, kto wygra.

— Zresztą, tacy ludzie to też mit — ciągnął dalej Rumcajs, patrząc na mnie uważnie ciemnymi oczami. — Tak, tak, stary. Mieszkam u ciebie krótko, ale już się zorientowałem. Też jesteś mitem. Ży wym mitem wolnego, niezależnego człowieka, stojącego poza tym labiryntem. I to powstałym z własnego wyboru i dzięki własnym zdolnościom, a nie dlatego, że ci ktoś pomógł albo na pokaz.

— Jeśli tak — uśmiechnąłem się krzywo, nie *zważając* na miłe ciepło w sercu — to się ze mną inni niezbyt dobrze obchodzą.

Pożegnalna uczta rozkręcała się na dobre, zaraz po konkursie piosenki konwentowej. Zapadł już zmierzch, a w ogrodzie ośrodka ludzie i kilka wplątanych między nie elfów bawili się w najlepsze przy świetle niewielkich lamp i ogrodowych pochodni, czekając na pokazy trójwymiarowych potworów. Kelnerki krążyły między drewnianymi stołami i ławami, roznosząc

piwo w dzbanach z hartowanego szkła i wino w kartonach. Goście systematycznie pochłaniali wszystko, co było do zjedzenia, i gawędzili w mniejszych grupkach. Niektórzy tańczyli do celtyckiego folka granego przez zespół ściągnięty chyba z ekologiczno—artystycznej komuny. Bardziej zmęczeni poprzestawali na waleniu w stoły plastikowymi kufkami i kontemplowaniu wdzięcznie poruszającej się wokalistki w sięgającej ziemi zielonej sukni. Było tak swojsko, jak tylko catering zdołał wymyślić.

Domowik był w ponurym nastroju. Skubnął na próbę tego i owego, skrzywił się i poprzestał na piwie. Jak wyjaśnił, wino kojarzyło mu się w smaku z octem siedmiu złodziei. Ciekawe, skąd wiedział, że zarząd Malmasia Inc., z którego masy upadłościowej wykupiono za grosze trunki na imprezę, liczył właśnie tyle osób. Właściwie to mu się nie dziwiłem: konwent miał się ku końcowi, a Oberona jak nie było, tak nie było.

Myślisz, że się pojawi? — spytał zmęczonym głosem kogoś, kto doskonale zna odpowiedź.

Na razie przysłał zastępcę. Mówiłem ci już o tym pismaku...

— wskazałem brodą na ławę obok sceny, gdzie elf we flanelowej koszuli dyskutował zawzięcie z kilkoma osobami w różnym wieku. Bez wątpienia przekonywał je, że elfy istnieją naprawdę. Sądząc po ich wyrazie twarzy, mogło mu się udać, jego słuchacze mieli już za sobą tyle litrów piwa i wina, że gotowi byli uwierzyć nawet w trzecie wcielenie Elvsa.

Popatrzyłem nieżyczliwie na dziennikarza.

Cały dzień miesza ludziom w głowach. Dałem mu już dziś nauczkę, ludzie też nie chcieli z nim rozmawiać, ale widać jeszcze mu mało. Masz jakiś pomysł?

Być może — w spojrzeniu domowika zamigotał złośliwy blask.

— Zaczekaj tu.

Zniknął wśród ludzi, a jego miejsce natychmiast zajął lekko podpity cyberpunk ze swoją kobietą. Oboje mieli na skroniach i nadgarstkach, zamiast kolczyków, wszczepione gniazdzka łącz. Nie wyglądały na używane.

Przez dłuższy czas przyglądałem się dziennikarzowi Oberona i jego słuchaczom ciekaw, co wymyśli Rumcajs, kiedy nagle telefon zawibrował tak, że omal nie wyskoczył mi z kieszeni.

Wiadomość, którą przesłał mi domowik, była krótka:

„ON tu jest!”

Zerknąłem na numer: Rumcajs oszczędzał na telefonie albo bał się coś zepsuć, więc wysłał niusa z terminala WSI. Jedyne terminal w okolicy znajdował się przy wejściu do budynku, może domowik *jeszcze* tam jest...

Nie było go. Wierząc w moc nawęzu Konesera, ruszyłem przez tłum, mając nadzieję, że odnajdę władcę elfów, nim się stąd ulotni. Ale po czym go poznam? Jak zadziała nawęz?

Rozglądając się między ludźmi, zauważyłem obróconego plecami do mnie wysokiego bruneta w lekkiej, sportowej marynarce. Ledwo na niego spojrzałem, w jakiś sposób, nawet bez przekręcania głowy, nabrałem absolutnej pewności, że to właśnie Oberon. Spokojnie słuchał faceta w granatowym garniaku i ciemnych okularach, wyglądającego jak jeden z licznej na konwencie grupy agentów Systemu. Miał nawet w uchu staromodnego komlinka na spiralnym kablu z przezroczystego plastiku. Znów pożałowałem, że nie wziąłem żadnego sprzętu do podsłuchiwania.

Rumcajsa nie było widać. Ruszyłem za Oberonem i jego podwładnym, zdecydowany nawet ich zagadać, byle tylko mieć wreszcie z głowy cholernego domowika. Od naszego poprzedniego spotkania władca elfów niewiele się zmienił; zachował sylwetkę i ruchy, zmodyfikował za to nieco rysy twarzy. Nic dziwnego, fani rozerwaliby sobowtóra Talbotta na sztuki.

Oberon i jego agent skierowali się na tyły budynku, gdzie koło wychodzącej na boczną uliczkę bramy dostawczej stały furgonetki techników od potworów. Rozejrzałem się za Rumcajsem. W

końcu to on zobaczył go pierwszy, gdzie się więc do cholery teraz po—dziewa? Przecież *zależy* mu na spotkaniu?

Między samochodami nie było nikogo, ochrona pewnie oglądała teraz „Prokuratora Justina Ice’a”. Nawet brama była tylko przymknięta. Nie świeciła się też umocowana do ściany latarnia. Technicy od dawna znajdowali się już na swoich miejscach, szykując potwory do wejścia. Wyobraźnia od razu podsunęła mi obraz przyczajonych w mroku sług Oberona, o których moi przodkowie mówili niechętnie i nigdy po imieniu. W uszach odezwały się pełne przerażenia wrzaski Łysego, kiedy Borowy pokazał mu się w prawdziwej postaci.

Ostrożnie zapuściłem się między samochody. Nie miałem na to ochoty, ale nie było innego wyjścia. Nie mogłem pozwolić, by Oberon zniknął nam po raz kolejny, choć żołądek ścisnął mi strach. Nikt nie lubi, kiedy się go śledzi. A jak mógł na to zareagować władca elfów?

Niespodziewanie coś szarpnęło mną potężnie do tyłu. Wylądowałem na ścianie i nim oprzytomniałem, Oberon już przyduszał mnie do betonu. Robił to jedną dłonią, bez wysiłku i jakby od niechcenia. Usiłowałem się wyrwać, przerzucając całą masę ciała na jego rękę, ale bez skutku. Dwaj agenci w ciemnych garniturach upewnili się szybko, czy nikt w okolicy nic nie słyszał, ale muzyka i gwar robiły swoje.

— Wiesz, kim jestem? — odezwał się cicho władca elfów.

Nasze spojrzenia zetknęły się. Wzrok Oberona nie był spojrzeniem doskonale grającego swoją rolę aktora. W ciemnych oczach widać było głębię, czarną i nieskończoną niczym sam kosmos. Wydawało się, że gdybym zechciał, mógłbym dostrzec w niej echo wydarzeń sprzed setek, jeśli nie tysięcy lat. Zieleń nieprzebytych borów, gdzie w najniższych partiach lasu wciąż trwa półmrok. Blask świętego płomienia i migotanie wstążek zawieszonych na drzewie, w którego konarach mieszka bóg starszy niż otaczający go las. Trzask gałęzi pękających od mrozu tak ostrego, że wśród śnieżnych zasp polują tylko watahy głodnych do szaleństwa wilków. Oślepiający blask pioruna spływającego z niebios przy wtórze ogłuszającego gromu, aby wzniecić ogień, którego nikt nie śmie zgasić. Dla kogoś takiego inne elfy czy ludzie byli niczym. Oberon był wieczny.

— Spotykasz się z moją żoną — mówił cicho i dobitnie, abym zrozumiał każde słowo. — Zleciła ci coś. Może nawet chodzić do łóżka. Bardzo się widać stoczyła, bo nie wiem, co ona widzi w lu dziach, co nie zmienia faktu, że nadal pozostaje moja. Popeliłeś błąd, nie powinieneś się w to pakować, Grabku. To nie jest sprawa dla ludzi... takich jak ty.

Milczałem, przyciśnięty do ściany. Czy to trzymało mnie ramię Oberona, czy też jego spojrzenie?

— Czego ona chce? No? — usłyszałem z oddali.

Co powiedzieć? Wspominać o Rumcajsie? A jeśli to dla niego śmierć? A może śmierć dla mnie?

— Jestem w stanie wyciągnąć z ciebie wszystko, co tylko zechcę, człowieku — powiedział Oberon głosem, w którym słychać było grzmot zbliżającej się burzy. — I przysporzyć ci tym wiele ciej pienia, gwarantuję. Powiesz sam? Decyduj się, nie mam wiele czasu.

Nie miałem powodu, aby w to nie wierzyć.

— Właśnie — wychrypiałem, bo ściśnięte gardło i suchość w us tach nie pozwalały na więcej — chciałem o tym porozmawiać.

Zmieszane, *coraz* wyraźniejsze głosy. Śmiech, przekrzykiwanie się. Kilku naspawanych gości skraca sobie uliczką drogę na osiedle. Wiadomo, w tym mieście jedni się bawią, a drudzy, tuż obok, umierają...

Zza samochodów wynurzyło się trzech osobników. Zamiast jednak przejść obok, udając, że niczego nie widzą, zatrzymali się. Moje serce też się zatrzymało. W gardle.

Ty, my go chyba znamy — odezwał się lekko chwiejający się Dryśła, wskazując na mnie palcem.

Faktycznie — potwierdził Kubrak. Trzeciego osobnika nie roz poznałem — pewnie kolejny pomagier Kormana.

I chyba coś do niego mamy, nie?

Ano.

Zaczekamy, aż oni skończą? — spytał trzeci, przeciskając się przez niedomknięte skrzydło bramy.

Nie macie na co czekać — warknął jeden z agentów, podchodząc do niego. Jego kolega znacząco wsunął dłoń pod marynarkę.

Zaraz, nam też podpadł... — zaczął Dryśła. W odpowiedzi Oberon skinął wolną ręką na obstawę. Ruszyli w stronę tamtych. Małżonek Goplany z powrotem przeniósł spojrzenie na mnie. Możesz powiedzieć jej, że jeśli zechcę się spotkać z nią albo z którymś z jej ludzi — rzekł przy akompaniamencie głuchych uderzeń, wymawiając ostatnie słowo niczym przekleństwo — to ją znajdę. Sam.

Ej, co to miało być? — spytał zirytowany Kubrak. Ponad ra mieniem Oberona zobaczyłem, że stoi wraz z towarzyszami nad dwoma bezwładnymi ciałami w garniturach. Widać podejrzanę w kinie techniki filmowej bójki nie sprawdzały się w prawdziwej walce.

Palant z Tamtej Strony — dodał ten trzeci, sprzedając kopa leżącemu najbliżej agentowi.

Skoro tak lubi się bawić... — Dryśła wyciągnął krótką pałkę, jaką widziałem u niego kilka dni wcześniej, i ruszył w stronę Oberona.

Władca elfów westchnął. Już wiedziałem, czym to się skończy.

Puścił mnie i w tej samej chwili znalazł się pomiędzy tamtymi. Skoczyli na niego niczym banda gangerów, a Oberon stał spokojnie na szeroko rozstawionych nogach, gotów przyjąć tę szarżę. Wydawało się, że urósł nieco, a kiedy zaczął uderzać, jego dłonie rozbłysły białą poświatą. Pałka Dryśli pękła na jego barku jak spróchniały patyk. Chwilę potem usłyszałem suchy trzask, jeden z elfów odtoczył się chwiejnie, patrząc zszokowany na własną rękę zwisającą bezwładnie i wygiętą pod nienaturalnym kątem. Sapnąłem z wrażenia i nagle zorientowałem się, że nic już nie krępuje mi ruchów. Całe otępienie gdzieś znikło.

Zacząłem ostrożnie przesuwać się bokiem wzdłuż ściany, by schować się za najbliższą furgonetką, kiedy nagle wpadłem na coś miękkiego i żywego. Zamachnąłem się pięścią, gdy dostrzegłem czerwoną czapkę i ciemną plamę brody.

— Chodu! — syknął Rumcajs. — Nie chcę się spowiadać glinom!

Biegiem wypadliśmy poza teren ośrodka. Za sobą słyszałem jeszcze dziwne trzaski i pełne bólu krzyki. To Oberon uczył poddanych małżonki szacunku dla swej osoby.

Rozdział jedenasty

Tej nocy źle spałem. Wprawdzie domowik zapewniał mnie, że Oberon zajmuje się ważniejszymi sprawami i nie ma do mnie głowy, ale i tak we śnie władca elfów wyciągał ku mnie długie, czarne łapy. Wiem wszystko, zdawały się mówić jego zimne niczym kosmiczna pustka oczy. Nie uciekniecie mi.

Byłeś tam. Dlaczego nie skorzystałeś z okazji, by załatwić swoje sprawy? — spytałem Rumcajsa, kiedy rano wszedłem do kuchni.

Nie sądzę, aby zechciał mnie wtedy wysłuchać. — Domowik odłożył łyżkę i stał z brody resztki kaszy. Zaczynałem już nienawidzić tego zapachu. — Właśnie musiał osobiście pobrudzić sobie ręce trzema palantami, którzy stłukli mu chłopaków. Wi działby we mnie tylko kolejnego natręta stąd. Rozsmarowałby po ścianie, nim zdążyłbym cokolwiek powiedzieć, i nawet by tego nie zauważył.

Zaparzyłem sobie herbaty z cytryną i usiadłem naprzeciw Rumcajsa.

Jak sądzisz, zabił ich?

Raczej nie. Mordowanie poddanych żony nie pomoże mu w realizacji planów... a przynajmniej nie teraz. Coś w ogóle mówił?

Pociągnąłem łyk z kubka. Napar był odpowiednio mocny i kwaskowy.

— Uważa, że jestem facetem Goplany, którego wynajęła do jakie goś zadania. Chciał wiedzieć, jakiego.

Rumcajs zaklął i nachylił się w moją stronę.

Powiedziałeś mu o mnie? — spytał z niepokojem. — Albo cho ciał pomyślałeś?

Niczego ze mnie nie wydusił.

To nie zadowoliło Rumcajsa: przez dłuższą chwilę siedział, niespokojnie gryząc wąsa i strzelając stawami palców. Mnie również udzielił się jego niepokój. Sam nie wiem, co bym wołał: korporacyjną aferę czy wściekłą istotę sprzed zarania dziejów. Istotę, której uwagę być może właśnie na nas zwróciłem. Oberon na pewno nie będzie szczęśliwy, że ktoś węszy wokół spraw jego i jego małżonki.

Jak sądzisz, będzie mnie śledził? — spytałem ostrożnie. Właści wie to bałem się tego, co mogę usłyszeć.

Dałeś mi jakoś do zrozumienia, że wiesz, kim naprawdę jest? Znalazł twój amulet?

Nie — odparłem po chwili zastanowienia. — Nie zdążył ze mnie nic wyciągnąć. Tamci mu przeszkodzili. Chyba powinienem być im za to wdzięczny...

W porządku — odetchnął Rumcajs. — Pewnie myśli, że pogonił kolejnego fagasa Goplany. Co prawda totalnie nie jesteś w jej typie, ale to szczegół.

Pochlebiasz mi — parsknąłem. — Ale jak w takim razie mnie złapali? Nie wierzę, że chciał tylko pogonić kogoś, kto za nim łąził. Ktoś musiał *pokazać* mnie palcem.

To możliwe — przyznał Rumcajs, gładząc brodę. — Ktoś widział cię razem z Goplaną. Może przechodząc tutaj, Oberon przydzielił jej kogoś, by miał na nią oko. To nie musiał być ktoś z agenciaków, *raczej zwierzę*... pewno ptak.

I Goplana go nie wyczuła?

Do tego wystarczy zwykły gołąb — odparł domowik. Odruchowo wyjrzałem za okno, lecz po wysuszonych, pokrytych pyłem drzewach nie skakały nawet wróble. W te upały zraszanie chodników i trawników po zmierzchu niewiele dawało, ziemia wchłaniała każdą ilość wody. Stan Wisły opadł do poziomu, którego nie pamiętała chyba nawet sama Wiślana. W radio zapowiadali wprowadzenie ograniczeń w zużyciu wody.

— Na razie trzymaj się z dala od Goplany — powiedział zdecydowanie Rumcajs. — Jeśli rzeczywiście nic mu nie powiedziałaś, a nie wygląda na to, by wlał ci do głowy, to pewnie nic o mnie nie wie.

Doprawdy, jego troska o własną osobę była odwrotnie proporcjonalna do troski o mnie. Domowik wstał.

— Może być, że wyśle kogoś i za tobą, by się upewnić, że wyciągnąłeś ze spotkania odpowiednie wnioski. Przed Oberonem trudno cię będzie ochronić, ale przed głupim ptakiem można. Chodź.

Podejrzywałem, gdzie Rumcajs chce się udać. Kiedy skręciliśmy w stronę „Balladyny”, byłem już pewien.

U kogo chcesz to załatwić? — spytałem zaniepokojony. — Chyba nie u Kormana?

Pewnie, że nie. W biurach jest pora lunchu, możemy trafić na kogoś, kto ma doświadczenie z ptakami. A z Kormanem — oczy domowika rozbłysły groźnie — też mam do pogadania.

A jeśli Oberon zauważy, że mu nagle zniknąłem?

Pamiętasz naszego gołębia? Ptaki są głupie, i nawet Oberon nic na to nie poradzi. Uzna, że nagle zainteresowała go bułka.

Lokal świecił pustkami; rzeczywiście, większość klienteli stanowili robotnicy, kierowcy i inni pracownicy niższego szczebla, którzy zeszli się tutaj, by odpocząć trochę od gorąca na zewnątrz. Ludzi, ku mojemu zaskoczeniu, nie było. Kormana na szczęście też. Siedziały tu domowiki, skierki, atwory i cała reszta tego towarzystwa, któremu szczęśliwie udało się *znaleźć* gdzieś robotę.

Nikt mi tu na specja nie wygląda...

Fakt, ale jest grochowa baba. — Domowik wskazał brodą na siedzącą nad kawą nieatrakcyjną sekretarkę w średnim wieku, w niemodnej sukience w zielone ciapki. — Też się nieco zna na rzeczy, zwłaszcza jeśli chodzi o ptaki.

Dobra, załatwiaj. Muszę się odlać.

Obok drzwi wróża.

Kiedy wróciłem, na stoliku leżało nieznane mi polne zielsko, a kobieta chowała do torebki kamień na plecionym sznurku. Obrzuciła mnie niechętnym spojrzeniem jak nachalnego petenta.

Chyba lepiej by ci pomógł Korman...

Nie było go tu?

Minąłeś się z nim. Mówił, że ma robotę.

Pewnie — prychnął głośno domowik. — Ciekaw jestem, kogo znowu okantuje.

On? — Baba spojrzała zaskoczona na Rumcajsa. — Przecież zawsze takie porządne rzeczy dawał. Nigdy się na nim nie zawiod łem.

A ja tak — odparł stanowczo domowik, coraz bardziej pod nosząc głos. — Sprzedał mi nawóz z roślin z Tamtej Strony, ale jedna była tutejsza. Omal tego życiem nie przypłaciłem! I jeszcze się wypierał, w kości grałem o to, by się odkuć!

Kilka osób przy sąsiednich stolikach nadstawiło ucha. Przynęta chwyciła.

— Bzdura — odezwał się siedzący przy sąsiednim stoliku facet w drelichu pracownika zieleni miejskiej, *rzucając* na stół naszyjnik z kilku niewielkich otoczaków. — Kupiłem to od niego dwa dni temu. Może powiesz mi, że te kamienie nie są z Tamtej Strony?

Zapadła pełna napięcia cisza. Rumcajs przyjrzał się uważnie każdemu kamieniowi z osobna.

Połowa jest prawdziwa, połowa nie — orzekł spokojnie. — Wi działaś kiedyś, aby w naszych potokach były tak szorstkie kamienie? A ten, co mu się stało?

Pewnie ukruszył się przy noszeniu — burknął tamten.

— A gdzie ty widział, żeby się nasze kamienie kruszyły? Kilka elfów podeszło do nas wyraźnie zaciekawionych. Drelicha zatkało — widać prawdziwe życie po raz kolejny go zaskoczyło.

— Właściwie — mruknął — też mnie to zastanawiało. Domowik sięgnął do kieszeni kurtki i wyciągnął buteleczkę,

którą widziałem podczas wizyty u Kormana. Sekretarka i ziele—niarz nachylili się, zaciekawieni.

— Woda pamięci! — szepnęła kobieta.

Pozwolisz? — Nie czekając na odpowiedź, Rumcajs złapał za spodeczek, przestawiając jej filiżankę na papierowe serwetki. Z na maszczeniem odkorkował butelkę.

Dalej, stary. Lej — usłyszałem nagle za sobą. Stał tam niezłe zbudowany facet po czterdziestce w standardowym, korporacyjnym garniturze. — Ciekaw jestem, co pokaże.

Rumcajs odczekał, aż wokół stolika zgromadzą się wszyscy zainteresowani, i dopiero wtedy wylał odrobinę wody.

Z początku widziałem tylko dno spodeczka. Potem jednak odblask na powierzchni zmienił się, nabrał konkretnych kształtów. Znowu ujrzałem oczami Rumcajsa wewnątrz szafek u Korma—na.

Pęki dziwnych ziół, kamieni, patyków, rzemieni... wszyscy patrzyli na to w absolutnej ciszy, od czasu do czasu tylko wzdychając.

Bieluń, ciemierzycyca... mirnik... łączydło... ile tego...

A ilu by tym można było moce przywrócić, wyleczyć...

— Wyleczyć? Oglupić chyba, uczłowieczyć... Bryła soli wywołała szmer zaskoczenia.

— Woda pamięci nigdy nie kłamie. Oto i jego skarby — powiedział dobitnie Rumcajs, po czym przywołał obraz z barku. — A dla nas co? Patyki, kamienie i zwykłe trawy!

Takiego dowodu nie powstydziliby się nawet prokurator Justin Ice. Mimo tylu wieków w prawdziwym świecie i uczłowieczenia poddani Goplany wciąż nie mogli oprzeć się urokowi rzeczywistości fabularnej. Nikt nawet nie spytał, jak Rumcajs zdobył tę wodę.

A to skurwiel. — Ręka specy od zieleni zacisnęła się na naszym niku. Rozległo się ciche chrupnięcie i po chwili wśród kamiennych okrucich spoczywały na dłoni tylko trzy nietknięte kamienie. Wśród pozostałych rozszedł się szmer oburzenia.

A tyle mu zapłaciłem...

Ale dlaczego? Co z tego miał?

Dla siebie trzymał, ot co.

Opinia Kormana zaczęła się chwiać. Pociągnąłem Rumcajsa za rękaw.

— Jak to się stało, że on się jeszcze nie kapnął, iż miał gości?

— Larysz szybki jest — odparł domowik. — W młynach na Woli potrafił w jedną noc pięć worków ziarna oczyścić z plew, a przed wojną w minutę sejf otwierał. Pozamykać szafki i zawiesić wianki na miejscu to dla niego betka.

W tej samej chwili od drzwi zaleciało śmietnikiem i poczułem, że ktoś nad nami stoi.

— Cześć, Ru—um—cajs. Mam no—o—wy na—a—awęż. Dobry, Ko—o— —ormanowy.

Mariaszek z dumą pokazał długi rzemień, na którym pośrodku zawiązano trzy grube węzły, opasujące niewielkie bryłki metalu.

— Ła—a—dny?

Domowik uniósł naszymi, by go nałożyć.

— Stój! — krzyknął ostrzegawczo Rumcajs. Mariaszek podskoczył i znieruchomiał, jakby rzemień miał mu wybuchnąć w dłoniach.

Rumcajs wyjął mu go delikatnie z rąk, niczym odbezpieczony granat. Przyjrzał się uważnie węzłom, trzymając je tuż przed nosem.

— Łyszczak, ty od czasów dymarek siedziałeś w kuźniach, po magaleś kowalom — powiedział, nie odrywając oczu od nawęzu. — Mógłbyś na to spojrzeć?

Spośród otaczających nas elfów wysunął się niski, łysiejący facet. Na oko był już po sześćdziesiątce, ale trzymał się niezłe. Pochylił się nad stolikiem i wziął nawęż w swoje wielkie łapy.

Podgryzanie Kormana to jak rozbrajanie niewypału — powie dział cicho. — Wiesz, co będzie, kiedy wybuchnie?

Wiem — odpowiedział równie cicho i zdecydowanie *Rumcajs*. — To żelazo tutejsze czy z Tamtej Strony?

Jaką odpowiedź *chcesz* usłyszeć?

Prawdziwą.

Elf przysunął sobie krzesło i wyciągnął z kieszeni koszuli jubilerską lupę. Trzymając nawęż za rzemień, przyglądał się każdemu węzłowi z taką uwagą, jakby to były brylanty. Przesuwał wzrok od jednego do drugiego, potem wracał i badał jeszcze raz. Nagle owinął rzemień wokół dłoni i szarpnął w przeciwne strony. Pasek trzasnął i zwiśł mu w rękach niczym zaduszony wąż. Mariaszek jęknął, jakby go kto zszedł przez plecy pałką.

— Żelazo — oznajmił spokojnie Łyszczak. — Zwykle, ludzkie że lazo. Dobrze, że tego nie nałożył.

Przez chwilę panowało milczenie. A potem nagle wszyscy zaczęli mówić jeden przez drugiego. A to już... to już... — zieleniarz zapowietrzył się, nie mogąc znaleźć odpowiednio mocnego określenia.

Co mu Mariaszek przeszkadzał?! Przecież on nikomu nie szkodził!

Na cudzym nieszczęściu się dorabia, jak człowiek!

Opinia Kormana zaczęła już całkiem porządnie dygotać. Tymczasem Mariaszek usiadł w kącie i zaczął zajadać kupioną przez jakąś litościwą duszę samopodgrzewającą się zupkę. Rumcajs przysiadł się do niego.

— No i szlag trafił kolejny nawęż, co? Chyba za dużo za niego nie dałeś?

Mariaszek wzruszył tylko ramionami, łykając pospiesznie gorący makaron.

— Zapomnij o nim. Mam dla ciebie coś, czego dawno szukałeś.

Wyjął z kieszeni kawałek cegły i położył obok plastikowej miseczki.

— Nadepnąłem na to przypadkiem na Górcę Czerniakowskiej. Mam wrażenie, że należy do ciebie.

Przeżarte brudem palce ostrożnie podniosły odłamek. Przez chwilę Mariaszek obracał go w dłoniach niczym jubiler badający cenny klejnot.

— Ścia—ana — powiedział cicho, jakby nie wierząc w swoje szczęście. — Szczy... szczytowa.

Zaśmiał się sucho, bez radości, wyciągnął z ukrytej kieszeni brudną, podartą kosmetyczkę i schował odłamek do środka. Ledwo skończył jeść, przy stoliku zjawiała się grochowa baba, a za nią inni.

Może ci jeszcze ziół trzeba, niebożę? A może jantaru?

Czekaj, mam gdzieś schowane trochę bylicy. Prawdziwa, z Tamtej Strony, słowo drzewica!

Akurat, a jak tam przeszedłeś?

Mariaszek kręcił zdeorientowany głową, starając się odpowiedzieć wszystkim *naraz*. W końcu zamknął oczy, jęknął i uciekł na zewnątrz, wymachując rękami.

— Zostawcie go. — Rumcajs powstrzymał rwących się za nim dobroczyńców. — Niech ma spokój.

Elfy niechętnie wróciły do swoich stolików, komentując to, co usłyszały. Dziś wieczorem pewnie nie będzie się mówić o niczym innym. Ciekawe, od kogo teraz będą kupować nawęzy.

Rumcajs wyszedł na zewnątrz i poczęstował Mariaszka najbardziej smrodliwymi fajkami, jakie w życiu widziałem. Domowik wyszczerzył się radośnie, ukazując krzywe zęby, i z wyraźnym zadowoleniem zapalił.

Chyba wszyscy nagle sobie o nim przypomnieli — zauważyłem.

E tam — odparł płynnie Mariaszek, wydmuchując gryzący dym. — Normalnie jestem dla nich zepsute powietrze. A teraz mogą pokazać, jacy to są dobrzy i w ogóle, no, jak dawniej. Jutro wszystko będzie już po staremu. Powiedźcie lepiej, gdzie dokładnie znaleźliście tę cegłę?

Trochę na prawo od pomnika, na zboczu obsunęła się ziemia. Jeszcze tego nie naprawili.

Twarz Mariaszka rozbłysła wewnętrznym światłem. Zerwał się na równe nogi, chwycił swoją torbę i ruszył na południe krokiem tak zdecydowanym, że nieliczni przechodnie zaczęli ustępować mu z drogi.

Gdzie go poniosło?

Poleciał korzystać ze swoich mocy, póki działa na niego kawałek własnego domu. Odnajdzie i zbierze z górki tyle kawałków swojej kamienicy, ile zdoła, nim go straż pogoni. Trochę mu to zajmie, tam przy odbudowie zwozili gruz z całego południa Warszawy...

Wtedy odezwał się mój telefon. Aga.

Mam kłopoty. — Głos miała opanowany, zdenerwowanie zdradzało tylko lekki wietnamski akcent. Programu ekranującego w ogóle nie było słycać. — Przyjeżdżaj.

Co się dzieje?

To nie na telefon, mogą się przegryźć przez zasłony.

—Już?

Aga mnie nie zrozumiała.

— To się stało przy realizacji twojego zlecenia, stary, nie bądź więc teraz buc i pomóż. Mam inne umowy, z których muszę się wywiązać.

Obietnice... poczułem na sobie uważne spojrzenie domowika. Zaczęły latać mi ręce.

— Zaraz będziemy.

Przeglądałam się wędrowce pieniędzy Zarzyckiego — opowia dała Aga, pakując do torby ostatnie drobiazgi. — Nagle opadły mnie te małe programiki, które okradały dla niego łącza przy transakcjach między korporacjami.

Skierki, może chochliki — mruknął Rumcajs. Przywlokłem go tutaj, bo odpowiadał za kłopoty Agaty w takim samym stopniu jak ja, jeżeli nie bardziej. Poza tym wiedział, czego się można było spodziewać po poddanych Oberona.

—Co?

Nie, nic.

Działy jak grupa dobrze wyszkolonych strażników. Były cholernie szybkie, rozpoznały mnie mimo aliasu i trzech masek, nie wiem, jak to zrobiły. Ledwo zdążyłam uciec. Przypuszczam, że mogą mieć mój prawdziwy numer i namierzyć adres. Dlatego znikam na kilka dni, będę pracować z cudzych numerów.

Westchnąłem ciężko i spojrzałem pytająco na domowika. Rumcajs kiwnął głową.

Masz gdzie mieszkać?

U ciotki.

Zapomniałem, że Aga pochodziła z bardzo licznej rodziny. Wątpiłem, czy wyciągnięcie jej od kogoś z nich po cichu byłoby możliwe.

Daleko ta ciotka?

Nie. Może tak pomożesz samotnej damie w potrzebie i ponieś torbę?

Normalnie Aga była w stanie sama przemeblować sobie pokój. Skoro prosiła mnie o pomoc, musiała być nieźle wkurzona. Swoją drogą, bagaż też sporo ważył, dziewczyna musiała zapakować tam kupę sprzętu. Sprawdziła *jeszcze*, czy nadal umie machać nożem motylkowym starszego brata, i byliśmy gotowi. Kiedy szliśmy w stronę windy, zobaczyłem, że domowik lekko klepie drzwi do jej mieszkania, mrużąc coś pod nosem.

Nigdy jeszcze droga nie wlokła mi się tak bardzo. Co prawda domowik zapewniał, że tutaj nawet agenci Oberona nie będą się czuli pewnie, ale kto ich tam wie... zawsze mogą spróbować. Bardziej obawiałem się korporacyjnych służb zabezpieczenia, które mógł zaalarmować ruch skierek. Nasi gliniarze z sieciówki już mogli dostać od nich cynk. Dlatego szliśmy szybko, jakby groziło nam spóźnienie na pociąg. Miałem cichą nadzieję, że Rumcajs choć raz nie nawali i ostrzeże nas odpowiednio wcześniej.

A tak przy okazji — powiedziała nagle Aga — czy ten facet jest jakimś badaczem? Etnografem Sieci?

Nie, a co?

Ciągle gania po forach, czatach, newsgrupach, ircu i rozpytuje się o bogów Sieci. Pewnie szuka najlepszych fachowców.

Tak, po Oberonie można się było tego spodziewać. Przypomniałem sobie nasze wczorajsze spotkanie i uśmiechnąłem się.

— Pomożemy facetowi. Zrób tak...

Przez kilka chwil przerzucaliśmy się żargonem technicznym. Byłem pewien, że Rumcajs nic z tego nie zrozumiał.

— Masz dla niego imię?

— Powiedzmy, że... Złoty Jeleń — odparłem po chwili namysłu. Jak się okazało, ciotka mieszkała dwa domy dalej. Gospodyni nie było, do środka wpuściła nas obca mi chuda dziewczynka, pewnie kuzynka Agi. Domowika znów zatelepało na widok wiszących na ścianach obrazków, ale wziął się w garść.

— Dobra, tu jest bezpieczna — powiedział, kiedy wychodziliśmy. — Tego lokalu na pewno nie ruszą.

Rozdział dwunasty

Popołudnie spędziłem nadrabiając zaległości w wiadomościach; świat pędził swoim torem i nie chciał czekać na Adama Chorsa. Do tego znowu odezwał się Paweł; przyjechało naczalstwo z Wiednia i dało wszystkim współpracownikom coś do roboty. Rum—cajs siedział w kuchni i szykował dla mnie amulet przeciwko ptakom.

Ledwo zdążyłem opracować plan artykułu i zebrać dane, na zastrzeżonym kanale redakcyjnego komunikatora odezwała się Kaśka.

Dowiedziałeś się może czegoś?

Rozmawialiśmy dopiero wczoraj... przez ten czas nie było żadnej biznesowej imprezy — konwentu nie liczyłem. Tam nikt nie chwali się posiadaniem podręcznych. — A ty? Wiadomo coś o tej zaginionej podręcznej?

Nic. Czyżby jednak była to twoja znajoma?

Skąd, jestem tylko ciekaw, czy moja wiadomość na coś ci się przydała.

Folder non stop puchnie mi od różnych materiałów. Odło żyłam to na później, bo gliny wyciszyły sprawę tego zabójstwa na Ursynowie. Właśnie ich cisnę, ale to trochę potrwa. Konsultuję się z prawnikami, co zrobić z zeznaniami podręcznej Krzekowskiego.

Kaśka startowała do boju szybciej niż myśliwiec. Miałem nadzieję, że ma przynajmniej mocne argumenty.

— Wystąpiłaś o ochronę?

Dzięki, że mi o tym przypomniałeś. Słuchaj, potrzebuję paru rzeczy o podręcznych. Chodzi o to, co ich skłania do wyboru tej profesji z ekonomicznego punktu widzenia. To znaczy wiem, że bieda, chęć wyrwania się z korporacji, niektóre dziewczyny już w gimnazjach szkolą się tak, by potem mieć w tym fachu jak największe szanse, ale...

...ale potrzebujesz czegoś dokładniejszego. OK, zaraz dosta niesz kilka linków. Mam nadzieję, że statystyka nie przyprawia cię o ból głowy?

Nie przesadzaj, Adaś, co? Dobra, już doszło. A tak nawiasem mówiąc, słyszałeś o nowej awanturze w Avitarze?

Nie... — odparłem ostrożnie, nie wiedząc, czego się mogę spo dziewać. To może być perłka albo żwir.

Mają tam wewnętrzne śledztwo. Podobno szef ich działu ana liz przekazywał na zewnątrz poufne informacje. Robił to na spo tkaniach kielczan, bywali tam jego kumple ze studiów, ale nie tylko, paru innych sararimenów też by się *znalazło*. Chcieli współ nie trochę pomanipulować kursami na giełdzie. Inni również odwiedzali mu się zastrzeżonymi informacjami, więc łby polecą w wielu firmach. Wpierw jednak spadną akcje Avitaru. Miej to na uwadze.

Informacja fajna i do niczego nieprzydatna. Fakt, pasowała mi do tekstu, jednak nie miałem

żadnych oficjalnych przesłanek, które mogłyby uzasadnić zapowiedź ich szybkiego spadku. Cała impreza dopiero się rozkręcała.

— Dobrze, że w nich nie inwestowałem.

Kaśka zachichotała radośnie i rozłączyła się. W tej samej chwili do pokoju wlaź Rumcajs.

Masz. — Podał mi mały płócienny woreczek. Przez materiał wymacałem łądygę i liście ukrytej wewnątrz rośliny. — Noś to, a żaden ptak cię nie znajdzie.

Jeszcze trochę, a zaczniesz mi brakować kieszeni — mruknąłem, odkładając woreczek na biurko.

Co za afera się tym razem kroi? — Rumcajs zerknął na monitor, usiłując wyczytać coś z wykresów. Streściłem mu opowieść Kaśki, licząc, że może się wreszcie odczepi.

Plemię jest plemię — skwitował domowik. — Zawsze wygra z firmą.

Już odeszliśmy od organizacji plemiennej... im raczej chodziło o swoje konta.

Jakby te wasze korporacje to nie były plemiona! — parsknął Rumcajs. — Zawsze tak było, my i oni, banda z naszego podwórka na bandę z sąsiedniego, firma na firmę, kto kogo przemoże. Zre szta firma firmą, zawsze ją możesz zmienić, a miejsca urodzin nie. Jak gdzieś jesteś nowy, na obcej ziemi, to kogo szukasz? Swojaka. Zwłaszcza w takim tyglu jak tutaj.

To mijają, kiedy już wrośniesz. Uwierz mi, widziałem to wiele razy w szkole, na studiach, w koncertnie. Moi znajomi mieli dziadków i rodziców w całej Polsce. Oni uważają już, że są stąd.

Bo to miasto wchłania wszystkich. Widziałem taką lawinę po ostatniej wojnie i widzę teraz, od trzydziestu lat. Dawniej ludzie przyjeżdżali, by wypełnić luki po tych, co zginęli, potem, by wypełnić luki w kieszeni. Nasi też, ale szybko się ucłowieczali... Tak naprawdę to są tu jakby dwa miasta. Jedno z nich widzisz. Drugie...

Nachylił się ku mnie z błyszczącymi oczami.

— Te stare domy i ludzie, co już ich nie ma, jeszcze tu są. Tego się nie da powiedzieć, ale czuję je, stary. Przeżyłem tutaj prawie sto pięćdziesiąt waszych lat i wiem, co mówię. Są w dziurach po wyburzeniach, w śladzie na murze domu, który jeszcze stoi. W zarośniętych trawą fundamentach. Widzisz to i wiesz, że kiedyś stał tu inny dom, warsztat, garaż... I tak się uzupełniają — to, co jest, z tym, czego już nie ma. W tym są i ludzie. Bo przecież dla kogoś te domy i warsztaty powstały, nie? Ktoś tam mieszkał i pracował.

Odetchnął głęboko i otarł czoło.

— Co to ja chciałem... zwijaj te słupki, idziemy na jednego do „Balladyny”. Jeśli wszystko dobrze poszło, popatrzymy sobie, jak szlag trafia Kormaniana.

Kiedy zjawiliśmy się na miejscu, zbliżał się wieczór. W lokalu było już tłoczno, jak wtedy, gdy przyszedliśmy tu pierwszy raz. Coś

było jednak nie tak: czułem pulsujący w powietrzu niepokój, jakby lada chwila spodziewano się nalotu policji. Miałem nadzieję, że nie miało to nic wspólnego z Rumcajsem i Kormanem. Nie chciałem stawać naprzeciw knajpy pełnej elfów.

Ledwo weszliśmy, machnęła do nas Żywia, zajmująca wraz z Bronią stolik pod oknem. Starsza kobieta wyglądała na opanowaną, ale wypełniona niedopałkami popielniczka świadczyła o czymś innym.

Co tak tutaj wesoło? — zagadnął domowik.

E tam, jakiś fagas za Bronią aż tutaj przylazł. — Kobieta machnęła ręką, rozpędzając dym. — Pchał się z łapami, chciał ją gdzieś wyciągnąć, to się chłopcy postawili, i szybko wyszedł. Za to Korman...

Był tu?

...Korman to ma przerąbane do reszty — ciągnęła Żywia, zachichotawszy upiornie. — Ledwo przyszedł, złapał go Borag, wiesz, ten drzewiec, co w zieleni pracuje. Nawrzucał mu, że hej,

głównie za Mariaszka. Z początku się *jeszcze* stawiał, ale dołączył się Korbas, co pechowe samochody zwozi i skupuje, a Gralon tylko ich słuchał i głową kiwał. A kiedy on tak głową kiwa, to z tego kiwania dla Kormana nic dobrego nie wyjdzie, oj nie... Wiedział on o tym, więc płaszczył się, kręcił, ledwo ich ugłaskał i zaraz potem czmychnął, jakby mu się gacie paliły. Pewnie — zgodził się Rumcajs, kiwając ponuro głową. — Gralon samego diabła Stadnickiego szabli uczył.

Tego z gry komputerowej? — spytałem, kiedy podeszliśmy do baru. Domowik nie odpowiedział, tylko popatrzył na mnie dziwnie i zamówił piwo.

Co teraz?

Posiedzimy, poczekamy — odparł Rumcajs obojętnie. — Może się jeszcze Korman pokaże...

Usiedliśmy przy stoliku w samym kącie sali. Domowik przeszedł w tryb czekania, siedział, milczał i niczym słowiański woj maczał wąsy w browarze. Siedziałem obok, przyglądając się klienteli. Różni ludzie dalej popijali i gadali z elfami, nie *zdając* sobie sprawy z tego, z kim przestają. Młody i bardzo nawiedzony poeta

usiłował rapować coś o chryzantemach złocistych w półlitrowce po czystej, ale kiepsko mu szło. Obok ktoś przekonywał kogoś, że organizowane w wielickiej kopalni soli festiwale muzyki elektronicznej z pokazami laserowymi szybko wygonią stamtąd wszystkie ubożęta. Podobno paru oberonowych beknęło za handel, więc się dostawy na pewien czas urwą.

Rumcajs uniósł plastikową szklankę, łyknął i znieruchomiał z wzrokiem utkwionym w drzwiach.

— Oho, śmierdzi — powiedział tak cicho, że tylko ja mogłem go usłyszeć.

Zesztywniałem i niby to przypadkiem rzuciłem w tamtą stronę okiem. Tych kilku nadmuchanych sterydami pompkarzy w kolorowych wdziankach nie zaliczało się do typowej klienteli „Balla—dyny”. Najwyraźniej kogoś szukali. Stanęli przy barze, rozejrzeli się po lokalu. Spokojni, opanowani. Czy tak zachowują się szukający rozróby tutejsi?

Elfy i ludzie urywali w pół zdania, rzucali na nich okiem i udawali, że bardzo interesuje ich lecący w telewizji serwis giełdowy, albo kręcili się na swoich miejscach, jakby sprawdzając, czy łatwo mogą sięgnąć do kieszeni. Tylko siedzący na swoim starym miejscu leszy pozostał nieruchomy. W półmroku wydawało się, że kąciki jego ust drgają w lekkim uśmiechu.

Z tyłu mignęła mi pobladła twarz Żywii. Oni też ją zobaczyli. Jeden z przybyłych krótkim gestem zbył barmana, cała piątka podeszła do kąta, w którym siedziała kobieta. Mogłem domyślić się, że gdzieś tam, schowana za tłumem, była również Bronia. Facet mówił coś, telewizor go zagłuszał. Żywia siedziała jak przymuro—wana, ale na jej twarzy malowała się coraz większa determinacja.

Ten, który mówił, wyciągnął rękę i w tym momencie na jego ramieniu spoczęła dłoń siedzącego przy sąsiednim stoliku faceta o wyglądzie starego taksówkarza. Rozległ się głos, słyszalny chyba w każdym zakątku sali:

Ona zostaje tutaj.

Krzykacz — mruknął Rumcajs, odstawiając szklankę. Zauważyłem, że bieleją mu kostki zaciśniętych na uchwycie palców. — Będzie wesoło.

Nie zdążyłem zaniepokoić się tymi słowami, bo jeden z pompkarzy zrobił krok w stronę taksówkarza i nagle elf runął na swoje krzesło, dygocząc od porażenia wysokim napięciem.

Orzy! — zawył jego sąsiad, waląc kuflem pierwszego z brzegu napastnika.

Orzy! Orzy!

Zadyma rozpełtała się w mgnieniu oka. Elfy i ludzie rzucili się na intruzów, przez drzwi wpadła kolejna grupa pompkarzy, najwyraźniej czekających na kumpli na zewnątrz. Kilku stałych bywalców od razu poleciało na boki, wyjąc z bólu albo telepiąc się od porażenia prądem. Załomotały przewrócone meble, brzęknęło szkło, trzaskały miażdżone ciałami deski boazerii.

Napastnicy wyraźnie chcieli rozwalić i lokal, i bywalców. Miałem nadzieję, że Bronia jest już bezpieczna.

Domowik ściągnął mnie pod solidną ławę, ustawioną pod ścianą.

— Siedź tu — warknął i już go nie było. Zdążyłem jeszcze zobaczyć, jak wpada z rozpędu na jednego z pompkarzy, niewiarygodnie szybkim ruchem wyrywa mu teleskopową pałkę i sprawnie wbija nos w mózg. Następnie z tłumu wytoczył się poeta improwizator, trzymając się za zakrwawioną twarz. Chwilę potem na stolik obok zwałił się kolejny napastnik, barwiąc na czerwono plastikowy blat. Z rozprutego od ucha do ucha gardła z przenikliwym świstem uchodziło powietrze. Usłyszałem przeraźliwy kobiecy wrzask, zdążyłem zatkać sobie uszy, ktoś z ludzi jęknął, ukląkł na podłodze, z uszu ciekła mu krew.

Walka wśród krzyków, trzasków szkła i łomotu mebli przeniosła się z kąta na cały lokal. Tamci szukali dziewczyny, przy okazji usuwając wszystkich, którzy stanęli im na drodze. Elfy i ludzie nie byli gorsi, walili krótkimi, mierzonymi ciosami, bez litości, by zabić. W powietrzu świsnęła pałka, odbiła się od pleców jednego z pompkarzy, ale to wystarczyło, by odwrócić jego uwagę, a wtedy jakiś atwor albo latawiec roztrzaskał mu szczękę nabijanym krzemieniami kijem. Szczupła dziewczyna, pewnie południca, złapała szarżującego pompkarza za nadgarstki i zawirowała z nim jak w tańcu; na chwilę stali się rozmazanym, niebiesko—czarnym wrzecionem. Kiedy przestali, dziewczyna puściła mężczyznę; osunął

się na ziemię, otwarte oczy nienaturalnie skrzywionej głowy ze zdziwieniem spoglądały na jego własne plecy. W tłumie mignął leszy szerzący zniszczenie parą dziwnych noży o kształcie liści. Wskoczył między dwóch napastników, chlasnął obu w przelocie i zniknął, nawet nie poprawiając. Zresztą nie musiał. Był skuteczniejszy od Oberona.

Z tłumu wypadł następny pompkarz, na jego plecach wisiała inna dziewczyna, sądząc po bardzo długich włosach — chyba rusałka. Przez ułamek sekundy miałem głupie wrażenie, że spróbuje go załaskotać na śmierć, ona jednak raz po raz waliła otwartą dłoń w tył jego czaszki. Facet, który właśnie zamierzał jednym rzutem roztrzaskać ją o ścianę, nagle wyprężył się, omal nie łamiąc sobie przy tym kręgosłupa, i gruchnął na ziemię, dygocząc od spięcia w neurozłączu. Dziewczyna zeskoczyła z niego w ostatniej chwili, miękko wylądowała na zakrwawionej i zasłanej szkłem posadzce, plecami do kroczącego niczym cyborg następnego pompkarza.

Dziwny skurcz mięśni sprawił, że wystrzeliłem spod bezpiecznej ławy, zaciskając dłoń na czymś, co było chyba złamaną nogą od krzesła. Usłyszałem z boku trzaśnięcie bata, pompkarz zachwiał się, ale parł dalej w naszą stronę. Na jego twarzy nabrzmiewała krwawa pręga. Kiedy zamierzył się na mnie pałką z tryskającym elektrycznością taserem, pojąłem, że jemu chodzi nie o dziewczynę, ale o pokoik wróża, dokładnie za moimi plecami...

Machnąłem swoją bronią na oślep, jednocześnie usiłując zejść z drogi biorącemu szeroki zamach napastnikowi. Cudem udało mi się jedno i drugie. Trafiłem w łokieć, taser wysunął się z odrętwiałej ręki i smagnął swego właściciela po plecach. Pompkarz podskoczył, zaskrzeczał, skulił się na ziemi. Rusałka rzuciła się na niego, celując długimi paznokciami w gardło i oczy.

Rozejrzałem się za miejscem, gdzie mógłbym bezpiecznie doczekać końca tej bitwy, i zorientowałem się nagle, że wokół mnie jest dziwnie cicho. Wokół stali tylko bywalcy „Balladyny”, skrwawieni, ściskający w dłoniach swoją dziwną broń. Kilku wyskoczyło jeszcze na zewnątrz, goniąc uciekinierów. Lokal wyglądał jak pobojuwisko, nie ocalał chyba ani jeden mebel i kufel. Krew była wszędzie,

na podłodze, barze, ścianach, nawet na suficie. Zza rozchłapanej na ekranie szkarłatnej kurtyny pogodynka prezentowała właśnie rozstłonecznioną mapę Polski. Kilku klientów jęczało, usiłując dźwignąć się na nogi. Leżący na ziemi pompkarze nie ruszali się.

Pojeby won, co? — wycharczał ciemno ubrany gość, opierając się na skrwawionej husarskiej

szabli i tocząc wokół ponurym spojrzeniem. — Niech spróbują jeszcze raz!
Ledwo do nosa mu przytknąłem, a fiknął! Mocny był, ale kocimiętka mocniejsza!
Ciesz się, że filtrów w nosie nie miał...

Rany, ileż tej juchy... jak to posprzątać, zaraz gliny będą...

Co się martwisz, wołałbyś, aby cię czterech niosło czy trzech sądziło?

Piękny cios, piorunowy — usłyszałem za sobą głos dziewczyny. — Godny tego głuszka.

Spojrzałem na to, co wzięłem za nogę od stołu: była to kolejna pałka, tym razem z łbem wykonanym z jakiegoś korzenia. Wieki, jeśli nie tysiąclecia używania wyszlifowały ją tak, że wyglądała niczym lakierowana replika maczugi z filmu o jaskiniowcach. Puściłem ją, odwróciłem wzrok, nie chciałem patrzeć ani na nią, ani na dziewczynę. Nie chciałem zobaczyć jej zakrwawionych palców, ust. Ruszyłem do wyjścia, czując, że muszę skorzystać z dobrodziejstwa szoku, odnaleźć Rumcajsa i wyjść z tej rzeźni, bo nie wytrzymam ani sekundy, zemdleję albo zacznę się trząść...

Wpadłem na domowika przy barze, kiedy papierowym ręcznikiem rozmażywał sobie na twarzy krew. Wyglądał nie jak dobroduszny opiekun domowego ogniska, lecz jak główny bohater wirtualnego horroru. Nasiąknięte czerwienią, pomięte kawałki bibuły wały się na blacie niczym szalone origami, coraz ktoś urywał z pozostawionego przez roztrzęsionego barmana wałka następne kawałki.

Złapałem Rumcajsa za ramię, odwróciłem go, i przez chwilę poruszałem tylko ustami, nie mogąc wydobyć z siebie głosu.

— Dobrze wyglądasz — stwierdził spokojnie. Wyglądało na to, że krew na twarzy nie jest jego. Parsknąłem śmiechem, przez chwilę nie mogłem powstrzymać głupiego chichotu.

Zapewne chcesz stąd wyjść i się przewietrzyć — ciągnął Rumcajs. — Jasne, idziemy.

A ty...? — spytałem, łapiąc oddech.

Kilka zadrapań. — Wzruszył ramionami. — To nie pierwszy raz.

Bronia?

Żyje, przechowała się u Guślarza. Chyba ci rzeczywiście w oko wpadła...

Nie mieliśmy czasu, o swoich podejrzeniach opowiem mu później. Wiedziałem, że ta jatka była zbyt głośna nawet jak na tutejsze warunki i gliny zaraz przyjadą. Musimy stąd jak najszybciej zniknąć, dostać się do domu, nim dopadnie mnie opisywana w kryminałach trzęsionka. Zresztą za naszymi plecami już ktoś zastanawiał się, co począć z ciałami.

Spokój panujący na parnej ulicy był niemal porażający. Przeszliśmy z domowikiem kilka kroków, skręciliśmy w boczną uliczkę, na szczęście nikt tędy nie przechodził. Ledwo stanęliśmy na światłach, Rumcajs zatoczył się, w ostatniej chwili zdążyłem go złapać.

— Chyba jednak oberwałem — wyszeptał ochryple. — Słuchaj, nim odpłynę: Waryńskiego dwadzieścia sześć, środkowa klatka, zielona tabliczka na parterze, doktor Bazyl Wołoś. Pamiętasz?

Nie odpowiedziałem, bo w tej chwili zauważyłem zjeżdżającą z góry taksówkę. Zamachałem ręką, drugą pomagając domowi—kowi ustać.

##*

Do gabinetu medycyny naturalnej doktora Wołosia schodziło się kilka stopni w dół, do piwnicy jednego z szarych, monumentalnych budynków MDM—u. Socrealistyczne kolosy parowały gorącym niczym piekarniki, trawniki na podwórku wyschły na siano. Nowo odrestaurowane detale w bramie zaczynały już pokrywać graffiti. Lampy, przykręcone do ścian bez żadnego planu, oświetlały dowolnie wybrane kawałki podwórka i muru, pogrążając resztę w absolutnej ciemności. Zza otwartych okien dobiegały odgłosy wieczornego życia.

Mimo że na bramie wisiała tabliczka z nazwą agencji ochrony, lekarz musiał jej nie ufać, bo

zabezpieczył się solidnymi, metalowymi drzwiami z elektronicznym zamkiem i miniaturową kamerą nad drzwiami.

Otworzono nam natychmiast, kiedy tylko zadzwoniłem. Na szczęście w malutkiej poczekalni nie było nikogo, choć jeśli doktor leczył wszystkich poddanych Goplany, to bez wątpienia dziś wieczorem będzie miał naprawdę dużo roboty.

To nie jest najlepszy adres — ocenił krytycznie taksówkarz, pomagający mi znieść ledwo żywego domowika, któremu krew zdążyła już zaschnąć na twarzy. Facet zatrzymał się tylko dlatego, iż sądził, że Rumcajs jest zalany, a potem nie mógł się wycofać. — Lepiej by mu było na Hożej.

Adres jest właściwy — usłyszeliśmy od progu. Stał tam Wołoś, spoglądając uważnie na taksówkarza. — Jak najbardziej.

No, skoro tak... — chrząknął mężczyzna. — To... tego... zdrowia życzę...

Doktor Wołoś rzeczywiście wyglądał jak specjalista od medycyny. Sądowej. Był potężnym, zwalistym mężczyzną, na oko po pięćdziesiątce, o szerokiej twarzy, w której błyszcząły głęboko osadzone oczy, i krótko przyciętych czarnych włosach. Lekarski kitel z trudem się na nim dopinał, za dawnych wieków musiał jedną ręką skręcać kark bykowi. Nie usiłowałem nawet sprawdzać, czy ma coś wspólnego z dworem Goplany. Nazwisko mówiło samo za siebie.

A temu co? — spytał, oglądając głowę nieprzytomnego domo wika i odchylając palcami powieki. — Znowu tyknął jakiś wynalazek ludzkiej myśli i oberwał po ryju?

Do „Balladyny” wpadło kilku pompkarzy — wyjaśniłem.

O co poszło? — Lekarz bez większego trudu przeniósł Rumcajsa do mocno pachnącego ziołami gabinetu. Znajdowało się tam typowe lekarskie biurko, kozetka, dwa krzesła, parawan, a za nim szafka i kredens z ognioodpornym blatem, gdzie stała nowa, dwu— fajerkowa kuchenka elektryczna. Ściany zdobiły zdjęcia leśnych mateczników.

Chyba o całokształt, bo lali wszystkich, jak leci.

No, to będzie dziś trochę więcej roboty... — Jeansowa kurtka poleciała na krzesło. Wołoś pochylił się nad Rumcajsem, obmył mu twarz mokrą watą, po czym obmacał starannie głowę, ręce i tułów. — Mówiłem im, przenieść się gdzie indziej, bo okolica mało tolerancyjna, to nie, bo piwo tanie. Obronili się, mam nadzieję?

O tak. — Znowu przed oczami stanął mi skąpany we krwi bar i w tym momencie minął szok. Nogi ugięły się pod mną, opadłem na stojące niedaleko krzesło i zacząłem dygotać, nie mając siły oprzeć się falom dreszczy. Doktor chyba coś mówił, ale nie bardzo pojmowałem, co. Chwilę potem poczułem, jak mocna ręka naciska mi na podstawę czaszki, a przez ciało przetacza się fala gorąca. Dygotanie przeszło jak ręką odjął, ale siedziałem dalej, niezdolny do wykonania najmniejszego ruchu, przekonany, że moje ręce i nogi zostały wypożyczone komuś innemu. Słyszałem, że lekarz krząta się za parawanem, trzaska drzwiczkami szafek, bulgocze woda w czajniku i cicho szumi wentylacja. Kiedy wrócił, uniosłem głowę tylko dzięki sile woli.

To przywróci panu równowagę. — Wcisnął mi ciepły, pachnący goździkami ziołowy napar w szklance z nietłukącego się szkła. Przez chwilę przyglądał mi się krytycznie, jakby chcąc się upewnić, że nie rozleję.

Co to? — spytałem znacznie słabszym głosem, niż zamierzałem.

Jeleni ogon, olszeniec, kolendra i esencja goździkowa dla zapachu. Nic, co mogłoby panu zaszkodzić. Wiem, teraz modne jest leczenie yin—yang, ale ja trzymam się sprawdzonych rzeczy, ziół i homeopatii. Spokojnie, z ludźmi też mam doświadczenie. Przedpołudniami urzęduję w prywatnej klinice na Chmielnej.

Łyknąłem odrobinę, przede wszystkim po to, aby się ode mnie odczepił. Smakowało słodko i cierpko, ale na szczęście nigdy nie miałem problemów z przyswajaniem ziół. Może to przeżyję...

o ile nie wrzucił tam jakichś dziwnych wynalazków. Bardziej dziwiła mnie jego otwartość. Pewnie zakładał, że jeśli ktoś właśnie przy—targał z „Balladyny” poturbowanego elfa, jest swój. Albo czytał w ludziach jak w książce.

Wołoś spokojnie zdjął Rumcajsowi podkoszulek, usiadł na wolnym krześle i zaczął przemywać mu bok wodą śmierdzącą gotowanym grochem.

— Widział pan już kiedyś taką rzeźnię? — spytał. — Na żywo i w stereo?

Pokręciłem głową, jednocześnie z całej siły zaciskając dłonie na kubku, by powstrzymać drżenie rąk.

Tak się przed wojną walczyło po knajpach na Targówku — wyjaśnił, odrywając listek ze stojącej na biurku rośliny i pakując sobie do ust. — No, może trochę mniej trupów było... bo szycia oraz nastawiania to od cholery i trochę.

Nie było... jeszcze... kwiatu paproci — stęknął Rumcajs. — I ca lej... reszty.

Omiał nie wylałem ziółek. Wołoś bez specjalnego zdziwienia popatrzył na domowika, przeżuwając liść miarowo jak doświadczony byk. Spokojnie wypluł go na dłoń i przyłożył do boku pacjenta.

Jedyny facet, któremu wszyscy dają się opluwać — mruknął brodac, pozwalając się bandażować. — Co to było?

Taser, a cóż by innego? — burknął lekarz, zaciskając supeł. — Aż do żywego cię nakłuł i ciało spalił. Nie pamiętasz tego?

Pamiętam, że rozwaliłem jakiemuś kmiotowi na łbie krzesło. Coś jeszcze?

Kilka siniaków i obitych kości, ale bez odprysków. Widać, że często pogryzałeś kminek. Leż, obłożę to łożczydłem. A swoją drogą, strasznie od ciebie zajeżdża kwiatem paproci. Naprawdę nie masz się już czym truć?

Nie może być inaczej, skoro on od pani Goplany dostał go w prezencie jako herbatkę, w domu trzyma — warknął zgryźliwie Rumcajs. — Jedzie tym w całej kuchni.

Dziwne, bo wcale nie czuję — odwarknąłem, bo domowik zaczął mnie wkurzać. Najpierw zdycha mi na rękach, a ledwie oczy otworzy, już zaczyna człowiekowi dupę obrabiać.

Wołoś przerwał opatrywanie Rumcajsa, popatrzył uważnie na niego, potem na mnie. Gapiłem się na niego zaczepnie, dopijając resztę ziół, ciekaw, jak zareaguje. I nagle zrozumiałem, że doktor niczego nie powie, o nic nie spyta. On już wszystko wie.

— A ty dalej próbujesz pogodzić zwaśnionych małżonków, co, Rumcajs? No cóż, życzę powodzenia.

Odetchnąłem z ulgą.

Pan też w to nie wierzy?

Znam męża pani Mroziewicz, i to całkiem nieźle. — Wołoś pokręcił głową, zaciskając usta. — To dumny, zawzięty typ. I póki siedzimy tu sobie we trójkę, to coś ci powiem, Rumcajs. Wiedz, że życzę wam jak najlepiej, jako lekarz dobrze widzę, do czego to prowadzi. Jeszcze dwa, trzy wieki i nikogo tu już nie będzie. Nim Goplana rzuciła się na kwiat paproci, próbowała chyba wszystkiego, co ludzie wymyślili, zamawiała nawet różne profilowane wynalazki, bo promienie księżycy już nie wystarczały. Liczyła na to, że przywróci jej dawną moc. Ale to tylko, rzecz jasna, jedynie spowodowało pogorszenie.

No i baby teraz nie chce. — Rumcajs pokiwał głową, ostrożnie nakładając podkoszulek.

Ma własne plany. Goplana ma swoje, nic zatem dziwnego, że się poprzytkali. Co mu miała przeszkadzać...

Zaraz, chwileczkę. Jeśli dobrze rozumiem, znał pan oboje i miał możliwość udania się bez problemu na Tamtą Stronę. Dlaczego więc pan został?

Rumcajs popatrzył na mnie zaskoczony i oburzony jednocześnie. Ja również z napięciem

obserwowałem potężnego mężczyznę. Za to pytanie mogłem albo oberwać, albo uzyskać nowe informacje o Oberonie.

— Dawno, dawno temu — westchnął ciężo Wołoś — ja również miałem starcie z jego wysokością. Drobną sprawą, chodziło o pewien dar, który ofiarowałem swego czasu jemu i Gopla— nie. Kiedy zobaczyłem, że korzysta z niego źle, starałem się nakłonić go, by się opamiętał. Odmówił mi wstępu na Tamtą Stronę. Wiedział, że nie mam już dość siły, by mu się prze ciwstawić i przejść wbrew jego zakazom. Do tej pory mi nie ufa...

W tym momencie zabrzmiał dzwonek.

— Oho, następne ofiary — mruknął Rumcajs. Wołoś rzucił okiem na monitor na biurku.

— Włazić za parawan, Rumcajs na ławę, kolega na krzeselko i siedzieć tam spokojnie. Załatwię to jak najszybciej.

Poczułem, że zaczynam już normalnie myśleć, a ręce i nogi zostały mi zwrócone. Obrazy jatki w barze zbladły, odjechały gdzieś w tył głowy, stały się niewyraźne, jak oglądany jednym okiem film.

Ledwo usiedliśmy na swoich miejscach, gdy trzasnęły drzwi i szcęknęła zasuwa, usłyszeliśmy tłumione przez wykładzinę kroki. Przez szparę w parawanie widziałem, że Wołoś spogląda w stronę wejścia.

A kogóż to ja widzę! Witam, witam, zapraszam!

Dobry wieczór — odpowiedział z poczekalni znajomy głos — choć wolałbym się z tobą zobaczyć gdzie indziej. Spotkałem się ze starym przyjacielem, źle się poczuł, przyjmiesz go?

Dawaj. Co prawda mam jeszcze dwóch pacjentów na obser wacji, ale nie będą przeszkadzać.

Do gabinetu wszedł niepozorny blondyn koło czterdziestki w szarym, letnim garniturze. Wyglądał niczym członek rady nadzorczej niewielkiej korporacji. Za nim dostrzegłem Konesera w granatowej koszuli z krótkim rękawem i spodniach o kancie ostrym jak nóż ze stali protezowej.

Na widok Wołosa przyjaciel Konesera zatrzymał się zaskoczony. Przez chwilę z lekarzem spoglądali sobie głęboko w oczy.

— Spokojnie, nie wrywam serc i nie morduję za niedotrzymanie przysięg. Nikt się nie dowie, że tu przyszedłeś. Co się dzieje?

Przez chwilę desperacja walczyła u elfa ze strachem, wreszcie wykrztusił:

Mam ostatnio kłopoty ze... swoimi zdolnościami... nic mi nie wychodzi. Strasznie dużo pamiętam... Ostatnie dni w całości, doskonale wyraźnie, co do sekundy...

Od dawna?

Od dwóch dni.

Wołoś wskazał pacjentowi krzesło.

— Jesteś chmurnikiem, prawda? Na człowieka z darem mi nie wyglądasz — zerknął wymownie na Konesera. — Gdzie mieszkałeś? Wśród Czerezpian? Polan?

Elf kiwnął głową.

— Właściwie to okaz zdrowia z ciebie — zauważył doktor, *zaglą dając* mu w dno oka. — Krótki wypad z Tamtej Strony?

Chmurnik zacisnął ręce na krześle, aż pobielaly kostki. Trafiony, zatopiony. Rumcajs trącił mnie łokciem. A więc to był ten przyjaciel Konesera, elf z bezpośrednim dostępem do Oberona!

Co tutaj robisz?

Chciałem się wreszcie poczuć jak prawdziwy chmurnik, po latać po niebie, popatrzeć na ludzi... ciężko tam bez nich... Bo co ja za chmurnik bez ludzi jestem, dla kogo mam o deszcz dbać?

Wspominam, po muzeach chodzę, wystawach...

Aha — mruknął pod nosem Rumcajs.

Muzealne powietrze nie służy żywym... zabytkom — skomen tował gospodarz.

Chmurnik pokręcił się niespokojnie na krześle.

Panie... doktorze, czy to...? — spytał ze słabo maskowaną rozpaczą.

Niestety — Wołoś pokiwał głową — takie osłabienie i pamięta nie wszystkiego to jeden z pierwszych objawów ucłowieczenia. Czas zaczyna dla ciebie płynąć inaczej, jak dla człowieka, ciało wie, że będzie żyło krócej, dlatego starasz się zapamiętać jak najwięcej.

Elf skłęśł, jakby usłyszał wyrok śmierci. Wołoś klepnął go po ramieniu.

— W tym stadium wychodzi się z tego w stu procentach... zwłaszcza cza gdy można wrócić na Tamtą Stronę.

Domowik zagryzł wargi. „No właśnie”, zdawało się mówić jego ponure spojrzenie. Nie chciałem nawet pytać, od jak dawna Wołoś swoją sztuką pomagał poddanym Goplany odwlekać to, co nieuniknione.

Lekarz ruszył w naszą stronę. Podeszedł do kredensu, nastawił wodę w czajniku, po czym zaczął grzebać w szafkach i szufladach, przygotowywał kolejny napar.

— Sądziysz, że zaprowadzi mnie do szefa? — szepnął Rumcajs. Wzruszyłem ramionami, ale Wołoś zerknął w naszą stronę i pokręcił głową. Zapomnij, mówiło jego spojrzenie. On niewiele może.

Kiedy wrócił ze szklanką pełną naparu, chmurnik obejrzał się niepewnie na Konesera.

— Kokornak, włoski koper, rośnik, lauka... między innymi. Podziła szybciej niż żywa woda na umarłego. Szczerze pole całbym jednak powrót na Tamtą Stronę. Przynajmniej na dwa tygodnie.

Planetnik oderwał się od kubka i odetchnął głęboko.

No tak, lepiej... zdecydowanie — powiedział mocniejszym głosem. Rzeczywiście, kiedy popatrzyło się na niego z lewego ramienia, *zaczynał* świecić nie gorzej niż Oberon. Wstał i przeszedł się po gabinecie, oddychając pełną piersią. Odwrócił się do lekarza i w jednej chwili nie był już ledwo żywym chmurnikiem, przerażonym tym, co się z nim dzieje.

Dziękuję, doktorze. Ile płacę? — spytał spokojnym tonem rzeźmowca i opanowanego korpca.

Sądzę, że te liście mistrzownika z Tamtej Strony, które trzymasz w wewnętrznej kieszeni marynarki, w zupełności wystarczą. Nie udawaj, że ich tam nie ma, nawet stąd czuję ten zapach.

Widząc zaskoczona minę elfa, Rumcajs wyszczerzył się złośliwie. Chmurnik wahał się przez chwilę, ale wyjął plastikową torebkę i położył ją na biurku. Koneser wymienił z Wołośm solidny uścisk dłoni i tyle ich widziałem.

Dziwne, poskutkowało. A sądziłem, że ta stara recepta jest zupełnie bez wartości — mruknął doktor, kiedy szcęknęła auto matyczna zasuwa. — A wy jak się czujecie?

Nieźle go oskubałeś — zauważył Rumcajs, wychodząc zza parawanu. Jak na kogoś, kto jeszcze kwadrans temu był dętką, poruszał się całkiem sprawnie. Ja też nieźle trzymałem się na nogach.

Raczej zgarnąłem działkę mocno walącego w dekiel towaru, nim wypali go jakaś dotknięta nostalgią rusalka i rozpuści się w Wiśle, sądząc, że to czyste odmęty Świtezi. Gorsze są chyba tylko pierścionki z wodnego barszczu.

Zbieraliśmy się do wyjścia, kiedy odezwał się telefon. Aga. Odebrałem przygotowany na najgorsze.

— Witaj — jej głos był spokojny, niemal rozluźniony — jeśli ma cię chwilę wolnego, to wpadnijcie do mnie. Mam wam coś do pokazania.

Poszliśmy. Wreszcie czekało nas coś normalnego.

Agata siedziała z laptopem na niewielkim tapczanie w niesamowicie zagraconym, dusznym pokoiku. Nawet po złożeniu stołu i schowaniu kilku wysuwanych półek ledwo się tam

mieściliśmy. Kiedy wyrzuciła jeszcze parę opakowań po pizzy i sałatkach, zrobiło się niemal przestronnie. Ciotka była na tyle uprzejma, że wyniosła się do sąsiadki. Rumcajs stanął jak kolek w kącie i bał się głębiej oddychać.

Te draństwa nie dawały mi spokoju. Zastanawiałam się, czy to cacuszka kierowane przez jakiegoś admina, czy też może nowa generacja obronnych SI, przed którymi należy ostrzec ludzi. Po łąziłam, połąziłam, popytałam tu i ówdzie, no i patrzcie, co od kryłam.

Właziłaś do Sieci? — zaniepokoiłem się.

Przez numer salonu wirtualek gdzieś w Pendzabie. Pod bardzo złożoną maską. Nagrałam to kilka godzin temu.

Przekręciła się tak, abyśmy mogli zobaczyć to samo co ona. Przysiadłem na skraju tapczanu, aż poczułem ciepło bijące z jej ramienia i słaby zapach płynu do kąpieli.

Na ekranie zobaczyłem znajomą strukturę firmy maklerskiej Zaimona i kręcące się wokół białe krwinki — skierki.

Aga stuknęła w klawisz, obraz ruszył do przodu. Niespodziewanie krwinki zmieniły barwę na czerwoną, rozprysnęły się na boki niczym uderzone bile. Część skierowała się w naszą stronę, reszta rzuciła się w pogoń za ikoną, która pojawiła się z prawej.

— To mój znajomy, który zgodził się pomóc. Sprawdzaliśmy ich taktykę.

Kumpel Agi wykonał serię skomplikowanych uników.

— Udają, że chcą nas przechwycić. Tak naprawdę *namierzają* — tłumaczyła, podczas gdy kamera wykonywała skomplikowane manewry. — Patrzcie teraz.

Aga i jej kumpel rozpoczęli bieg w jednym kierunku. Skierki ciągnęły za nimi.

Przeglądałam się im od dłuższego czasu. Jak na przypi sane do jednego miejsca SI strażnicze zachowywały się dziwnie. Często widziałam je skaczące po różnych łączach w miejscu, gdzie nie miał miejsca żaden transport szmalu, zupełnie bez celu. Wniosek był jeden: te SI w wolnym czasie po prostu lubią sobie ganiać po łączach. Jakby dla samej frajdy szybkości przepływu danych. Nie wiem, jak omijają kurtyny i filtry, ale to fakt.

Uhm — mruknął potakująco Rumcajs ze swego kąta.

Rzeczywiście, sieciarze biegali jak wściekli; skierki systematycznie skracaly dystans, jeśli w ogóle coś takiego może mieć miejsce w Głębokiej Sieci. Nagle pojawił się jasny rozbłysk i oboje gnali już w strumieniu danych.

— Wskoczyliśmy na łącze. Zaraz się pojawią...

To, co obejrzelśmy później, przypominało szalony wyścig. Aga i jej kumpel bawili się ze skierkami w gonitwę wśród strumieni danych, przeskakując z węzła na węzeł, z serwera na serwer, klucząc i zmieniając kierunek, po Płytkiej i Głębokiej Sieci. Skierki deptały im wytrwale po piętach. Nie chciałem nawet pytać, ilu adminów przyprawili o zawał, w ilu firmach ten sieciowy Dziki Gon postawił na nogi specjalistów od *zabezpieczeń*.

Oblecieliście chyba cały świat — mruknąłem, spoglądając na rozmazane czerwone smugi. Skierki gnały na najwyższych obrotach.

Pięć razy. Musiałam podkreślić procesor i przepustowość łącza, aby utrzymać je na dystans — uzupełniła dumna z siebie Aga. — Nie ma sensu oglądać całości, pokażę wam końcówkę.

Przewinęła zapis.

Nawet się nie zorientowali, kiedy Gonzo się wylogował — skomentowała, gdy ikona jej kolegi zniknęła jak zdmuchnięta. Skierki gnały dalej, zmieniając co pewien czas prowadzącego. Niespodziewanie Aga przyspieszyła, pościg został z tyłu.

I teraz... — błysk, ikona Agi znika tuż przed przejściem do kolejnego łącza — logoff.

Skierki przeskoczyły do łącza gnając za przeciwnikiem, którego nie było.

Dobra, sądzą, że poleciałaś dalej, podczas gdy ty byłaś już w re— alu — powiedziałem,

spoglądając na neonowy strumień danych. — O to chodziło?

Poczekaj. — Aga zmniejszyła okienko, ustawiła na pulpicie osiem obrazków. — W czasie tego biegu rozstawiłam tu i ówdzie kamery. Proszę.

Po kilku sekundach przez całą ósemkę, z jednego okna do drugiego, przelatywała rozmazana czerwona plama.

Zapętlily się w tej gonitwie. To obraz aktualny?

Nie. Przesuńmy się do przodu... Powiększyła jeden z obrazów.

Publiczny serwer w Szanghaju. Uwaga.

Rozmazana smuga dotarła do połowy ekranu. Nagle rozpry—snęła się jak kropla wody trafiona pociskiem i znikła.

— Kiedy rozpoczęła się nasza gonitwa, włączyliśmy skrypt który napisałam wczoraj. Niewykluczone, że uniknęliby programu dzia łąjącego na nich bezpośrednio, dlatego pozwoliłam, aby podkleił się i z wolna je podgryzał, przyspieszając jeszcze przepływ danych. Nie wytrzymały tego pędu, no i wyłączyły się. Nie wykluczam też że zabezpieczenie serwera wykryło przeciążenie sieci i je wykopało.

— Nie żyją? — spytał Rumcajs ze źle skrywanym niepokojem. Aga przyjrzała mu się uważnie.

— Nie sądzę, by to skasowało je z pamięci macierzystego kompa. Najwyżej admin będzie musiał je zrestartować.

Domowik z ponurą miną kręcił głową, najwyraźniej nieprzeko—nany. Machnąłem uspokajająco dłonią: jeśli te istoty biegały sobie po Sieci od dawna, to na pewno przeżyły coś takiego nie raz i nie dwa. Po prostu rozpędzono je na cztery serwery.

Ile ci to zajęło w rzeczywistości? — spytałem.

Minutę.

Usłyszałem ciche stęknienie Rumcajsa. Nie spodziewał się, że jakiś człowiek jest w stanie w takim czasie uporać się z całą watahą skierek.

— Ciekawe, co Zaimona chciała dzięki nim ukryć?

Uśmiechnęła się niczym kot, który *wie*, że *czeka* na niego wyjątkowa tłusta mysz.

Świetne pytanie, Adaś. Właśnie mam zamiar się temu przyj rzeć.

Tylko nie szalej zbytnio. A tak swoją drogą, jak się miewa nasz Złoty Jeleń?

Aga parsknęła śmiechem i wywołała komunikator.

To najbardziej porąbany bot, jakiego wymyśliłam. Lepszy na wet niż te, które wstawiałam dla kawału na seks—czaty. Ale i tak nie przebije swojego rozmówcy; miałeś rację, facet jest mocno niestandardowy. Muszę podglądać, co pisze, i dorzucać nowe warianty odpowiedzi. Tu są logi.

Połąpał się w ogóle?

Nie.

Pochyliłem się nad ekranem, przebiegając wzrokiem po wyświetlanych linijkach. Widać było, że Oberon przeczytał to i owo na temat Sieci, ale brakowało mu obycia. Pisał elegancką, wysmakowaną polszczyzną, której teraz używa się tylko w literaturze. Sprawiał wrażenie wymuskanego, nadętego faceta, który z wyższością spogląda na motłoch i zadaje się z nim tylko z konieczności. Rzeczywiście, interesowali go sieciowi bogowie. Wyglądało na to, że traktował to określenie całkiem dosłownie, a nasz bot uprzejmie nie wyprowadzał go z błędu. Spokojny, rzeczowy ton, którym mu odpowiadał, wzbudzał zaufanie. Serwował mu przygotowaną przez Agę sałatkę starannie odmierzanych prawd i półprawd, dotyczących zarówno zasad działania netu, jak i reguł rządzących w społeczności ludzi pracujących w Głębokiej Sieci. Najbardziej uśmiełem się przy przesądach. Sypanie piasku na płytę główną *raczej* nie mogło zapewnić korzystnego funkcjonowania sprzętu, podobnie wypalenie dwóch płyt dla dobrych duchów Sieci.

Nie wiem, czy ogłupione przez Agę skierki będą miały z tego pożytek.

Znacznie ciekawsza była wzmianka Oberona o układaniu wokół sprzętu amuletów. Wiedzieliśmy już, do czego potrzebował usług Kormana.

— Sprawdzając, czy wykorzystywał te rady?

Jeszcze nie, ale gadamy sobie zaledwie od doby. Pewnie nie wie jeszcze wszystkiego. A nawet jeśli zacznie sprawdzać, to będą już na niego czekać kolejni eksperci: *Czterej* Pancerni, Balboa i Puerto Negro. Właśnie kończę ich osobowości. Jeleń będzie jego jedynym łącznikiem z resztą tego towarzystwa. Póki siedzimy w Sieci, Płytkiej czy Głębokiej, mamy gościa pod kontrolą...

Nie lekceważ go — ostrzegłem. — W końcu to przez niego i jego programy tutaj siedzisz.

Co innego bot, co innego ja. Właśnie, co robimy, jeśli zechce się spotkać w realu?

Uśmiechnąłem się wrednie.

Daj mi od razu znać.

Zwariowałaś? — syknął Rumcajs już na zewnątrz. — Chcesz nas pozabijać?

Nie sądzisz, że jeśli zarekomenduje cię bóstwo Sieci — powie działem — to łatwiej będzie z nim rozmawiać?

Rozdział trzynasty

Palce waliły w klawisze, na ekranie rosły różnokolorowe słupki, kreśliły się zygzyki rozmaitych wykresów. Porównanie, analiza, wniosek, jedno z drugim, a drugie z *trzecim*. Prośba do Pawła o dodatkowe materiały, trzeba zrobić kolejną analizę, pod kątem, o którym nie pomyśleli. Nadrabiałem wczorajsze zaległości, wyciskając z klawiatury resztki sił. Wczorajsze wyjście do „Bal—ładyny” zajęło więcej czasu, niż ktokolwiek z nas się spodziewał, a termin zbliżał się coraz bardziej. W głośniczkach grało sieciowe radio biznesowe, kiedy zaczęli omawiać programy rozwoju rolnictwa, wyłączyłem je i kazałem włączyć się w porze kolejnego serwisu.

Siedziałem już tak trzecią godzinę. Rumcajsa gdzieś wcięło — pewnie szukał kolejnych źródeł informacji, handlował czarodziejskim zielskiem albo robił to, co robiły elfy, żeby przeżyć do następnego dnia. Poranek zacząłem od tego, że zostawiłem Kaśce na telefonie zaszyfrowaną wiadomość o moich podejrzeniach co do *wczorajszej* wizyty pompkarzy w barze. Po kilku minutach dostałem potwierdzenie odbioru. Potem radio włączyło się na serwis i usłyszałem, że kolejna serbska ofensywa załamała się. Mimo wsparcia technicznego i logistycznego Serbowie nie byli w stanie połapać gryzących ich w górach macedońskich oddziałów, bo skały świetnie tłumiły sygnał, nawet łączność satelitarna nie wytrzymała obciążenia. Budowano okrężne połączenia, które rozwalali albo żołnierze w realu, albo wynajęte cyberpunka z całego świata w Sieci. Gdzieś tam w tle przewinęła się informacja o krwawej bójce w lokalu na warszawskim Powiślu i pięciu zabitych. Nie byłem pewien, czy kiedykolwiek znajdą pozostałe ciała.

Sprawa Avitaru stała się najważniejszym niusem gospodarczym. Ich notowania zrazu były spokojne, ale po oficjalnym wniosku rady nadzorczej o zwolnienie szefa działu analiz zaczęły ostro pikować. Obserwowałem ten lot jednym okiem na giełdowym serwisie i czekałem, aż notowania przekroczą zaczarowaną wartość, poniżej której każda firma zaczyna się masowo wyprzedawać, by nie utonąć do reszty, a *wszyscy* pędzą do szalup. Na razie pozbywali się akcji rozsądnie i z umiarem. Jeśli mieli tam paru myślących gości, to może wyjdą z tego jedynie ze sporymi stratami, dużymi zwolnieniami i strzępami reputacji. Potem ruszy się konkurencja, proponując przejęcie. Czekałem, kiedy biali i czarni rycerze rzucą się kruszyć kopie o firmę, niczym o zamkniętą na szklanej górze księżniczkę. Co z nią zrobią potem, było już kwestią wyboru. Biali rycerze uczynią z Avitaru dobrze prosperującą firmę—córkę. Czarni zerzną do ostatniego centa, obedną z majątku i zostawią w stanie bankructwa. Zaraz potem szły doniesienia

o ostatnich wyskokach Articorpu. Prezes, urażony faktem, że rząd nie zgodził się na klauzulę najwyższego uprzywilejowania na ich produkty, oznajmił, iż w oczach jego firmy Polska straciła zaufanie i będzie musiała sporo się napracować, by je odzyskać. W odpowiedzi usłyszał od naszego rzecznika, że może Articorp powinien wybrać sobie własny rząd, który będzie im się bardziej podobał.

Posiedziałem kolejne dwie godziny. W radiu oznajmili, że minęło południe, słońce przestało mi nagrzewać pokój. Odchyliłem głowę na oparcie fotela i stukając palcami w wydruki, zacząłem zastanawiać się nad zakończeniem tekstu. Musiałem się chyba zdrzemnąć, co było o tyle dziwne, że oczy miałem cały czas otwarte i gapiłem się w monitor. Mimo to nagle za oknem usłyszałem dziwne, chrapliwe głosy. Nie wiem, kto to mógł być, bo kiedy chwilę wcześniej spoglądałem zamyślony na usychające tam drzewo, na gałęzi hałasowały tylko dwa spore szpaki albo gawrony.

— Ile razy szpak był dziobany?

Dwa! —Nie!

No to ile?

Ha, ha! Ani razu! Po ludzku weź się nauczyć myśleć, bucu!

Po ludzku to ci zaraz łeb urwę, ty...!

Dobra, co drzesz dzioba... Będziesz dzisiaj na naradzie?

No. Oberon mówił, że wszyscy, to wszyscy. Mamy go pilnować.

Aha. Siwy? —No?

A przed kim?

Dziupla pytaj.

— Aha. Ale fajnie będzie, złotym ziarnem płaci... ty, a gdzie to ma być?

Coś stuknęło głucho.

Co, no co?!

Jajco! Byś się spalinami nie sztachał, to byś pamiętał. Jest taki okrągły, brązowy dom po drugiej stronie rzeki.

Ten nowy? No.

No, to tam, jak się słońce schowa za domami w centrum.

Ty, ciszej, bo tamten człowiek usłyszy, okno ma otwarte.

On? Przecież śpi...

Przez dłuższą chwilę panowała zupełna cisza; potem od strony wejścia do pokoju usłyszałem szelest jeansu. Drgnąłem i zamrugałem, czując się, jakbym obudził się z drzemki.

Rumcajs opierał się o futrynę, na jego twarzy malowało się całkowite zaskoczenie.

Słyszałeś? — spytał cicho.

Niby co?

Ptaki, stary. Gadały o jakiejś naradzie u Oberona... Oho, widzę, że ty też słyszałeś.

Przejechałem dłońmi po twarzy. Rzeczywistość Rumcajsa znowu przyszła i dała mi w łeb. Nie mogłem usnąć, przecież cały czas gapiłem się na te cholerne wykresy... Wewnętrzny zegar podpowiadał jednak, że gdzieś zapodziała się minuta mojego życia..

— Zdrzemnąłem się chyba... jak to mogłem zrozumieć? Znowu coś mi dałeś?

Domowik podszedł i sięgnął pod wydruki na moim biurku. Wyciągnął stamtąd niewielką foliową torebkę, w jaką pakuje się leki. W środku, ku mojemu zaskoczeniu, była wężowa skóra. A raczej jej fragment.

— Korona króla wężów, z tegorocznej wylinki. Wołoś wygrał ją w karty, a ja pożyczyłem z gabinetu. Skoro życzy nam jak najlepiej, to pewnie się nie obrazi. Poza tym można nosić w portfelu na szczęście. Wziąłem ją, żebyś wiedział, czy coś za tobą nie lata.

Ostrożnie dotknąłem cienkich i kruchych jak bibułka łusek. Rzeczywiście, przez ich środek biegł szeroki, niemal *przezroczysty* pas.

Dużo usłyszałeś?

Wszystko. Wszedłem, dobiegły mnie głosy. Siedziałeś i gapiłeś się w to okienko, jakby tam gołe baby były, a one sobie gadały. Stałem za ścianą i czekałem, aż odlecą.

Myślisz, że siedziały tu specjalnie?

E tam, raczej przypadek. Woreczek z ziołami masz? Masz. Pewno widziały cię wcześniej gdzieś na osiedlu i teraz usiłują znaleźć. Mówiłem, ptaki są głupie i nawet Oberon nic na to nie poradzi, choćby im twój portret razem z ziarnem kładł.

Przypomniałem sobie spotkanie z gołębiem w Łazienkach. Oberon na pewno był tego świadom, a mimo wszystko korzystał z tak niepewnych pomocników. Chyba jednak musiałem zapisać mu się w pamięci.

Może to być podpucha, żebyśmy się pokazali.

Eee, nie. Skąd mogły wiedzieć, że mamy koronę? Ty lepiej pokaż, gdzie jest ten dom, o którym mówiły.

Jednym ruchem ręki schowałem artykuł i wywołałem satelitarną mapę Warszawy.

— Ćwierkały coś o dużym, brązowym domu po tamtej stronie rzeki. Na szczęście na Pradze nie ma zbyt wielu takich budowli.

Sięgnąłem po stojącą przy biurku butelkę z wodą i nalałem sobie co nieco. Rumcajs pociągnął do dna prosto z gwinta.

— Zacznijmy od adresu, który podała nam Aga. Jak to wygląda? Wywołałem na monitorze obraz Pragi Północ z docelową

ulicą zaznaczoną na czerwono. Powiększyłem jeszcze trochę

i przestawiłem podgląd na maksymalne zbliżenie. Puknąłem paznokciem w niewielki kompleks niskich biurowców: dwa kształty okrągłe i jeden półkolisty. Całość wyłożono płytkami o ciepłej brązowej barwie.

— Port Towers, zwane też Śmiechol Towers, sam widzisz dla czego. Nie powiem, architekci mieli poczucie humoru, inwestor też. Powstałe w ramach tworzenia wzdłuż nabrzeża strefy biznesowej, dla zrównoważenia Śródmieścia, Woli i Ochoty. Siedzą tam głównie różne małe firmy, ale zostało *jeszcze* trochę wolnego. Oberon wynajął biuro w lewym okrągłaku.

Odnalazłem w sieci stronę zarządzającej kompleksem firmy i jako zainteresowany odpowiednią siedzibą biznesmen zacząłem rozglądać się po oferowanych lokalach. Obejrzelśmy sobie z Rumcajsem plany, potem odbyliśmy spacer po komputerowym modelu budynku. Grafik, który to szykował, nie przyłożył się zbyt do wykonania, tekstury kojarzyły mi się z prymitywnymi strzelan—kami z czasów mojej młodości. Może w Głębokiej Sieci wyglądało to lepiej. Jeśli *wierzyć* znalezionemu przez Agę adresowi, Oberon wynajął najmniejsze możliwe biuro na trzecim piętrze.

— Jak sądzisz, o której słońce schowa się całkowicie za wieżowce w centrum?

Znowu dałem nura do Sieci.

— Pewnie koło dwudziestej. Dobra pora, w budynku nie będzie już zbyt wielu pracowników... To chyba odpowiednia okazja, żebyś wreszcie spokojnie pogadał ze swoim szefem.

Rumcajs pokręcił głową.

— Jeszcze nie nadszedł właściwy czas.

Przed oczami stanęła mi wczorajsza bójka w barze i wzrok Oberona. Miałem już dość. Obróciłem się na krześle i popatrzyłem na niego spojrzeniem, którego nauczyłem się kiedyś od swojego najstarszego brata.

— Tak? A kiedy ten właściwy czas nadejdzie, co? Jutro? Za ty dzień? Miesiąc? A może wcale? Masz w ogóle choćby zarys planu, wiesz, czego ci jeszcze brakuje? Wiesz, gdzie, kiedy i co zamierzasz mu powiedzieć? Jeśli tak, to mów, stary, i to szybko, nim zacznę cię podejrzewać o różne brzydkie rzeczy.

Oczy Rumcajsa zwęziły się.

Na przykład? — wycedził.

Że jestem ci potrzebny jako hotel z barem. To znacznie wygodniejsze od polowania na Oberona, bo raz, kiedy go złapiesz, będziesz się musiał stąd wynieść, dwa, boisz się go ruszyć. Starczyło ci pary tylko na pierwszy krok, ale już nie bardzo wiedziałeś, jak to się skończy. Ja z Adasiem na czele i jakoś to będzie! Nie, stary. Znaleźliście wraz z planetnikiem człowieka — doradcę, żeby pomógł ci znaleźć Oberona pośród ludzi — punkt za pomysłowość. Ale już zapomniałeś powiedzieć temu człowiekowi, jaki ten poszukiwany obiekt jest. Nie mówiłeś, co on może, a potem musiałem stawić mu czoła! A wczoraj przez to, że chciałeś się nasycić zemstą na Kormanie, omal nie położyli nas w lodówce komendy! Ciekawe, co by *znaleźli*, gdyby cię otworzyli?

Rumcajs zamrugnął zaskoczony, ale nie dałem mu dojść do słowa.

— Żadna, firma nie działa, dobrze, jeśli pracownicy nie dostają wszystkich informacji niezbędnych do wykonania zadania. Prosisz mnie o pomoc, uzupełnij więc, proszę, moje dane.

Rumcajs stał pochylony, z zaciśniętymi pięściami. Mrużył oczy, jakby chciał rzucić się na mnie albo roznieść mi mieszkanie. Słyszałem tylko cichy chrzęst, gdy zaciskał i rozluźniał dłonie.

— Co mam ci powiedzieć? — spytał wreszcie, siląc się na spokój. Powstrzymałem się przed powiedzeniem „wszystko”. W ten sposób mogłby mi wcisnąć cokolwiek, wedle własnego uznania. A ja naprawdę chciałem wiedzieć wszystko.

— Najpierw plan. Jakich informacji *jeszcze* potrzebujesz? Rumcajs milczał przez chwilę.

— Gdzie można go spotkać. Rozkład dnia. Co lubi, a czego nie lubi. Wszystko, co nam wpadnie w uszy. Jesteśmy pewni, że chce tu wrócić, częściowo wiemy nawet, jak... ale nie znamy szczegółów. Ta wieczornica może się nam przydać. Może chlapnie coś...

Skrzywiłem się ironicznie.

— Jeśli sądzisz, że wyjmie kartkę i przeczyta, na głos swój tajny plan, to się mylisz.

— Może tak, a może nie... wiesz, skąd bierze wzory. Poza tym gdzieś musi być Oberonem, władcą Tamtej Strony. Jeśli miałby gdziekolwiek to zrobić, to właśnie tam.

Kiwnąłem głową. Ten drugi argument miał sens.

— OK. Załóżmy, że znamy jego plany. Gdzie i kiedy chcesz się z nim spotkać?

Tym *razem* milczenie trwało dłużej. Nie odpuszczałem jednak i patrzyłem na Rumcajsa, czekając na odpowiedź. Poczucie obowiązku goniło mnie do roboty, ale ta sprawa była ważniejsza. Miałem już dosyć tej zabawy.

Widzę to tak — zaczął z wahaniem domowik. — Znamy plany, masz z nim kontakt przez Sieć. Zorganizujesz spotkanie, idziemy tam i...

Moment. — Uniosłem rękę. — Nie licz na to, że zbliżę się do niego choćby na odległość wzroku. Pozna mnie, wścieknie się i cześć.

Dobra — westchnął Rumcajs. — Pójdę sam. Aby do tego jednak doszło...

Wiem, potrzebujemy więcej informacji.

Tia. I dlatego musimy jakoś znaleźć się na tym spotkaniu.

Osobiście?

Co ty! — zachnął się domowik. — Postawi tam na straży ptaki, swoich agenciaków, kogo tylko chcesz. Każdy z naszych kręcący się po okolicy będzie wyglądał nietypowo. To trzeba, wiesz, po

ludzku.

Teraz ja milczałem przez dłuższą chwilę.

Po ludzku? Dobra. Ściągnij tego specja od techniki, Laga, czy jak mu tam. Muszę pogadać z nim... a raczej z Ambą.

Miało być po ludzku — pokręcił głową Rumcajs.

I będzie.

— Ja wszystko rozumiem — mruzczał Rumcajs. — Ja wszystko rozumiem. Ale dlaczego kazaleś temu biedakowi łązić po kanałach technicznych?

Westchnąłem i upiłem łyk energizera. Czuję, że dzisiaj może mi być potrzebny.

— Bo jedyną rzeczą, której w tym budynku pewnie nie ekranują, są rury wodne. Poza tym mają tam wszystko inne, chwalili się tym na swojej stronie. Kompletny pepoż, ochrona, kamery, ekranowanie przed podsłuchem na telefonach, zabezpieczenie w obu Sieciach, scramblery, folia na oknach... wszelkie rury musieli kupić od firmy z zewnątrz, a ich ekranowanie kosztuje takie pieniądze, że stać na to tylko naprawdę bogate korporacje. Jeśli dobrze ocenilem po rozkładzie łazienek na prezentacji w Sieci, takie właśnie niezabezpieczone rury biegną w ścianie obok biura Oberona. Architekci nie mogli puścić ich *inaczej*, bo nie dopuszczono by do odbioru technicznego całego biu rowca.

Siedzieliśmy wraz z Koneserem na skraju praskiego City, w małej, samoobsługowej herbaciarni założonej na parterze jednego z wieżowców, całej w stiuku, plastiku i chromie, pośród biznesmenów omawiających służbowe sprawy i plotkujących sekretarek. Ściągnęliśmy go tutaj niemal w ostatniej chwili, gdyż Rumcajs uparł się, że przyda się jeszcze jeden człowiek do zasłony dymnej. Musieliśmy wyciągnąć go spod prysznic, gdyż włosy miał jeszcze lekko wilgotne. Mimo to zdążył się ubrać jak elegancki, zasłużony pracownik znaczącej korporacji, w ciemną koszulkę polo i tenisowe spodnie.

Chyba się nas boi, skoro wybrał taką twierdzą — mruknął domowik.

Nie, teraz w biurowcach to standard. Idzie na to niemal po łowa czynszu.

Sporo pan na ten temat wie — zauważył Koneser, stukając palcami w zakrętkę butelki mrożonej herbaty.

Pisałem kiedyś z pewnym specem od budowlanki artykuł na temat ochrony budynków i jej ekonomicznych aspektów. Tutaj potrzeba czegoś, o czym mało kto wie, czego nie pokazali w filmie ani w telewizji, czego Oberon by nie znał. Coś się Lagus spóźnia, chyba go nie capnęli...

Domowik popatrzył na mnie z politowaniem.

Daj spokój, Adaś, on wlażł dwie przecznice od budynku. Kto zwróci uwagę na jeszcze jednego robota na ulicy, gdzie właśnie naprawiają rury?

Nie zgubi się?

On? Ten facet pracował w kanałach, od kiedy je wybudowali. W Powstaniu chodził nimi jak ty po Marszałkowskiej, nie zliczę, ilu zabłąkanym życie uratował. A teraz ma jeszcze mapę.

Wcale mnie to nie uspokoiło. Przez ostatnie siedemdziesiąt lat technika poszła jednak do przodu, a Lagus wcale nie musiał się na niej znać.

W tej samej chwili przez szybę zobaczyliśmy idącego spokojnym krokiem elfa. Na ramieniu niósł plecak z kombinezonem roboczym i sterownikiem. Spotkaliśmy się już na ulicy.

— Dobra, wypuściłem węża. Nie zgubiliście odbiornika? To je dziemy.

Wsiedliśmy do wozu Konesera i opuściliśmy zabarwione na pomarańczowo przez zachodzące słońce biurowce City.

Jak poszło?

Spoko, najtrudniej było się przewiercić i zamontować porządnie złączkę z zaworem. Sterownik z

nadajnikiem i łącze ukryłem w niszy. Na wszelki wypadek wymieniłem jeszcze w pobliżu dwie żarówki na wypalone. Zamienię je z powrotem, kiedy przyjdę zwinąć sprzęt, będę miał pretekst. Dwa kwartały dalej zaczynał się już bardziej normalny świat, z domami, sklepami, restauracjami, a przede wszystkim — zwykłymi ludźmi. Kierując się wskazówkami Lagusa, zatrzymaliśmy się na jednym z parkingów niedaleko parku Skaryszewskiego. Tutaj nikt się nie interesował czterema siedzącymi w samochodzie facetami. A nawet jeśli się zainteresował, to zwykle i tak nie pytał. Zresztą wyglądaliśmy na kolegów z roboty, którzy chcieli przy piwku i na łonie natury obejrzeć na miniaturowym telewizorze transmisję z mundialu. Od samochodów było gęsto, ludzie korzystali z tego, że temperatura nieco spadła, i masowo ruszyli na wieczorne spacer. Jednak niedługo zapadnie zmierzch i wtedy zostaną tu tylko patrole ochrony oraz pompkarze, cyberpunk i reszta tego wesołego towarzystwa.

Mam nadzieję, że go nie wykryją — powiedział Lagus, wy ciągnając sprzęt do zdalnego sterowania robotem, podobny do konsolowego pada. Wziął od nas odbiornik wyglądający nieco jak panel radia i mrucząc pod nosem fachowe zaklęcia, podłączył przez samochodowy *odtworzacz* do głośniczków. — *Inaczej* trzeba będzie upiec to zdalnym impulsem, a Amba dała nam ten system tylko na parę godzin.

I że przebiję się przez zagłuszanie — mruknąłem. Co prawda elf zapewniał, że sprzęt należy do służb specjalnych, więc teoretycznie powinien dać sobie radę z zabezpieczeniem drugiej klasy montowanym zwykle w takich miejscach, ale kto wie, co dostał.

Lagus zerknął na umieszczony obok prędkościomierza wyświetlacz atomowego zegara. Za pięć ósma. Jeśli dobrze zrozumieliśmy z Rumcajsem słowa ptaka, narada miała się zaraz rozpocząć.

— No, zaczynamy — powiedział i uruchomił zdalne sterowanie. Siedzący do tej pory cicho w rurze z zimną wodą niewielki robot z mikrofonem ruszył w górę niesiony prądem, ciągnąc za sobą odwijający się z bębna światłowód. Bęben zamontowany był w niewielkiej hermetycznej komorze, połączonej z zabezpieczoną zaworem złączką, którą Lagus wwiercił się w rurę. Całkiem na zewnątrz znajdował się nadajnik.

Przez chwilę elf spoglądał na niewielki wyświetlacz i ostrożnie przesuwając palcami po klawiszach, utrzymując miotanego przez prąd robota na właściwym kursie. W pewnym momencie zatrzymał go i uruchomił mikrofon. Przez chwilę słyszeliśmy tylko szum wody, a bardzo daleko w tle ciche głosy. Lagus zmarszczył brwi i pokręcił gałkami na odbiorniku. Odbiór poprawił się nieco.

— A zatem — powiedział mocny, stanowczy głos, który bez trudu przypisałem Oberonowi — jesteśmy w komplecie.

Coś pyknęło i usłyszeliśmy tylko biały szum.

Co jest? — zaniepokoił się Rumcajs. — Nakryli nas?

Włączył zagłuszanie — wyjaśniłem. — Taki guzik jest w każdym biurze. Możliwe, że dla bezpieczeństwa przyciemnił też okna.

Na panelu zaczęła migać czerwona dioda.

— Przegryza się przez zagłuszanie — powiedział z napięciem w głosie Lagus. Przez kilka niesamowicie dłużących się sekund wpatrywaliśmy się w małe prostokątne pudełko z czarnego plastiku, mając nadzieję, że sprzęt pokaże, co potrafi.

Niespodziewanie szum urwał się, dioda zgasła, znowu słyhać było rozmowę, nieco tylko mniej wyraźnie. Elf odetchnął z ulgą i podkręcił głośność, po czym pstryknął jeden z guzików i zaczął nagrywać na zamontowanej w odbiorniku karcie.

— ...jak widzicie, Orlika nie ma pośród nas. Został przyłapany na handlu roślinami pochodzącymi z Naszej Strony, za co udzieliłem mu nagany. Mówiłem, że nie będę tego

tolerować.

Oberon zrobił efektowną pauzę i ciągnął dalej:

— Sprzedaż czegokolwiek z naszej ojczyzny to dawanie tej ban dzie obszarpańców nadziei na nowe życie. A to, zapewniam, ostatnia rzecz, która jest im potrzebna; im prędzej zdechną, tym lepiej. Nie wspominając o tym, że mogą je wykorzystać jako broń przeciwko nam. Liczę, że zapamiętacie to sobie dobrze i wyciągniecie odpowiednie wnioski.

Rumcajs i Lagus popatrzyli na siebie w lusterku. Spojrzenia obu istot nie wróżyły nic dobrego.

Skurwiel... Nic dziwnego, że dostawy się urwały... — powiedział domowik cicho, jakby się bał, że mikrofon może działać w obie strony i Oberon go usłyszy.

Co on ostatnio oglądał? — zastanowił się Koneser, opierając rękę na podłokietniku, a policzek na pięści. — „Tryumf woli”?

To tyle, jeśli chodzi o dyscyplinę. Są pytania?

Przez chwilę słyszeliśmy tylko cichy szum wody i omijanego zagłuszenia.

Następna sprawa dotyczy nawęzów Kormana. Niestety, ich skuteczność nie jest taka, jak byśmy się spodziewali, na domiar złego spóźnia się z kolejną dostawą. Nie sądzę, aby szybko zasłużył na przejście na Tamtą Stronę. Krot, udzielisz mi upośledzenia. To dla nas zbyt ważna sprawa. Złe nawęzy, niewłaściwe zakłęcia i zamieszkujące Sieć istoty nie zechcą z nami rozmawiać.

Chyba dopiąłeś swego — szepnąłem do Rumcajsa. — Ugotowałeś Kormana na twardo.

Już nie żyje — mruknął domowik.

Te skierki i latawce, które zamieszkują w Sieci, to nasza przyszłość. Nie są skłócone z ludzką techniką. Trzeba dowiedzieć się, jak to robią. Musimy utrzymać z nimi jak najlepsze stosunki, aby chciały z nami dalej współpracować. Nie wspominając już o tym, że bez nich nasz projekt może się nie powieść.

Nawet jeśli szaleją tak jak wczoraj? — spytał czyjś lekko za chrypy głos. — Wywołali zamieszanie niemal w połowie światowej Sieci, o ile nie w całej. Nie wiemy, co je napadło. Czy komuś takiemu można ufać?

Nie mamy wyjścia, Dolanie — odparł Oberon. — Sam widziałeś, jak długo pożyła Liwa, kiedy wszczepiono jej te kolorowe włosy. Tylko one zaadaptowały się bez problemów do tego świata. Poza tym nie można wykluczyć, że znajdują się już nie na usługach Go — plany, tylko naszych partnerów. Jestem z nimi w stałym kontakcie i zbieram niezbędne informacje.

Popatrzyliśmy na siebie z Rumcajsem. Oberon uwierzył Złotemu Jeleniowi. Jednak wnioski, do których dochodził, były zaskakujące.

Ten plan ich prędzej zabije, niż pomoże. — Koneser pokręcił głową. — Nie da się cofnąć świata. Czy nikt mu tego nie powiedział?

Nie odważyli się — mruknął Lagus.

Narada toczyła się dalej. Oberon podchodził do swojego projektu śmiertelnie poważnie. Choć nikt nie wyraził tego wprost, coraz bardziej upewniałem się, że chodzi o projekt sieciowej gry. Dzięki swoim agentom korzystał nawet z pomocy ludzi — etnografów, socjologów, speców od marketingu. A potem jego przeszkoleni podwładni zabiorą się do pisania programu... i albo poniosą spektakularną klęskę, albo, dzięki wsparciu skierek, uda im się utrzymać na rynku. Nie wątpię, że liczył również na pomoc sieciowych bogów Agi. Jak to dobrze, że kazałem jej stworzyć te boty... Co on właściwie chce przez to osiągnąć? Własne laboratorium, gdzie gracze z całej Polski będą nieświadomie odsłaniać przed nim swój sposób myślenia, rozwiązywania problemów, najgłębiej ukryte pragnienia? Czy wyobraża sobie, że dzięki umiejętnie wybranym i sprytnie rozmieszczonym w świecie gry elementom będzie mógł manipulować nimi wedle swej woli? Że w ten sposób

przygotuje sobie grunt pod tryumfalny powrót? Że zyska wpływ na ludzi jako znana i lubiana

postać z sieciowej gry, która ucieleśniła się, przybrała realny kształt? A może pozostanie niczym żywa istota, mieszkająca wyłącznie w Sieci, występując na czatach, w portalach, telewizji, jak Simon DeLa Costa? Ostatnio nawet wręczał Oscary dla wirtualnych aktorów, a tak naprawdę nikt nie wie, czy jest tylko idealnie wykreowanym botem, który jako pierwszy przeszedł test Turinga, czy pierwszym udanym transferem ludzkiej świadomości w Sieć.

Tak... to miało sens.

Dziwnie słuchało się tych wynurzeń nagrywanych na szpiegowskim sprzęcie, siedząc w jednym samochodzie z dwoma istotami, które teoretycznie nie miały prawa istnieć, i jednocześnie oglądając jeżdżących i spacerujących po parku ludzi. Ociężałość po południowej drzemce przed kompem ciągle nie chciała ustąpić, mimo wypitego energizera nadal czułem się gdzieś w czasie poza czasem, między „dzisiaj” a „jutro”. Tymczasem w swoim biurze pan i władca Tamtej Strony mocnym, zdecydowanym głosem zbierał informacje, analizował sytuację, wydawał polecenia, motywując zebranych do dalszego wysiłku. Mogłem sobie to wyobrazić: długi stół o modnej linii, blat z jasnego drewna na czterech giętych nogach z aluminium. U jego szczytu zasiada w fotelu prezesa Oberon w ciemnym garniturze, błękitnej koszuli i nienagannie zawiązanym krawacie. Może nawet wpiął w niego jakąś złotą spinkę, wzorowaną na słowiańskiej szpili. Tu nie musi udawać człowieka, prowadzi spotkanie po swojemu, korzystając z całego autorytetu i strachu, jaki żywią przed nim zgromadzeni przy stole poddani. Siedzi tam cała banda istot z zamierzchłej przeszłości, udająca ludzi. Chiały, chmurniki i reszta, ubrane tak, jak powinien ubierać się szanujący się korp: jasne, letnie garnitury, wyprasowane koszule, ciemne okulary, *leżące* na blacie komórki. Ktoś pospieszenie notuje polecenia na palmie albo w telefonie. Spoglądają na Oberona z szacunkiem, niemal z czcią, pełni zaufania, nie śmieją podważyć jego słów. Przed chwilą usłyszeli, że ten, który okazał nieposłuszeństwo, został ukarany. Ten, który nie zrealizował zadania z całym poświęceniem, zostanie ukarany wkrótce. W powietrzu unosi się delikatny zapach suszonych ziół wiszących pęczkami nad drzwiami i długim, panoramicznym oknem przyciemnionym ze względów bezpieczeństwa. Za drzwiami stoi dwóch zaufanych ochroniarzy Oberona, pilnie bacząc, by podczas narady nie zbliżył się nikt niepowołany. Mają założone słuchawki z mikrofonami, są w stałym kontakcie ze swoim szefem. Gdyby któryś z latających wokół ptaków zauważył w pobliżu budynku jednego z poddanych Goplany, miał natychmiast lądować na parapecie i meldować, by mogli ocenić zagrożenie. Oprócz tego nad ich bezpieczeństwem czuwa kilkanaście kamer, zagłuszacze oraz kilku dobrze wyposażonych w sprzęt i wszczepy nieświadomych niczego ludzkich ochroniarzy w recepcji, gotowych w każdej chwili wezwać kilkunastu kumpli.

Widziałem, jak ochroniarze siedzą w holu przed ekranami, jednym okiem spoglądając na monitory, a drugim śledząc mecz. Niespodziewanie za wracającym z obchodu kolegą wpada do środka synogarlica. Ptak trzepocze się po olbrzymim holu, nie mogąc znaleźć wyjścia. Popatrz, mówi jeden z nich, święty ptak. Ten, który właśnie wrócił, pospieszenie otwiera drzwi, aby synogarlica mogła wylecieć. Nagle pojawia się szef ochrony, zaalarmowany piskiem awaryjnego otwarcia. Podwładni tłumaczą mu sprawę, mężczyzna kiwa głową. Słusznie, dobrze postąpili, dzięki temu zarobią kilka punktów u domowego. Aha, pamiętajcie o ofiarach dla naszych skierek. Ktoś z poprzedniej zmiany zapomniał i omal nie padły nam serwery.

Jeden z ochroniarzy kiwa ze zrozumieniem głową, wie, jak ważne jest, by zamieszkujące Sieć istoty były zadowolone. Syn robił porządki na dysku domowego komputera i omal nie skasował ich ulubionego klastra. Dobrze, że domowy wiedział, jak to załatwić, inaczej skończyłby jak ten sąsiad. Dziwny facet, ale czy kto widział normalnego informatyka? Nie dbał o skierki, twierdził, że można dawać sobie radę bez nich, no i w efekcie doszło do tego, że nie mógł nawet włączyć komputera. Obraził domowika, ten wyprowadził się i mieszkanie szybko popadło w ruinę.

Wiadomo, bez domowego nic nie działa, jak powinno. Przez tydzień nie wychodził, więc zadzwonili po lekarza: kiedy

wyprowadzali go w kaftanie, śmiał się i wołał, że powinniśmy się uwolnić od tych potworów. Resztę życia spędzi na oddziale zamkniętym, *razem* z innymi niedostosowanymi. Może i w słowach wariata kryła się odrobina prawdy, ale jak przeciwstawić się komuś, kto zna Sieć jak własną kieszeń i ma zdolności, których nie są w stanie zapewnić nawet wszczepy? Bez nich nawet samochodu się nie uruchomi, bo jakieś lichy zaplecie nocą kable w warkoczyk, a jak *jeszcze* zablokuje hamulce albo usunie smar, to wypadek gotowy. A że ktoś może ucierpieć? Trudno. Mężczyzna nie potrafi pojąć toku myślenia tych istot. Dotyka jednak zawieszanej na szyi kaptorgi i przypomina sobie bronchit, którego w żaden sposób nie mógł wyleczyć, dopóki ich domowy nie przygotował tego woreczka. Żona nawarzyła mu w podzięce ogromny garniec kaszy ze skwarkami. Co prawda zaczyna już mieć serdecznie dosyć tego zapachu, ale znosi go. Musi znosić. Nie chce przecież, by domowik wyprowadził się, a wprowadziła taka, na przykład, zmora. W mig by ze wszystkich resztki powietrza wydusiła.

Tak, bez nich ludzkie życie byłoby gorsze, znacznie gorsze. U jego ojca, na wsi, domowy jest jak członek rodziny. Dobry gospodarz sam nic nie uczyni, ani nie *zasieje*, ani młockarni nie włączy, ani świni nie ubije. Jeśli trzeba do lasu, też lepiej z nim, bo wtedy i skrzaty łagodniejsze, i borowy może nie zatłucze... Straszny taki borowy, jak się rozgniewa. Nie ma człowieka, który by go pokonał, nawet te zadrutowane po uszy byki z grup specjalnych nie dają im rady. Swoją drogą ciekawe, czy w „Światowidzie” uda mu się upolować niedźwiedzia i sporządzić kaptorgę z jego pazurami. Syn ostatnio go przegania, więc po robocie pogra tak długo, jak to tylko możliwe. Wie, że ich domowy sprawdza wyniki, kto lepszy, to on dla niego łaskawszy. Zresztą inne domowe też tak robią. Może pomoże mu korzystnie wymienić samochód na nowy...

Ktoś szarpnął mnie za ramię.

Co ty, znowu usnąłeś? — W oczach Rumcajsa kryła się nagana. — Oberon właśnie mówił o...

Wiem, o czym mówił — przerwałem mu zaskakująco ostro. Obraz, który zobaczyłem, tkwił gdzieś pod powiekami, pojawiał się niemal za każdym mrugnięciem i zaraz znikał. Był zimny jak spojrzenie Oberona, które znowu zaczęło mnie prześladować.

A za nim szło paraliżujące przerażenie.

To nie może tak być. To nie może tak wyglądać. Choć rozsądek podpowiadał, że to tylko sen, miałem wrażenie, że ten sen może się ziścić.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie opowiedzieć o wszystkim Koneserowi i Rumcajsowi, ale zrezygnowałem. W końcu w moim śnie nie było dla nich nic ciekawego. Dla nich nic, dla mnie dużo.

Wiedziałem już, o co tak naprawdę chodziło Oberonowi.

Może i poddani Goplany nie najlepiej dają sobie radę po Tej Stronie, ale to, co wymyślił jej mąż, sprawiało, że zaciskałem pięści.

Do domu wróciłem sam. Rumcajs wraz z Lagusem ruszyli oddawać sprzęt, i, jak to określił domowik, nabyć stosowne środki zabezpieczenia. Miałem nadzieję, że nie przyniesie zestawu wysoce specjalistycznych czujników.

Ten dzień z pewnością można było zaliczyć do najosobliwszych w moim życiu. Pozostawił po sobie dziwne wspomnienia, jak ze snu, który trudno zapomnieć. Kąpiel powinna je ze mnie wyciągnąć. Chciałem zapomnieć o tym, co widziałem i słyszałem. Puściłem wodę do wanny i sprawdziłem, czy Kaśka nie pozostawiła mi *żadnej* informacji. Nie zostawiła. Wróciłem do łazienki, odkręciłem kran w umywalce i opłukałem twarz strumieniem zimnej wody.

Kiedy uniosłem głowę, zobaczyłem w lustrze twarz stojącego za mną faceta w czarnej koszuli, o równo przyciętych, popielatych włosach.

Nie odwracając się, z miejsca wyprowadziłem dwa krótkie uderzenia łokciami. Gość uchylił się płynnie. Poczulem, że głowę ściskają mi potężne obcęgi i nim zdążyłem wrzasnąć, wepchnął ją do wanny. Na szczęście zdołałem zaczerpnąć powietrza.

Bulgotałem jak wściekły, młóciłem wodę rękami, mając nadzieję, że może Rumcajs już wrócił i usłyszy hałas, a jednocześnie

próbując wszystkich zapamiętanych przeze mnie metod uwalniania się z takiego uchwytu. Daremnie, utopiec — byłem tego pewien — dysponował niehumanitarną siłą. Nawet kursy samoobrony, które zafundowała swoim dziennikarzom MediaGruppe, nie zdały się na nic.

Nagle ręce szarpnęły mnie do góry.

— Pozdrowienia od męża twojej ukochanej, Grabku — szepnął mi do ucha utopiec nienaturalnie spokojnym głosem i znowu wsadził głowę pod wodę.

Musiał istnieć jakiś sposób, myślałem, tonąc we własnej wannie. Na pewno był...

Utopiec wyciągnął mnie po raz drugi. Trzeciego mogło nie być.

Pozdrowienia... — wycharczałem, plując wodą. — Co?

Pozdrowienia... od Małgorzaty.

Kogo?

Zaskoczony, poluzował uścisk na tyle, iż udało mi się wyrwać. W następnej sekundzie drzwi do łazienki otworzyły się.

Poczulem, że ogromna siła rzuca mną niczym tobołkiem w bok, w przelocie mignęła mi jeszcze zdumiona twarz utopca, a potem wpadł do środka Rumcajs.

Poleciałem na futrynę, objając sobie boleśnie ramię i miednicę. Po wielkiej płycie aż poszło echo. Przed oczami zatańczyły mi ciemne plamy. Usłyszałem bolesny jęk, coś plusnęło w muszli, w następnej chwili domowik spuścił wodę.

Podpierałem ścianę, gdyż pulsujący ból nie pozwalał się ruszyć ani niczego powiedzieć. Rumcajs zaczął obmacywać te miejsca, fachowo, niczym lekarz. Kilka razy syknąłem, ból podskoczył niemal pod *mózg*, prawie *się* porzygałem.

— Boli? I dobrze, że boli — odparł domowik, wyciągając z szafki maść na stłuczenia. — To znaczy, że nic tak naprawdę ci się nie stało.

Zdjął nakrętkę i pozwolił, bym niezdarne zaczął wcierać ją sobie w obolałe miejsca.

— Dom mnie ostrzegł — wyjaśnił, uprzedzając moje pytanie. — Od razu wiedziałem, co się święci.

W posmarowanych miejscach zaczął promieniować miły, kojący chłód. Ból nieco zelżał, mogłem już próbować wstać.

— Tam są zielone plastry... weź dwa największe...

Domowik wyciągnął je, skrzywił się, widząc, czym są nasączone.

Jesteś pewien, że chcesz ich użyć? — spytał, podając je.

Najważniejsze, że mnie zaraz... przestanie boleć — wystękałem, przyklejając je na zranionych miejscach. — I tak niedługo... stracą ważność.

Rumcajs pomógł mi przejść do pokoju i opaść na kanapę.

Oberon go wynajął. Domowik znieruchomiał.

Jesteś pewien?

Przekazał mi pozdrowienia. Całkiem jak na filmie. Rumcajs wziął sobie krzesło i usiadł na nim okrakiem naprzeciw

mnie, kładąc dłonie na oparciu.

Obawiałem się tego — powiedział zaniepokojony. — Dlatego poszedłem po sól i inne takie...

nie myślałem, że tak szybko się ruszy. Pewno się zorientował, że ktoś go podsłuchuje, i wysłał utopca. Albo Korman coś mu powiedział i po radzie uznał, że na niego dybiemy. Niedobrze.

Przecież to absurd.

Pewno, ale bardzo filmowy.

Dziwnie ten utopiec mówił.

Pewnie dał sobie dla kurażu czegoś z Tamtej Strony. Normalnie nie część żywiła się rosą, ale wielu wołało ludzkie *żarcie*. Żeby nie było, ludzi czasem też. Gadałem z jednym domowym, który w czasie drugiej wojny zatłukł takiego strasznie starego utopca, żołnierza, co się pod nim wieki temu lód załamał, kiedy spod Moskwy wracał. Cięgiem wszystkim w szkodę włożył. Kury, kaczki, bydło, konie w wodę wciągał, i jeszcze po swojemu coś tam bełko tał, nikt by tego nie zdzierzył...

Ostrożnie poruszyłem ramieniem. Mieszanka przeciwbólowa z plastrów zaczęła już działać, ból zelżał.

— Wskoczył w jednej chwili, nie wiadomo jak. Skąd on się tu wziął?

— Włazł jak wylazł, jako ryba kanalizacją przepłynął. Rzadka rzecz, ale możliwa, oni wodociągi i kanały znają niczym własną kieszeń. Cholera, sam nie wiem, co robić...

Spojrzałem na jego rozbiegane oczy, rytmicznie zaciskające się wielkie dłonie, nerwowe zagryzanie wąsa i gładzenie brody.

Coś tu śmierdzi.

Pewnie, że śmierdzi — przyznał bez oporu. — Nieważne, czy chciał cię *zabić*, czy ostrzec, wynajął go Oberon.

Nieźle się zdziwił, kiedy cię zobaczył.

Bo się mnie nie spodziewał. Utopce, choć skurwiele, to Goplanie służą, nie Oberonowi. Wygląda na to, że ten go przekupił albo wynajął i nie zapytał nawet żony, czy można. Tak się nie robi.

Zupełnie mnie to nie dziwi. — Wstałem powoli, ciesząc się, że już mnie nie boli. Plastry znieczulające zrobiły swoje. Starając się nie urazić ramienia ani boku, podszedłem do szafy i wyjąłem dość elegancką koszulę. Byłem przerażony wizytą utopca. Przerazał mnie obraz świata pod władzą Oberona. — Idziemy.

Rumcajs spojrzał na mnie zaskoczony.

Dokąd?

Do pani Mroziowicz. Może ty nie masz pomysłu, co robić, ale ja mam. Chcę żyć, a dalsze trzymanie tego w tajemnicy i działanie za jej plecami tylko pogarsza sprawę. Wiesz, gdzie mieszka?

Zaczekaj. — Domowik chwycił mnie mocno za rękę. — Wiem, gdzie mieszka, ale nachodzenie jej o północy na pewno nie po może, a tylko zdenerwuje. Jeśli koniecznie chcesz z nią gadać, odwiedzimy ją jutro w robocie.

A pomyślałeś, że ja następnego ranka mogę po prostu nie dożyć? Że zaraz zjawia się posiłki?

Rumcajs przyniósł z przedpokoju plastikową reklamówkę Ca—pry. Wyciągnął z niej zestawy rozmaitych ziół, które zaczął metodycznie rozkładać na stole w pokoju. Na koniec z namaszczeniem wyjął spory podłużny przedmiot, zawinięty w czyste białe płótno. Rozwinął je ostrożnie; zobaczyłem sztylet z ostrzem o kształcie liścia i rękojeścią z drewna okręcanego rzemieniem.

Taki sam jak te, które migają w dłoniach leszego podczas rzezi w „Balladynie”.

— Może i nie wiem, co robić, ale wiem, jak cię ochronić... choćby do jutra — oznajmił, podnosząc broń. — Cięcia tym nie wytrzymałby nawet sam Oberon. Poza tym dogadałem się z domem. Teraz bez twojej zgody nie wejdzie tutaj nikt niepowołany. Aby cię dorwać, musieliby zrównać całą tę chałupę z ziemią. No i jeszcze przejść po mnie.

Rozdział czternasty

Mimo zapewnień Rumcajsa spałem w ubraniu, z uchwytami spakowanej torby pod jedną ręką i solniczką pod drugą. Domowik powiązał zdobyte zioła i kamienie w pęczki, które pozawieszał nad wszystkimi otworami, nie wyłączając wentylacji i kranów, przez co mieszkanie zaczęło przypominać lokal Kormana. Wreszcie otoczył moje łóżko kręgiem z soli. Nie bardzo w to wierzyłem

— w końcu Oberon też mógł mieć ekipę takich specjalistów jak Larysz i spółka. Dlatego spałem niespokojnie, przewracając się z boku na bok. Za każdym razem, kiedy się budziłem, widziałem ciemną sylwetkę Rumcajsa, siedzącego na krześle po drugiej stronie pokoju, trzymającego na kolanach nóż o liściastym ostrzu.

Kiedy się obudziłem, słońce oświetlało parter domu naprzeciwko — mogło być dopiero koło siódmej. Poruszyłem głową i usłyszałem, jak coś szeleści. Przetarłem dłonią oczy, a wtedy do palców przykleiły mi się drobne niczym piasek, czarne ziarenka, które czułem też we wgłębieniach poduszki.

— Spoko, to tylko mak — usłyszałem od wejścia głos Rumcajsa.

— Strasznie się w nocy rzucałeś, to ci sypnąłem odrobinę na oczy. Miałeś się dobrze wyspać, no i spałeś jak kamień.

Głowę też miałem teraz jak kamień.

Nic się nie działo?

Nic. Gdyby w okolicy ktoś się zjawił, dom by mnie ostrzegł. Nikt bez twojej zgody nawet na klatkę nie ma prawa wejść.

Powoli usiadłem na łóżku. Ostrożnie poruszyłem ramieniem i pomacałem się po boku. Obejrzałem się w lustrze. Po spotkaniu z utopcem zostały mi tylko duże fioletowe siniaki na miednicy i barku. Nie bolały. Umyłem się i ubrałem, na wszelki wypadek zabezpieczyłem te miejsca plastrami gojącymi. Stojąc przy umywalce, przypomniałem sobie wczorajszy wieczór. Znowu ścisnął mnie strach, nagle odechciało mi się jeść.

— Czy to jeszcze konieczne? — spytałem, wskazując głową na sól rozsypaną wokół łóżka.

— Możesz zwinąć. I tak przerwałeś krąg, kiedy szurnałeś nogą. Wyciągnąłem z szafy niewielki, zdalnie sterowany odkurzacz —

prezent od koncertu na zeszłoroczną Gwiazdkę. Widząc sunącą w swoją stronę maszynę, Rumcajs na wszelki wypadek przeniósł się do kuchni.

Zrobił nam śniadanie z zapasów. Mechanicznie przełknąłem dwie kromki chleba z wędliną, ale nawet nie byłem w stanie rozpoznać, co to. Po głowie cały czas tłukły mi się informacje o tym, co się dzieje, jeśli dostanie się kulkę w pełny brzuch. Za to Rumcajsa wcale to nie obchodziło: odgrzał sobie w mikrofali tackę z kaczką po pekińsku i bardzo szybko uporał się z jej zawartością. Widać nie miał czasu na gotowanie kolejnej kaszy.

Radio gadało coś o postępach wojny w górach Macedonii, aferach i przekrętach, ale mało mnie to wzruszało. Wyrząłem przez okno i dostrzegłem coś nowego: na niebie pojawiły się drobne białe strzępki chmur. Czyżby wreszcie zanosilo się na deszcz? Spytałem o to Konesera.

Co chcesz powiedzieć Goplanie? — spytał Rumcajs, wyrzucając tackę do śmieci.

Po prostu opowiem, co się stało. Powinna wiedzieć, że Obe— ron przeciąga jej poddanych na swoją stronę. Liczę, że na to zareaguje.

Dzisiaj jest kupałnocka, stary. Oberonowi będą tu przyłazić, jak chcą.

No tak, noc świętojańska. Kto wie, jakie cuda się dziś wydarzą. Jeszcze będzie wesoło.

Nie była to jedyna przyczyna mojego strachu. Atak utopca nieźle mnie przeraził, ale pod powiekami wciąż czaił się obraz świata pod władzą Oberona. O tym też powinna wiedzieć.

— Sądzisz, że zareaguje? Rumcajs wzruszył ramionami.

— Powinna, ale cholera ją wie... Równie dobrze może olać sprawę. Jest za to coś innego... Spojrzałem na niego wyczekująco. Domowik pogapił się w podłogę i powiedział: Nie mów jej nic o mnie i moim pomysłe, dobra? Nawet jeśli rzeczywiście machnie na to wszystko ręką.

Nie sądzisz, że od wczorajszego wieczora wszystko nabrało tempa? Oberon już wie, że jakiś człowiek kręci się wokół jego interesów albo wokół jego żony. Kiedy skasowałeś tego utopca, pokazałeś, że masz ze mną coś wspólnego. W takim układzie nie masz już tyle czasu na szykowanie się do rozmowy, bo nas dopadnie. Raczej nie będzie cię słuchał, tylko nas skasuje i zajmie się swoim planem.

Nie zmieniaj tematu.

Potrzebowałeś doradcy i przewodnika, zatem daję ci radę: za łatw tę rozmowę dziś, najdalej jutro. Inaczej wszystkie informacje, które tak długo zbieraliśmy, można będzie wyrzucić do śmieci.

Powiesz czy nie, stary?

Jeśli okaże się, że dzięki temu będę żył — tak. Wybacz, ale nie zamierzam się poświęcać.

A wtedy te wszystkie informacje, o które tak bardzo się trosz czysz, będą gównem warte! — krzyknął Rumcajs, aż echo poszło. Byłem pewien, że usłyszał go cały pion od parteru po dach.

— Goplana uziemi nas w trymiga! Nie znieś, by ktoś się wciął między sprawy jej i jej męża!

Już na to za późno — powiedziałem ponuro. — Nie w momencie, kiedy Oberon przekupił któregoś z jej poddanych. *Teraz* będzie musiała coś z tym zrobić. Nawet brak decyzji będzie decyzją. Jeśli oleje sprawę, powiem jej, że chcemy załatwić to sami, poproszę, by pozwoliła nam występować w kontaktach z Oberonem jako jej pełnomocnicy. Jeśli się uda, będziesz miał oficjalne wsparcie

i uzasadnienie, aby z nim rozmawiać. Mam nadzieję, że Oberon nie zaryzykuje otwartej wojny, mordując jej posłów.

Czy jesteś pewny, że to najlepsze rozwiązanie? — spytał Rum—cajs, kiedy zbliżaliśmy się do biało—czarnej bryły Hyatta.

Chcę żyć — odparłem stanowczo. Nie wiem, ile razy w ciągu dzisiejszego przedpołudnia powtórzyłem te słowa. Pomacałem się po plastrach. Siniaki bolały dalej. — Ty chyba też, prawda?

Staralem się uspokoić przed nadchodzącą rozmową, ale nie było to wcale łatwe. Przez ostatnie godziny siedziałem jak na szpilkach, usiłując połączyć się z galerią pani Mroziewicz i dowiedzieć, czy w ogóle dzisiaj będzie dostępna, a telefon milczał. Rumcajs doradzał, by od razu jechać na miejsce i wydusić od Skierki lub Chochlika, gdzie jest szefowa, z upływem czasu coraz bardziej mnie to kusiło. Bez względu na to, co potrafią obaj panowie. Wreszcie koło południa jeden z nich z nich odebrał i potwierdził, że Goplana jest. Znów szarpnąłem się na taryfę, do której pognaliśmy tak, jakby goniła nas cała banda agentów Oberona.

— Nie rwij się tak do wyciągania tego żelaznego listka — po wiedziałem, kiedy szliśmy przez hol. Ochrona hotelu przyglądała się podejrzliwie domowikowi, ale mój strój niedbale eleganckiego korpa z kurtką przeciwdeszczową w kieszeni kazał im sądzić, że to klient Goplany z tragarzem. — Najlepiej w ogóle zapomnij, że go masz.

Pani elfów przyjęła nas w sali, pośród obrazów i rzeźb. Tym razem miała na sobie elegancki szary kostium, spodnie i marynarkę. Nawet jeśli zaskoczyła ją obecność domowika, nie pokazała tego po sobie. Rumcajs uklonił się swojej królowej grzecznie, choć niezbyt głęboko. Siedzący przy biurku za naszymi plecami Skierka pewnie bacznie się nam przyglądał.

— Witam, panie Adamie. Cóż to za niezwykle ważna sprawa, o której chciał pan

rozmawiać? Czemu zawdzięczam twoje przy bycie, domowiku?

— Odpowiedzi na te pytania są ściśle ze sobą związane. Opowiedziałem wszystko, co się wydarzyło u mnie. Mówiłem samą prawdę, ale bez wdawania się we wszystkie szczegóły. Go—plana zdawała się wiedzieć o tym i to akceptować.

Gdyby nie znajomy pana Marcina, z którym razem wracali śmy, już bym z panią nie rozmawiał. Od niego wiem, że napastni kiem był twój poddany.

Oberon go przejął, pani — dodał Rumcajs. — To wbrew naszym zwyczajom.

To wszystko?

Jak to, pani? Nie zamierzasz czegoś z tym robić?

Nie. Skoro ten utopiec zdradził i chce się czołgać przed Obe—ronem, to jego sprawa.

Pewnie, lepiej zdechnąć, niż się czołgać! — prychnął domowik, nim zdążyłem cokolwiek powiedzieć.

Zapadła głęboka cisza. Goplana spojrzała na niego z uwagą.

Nie interesujesz się nami, pani — ciągnął gniewnie niespieszony Rumcajs. — Czy byłaś w „Balladynie”? Widziałaś, co tam się dzieje? Jak wyglądamy? Marnujemy się tutaj, bez dostępu do Tamtej Strony, a ty nic nie robisz! Twój małżonek, pani, otwarcie zabiera ci poddanych, każe im atakować ludzi. Inny za samą obietnicę powrotu sprzedaje mu nawęzy. Gdzie, pani, twoje serce?

Ja nie mam serca! — krzyknęła nagle Goplana. Z biurowego pomieszczenia wyrzał zaniepokojony Chochlik, usłyszałem za sobą szurnięcie odsuwanego krzesła. — Sama je sobie wyrwałam, by nie cierpieć dalej!

Jedna ze stale powiększających się chmur musiała zasłonić słońce, bo nagle całe pomieszczenie utonęło w dziwnym, nieprzyjemnym półmroku. Wydawało się, że rzeźby drgnęły. Goplana popatrzyła na domowika błyszczącymi z gniewu oczami.

— Myślałam, że po tylu wiekach dochowacie mi wierności, ale widzę, że to za ciężkie dla was brzemię. Trudno. Chcecie czołgać się przed Oberonem i bić mu czołem, nie będę wam przeszkadzać. Skierko, Chochliku...

Goplana wyprostowała się władczo. Wyglądała tak jak przed wiekami — potężna pani elfów, godna małżonka Oberona.

— Ja, Goplana, pani wszelkich istot, zamieszkujących ziemię, wodę, ogień i niebo, zwalням mój lud, wszystkich i bez żadnego wyjątku, od najmniejszego do największego, bez względu na to, gdzie się obecnie znajduje, ze złożonej mi przysięgi wierności i posłuszeństwa. Są wolni, mogą udać się, gdzie chcą i pozostać wierni, komu chcą.

Usłyszałem, jak zamoimi plecami Skierka wciąga gwałtownie powietrze. Rumcajs stał osłupiały, niezdolny wypowiedzieć ani słowa.

— Pani... — powiedział cicho Chochlik, ostrożnie zbliżając się do swej królowej. — Chyba nie mówisz poważnie...

Goplana zwiesiła głowę, włosy zakryły jej twarz. Znów była cieniem samej siebie, istotą skazaną na powolną śmierć.

— Odejdźcie — powiedziała cicho, lecz wyraźnie. — Nic więcej nie mogę dla was zrobić. Tego nie dało się już dłużej odwlekać. Skierko, Chochliku, rozgłoście to wszędzie. To ostatnie polecenie, które wam wydaję jako wasza pani.

Spuściłem głowę. Sprawa, z jaką tu przyszedłem, wydawała się teraz całkiem nieistotna. Zresztą wyraz twarzy Skierki i Chochlika mówił sam za siebie. Rumcajs sztywno uklonił się Goplanie, nie wiedząc czemu, zrobiłem to samo, po czym wyszliśmy na znów skapaną w słońcu ulicę.

Ledwo z cichym szumem zamknęły się za nami drzwi hotelu, domowik zaklął z głębi serca.

Masz rację, to już zaszło za daleko — powiedział ze złością — musimy pogadać z Oberonem, choćby zaraz. Wyrzekła się nas, ot tak. To się w pale nie mieści. Stała się człowiekiem bardziej, niż myślałem.

Jesteśmy w punkcie wyjścia. Nie dała nam zgody na występowanie w jej imieniu.

Rumcajs spojrział na mnie uważnie.

Ale również tego nie zabroniła, zatem możemy działać.

Lepiej uważaj. Teraz już nie jesteś oficjalnie jej poddanym, to może się dla ciebie źle skończyć.

Mało mnie już obchodzi, czy umrę dziś, czy za dwadzieścia lat. Trzeba to rozwiązać raz na zawsze. Po tym, co się stało, jestem to też winien pozostałym. Ty również nie masz wyjścia.

Cholernik miał rację. W domu mógł już na mnie czekać kolejny utopiec.

— Tak — powiedział Koneser, pociągając łyk herbaty. — Rzeczywiście, w tej sytuacji musisz jak najszybciej spotkać się z Oberonem.

Siedzieliśmy u starszego pana w starej, lecz czystej kuchni, popijając herbatę z solidnych, dobrze wyparzonych kubków. Panował tu miły chłód i półmrok, większość słońca szła na sąsiedni dom. Na białym drewnianym stole walały się resztki zamówionej pizzy. Rumcajs twierdził, że tu będzie bezpieczniej, bo we dwóch dadzą radę każdemu intruzowi. Nie wyobrażałem sobie Konesera walczącego z utopcem, ale liczyłem na to, że wybije domowikowi z głowy co głupsze pomysły. Zresztą Rumcajs też potrzebował jego rady.

Zapomniałeś, że prawda w oczy kole — mówił Koneser, sprzątając ze stołu. — I jeszcze wyjechałeś z tym przy człowieku, obcym.

Może i nie powinienem, ale już nie wydolilem. Jej poddany atakuje człowieka, którego ona zna. Robi to, bo go najął Oberon i nawet nie spytał jej o zgodę. I co? Nic, zero reakcji! Nie zastanowiła się, czym mu zapłacić? Stawiam całe szwabskie złoto, które ukradłem, że obiecał mu przejście na Tamtą Stronę. Zgodził się, nie dziwne. Wszyscy chcą stąd wiać, ale ona tego nie widzi! Wstałaby się za nami, ale ona woli zwolnić wszystkich z przysięgi! Jakby nie wiedziała, co Oberon robi z proszącymi!

Albo wie — mruknąłem — i liczy, że wrócicie do niej na kola nach.

By zdechnąć tutaj, nie próbując się nawet dogadać? Dzięki, nie ja.

Napiłem się herbaty Konesera i poczułem się nieco lepiej. Starszy pan robił mieszanki jeszcze lepsze od moich.

— Teraz Goplana została sama. Czy któremuś z jej byłych pod danych nie strzeli do głowy zapolować teraz na nią?

Rumcajs parsknął śmiechem.

Mało prawdopodobne — odparł Koneser. — Goplana sama potrafi się obronić, a Skierka i Chochlik pewnie dalej przy niej są. Z przywiązania.

Masz może cebulę? — spytał niespodziewanie domowik. — Przydałoby się ostrze dobrze natrzeć, będzie skuteczniejsze.

Starszy pan zajrzał do jednej z kremowych szafek i pokręcił głową.

— Dobra, wyskoczę na chwilę, a ty go pilnuj. Mam pukać w umó wiony sposób?

Koneser wzruszył ramionami w geście „jak chcesz”.

— Boi się pan, prawda? — spytał, kiedy za domowikiem zamknęły się drzwi.

— Jak cholera — przyznałem szczerze. Koneser łyknął herbaty.

— Rozumiem to doskonale, nie raz sam bałem się tak, iż sądziłem, że nie zdołam zrobić kroku ani wydusić choćby słowa. Póki nie ma Rumcajsa, możemy porozmawiać jak ludzie. Chciałbym pana prosić, aby się pan nie wycofywał. Tu nie chodzi tylko o ten magiczny ludek, który jakoś uchwycił się wśród nas do tej pory, także o nas. Ludzie powoli, ale systematycznie

tracą wyobraźnię, karmią się tym, co się im podsuwa, co widzą i słyszą, to kształtuje ich pragnienia, które też się kurczą. Sami nie mają prawie w ogóle własnych marzeń, a jeśli już, to niezbyt ambitne i dość przyziemne. Jeszcze trochę, a będziemy jak zwierzęta.

Skrzywiłem się.

Łatwo tak mówić, kiedy nie było się topionym przez gościa o żelaznym chwycie. Skoro panu tak na tym *zależy*, dlaczego sam nie porozmawiał pan z Oberonem? Miał pan jeszcze lepsze dojścia niż ja i domowik razem wzięci.

Bo dla niego, podobnie jak pan, jestem tylko człowiekiem, a on na pewno nie posłucha człowieka.

Niezupełnie. Jest pan w końcu też planetnikiem.

Koneser dopił herbatę, chowając twarz za kubkiem. Kiedy go odstawił, wyglądał na całkowicie opanowanego.

— Wie pan, stoję jedną nogą tu, a drugą tam... Człowiek z mo cami, ale nie jeden z nich, zresztą nigdy mi nie zależało na

przynależności do tego grona... Kiedy oni się ucłowieczą, ja też stracę swoją moc i ja odejdę z tego świata jako zwykły śmiertelnik. Ale jestem też człowiekiem i nie chcę, aby chociaż część z nich cisnęła ludzi jak dawniej, aby się ich obawiano. A jeśli wierzyć temu, co słyszałem, to potrafią cisnąć, potrafią. Wolę równowagę i utrzymanie uchylonych drzwi między obiema Stronami.

— Rozumiem. Jak w takim razie możemy pomóc Rumcajsowi, by tę sprawę zakończyć? Nie chcę po powrocie do domu zastać kolejnego nieproszonego gościa.

Koneser milczał przez chwilę.

Jak tam pański plan, o którym rozmawialiśmy w Łazienkach?

Brakuje mi ostatniego elementu.

Rozumiem... możliwe, że to przyniesie efekty, proszę jednak uważać. Można rzeczywiście dostać, co się chce...

Komórka. Co tym razem przydarzyło się Adze?

— Chłopaki z Zaimony już dobrali się do twojego celu — powiadomiła mnie. — Właśnie przejrzałam ich maile. Uważają go za bogatego ignoranta, którego można oskubać bez większego ryzyka...

Zacząłem szybko myśleć. Ostatni element mojego planu tylko czekał, aby go wstawić w odpowiednie miejsce. Cały strach i wątpliwości gdzieś zniknęły.

— Niech Złoty Jeleń prześle mu ostrzeżenie — zdecydowałem. — Zobaczmy, jak zareaguje.

Wyjaśniłem Koneserowi, co się stało.

— I tak to chciwi bogacze zostali ukarani — skwitował starszy pan. Ledwo to powiedział, wrócił Rumcajs i musiałem powtarzać od początku. Domowik słuchał, pracowicie wcierając w ostrze sok z rozciętej cebuli. Nawet przy tym nie płakał.

Kiedy skończyłem, Aga odezwała się znowu. Szybko. Za szybko.

— Odpowiedział. Cytuje: „Nie wiem, kim jesteś, ale uratowałeś moje pieniądze. Jestem ci winien przysługę. Proś, o co chcesz. Chciałbym się z tobą spotkać, wirtual, real — obojętne”.

Iście królewska propozycja. Brać, wybierać.

— Odpisz mu, że zobaczymy się w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Wyjaśnienie wszystkiego zajęło mi kolejnych kilka minut.

— Dobra, tu się nie ma co zastanawiać. — Domowik zatarł ręce. — Wsiadamy i jedziemy do jego biura. Im szybciej to wszystko załatwimy, tym lepiej.

A więc to dzisiaj. Wkrótce. Odetchnąłem głęboko i starałem się *przyzwyczaić* do tej myśli. Ja,

zwykły użytkownik wiedzący tylko co nacisnąć, by maszynka mi nie wybuchła, stanę przed nim jako demiurg Sieci. Połączyłem się z Agą. Miałem wrażenie, że łomot serca zagłusza moje słowa równie skutecznie jak jej scramblery.

Jeśli wszystko dobrze pójdzie, to jest to ostatnia rzecz, którą będę zawracał ci głowę. Bądź przez tę dobę uchwytna. Niewytkuczono, że będę potrzebował twoich usług. Nie dziw się, o cokolwiek bym prosił. Choćby ci przyszło nadawać światłami na Continen— talu „Siała baba mak” Morse’em. Inaczej cała nasza impreza się zawali.

Oki, ale zróbmy inaczej. Złoty Jeleń ma hasło, zaraz je dosta niesz. W razie czego pingnij je z powrotem na *Siec* albo na telefon. Zawsze zdążysz to zrobić.

Mam nadzieję...

Nie marudź, to najwyżej milisekunda opóźnienia. Coś jesz cze?

Tak. Zmów paciorek, aby się udało.

Koneser popatrzył na chmury za oknem, po czym wyjął z szafy w przedpokoju złożoną w saszetkę ortalionową kurtkę oraz stary filcowy kapelusz z szerokim rondem.

Sądzi pan, że się przydadzą?

Stawiam na nawałnicę z błyskawicami. Moi koledzy w Insty tucie już pewnie opracowali mapę, gdzie będą najęśniej walić pioruny. Dzisiejsze wianki na pewno szlag trafi.

Nie zdążyliśmy jeszcze podejść do samochodu, gdy koło nas zatrzymało się z piskiem opon szare volvo. Kierowca odkręcił szybę pasażera.

— Wsiadajcie — powiedział Skierka. Nie był wkurzony, raczej bardzo zaniepokojony i przestraszony. — Goplana umiera. Trzeba czym prędzej *znaleźć* Oberona.

Rozdział piętnasty

To stało się mniej więcej pół godziny po waszym wyjściu — opowiadał Skierka, lawirując między samochodami i gnając w kie runku Śródmieścia. Mimo wszystko wektorówka byłaby chyba szybsza. — Upadła, straciła przytomność. Wezwaliśmy Wołosia i czym prędzej zawieźliśmy ją do domu. Ledwo żyje, traci przytomność i ją odzyskuje. Doktor mówi, że to nostalgia za Tamtą Stroną i końcowe stadium ucłowieczenia. Biorąc pod uwagę, kim jest, raczej tego nie przeżyje. Trzeba zawiadomić Oberona. Muszą się zobaczyć, może da się go przekonać, by ją zabrał albo chociaż uleczył, w końcu to jego żona...

Wątpię — mruknął Rumcajs.

Gdybyś wątpił, nie robiłbyś tego, co robisz. Tak, wiem o twojej akcji, przyglądam się temu właściwie od początku. Może Goplana nie chodzi na jednego do „Balladyny”, ale ja owszem. Jesteście jedynymi osobami, które mogą wiedzieć, gdzie go złapać... i prze konać, gdyby miał wątpliwości.

Niby jak? — parsknął domowik.

Nie szukałbyś go, gdybyś nie miał na to sposobu — zachnął się sługa pani elfów. — Jeśli o mnie chodzi, to możesz robić wszystko. Padaj przed nim na twarz, płacz, stawaj na głowie, noś wodę sitem, byleby przyjechał. Póki Goplana żyje, jest nadzieja, że się pogodzą i jednak wszyscy wrócimy. Inaczej Oberon dostanie wolną rękę.

Kilka minut później parkowaliśmy na rogu Hożej i Mokotowskiej, przy sześciopiętrowej, niedawno odnowionej kamienicy.

Potem długa jazda kopia staroświeckiej windy—klatki i bieg po niskich kamiennych stopniach, aż na samą górę, na wysokie poddasze. Tam, za wielkimi ciemnobrązowymi drzwiami mieszkała pani elfów.

Wewnątrz panował półmrok. W korytarzu stało kilka odnowionych ciemnych mebli, na każdym wolnym miejscu wisiał obraz, fotografia albo grafika, zwykle w wymyślnej ramie. Poczujęm się jak w antykwariacie albo mieszkaniu starej ciotki.

Skierka zaprowadził nas do salonu pełnego świetnie utrzymanych, chyba secesyjnych mebli, nawet telewizor na ścianie przypominał kolejny obraz, a baza z telefonem nowoczesną rzeźbę. Chmury za oknem nadawały wszystkiemu ponury, szary odcień. Błada Goplana leżała z zamkniętymi oczami na kanapie na lwich łapach, z oparciem, pod dziewiętnastowiecznym obrazem przedstawiającym jezioro latem. Długie, matowe włosy rozsypały się na pasiastym obiciu i poduszce w arabeski. Niczym nie przypominała potężnej i dumnej władczyni elfów, którą widziałem kilka godzin temu: teraz wydawała się znacznie starsza i tak przeciętna, że aż poczułem smutek. Oto jak umierają legendy.

Wołoś siedział przy łóżku na giętym krześle, z walizką koło nogi. Obok na stole stała filiżanka z ciemnym naparem, w ciężkiej miedzianej popielniczce paliły się zioła, pachnące niczym odświeżacz powietrza. Chochlik mechanicznie poprawiał ustawienie kolekcji *zdjęć* na komodzie. Zauważyłem fotkę Goplany w skórzanej kurtce, siedzącej na starym motocyklu, sądząc po baku — hondzie. Nad komodą tłoczyło się całe stado niewielkich portretów. Między nimi dyskretnie schowano wizerunek roznegliżowanej kobiety o twarzy zadziwiająco podobnej do gospodyni.

— Nie pogorszyło się? Lekarz pokręcił głową.

— Jest bardzo, bardzo słaba. Właściwie to zapaść... musi jak najprędzej *znaleźć* się po Tamtej Stronie.

No to kicha. — Rumcajs podrapał się w brodę. — Bo nim się przekona Oberona...

Jest na to sposób — lekarz zniżył głos, jakby nie chciał budzić chorej. — Trzeba sprowadzić z powrotem jej, nazwijmy to, serce...

najcenniejszą dla niej pamiątkę wszystkiego, czym była dawniej. Sam radziłem kiedyś, by to gdzieś usunęła, schowała, by wiecznie nie rozdrapywać starych ran. Musimy je znaleźć, aby *zatrzymać* proces ucłowieczania.

Nic dziwnego, że tak zareagowała na słowa Rumcajsa.

— To ją powinno ustabilizować, póki nie sprowadzimy Oberona. Jeśli dostanie je z jego rąk, będziemy uratowani. Podobno wiecie, gdzie go szukać, Chochlik zaraz tam pojedzie.

Domowik krótko wyjaśnił, co i jak; elf wyszedł.

Fajnie, ale czy ona dożyje chwili, kiedy to znajdziemy?

Powinna. Moje leki podziałają na pewno dłużej niż godzinę.

Postaram się... wytrzymać... — usłyszeliśmy słaby głos od strony łóżka. — Ale nie gniewajcie się... jeśli mi się... nie uda...

Usta Goplany ledwo się poruszały. Patrzyła na nas, z trudem unosząc powieki. Kąciki ust leciutko drgnęły ku górze.

Tyle wieków... kiedyś musiało się tak stać... szkoda twojego daru, doktorze... Zmarnowaliśmy go...

Nie zmarnował się, pani — odparł Wołoś. — Chociaż część naszych przeżyła w doskonałym zdrowiu. Warto było.

Jeśli umrę — wyszeptała Goplana — odzyskaj to, co przypadło w udziale mnie.

Wyszeptała do Wołosa kilka słów, które ledwo usłyszałem, ale i tak walnęły mnie jak rozpędzona ciężarówka. Wiedziałem już, jaki dar ofiarował im doktor.

— Pomóż nam, pani. Gdzie zostawiłaś swoje serce? Goplana chciała odpowiedzieć, ale znowu straciła przytomność.

Wołoś pokręcił głową.

— Tak niczego się nie dowiemy, trzeba sięgnąć prosto do źródła. Wybacz, pani.

Ujął w dłonie głowę Goplany, przyciskając palce do jej skroni. Zamknął oczy i pochylił się nad nią, niemal dotykając czołem jej czoła. Zacisnął szczęki, na skroni pojawiły się kropelki potu.

Trwał tak przez kilka długich chwil.

— Książę... Książę Niedźwiedź — wycedził przez zęby. — Szukaj cie... księcia... niedźwiedzia.

Popatrzyłem na Konesera i Rumcajsa.

Wiecie, o co chodzi?

Tak. — Domowik klepnął mnie w ramię, ciągnąc w kierunku drzwi.

Skierka wysadził nas przy placu Zamkowym i natychmiast pognął z powrotem. Ciemne, ołowiane chmury zasłoniły niebo gęstą warstwą, z daleka coraz częściej dobiegały głuche pomruki grzmotów. Poza tym było spokojnie, parnym powietrzem nie poruszał najmniejszy nawet powiew. Wektorówki buczały w powietrzu jak bąki. Plac, kolorowy ścianami kamienic, trójwymiarowymi prezentacjami, ogródkowymi parasolami, zatłoczony wycieczkami, przypominał wielką, parującą zarem patelnię. Otepiałe od duchoty i długiego łażenia spojrzenia turystów świadczyły, że niewiele zapamiętają z tego, co mówił im przewodnik.

Ładna będzie burza — ocenił Koneser. — Ale coś w niej dziw nego... już dawno tego nie czułem...

Zdążymy się nie zmoczyć?

Starszy pan pokręcił głową. Jakby na potwierdzenie, ledwo weszliśmy między kamienice Świętojańskiej, gwałtowny wiatr cisnął nam w twarz pyłem, zapowiadając nadejście deszczu. Wystawione w ogródkach parasole załopotały niczym stada szykujących się do odlotu ptaków. Odwróciłem głowę i zobaczyłem, że przed zamkową bramą wirują niewielkie słupy piasku i lekkich śmieci. Latawce również miały zabawę.

Może tak oświecisz mnie, czego szukamy? — spytałem Rum—cajsa, wycierając piach z oczu.

Detalicznie nie wiem, ale daleko szukać nie będziemy — po cieszył mnie domowik, wskazując na stojący przed kościołem jezuitów posąg. Figura nabrała ze starości i od zanieczyszczeń ciemnoszarej barwy, mimo konserwacji widać było pęknięcia i za łatanie dawno temu ślady po kulach. Zwierz trwał przyczajony, spoglądając na drugą stronę ulicy. Ktoś wepchnął mu między łapy zużyty piankowy kubek.

Siemasz, stary. Oto on, Książę Niedźwiedź — przedstawił go Rumcajs, klepiąc figurę po łbie. — Podobno kiedyś faktycznie

był księciem, mocarnym tak, że drzewa z korzeniami wrywał. Ale nic mu po tym, skoro urody mu poskąpili i żadna go nie chciała. Zabijał się w pewnej pannie, tylko bał się do niej odezwać, bo sądził, słusznie zresztą, że jak go tylko zobaczy, to ucieknie z krzykiem. Kiedy ujrzał, że ona z kościoła z innym facetem od ślubu wychodzi, to skamieniał z żalu. I tak stoi do dziś, licząc, że może go jednak jakaś pokocha. Po mojemu jeszcze parę wieków to potrwa.

Coś kapnęło mi na kark. Pierwsza kropla deszczu.

— A teraz nastąp się, stary.

Przyjrzałem się figurze ciekaw, czy zdoła się ona niezauważalnie poruszyć w biały dzień, przy ludziach.

Jedno z pęknięć, znajdujące się między grzbietem niedźwiedzia a ścianą, okazało się na tyle szerokie, że łatwo dało się tam wsunąć kilka palców *naraz*. Nie zauważyłem, kiedy się tam pojawiło. Ruch kamienia musi być równie trudny do obserwacji, jak ruch słońca po niebie.

Rumcajs zajrzał do dziury i wyciągnął z niej coś niewielkiego. Był to wianek spleciony z suchych już kwiatów, tak kruchy, że w każdej chwili mógł się rozpaść.

To? — wyraził moje zdziwienie Koneser.

Wianek z kupalnocki — ocenił domowik. — Pewnie go kiedyś rzuciła, a Oberon złapał... zresztą, Niedźwiedź się nastąpił, nie? Tak jak mówił Guślarz.

Domowik ostrożnie zapakował zdobycz do papierowej torebki i schował za pazuchę. Ledwo odeszliśmy od rzeźby, lunął deszcz. Grube krople waliły wściekle o bruk, dachy, ludzi spiesznie uciekających do bram i pod markizy sklepów. Kocie łby w kilka sekund zaczęły lśnić wilgocią, na chłostanych wodnymi biczami ścianach pojawiły się ciemne plamy zacieków. Rumcajs spojrzął w górę i zaklął z niepokojem.

Chiały — stwierdził spokojnie starszy pan.

Oberon je wypuścił? — spytałem.

Wypuścił albo same się wyrwały, jedna cholera! Chodu, bo kiedy zobaczą, to...

—Co?

— Mogą obić gradem — wyjaśnił Koneser, niespiesznie kierując się w *stronę* katedry. Schowaliśmy się do przedSIONKA, między niemieckie i japońskie wycieczki. Z oddali doleciał nas huk gromu.

— Twoja prognoza się sprawdza. — Domowik oparł się o ka mienną ścianę świątyni. Podświadomie oczekiwałem, że się cho ciał wzdrygnie.

Koneser nie odpowiedział, z niepokojem spoglądał na niebo. Chwilę potem lunęło jeszcze mocniej, o bruk zastukały kawałki lodu wielkości orzechów. Turyści wyglądali na zupełnie zaskoczonych. Wydawało mi się, że słyszę gdzieś brzęk szkła. Kryjący się pod markizą po drugiej stronie ulicy sprzedawca foliowych pałatek i parasoli umknął stamtąd w poszukiwaniu bezpieczniejszej kryjówki.

Nie wyglądają najładniej — ocenił Rumcajs, spoglądając na chmury.

Kwaśne deszcze nie działają korzystnie na cerę. — Koneser spokojnie rozłożył swoją kurtkę. Patrzyłem na ołowiane chmury i usiłowałem dostrzec jakikolwiek ślad szalejących tam agentów Oberona. Przez ułamek sekundy zdawało mi się, że widzę śmigające między obłokami sylwetki walące w puchate kłęby niczym w bębny, ściskające lub wyzymające je niczym szmaty. Aby dostrzec coś więcej, musiałbym spojrzeć *przez lewe* ramię. Po rozmowie Rumcajsza z Koneserem jednak nie miałem na to ochoty.

Ulicami przechodziły kolejne fale deszczu, opad słabł i narastał. Domowik kręcił się niecierpliwie. Turyści przeglądali w aparatach zrobione niedawno zdjęcia, czytali wywieszoną w kruchcie historię kościoła i zaglądali do środka przez ozdobną kratę.

Usadzili nas na cacy, a tam naszą panią szlag być może już trafił. To co, ryzykujemy grad?

Musimy. Z cukru nie jesteśmy, a z celowaniem zawsze mieli kłopoty. Zresztą zaraz powinni się zmęczyć.

Rzeczywiście, po kilku minutach deszcz nieco zelżał. Nałożyłem kaptur i starannie go zamocowałem, po czym pobiegłem za Koneserem i Rumcajsem w stronę Rynku. Ledwo zrobiliśmy kilka kroków, lunęło na nowo.

Przydałby się wóz — mruknął starszy pan.

Najlepiej powietrzny — zgodził się domowik.

Zaraz, wy chcecie lecieć?! W taką pogodę żadna wektorówka nie wystartuje!

Zawsze będzie w każdym mieście, choćby nawet tylko jedna... — odparł zagadkowo Rumcajs. Jego kurtka pociemniała od desz czy tak, iż stała się granatowa. Mokra kosmyki opadały mu na policzki, lepiły się do karku.

Pobiegliśmy opustoszałą Piekarską w stronę Podwała przy huku piorunów, chłostani deszczem i wiatrem przez szalejące po niebie chiały, przeskakując kałuże i spływające do studzienek strumienie, omijając przewrócone parasole z ogródków. Przed nami gwałtowny podmuch wiatru wcisnął do bramy usiłującego wyjść z niej faceta.

U wylotu ulicy Kiliński na pomniku celował w niebo szablą, jakby wskazywał kierunek natarcia. Po drugiej stronie woda spływała z resztek muru stanowiącego dawno temu pierwszą linię

obrony miasta. Przynajmniej tak nam mówili na wycieczce szkolnej.

Przy tym murku, niemal tuż przy znaku zakazu, stał jedyny w zasięgu wzroku pojazd z neonem niezrzeszonej taksówki — wiśniowe subaru, jeden z najstarszych modeli wektorówek.

Rumcajs zapukał w zalaną szybę. Okno zjechało w dół; wewnątrz siedział pyzaty facet w średnim wieku, o rzadkich, ciemnych włosach i dwudniowym zarostie.

— Co jest?

— Wolny jesteś, Feluś? Podrzucisz nas? Kierowca popatrzył na ołowiane niebo.

Ty żeś chyba skręta z herbaty wypalił! Startować? Kiedy oni są w górze? Przy tym wietrze? Jeszcze mi prawko i wóz miłe.

Sałata, jeśli nie wystartujesz — warknął domowik — to będziesz mógł sobie z twojego prawka czopek zrobić, bo Goplana umrze, a Oberon wszystkich na lewą stronę wywróci!

Taksjarsz zamrugał, ogłuszony. W następnej chwili odpalił silnik.

— Poza tym, gdyby się gliny czepiały, to znam Józia Tkaczuka, nic ci nie zro...

Wiatr cisnął nam w twarz kolejną falą deszczu. Koneser odskoczył od pojazdu. W jego dłoni coś błysnęło, ciął powietrze przed sobą. Zdawało mi się, że usłyszałem pełen bólu jęk. Wiatr natychmiast zmienił kierunek.

Starszy pan stał przez chwilę bez ruchu, uważnie przyglądając się niebu. Nagle z rozmachem wbił nóż w błotnistą ziemię. Podmuchy jakby osłabły. Tylko na chwilę.

Po murze od strony Barbakanu pędziła na nas kolejna fala ulewy z gradem. Wydawało mi się, że na ciemnym tle ceglanego muru widzę idące w niej cztery półprzezroczyste, jakby ukształtowane z płynącej wody postacie. Szły w naszą stronę spokojnym i zdecydowanym krokiem, pewne, że ofiara już się im nie wymknie.

— Nadchodzą. Zjeżdżajcie stąd! — warknął Koneser ostro przez ramię, aż Rumcajs się cofnął.

— A ty?

Starszy pan wyprostował się i zdjął z głowy stary kapelusz. Usta miał zaciśnięte w kreskę, wzrok poważny. Ulewa natychmiast skleiła mu włosy.

— Mam tu jeszcze coś do zrobienia.

Rumcajs popatrzył to na cztery postacie, to na niego, i kiwnął głową.

— Do wizyska, stary — powiedział dziwnie spokojnie, niemal z re zygacją, otwierając drzwi wektorówki. Nie czekając, wślizgnąłem się do suchego wnętrza, przesyconego zapachem odświeżaczy. Zza mokrej szyby zobaczyłem, że Koneser zwinnie wskakuje na resztki ceglanego muru. Starszy pan stanął na szeroko rozstawionych no gach i machnął kapeluszem w stronę idących postaci. Nagle jego sztormiak załopotał, w następnej chwili w wektorówkę uderzyła ściana gnanego wiatrem deszczu i gradu. Koneser zachwiał się, ale ustał. Machał kapeluszem na boki, a lodowe bryłki sypały się półkolem u jego nóg. Gdy wiatr stracił nieco na sile, Feluś wrzucił bieg i wektorówka powoli uniosła się do góry, wprost ku wąskiej gardzieli Kapitulnej.

Nagle Konesera uderzyła z boku siekająca wodą i lodem fala wiatru, która zakołysała również nami, zabębniła po karoserii gradem wielkości kulek do gry. Starszy pan zatoczył się, złapał za skroń,

poślizgnął na jakiejś grudzie. Nie zdołał utrzymać równowagi, przyklęknął na jedno kolano. Machnął kapeluszem w bok, ale zrobił to za słabo. Nim wlecieliśmy w ulicę, widziałem, jak kolejna fala, tym razem idąca z tyłu, przewróciła go na mur, zasypała lodowymi kulkami.

Zawracaj! — krzyknąłem do Rumcajsa, ale domowik pokręcił głową.

On chciał, byśmy to dowieźli. Uważaj, kilku przed tobą!

Widzę.

Elf wcisnął gaz i pomknęliśmy jak strzała wąwozem ulicy. Ledwo stłumiłem rosnący w gardle

jęk strachu, Rumcajs mocniej ścisnął ukrytą pod kurtką rękę sztyletu. Feluś, łamiąc wszelkie przepisy, grzał z ogłuszającym hukiem na wysokości drugiego piętra niczym rozpędzony, żelazny taran. Białe, szare i kremowe budynki zwały się w jedną smugę. Skuliłem się na siedzeniu, czekając, kiedy z mijanych okien zaczną lecieć szyby. Przed maską narastał coraz większy szum, z wolna przechodzący w wycie, jakbyśmy przebijali się przez huragan. Obejrzałem się za siebie: wydawało mi się, że w perspektywie ulicy widzę jasnyniebieską plamkę kurtki Konesera. Równie dobrze mogło to być światło, rozszczepione na wyjątkowo dużej kropli.

W następnej chwili wzbiliśmy się nad Miodową. Kołysanie ustało, wycieraczki stuknęły rytmicznie, zmywając kolejne warstwy wody. Z tej wysokości widać było, że chmury rozciągają się nad całym miastem. Nad Ochotą zamigotała wyjątkowo piękna błyskawica. Chwilę potem doleciało nas słabe echo gromu. Drugi piorun, znacznie głośniejszy, uderzył w Wisłę.

No, to tyle w temacie chiał. Niech się tramwaju, pętaki, czepną.

Jaki mają pułap?

Większy niż my — odparł ponuro elf. — Z odrzutowcami się mogą, cholery, ganiać. Więc mówcie, gdzie mam lecieć, nim nas dopadną.

Rumcajs podał adres; kierowca zakręcił z fantazją i poleciał ze wzrastającą szybkością, nie zważając na wytyczone korytarze, tym bardziej że prawie wszystkie wektorówki stały właśnie na ziemi.

Gwałtowne podmuchy nawalnicy co chwila ciskały nami na boki, w dół lub górę.

— Myślisz, że ich odpędził? — spytałem cicho Rumcajsa. Domo— wik spojrzął na mnie ponuro i rozłożył ręce.

Już tu jest — powiedział cicho Wołos, otwierając nam drzwi. — Minął się po drodze z Chochlikiem.

Jak się dowiedział? — spytał szeptem domowik.

Podobno słyszał lament ptaków.

Odetchnąłem głęboko. To będzie ważna rozmowa. Jeśli coś pójdzie źle, muszę wesprzeć Rumcajsa. Tylko czy Oberon *zechce* słuchać przemoczonego człowieka, którego zresztą podejrzewa o spanie z własną żoną?

Władca elfów, suchy, i jak zwykle elegancki, siedział przy stole, naprzeciw wejścia. Goplana dalej leżała na kanapie, na miejscu Wołosia siedział teraz spięty i czujny Skierka. O parapet łomotał deszcz.

Kiedy Oberon mnie zobaczył, w jego oczach zamigotała wściekłość. Bez słowa uniósł rękę, stojący za nim agenci w ciemnych garniturach ruszyli w moją stronę.

— Dziwnie traktuje pan umówionego gościa — odparłem, siłąc się na spokój.

Jeden gest zatrzymał agentów w miejscu.

Można jaśniej?

Jestem Żłoty Jeleń.

To musiało zrobić wrażenie. Przez chwilę Oberon wyglądał tak, jakby chciał zabić mnie bez względu na wszystko, ale potem powiedział:

— Udowodnij.

Powtórzyłem kilka zadanych przez niego pytań i odpowiedzi udzielonych mu przez bota sieciówki. Potem nadeszła pora na mój plan.

— Jeśli nadal ma pan wątpliwości, proszę zastanowić się, kto po deszał panu wiadomość na telefon podczas rozmowy z partnerami

z „Telecomu” w „Awangardzie”, kiedy ziemia paliła się panu pod nogami. Proszę skontaktować

się z panem Zawikiem — pokazałem wizytówkę, którą wciąż miałem między kartami — i spytać, kto mu doradził, w co zainwestować. I wreszcie, kto ostrzegł pana przed Zaimoną. Nie wiedziałem — powiedział wolno Oberon — że moja żona ma takich... sojuszników. Czego chcesz?

Napisał pan, że mam prawo prosić, o co chcę — powiedziałem, starając się panować nad głosem. — Otóż chcę, aby porozmawiał pan z tym... domowikiem.

Władca elfów przez chwilę spoglądał uważnie na mnie, na przemoczonego Rumcajsa, wreszcie na Wołosia i Skierkę. Twarze wszystkich wokoło sugerowały, że mam pełne prawo o to prosić. Takie były ich zasady.

— Nie wiem, dlaczego miałbym rozmawiać z nim o czymkolwiek. Nic mu nie zawdzięczam. Lecz z tobą, Złoty Jeleniu, czy jak cię tam zwą — porozmawiać mogę. Słucham.

Zaskoczył mnie, ale trening negocjacyjny ze studiów zrobił swoje. Nawet nie mrugnąłem. Czulem, że wszyscy patrzą na mnie. Miałem wrażenie, że nawet Goplana otworzyła oczy. Przełknąłem ślinę.

— Chcę, by wybaczył pan Goplanie i pozwolił jej dworowi wrócić na Tamtą Stronę. By zostawił pan ludzi w spokoju.

W zapadłej ciszy słychać było łomoczący o parapet deszcz. Z twarzy siedzącej naprzeciw mnie istoty nie dawało się nic odczytać.

Pięć minut — powiedział zimno Oberon. — Masz pięć minut, aby mnie przekonać. Nie tutaj, na osobności. Który pokój najlepiej się do tego nadaje?

Naprzeciwko jest gabinet — pospiesznie wyjaśnił Skierka. Otworzył białe, wysokie drzwi z klamką w kształcie zwiniętego liścia.

Oberon dotknął sensorycznego kontaktu przy drzwiach. Białe, przypominające lilie kinkiety roz błysły ciepłym światłem. Ujrzałem lekkie secesyjne meble z ciemnego, intarsjowanego drewna — biurko, fotel, dwa krzesła, ruchomy barek, kilka przeszklonych szaf z książkami i bibelotami, dwa obrazy, pluszowe zasłony po bokach okien. Na biurku stos papierów, bezużyteczna bateria do laptopa — sprzęt pewnie leży

gdzieś w torbie, ciśnięty w kąt wobec powagi sytuacji. Za oknem wciąż szalała letnia nawałnica, przeplatana błyskawicami.

Wszedłem tam na miękkich nogach. Oto ja, którego jeszcze niedawno nie znałem. Adam Chors, bóstwo Sieci. Deus ex machina. Dosłownie. Z misją od domowika. Nie, nie tylko od niego, to już nie tylko sprawa tych dziwnych istot z dalekiej przeszłości. Przypomniał mi się konwent, moje spotkanie z Jasiem. Dla niego i jemu podobnych to też ważne, jeśli mi się nie uda, świat straci dla nich kolor. Usiłowałem przypomnieć sobie wszystko, czego nas uczono na treningach z negocjacji. Czy to w ogóle się przyda? Jak się do cholery negocjuje ze słowiańskim bożkiem?

Oberon zamknął drzwi i wskazał mi krzesło przy ustawionym pod ścianą po prawej stoliku do szachów. Sam rozsiadł się naprzeciwko i wyjął z ucha słuchawkę od komórki.

Nie zaopatrzył się pan we wszczep?

Szanuję swoje zdrowie — odparło prastare bóstwo. — Ale za jakiś czas, kiedy się przystosuję... może. A skoro już zaczęliśmy to, proszę, przejdźmy na ty. Możesz nazywać mnie Oberonem, Jeleniu.

Dobrze. Wróćmy zatem do rzeczy. Chciałbym, abyś ułożył się z Goplaną, pozwolił jej oraz jej poddanym wrócić na Tamtą Stronę i zostawił nas, ludzi, w spokoju.

Oberon uniósł brew. Zupełnie jak George Talbott.

Skąd w ogóle pomyśł, że mam zamiar najeżdzać ten świat?

Jedno słowo: Sieć.

No tak — władca elfów uśmiechnął się fałszywie i przeproszając — zapomniałem, z kim

rozmawiam... wybacz. Owszem, chcemy tu wrócić, odzyskać dawną pozycję, znów cieszyć się ludz kim szacunkiem. Czekaliśmy w ukryciu już bardzo długo. Tak, jak się spodziewałem, Goplana nie dała sobie rady. Jej działania nie wyszły na zdrowie ani jej, ani jej poddanym. Pewnie byłoby inaczej, gdybyś pozostawił za sobą otwarte drzwi na Tamtą Stronę. Ale podzieliło was podejście do ludzi

i wolałeś zamknąć je na cztery spusty. Ty chciałeś panować, zmusić ich do tego, by ponownie zaczęli składać wam ofiary i odkładali pierwszą frytkę z zestawu dla dobrych duchów. Ona wolała jakoś znaleźć tu dla was miejsce, żyć i im pomagać. Popraw mnie, jeśli się mylę.

Oberon spoglądał na mnie ciemnymi oczami, aż znów poczułem lodowaty powiew wieczności. Obserwowałem go równie uważnie. Wiedziałem, że ciało, które przybrał, mówi więcej niż on sam i rzadko kłamie.

Przesada. — Władca elfów pokręcił głową. — Mnie też zależy, by *znaleźć* w tej globalnej wiosce miejsce dla mnie i moich pod danych. Widzisz, co się dzieje, wszędzie elfy, trolle, krasnoludy, wróżki z motylimi skrzydełkami, same Importy... gdzie tu miejsce dla domowika, kłobuka, planetnika? Ludzie mnie nie interesują.

Nie wierzę. Ludzie to klucz.

Masz rację. Niełatwo cię oszukać, Jeleniu. — Oberon wykonał nad stolikiem taki ruch, jakby przesuwał niewidzialnego pionka. — Owszem, jest tu sporo do zrobienia... ludzie zdychają z przepracowania, zagryzają się o stowę podwyżki, zabijają z nudów... Kiedy załatwimy Importy, padną przed nami na twarz. Chyba jeszcze nie zapomnieli do końca, o kogo dbali ich przodkowie... a nawet jeśli zapomnieli, to sobie prędko przypomną. Pod pewnymi względami się nie zmienili, możesz mi wierzyć. Jesteś jak młody bóg, a ja mam już za sobą tysiące lat doświadczenia. — Uśmiechnął się. — Nadal marzą, a ja zamierzam podać im te marzenia na tacy. Po to zawsze składali ofiary — dam, abyś ty mi dał. Marzenia i nasze istnienie są wam potrzebne jak powietrze.

Pokiwałem głową. Goplana nie przesadzała... znów ujrzałem nowy, wspaniały świat pod jego panowaniem.

Czegoś takiego ludzie nie zaakceptują. Po wiekach nieobec ności proponujesz szok w drugą stronę, to źle się dla was skończy.

Jesteś tego dziwnie pewien — zauważył ironicznie Oberon. Przypomniałem sobie przerażonego chmurnika w przychodni Wo— łosia.

Widziałem twoich poddanych. Już po kilku dniach pobytu między nami wykazują pierwsze oznaki ucłowieczenia. Wiem też,

że eksperymentowałeś z naszymi wszczepami. Rezultaty nie były zbyt zachęcające, prawda? — spytałem, ciekaw reakcji przeciwnika. Drgnął. *Zatem* pora na następny ruch.

— Wiedziałeś o tym, miałeś przed nosem żywe dowody w postaci Goplany i jej poddanych, a mimo to dalej kazałeś im wypełniać tutaj różne zadania. Zdajesz sobie sprawę, że bardzo szybko mo żesz zostać sam? Zabierz stąd poddanych swoich i Goplany, nim nasza rzeczywistość ich zabije.

Oberon skrzywił się.

Nie przestraszysz mnie, człowieku, nie wygonisz słowami. Jeżeli dostęp na Tamtą Stronę jest otwarty i można tam wrócić, kiedy się chce, nie ma obawy ucłowieczenia. Poza tym mam tu, wśród was, potencjalnych pomocników, ludzi takich jak ty. Nie godzicie się na istniejący porządek świata, macie odwagę marzyć. Łatwo się z wami rozmawia i łatwo was przekonać: wystarczy zgadzać się ze wszystkim, co mówicie, i podkreślać, jak bardzo różnicie się od reszty. Jesteśmy też zbyt wielkimi indywidualistami, by się komuś podporządkować. Gdzie nas dwóch, tam trzy zdania.

Oberon oparł się wygodniej.

Nie szkodzi, to niewielki kłopot. Być może ludziom będzie trudno uwierzyć w nasz powrót. Kiedy jednak objawimy im się w pełnej chwale i zaczną dziać się rzeczy, których nijak sobie nie wytłumaczą, zaraz zmienią podejście.

Mylisz się. Znajdzie się wyjaśnienie na wszystko, wystarczy tylko podsunąć odpowiednio *przrzadzoną* pigułę informacji. Aż dziwne, że jeszcze tego nie wiesz.

Spojrzałem ponad sylwetką Oberona na dachy miasta, rysujące się na tle ciemnego nieba wieże kościoła Świętego Krzyża. Przypomniała mi się stojąca przed nią figura Chrystusa dźwigającego krzyż, z ręką uniesioną w niebo. Sursum corda.

Oberon uważał, że jest jedynym, który urzeczywistnia marzenia i daje nam nadzieję. Mylił się.

Pamiętaj też, Oberonie, że nie przeskoczysz tego — wskazałem na widoczne z okna wieże kościoła.

Dlaczego?

Pewien mądry człowiek powiedział, że chrześcijaństwo to mit, ale mit, który się spełnił. Nie lekceważ jego siły, nie walcz z nim. Nie przeskoczysz najwspanialszej opowieści o miłości, miłosierdziu i wybaczeniu, o nadziei, która sięgnęła krańców piekła. Nie przeskoczysz historii, która wydarzyła się naprawdę. Możesz ludzi cisnąć, łamać, zmuszać, by oddali ci *cześć*, ale nie wygrasz. Bóg po zostanie, Oberonie, będzie nadzieją na dnie piekła. To już nie jest świat, który opuszczalesz. Raczej pomagajcie ludziom utrzymać nadzieję, bo jej nie zabijecie.

Kościół nic dla mnie nie znaczy — powiedział szyderczo Obe— ron. — Przyszedł tutaj, szerzył swoją wiarę ogniem i mieczem, a teraz co? Jest przeżarty zgnilizną, chwieje się i pada. Świeci pustkami nawet w niedziele i święta.

To przede wszystkim ludzie, ludzie z wiarą w sercu. Ludzie już dawno wyznaczyli wam miejsce. Goplana pogodziła się z tym.

Tak, posłali nas do muzeum! — warknął władca elfów ze złowrogim błyskiem w oczach. — Do skansenu o pustych izbach, gdzie nikt nie zagląda, bo to wszystko martwe i nudne jak flaki z olejem! Pora już rozbić te gabloty. Wyjść, pokazać, na co nas jeszcze stać.

Jak ci wariaci, którzy wpadają do sklepu ze spluwą? Na pewno widziałeś to na filmach, czytałeś o tym w serwisach. Zrób tak, a nic po was nie zostanie. Wierz mi, wasza sytuacja nie jest taka zła, jak ci się wydaje. Czy to jest dla ciebie gablota? — Potoczyłem ramieniem wokoło. — Siedzicie w tradycji, może nie tak, jak byście chcieli, ale jednak ludzie wciąż was pamiętają. To spory kapitał do wykorzystania... ale z głową. Bez szaleństw, obalania krzyży i zaprowadzania starych porządków.

Tej wiary jest w was za mało, już wam żadne kierlesze nie pomogą. Ludzie zobaczą moją moc i uwierzą — we mnie. Sami wzdychają, abyśmy wrócili i pomagali im w życiu.

Bo doskonale wiedzą, że tak się naprawdę nie stanie. Zdziwisz się, jak wielu ludzi zobaczy w tobie nie przyjazną osobowość z sieciowej gry, lecz diabła, Oberonie. Nie zawojujesz tego świata siłą, nawet jeśli przybierzesz postać strumienia danych. Wiesz, co jest waszą największą zaletą?

Że w ogóle *jeszcze* jesteśmy — odparł bez wahania Oberon. — I potrafimy spełnić każde życzenie.

W tym nie przeskoczycie korporacyjnych działów reklamy. Sprawdzalesz, jak wyglądacie w baśniach i w podaniach? Tępisz Importy, ale czy zauważyłeś, jak wiele znaczą one dla ludzi, którzy oglądają się na nich i szukają w nich ideału? *Zacznij* działać, ale nie przeciw ludziom. Z nimi.

Mój rozmówca uśmiechnął się krzywo.

A kiedy zaczynani, zaraz pojawia się jakiś człowiek, niechby bóg Sieci, i mówi mi, gdzie moje miejsce i co mam robić. Nie jesteśmy lalkami, które tańczą, jak im zagracie. To raczej wy

zatańczycie, a my będziemy grać.

Niczego ci nie narzucam, Oberonie — wyjaśniłem, tłumiąc gniew. — Chcę ci tylko uświadomić pewne rzeczy, które być może umknęły twojej uwagi, wskazać skutki pewnych posunięć. I tak ostateczna decyzja *należy* do ciebie. Wiedz jednak, że kiedy ty i twoi poddani zaczniecie zachowywać się jak zdobywcy, zniszczysz dobrą pamięć o was i nic tego potem nie odbuduje. Przestaniecie być wspaniali i wielcy, bo legenda spotykana na co dzień sza rzeje, blaknie i zdycha, zmienia w codzienność. Staniecie się podli i paskudni, a przede wszystkim — zwyczajni. Ludzie zobaczą, jacy jesteście naprawdę, i wtedy albo zaczną wam stawiać bierny opór, albo po prostu ignorować. Nauczą się jakoś sobie z wami radzić, jak z korkami na autostradzie, korporacjami i pijanym gange— rem w ciemnym zaułku. Nie będziecie już tu mieli czego szukać, a wielu, wielu ludzi do reszty straci wszelką nadzieję i zdolność marzenia. Będziecie chyba musieli wynieść się w kosmos, chociaż on też już został zaludniony, ufole to kolejny Import. Ciekawe, czy będziecie pasować do tamtejszych wierzeń. Może będziecie musieli postarać się o czułki lub trzecią nogę, by was zaakceptowali?

Wrócimy do siebie — warknął Oberon — nie masz pojęcia, czym jest Tamta Strona. Przetrwaj wszystko; ziemia i niebo przemienie, gwiazdy zgasną, a ona będzie istnieć nadal. Wiesz dlaczego, czło wieku? Bo to dar bogów.

O tym nie było w żadnych opracowaniach. Uniosłem brwi w niemym zdziwieniu.

— Kiedy bogowie zobaczyli, że nie utrzymają się tutaj, postanowili się wycofać. Dla nas zaś przeznaczili niewielką kieszeń w rze czywistości. Każdy z nich ofiarował mnie i Goplanie część swojej mocy, a myśmy zbudowali z nich Tamtą Stronę. Wykorzystaliśmy te miejsca, gdzie zwykliśmy mieszkać, abyście ich nie zdeptali: mateczniki z samego środka lasu, najgłębsze wodne tonie, bez kresne pola, najciemniejsze zakątki ludzkich sadyb, podziemne korytarze z samego serca gór. Bogowie odeszli, pozostał tylko Wołoś. To była jego decyzja, za bardzo związał się z tą ziemią. Równie dobrze bogowie mogli kazać mu zostać, by im donosił, co się dzieje.

Pozostał, bo kiedy przekazał wam swój dar, nie mógł już poruszać się między światami, pomyślałem. To dzięki niemu zbudowaliście z Goplaną Bramy i możecie wędrować między światami. Pytanie, dlaczego to zrobił? Rzeczywiście z przywiązania do ziemi? A może dlatego, iż podejrzewał, że coś kombinujesz, i postanowił patrzeć ci na rękę?

— W porządku, wróćcie do siebie i będziecie kisić się we wła snym sosie. Komu będziecie wtedy zapłatać warkoczyki, zabierać dzieci, wylewać wodę na pola? Długo tak nie pociągniecie. Jesteście uzależnieni od tej ziemi i od nas, ludzi. Dobrze o tym wiesz i strasznie się boisz nas oraz tego, że moglibyśmy was odrzucić do reszty. Dlatego usiłujesz nas zastraszyć, postawić w sytuacji bez wyjścia, żebyśmy musieli was zaakceptować. Wiesz, że zawsze znajdziemy jakiś wybór. Najwyższy dał nam wolną wolę, Oberonie, a my z tego korzystamy. Mam dla ciebie propozycję. Chcesz jej wysłuchać?

Władca elfów nie odpowiedział. Uznałem to za zachętę.

— W gruncie rzeczy chodzi nam o to samo, różnimy się tylko metodami. Oferuję ci swoją pomoc, żeby wszyscy byli zadowoleni. Waszą największą zaletą jest to, że istniejecie, i to nie w świecie realnym, ale właśnie obok. Tamta Strona nie należy do tego świata, i bardzo dobrze, niech nasze światy nie pochłaniają się wzajemnie. Ludzie wolą myśleć, że jesteście gdzieś tam, daleko, i czerpać z tej świadomości siłę, niż widzieć chiałą latające za oknem. Wam nie udaje się za długo żyć tutaj, a ty sam

pewnie wiesz, jak bardzo ludzie potrafiliby zamieszać po Tamtej Stronie...

Oberon uśmiechnął się lekko. Chyba po raz pierwszy był to uśmiech szczery.

Odwiedzajcie nasz świat, ale nie za często i na niezbyt długo, byście się nie ucłowieczyli.

Zamiast wkręcać się w miejskie le gendy i udawać kogoś, kim nie jesteście, wróćcie do pomagania ludziom, tak jak robiliście to dawniej.

Niby czego od nas oczekujesz?

Róbcie to, co przekazano o was w legendach i podaniach. Uczcie dobrze żyć, pokazujcie, co dobre, a co złe. Dawajcie siłę do przetrwania. Przekazujcie nadzieję, że sprawiedliwość zwycięży, zło zostanie ukarane, a dobro nagrodzone. Przypominajcie, że poza ekranem kompa, kontem i ścianką biurowej zagrodki jest coś jeszcze. Niech ludzie dalej opowiadają o koronie króla węży, Skarbnika i cieszą się, gdy od czasu *do* czasu *znajdą* kwiat paproci albo spotkają kogoś z was. To będzie znak, że jednak jesteście, sprawi, że te opowieści będą z nową siłą krążyć dalej. Może zainspirujecie jakiegoś artystę do stworzenia dzieła, dzięki któremu wyjdziecie z cienia, mocniej odcisnięcie się w ludzkiej pamięci. Wasze obecne imiona nie wzięły się przecież znikąd.

Władca elfów w zadumie potarł brodę. Gdzieś zniknął jego gniew, wydawał się zamyślony.

Co radzisz?

Na początek przebacz Goplanie i jej poddanym. Cofnij zakaz, niech wrócą na Tamtą Stronę, niech twoja żona odzyska siły. Posłuchaj, co ma ci do powiedzenia, co tu widziała.

Widziałeś, jak wyglądają. To już są wraki, strzępy.

Gdyby nie oni, to nie miałbyś, mości Oberonie, do czego wracać.

Oberon spojrział na zegarek i wstał.

— Pięć minut minęło. Wysłuchałem twoich słów, *Złoty Jele* niu. Odpowiem ci za trzy dni. Spotkamy się w samo południe, powiedzmy, w „Balladynie”. Co, zdziwiony? Owszem, *znam* tę knajpę, choć nie powiem, że bym tam bywał.

Kiedy wyszliśmy, nikt się nie odezwał. Słyszać było, jak skrzypi drewniana podłoga pod butami Oberona. Wszyscy spoglądali na niego.

Władca elfów popatrzył na nieprzytomną Goplanę i leżący na jej piersiach wianek. Ujął go delikatnie, podniósł i włożył swojej żonie na głowę.

Przysięgłbym, że listki i suche kwiaty poruszyły się, ale równie dobrze mogła to być gra cieni.

— Czas do domu, pani — szepnął Oberon.

Nachylił się i bez wysiłku uniósł bezwładną panią elfów.

— Zabieram ją ze sobą, tutaj nie dożyłaby wieczora. Musicie mi zaufać, czy wara się to podoba, czy nie.

Nie podobał mi się pełen złośliwej satysfakcji ton i błysk w jego oczach. Bardzo. Ale słowom nie można było odmówić racji. Wyczytałem to w ponurym spojrzeniu Wołosa. W zaciśniętych pięściach Rumcajsja. W zrezygnowanym milczeniu Skierki.

Oberon ruchem głowy zatrzymał sekretarza Goplany, który zamierzał iść za nimi z parasolem i zadowolił się otwarciem drzwi. Wyszedł bez słowa osłaniany przez swoich goryli.

Rozdział szesnasty

Przez najbliższe trzy dni siedziałem jak na szpilkach.

Kiedy opowiedziałem Rumcajsowi i pozostałym, co zdecydował Oberon, nie wiedzieli, czy mają się cieszyć, czy mnie zabić. Domowik rwał się śledzić go, aby po drodze nie wyrzucił Go—plany z samochodu; Wołoś usiłował wybić mu to z głowy, ale chyba niezbyt skutecznie. Domowik zniknął na mieście, a ja po raz pierwszy od kilku dni wróciłem do domu sam. Nie była to łatwa podróż, Mariaszek miał rację, po naszym spotkaniu miasto nieźle ucierpiało. Wszędzie poprzewracane budki, brak prądu, połamane gałęzie, rzeki na ulicach, wszystkie służby miejskie na najwyższych obrotach. Sobótkową imprezę nad brzegiem Wisły trzeba było odwołać,

uciekający przed burzą i ulewą ludzie stratowali pięć osób. Poddani Oberona nieźle zaszaleli. Za to następny dzień wstał tak piękny i słoneczny, jakby wczorajsze wydarzenia były tylko dziwnym, złym snem.

Koneser przegrał walkę z chiałami. Jego ciało znaleziono na chodniku obok muru, potłuczone gradem. Sekcja wykazała, że przyczyną zgonu był uraz czaszki spowodowany silnym uderzeniem wyjątkowo dużym kawałkiem lodu. Gliny szybko zakwalifikowały to jako tragiczny wypadek wynikający z głupoty denata. No bo kto wychodzi na ulicę w największe gradobicie?

Pochowano go obok żony, na Północnym. Słońce znowu prażyło, złąknione wilgoci miasto natychmiast wysssało wszystko, co pozostawiła po sobie nawałnica. Byłem ciekaw, czy na pogrzebie

zjawi się Rumcajs albo ktoś od Goplany, lecz była tylko dalsza rodzina i kilku znajomych z pracy. Miałem nadzieję, że dali mu do trumny kapelusz, w końcu co to za planetnik bez kapelusza.

Potem poszedłem do „Piątej”, uczcić pamięć starszego pana tak, jakby sobie tego życzył. Siedziałem na tym samym miejscu co kilka dni temu i dziwnie się czułem. Bez niego i upajających się kwiatem paproci eleganckich elfów ten lokal na pewno nie będzie taki sam. Zmyśliłem Idze coś o zawale serca, przyjęła to ze smutkiem. Okazało się, że starszy pan, podobnie jak Goplana, miał własną, prywatną mieszankę. Namówiłem dziewczynę, by wpisała ją do menu pod nazwą „Koneser”.

Skontaktowałem się też z Agą, powiedziałem, jak sprawy stoją. Przyznałem, iż nie wiem, czy to już naprawdę koniec. Przyjęła to zaskakująco spokojnie, obiecała w razie czego dalszą pomoc. Mój dług wobec niej rósł coraz bardziej. Nie wiem, jak i kiedy go spłacę i czy nie zażąda odsetek.

Jakiś czas potem na serwisie giełdowym pojawiła się informacja o aresztowaniu szefów Zaimony pod zarzutem oszustw na niekorzyść zleceniodawców. Podobno stało się to możliwe dzięki anonimowemu donosowi. Oberon nie lubił zostawiać spraw nie—załatwionych.

Niespodziewanie w swojej poczcie znalazłem propozycje spotkań i ekspertyz od kilku tytanów doradztwa finansowego. Było to tak nieprawdopodobne, iż zacząłem podejrzewać wredny dowcip kolegów z redakcji albo wyjątkowo perfidny atak spamerów, którzy przedarli się przez gęste sito filtrów MediaGruppe.

Nie zdążyłem się jeszcze otrząsnąć, kiedy zadzwonił Piotrek. Głos mojego brata był jak zwykle opanowany, a przy tym *zabarwiony* tonem, którego dawno już u niego nie słyszałem. Przy dużej dozie dobrej woli uznałbym, że to serdeczność.

— Gratuluję pierwszego udanego interesu. Doprawdy, zaskoczyłeś wszystkich.

Poczułem niemiły chłód w okolicy kręgosłupa. Zapomniałem, że Piotrek też potrafiłby zrobić taki kawał. Miał możliwości.

— Proszę?

Nie udawaj. Poradziłeś zakup akcji Rovera, które dziś rano poleciały w górę jak rakieta. Wszyscy zastanawiamy się, jak to wyliczyłeś i czy miałeś dodatkowe informacje...

Moment. Niby komu?

— Ptaszki ćwierkają, że jakiemuś doradcy finansowemu... Odruchowo zerknąłem za okno, ale gałąź była pusta. Czułem,

jak oblewam się zimnym potem. Poprawna analiza rynku to niczym szóstka w totku... obłąd, chyba trafiłem nie do tego Matrixa. Kto to mógł być? Kiedy i gdzie widziałem ostatnio kogoś takiego? Przypomniałem sobie. Ciekawe, kiedy się pan Zawik wygadał. I komu.

Tak sobie myślę, czy nie chciałbyś porozmawiać z naszymi analitykami — ton Piotra był teraz wręcz proszący. — Rzecz jasna odpłatnie. Jeśli coś z tego wyjdzie, policzymy ci jak za normalną

konsultację...

Jeśli coś z tego wyjdzie? Trochę się spóźniłeś. Mam tu oferty współpracy od Josh&Cook, Serbili, działu funduszy emerytalnych Naresta i Delpha. Płacą od razu, niezależnie od rezultatów. Poza tym nie wiem, co powiedzieliby twoi szefowie na to, że chcesz konsultować u członka własnej rodziny...

Trudno — głos Piotrka znowu stał się uprzejmie lodowaty — żałuję, ale w końcu to twoja decyzja. Spróbuję ustalić to innymi drogami.

Powodzenia — odparłem, starając się nie parsknąć śmiechem. Piotrek zagoni do roboty cały podległy sobie zastęp analityków i ekonomistów, wydusi z rady nadzorczej dodatkowe fundusze, zmarnuje miesiąc albo dwa i będzie musiał się poddać.

Bo czy można *znaleźć* metodę tam, gdzie jej nie ma?

Nie wątpię, że szefowie bardzo mu za ten wysiłek podziękują. Może nawet pojedą po premii, o opinii nie wspominając.

Chwilę potem zadzwoniła matka. Od niej dowiedziałem się, że Artur skasował swoje ukochane, nowiutkie, czarne BMW na wyjątkowo pechowym zakręcie koło jej mieszkania. Wiedział, że co chwila ktoś z niego wypada, ale spieszył się i rozwalił na billboardzie maskę oraz lewy błotnik. Przeżył tylko dzięki poduszce powietrznej. Gliniarze, widząc, że się rusza i mówi składnie, załatwili swoje i pojechali. Zaraz potem zjawili się faceci z pomocy drogowej, okazali multilicencję od wszystkich ważniejszych firm i piorunem zabrali wrak. Chyba byli upaleni, bo promieniowali takim szczęściem, jakby ten wypadek był ich dziełem, a ładowali pojazd na lawetę tak, jakby chcieli przy tej okazji narobić jeszcze więcej szkód. Brata zdziwił ten pośpiech, ale tamci wyjaśnili mu uprzejmie, że jego wózek to niebezpieczny import, który trzeba czym prędzej usunąć. Artur udał się do matki zadzwonić, bo na dokładkę zdechły mu baterie w telefonie. Właśnie odleciał do pracy wektorówką. Podobno bardzo przeżył utratę swojej nowej zabawki, bo na przemian klął i popadał w depresję. Pewnie przeszła mu koło nosa następna zdobycz spośród pracowników firmy albo kontrahentów.

Nie wyrzuciłem żadnego nawęzu, które Rumcajs dla mnie zrobił albo załatwił, choć zdawałem sobie sprawę, że mogą okazać się za słabą ochroną. Domowik nie pojawił się od czasu mojej rozmowy z Oberonem. Pewnie pilnował Goplany. Nie mogłem skupić się na zleconym mi artykule, odrywałem się od pisania i spoglądałem na niebo lub rozglądałem wokoło, bojąc się, że zobaczę jakieś dziwne rzeczy, o których mówił władca elfów. Na razie wszystko wyglądało normalnie; mimo to kładłem się spać nafaszerowany Calmaxem. Moje sny były pełne krwi rozlewanej przez szalejące po mieście elfy.

Rozwiązała się też kwestia podręcznych. Zastanawiało mnie, co tak naprawdę stało się z Kromczonką — może ucłowieczyła się do końca i umarła, może uciekła gdzieś albo faktycznie została zamordowana. Dla kogoś stojącego tak wysoko jak Krzekowski opłacenie faceta w spalarni odpadów, by przymykał oko na pewne przesyłki specjalne, to nic. Tego dnia musiałem ruszyć się do redakcji, dopilnować kolejnego artykułu i dyskretnie sprawdzić, czy przysłane mi oferty współpracy nie są mimo wszystko głupim dowcipem. Nie były. Spotkałem też Kaškę, która zrelacjonowała mi, jak teraz wygląda sytuacja.

Prezesowi postawiono oparty na poszlakach zarzut morderstwa na podręcznej znalezionej na Ursynowie. Może to faktycznie była Kromczonka, może nie — nikt mi nie powiedział, jakim nazwiskiem posługiwała się wśród ludzi. Krzekowskiego pogrążyły jeszcze zeznania innej podręcznej, która zgodziła się świadczyć przeciwko niemu. Kaška podejrzewała zresztą, że prezes nie bawił się sam, lecz w nieoficjalnym klubie pośród innych wysoko postawionych gości, sprawa mogła się więc *jeszcze* rozwinąć. Prowadząc swoje śledztwo, Kaška uwzględniła to, co opowiedziałem o Kromczonce — cały czas trzymając się wersji o zaginionej dziewczynie — i

bójce w barze. Wyszło jej, że południca, tak czy owak, musiała być przez pewien czas na usługach prezesa, a kiedy odeszła, Krzekowski wystraszył się, że ujawni jakieś jego tajemnice. Musiał ją kiedyś zobaczyć w towarzystwie Broni i przypuszczał, że podręczna mogła się z czegoś zwierzyć swojej przyjaciółce. Tutaj Kaśka uzupełniła moją wiedzę tym, co uzyskała od swoich informatorów. Otóż Krzekowski załatwił fuchę kilku ochroniarzom ze swojej firmy, by po godzinach znaleźli mu Bronię. Szwendali się po mieście w cywilu, w końcu udało im się namierzyć ją w „Balladynie”. Najpierw próbowali wyciągnąć stamtąd dziewczynę bez wzbudzania podejrzeń, potem chcieli zrobić to siłą. Niestety, nie wiedzieli, kto tam przesiaduje, a skutki tej pomyłki widziałem na własne oczy. Szefostwo ochrony miało teraz niezły ból głowy, by wyjaśnić przed zwierzchnikami z firmy Krzekowskiego, skąd ich ludzie wzięli się w tej knajpie. Wiadomo przecież, że ochroniarzy też się pilnuje, choćby po to, by nie dali się wykorzystać w szpiegostwie przemysłowym. Na razie firma usiłowała paragrafami zmusić policję, by przestała się zajmować masakrą w barze, bo to wewnętrzna sprawa korporacji. Mogłem im tylko życzyć powodzenia; gliniarze na pewno zaczęli się odwoływać, hamując im śledztwo, sprawcy zaś siedzą już po Tamtej Stronie albo diabli wiedzą gdzie.

A tak swoją drogą — zdziwiła się na zakończenie Kaśka — coś ty w ogóle robił w lokalu na Powiślu?

Wiesz, tam przyłążyło sporo literatów. Stary kumpel z roku mnie tam zaciągnął, poeta... zwialiśmy, ledwo się zaczęło.

Miałem nadzieję, że Zbyszek nie zabije mnie za to łgarstwo. Na szczęście Kaśka łatwo je przełknęła.

Zatem na chwilę obecną sytuacja wygląda tak: facet jest przy ciśnięty, a podręczna dostała porządną ochronę policyjną. Nie wykluczam, że to dopiero początek, pierwsza od dawna *afera*., która ma szansę zakończyć się dużym, głośnym procesem. Przy okazji wyciągnie się też i nagłośni wcześniejsze sprawy, zwłaszcza te umorzone. Masz w tym swój udział, Adaś, sporo mi podpowie działaś...

Może *zatem* byśmy się gdzieś spotkali i godnie to uczcili? — spytałem i dopiero po chwili dotarło do mnie, co powiedziałem.

Właściwie, czemu nie? W końcu to jeszcze do niczego nie zobowiązywało. Pracowało mi się z nią dobrze. Na korporacyjnych spędach dobrze gadało. Może warto byłoby sprawdzić, jaka jest prywatnie?

Ku mojemu zaskoczeniu, nie wykręciła się nawałem zajęć. Umówiliśmy się do „Savoya” na wieczór trzeciego dnia. Wtedy powinno być już po wszystkim.

Albo po mnie.

Na spotkanie w „Balladynie” szedłem jak na wojnę. Zabrałem ze sobą pełną solniczkę i wszystkie nawęzy. Tak na wszelki wypadek.

Choć serwisy jeszcze mówiły i pisały coś na temat krwawej jatki w *barze*, po wydarzeniach sprzed paru dni nie pozostał na zewnątrz żaden ślad. Gliniarze zebrali swoje i zmyli się.

Kiedy wszedłem, uderzyła mnie panująca wewnątrz pustka. Tylko paru kiwających się nad swoimi piwami całkiem normalnych facetów. Za barem stała nieznana mi kobieta. Co się stało? Właściciel się zmienił? Ludzie boją się tu przychodzić? Gdzie się podziali wszyscy podwładni Goplany?

Kupiłem sobie mrożoną herbatę w butelce i usiadłem przy nowym, plastikowym stoliku, pod mielącym duszne powietrze wentylatorem. Drewniane ławy i stoły wyglądały na nietknięte. Udając, że idę do toalety, zapukałem dyskretnie do wróża. Zamknięte.

Właściwie można to całkiem łatwo wyjaśnić. Skoro Oberon zabrał Goplanę na Tamtą Stronę, oni

także mogli... Nie wątpię,
że skorzystali z tej okazji szybciej niż ludzie z pogwiazdkowej wyprzedaży.
Mój rozmówca pojawił się dokładnie w południe. Wszedł do lokalu jak do siebie, nie zwracając uwagi na to, iż pozostali klienci ze zdziwieniem gapili się na jego elegancki korporacyjny mundurek. Za nim wszedł nieco niższy pomocnik, który zaraz kupił mrożoną herbatę i piwo.

— Nie spodziewał się pan mnie, prawda? — spytała Goplana, zdejmując eleganckie ciemne okulary i siadając naprzeciwko mnie. To już nie był ten cień, który wyniósł na rękach Oberon. Zniknęły zmarszczki i cienie pod oczami, matowy poblask włosów, sucha skóra. Pani elfów wyglądała teraz na zadbaną, promieniującą energią czterdziestkę, szefową dobrze prosperującego interesu.

Rumcajs usiadł obok niej. Nadal nie rozstawał się z jeansowym wdziankiem i czerwoną bejsbolówką, ale również wyglądał lepiej niż ostatnio. Gdybym przechylił głowę na lewo, pewnie by mnie oślepiło.

— Nie zdążyłam pana uprzedzić, jednak sytuacja nieco się zmieniła...
Uśmiechnąłem się.
Skoro was tutaj widzę, wnioskuję, że na lepsze. Udało się?
W stu procentach, stary — wyszczerzył się domowik. — W stu procentach.
Jego radosny ton sprawił, że poczułem ukłucie paskudnego niepokoju.
A gdzie Oberon? Chyba go nie...
Proszę się nie obawiać, panie Adamie. — Goplana położyła dłoń na moim nadgarstku. Przez ułamek sekundy miałem wrażenie, że przelewa się we mnie płynna energia. — Żyje i nic mu nie jest.
Wiecie już, co się stało z... panem Marcinem? Planetnikiem?
Wiemy. — Goplana kiwnęła głową. — Szkoda go, wiele mu zawdzięczam... Między chiałami a planetnikami nigdy nie było zgody. Wina spada na mojego małżonka, bo pozwolił im hulać bez opamiętania. Może pan jednak być pewien, że uczymy go godnie.
Rumcajs pokiwał zdecydowanie głową. Sądząc po jego spojrzeniu, chiałły będą musiały mieć się na baczości.
Zatem, jak się to wszystko skończyło?
Bądź tak uprzejmy i wyjaśnij wszystko panu Adamowi — Go— plana zwróciła się do domowika. — Przez większość czasu byłam nieprzytomna.
Rumcajs rozsiadł się wygodniej i łyknął piwa.
Oberon dotrzymał słowa — zaczął. — A skoro oboje znaleźli się po Tamtej Stronie, jego *zakaz* przestał działać. Skierka i Cho chlik rozgłosili to i wszyscy czym prędzej rzuciliśmy się do Bram. Nie będę ściemniał, baliśmy się, żeby się nagle nie rozmyślił. Faktycznie, kiedy wróciliśmy, zamknął panią w jednej z komnat ich pałacu, razem ze świeżymi kwiatami paproci, usadził nas pod okiem swoich koleś, a sam dalej szykował się na podbój. Wcale nie zamierzał nam pomagać, tylko mieć na oku, byśmy mu nie bruździli, gdy się wam pokaże. Dlatego dał ci te trzy dni, chciał cię uziemić, bał się, abys mu jako Złoty Jeleń nie zaszkodził i całej Sieci przeciw niemu nie zbuntował, a zwłaszcza skierek, wiesz, jak mu na nich zależało. Na szczęście miałem dobre układy z boginkami pilnującymi żywej wody, więc dostałem trochę i piorunem pogałem do pałacu. Niełatwo było odnaleźć uwięzioną Goplanę, bo pałac może i niewielki, ale sto komnat przepisowo posiada.
Odzyskałam siły na tyle, aby się stamtąd wymknąć — wtrąciła pani elfów. — Powoli zaczęłam przychodzić do siebie. Udało mi się podsunąć Oberonowi świeży kwiat paproci. Nie był na to uodporniony, więc szybko padł. Wtedy zamknęłam go na skraju Tamtej Strony.
Nie dotrzymał przyrzeczenia — wyjaśnił Rumcajs. — To najcięższe u nas przewinienie. No i

siedzi teraz na szklanej górze za siedmioma górami i siedmioma lasami.

A dokładnie?

Daleko — zapewnił mnie domowik.

Goplana uśmiechnęła się lekko, jakby do wspomnienia swojej zemsty. Cóż, wiele w niej jeszcze zostało z człowieka. A może zawsze taka była? Nie znałem jej na tyle długo.

— Na razie nie odzyskałam do końca sił, ale to kwestia czasu. Cieszę się, że zdążyliśmy powstrzymać mojego męża. Proszę mi wierzyć, panie Adamie, przebywałam wśród ludzi wystarczająco długo, aby wiedzieć, jak tu się teraz żyje i jak się z wami najlepiej porozumieć. Oberon pozostawał odcięty zbyt długo, aby to pojąć. Sądzę, że musiałby na to poświęcić jeszcze ze trzysta lat.

Pokręciłem głową, nie bardzo wiedząc, czy się cieszyć, czy zgrzytać zębami. Czy ludziom wyjdzie na zdrowie współpraca z kimś, kto w ten sposób odzyskał władzę i żył tyle lat pośród nas, ale w oparach kwiatu paproci? Jednocześnie czułem ulgę, słysząc o zneutralizowaniu Oberona. Goplana przynajmniej nigdy nie mówiła, że chce nad nami panować.

— Co *teraz*? Jakie ma pani plany?

Twarz władczyni elfów spoważniała. Zaczęła mówić cichym, nieśmiałym głosem:

— Wie pan, kiedy leżałam półprzytomna na tej kanapie, słyszałam całą waszą rozmowę. Drzwi do mojego gabinetu nie zamykają się zbyt dokładnie, a wieniec przywrócił mi część sił. Słyszałam, co pan mówił o Jedynym. Nigdy nie zamierzałam zajmować Jego miejsca. Wie pan, od wieków się nad tym zastanawiam... i tak sobie myślę, że...

Milczała przez chwilę.

W końcu po coś jeszcze istniejemy, prawda? Gdybyśmy nie byli już potrzebni, to by nic po nas nie zostało. A to, w czym chcę ludziom pomóc, chyba pokrywa się z Jego celami.

Nie wiem, proszę pani. Nie umiem odpowiedzieć na takie pytanie. Proponowałbym zgłosić się z tym do fachowca.

Pamiętam, co powinniśmy pańskim zdaniem tutaj robić — ciągnęła Goplana, zatopiona w swoich myślach, spoglądając w szklankę. — Zgadza się z tym, to nasze główne zadanie, choć bycie ideałem nie jest wcale takie łatwe, my też mamy swoją osobowość, wady i zalety... Ale jeśli nie będziemy ludziom po magać, to zginie my i wy. Zapomnieliśmy o tym i sam pan widział, jak to się skończyło. Zresztą bez nadziei nie da się żyć, sama świetnie o tym wiem, inaczej nie rozmawialibyśmy *teraz*. Abyśmy byli skuteczni, musimy mieć dojscie do Tamtej Strony, by pamiętać, kim jesteśmy, i się nie uczłowoczyć. *Liczę*, że w ten sposób, bez zbytniego rozpychania się łokciami, uda się nam odzyskać w tej globalnej wiosce swoje dawne miejsce, na równych prawach z Importami ze wschodu i zachodu. Odetchnąłem z ulgą.

Poznaliście lepiej ludzi i ludzkie słabości. To powinno ułatwić wam zadanie...

Po tym, co przeżyliśmy tutaj, nigdy już nie będziemy do końca tacy jak wcześniej — uśmiechnęła się smutno Goplana.

Jednak samo zdobycie sobie niszy to za mało. Aby się utrzymać, musicie stać się stałym elementem kultury, rozpoznawalnym przez starych i młodych, zagospodarować się nie tylko w starych, ale i nowych mediach. Musicie inspirować, koić, pobudzać do działania, dawać nadzieję...

I co dalej?

Jeśli dobrze pójdzie, zostaniecie — a przynajmniej niektórzy z was — prawdziwymi symbolami, ikonami *naszej* kultury. Wtedy możecie odetchnąć. Takiej ikony żaden Import już nie ruszy. Zawsze będzie miała swoje miejsce.

Rozumiem... o to właśnie chciałam pana spytać. Jak to osiągnąć? Pan jest człowiekiem, ekonomistą, wie, *co* trzeba zrobić, by nas zauważyli.

Tego właśnie się bałem.

Myli mnie pani z doradcą od marketingu, a jestem tylko zwykłym analitykiem. To wbrew pozorom całkiem inne dziedziny.

Może i nie tak bardzo inne — pani elfów uśmiechnęła się lekko. — Domowik opowiadał mi, czego dowiedzieliście się o planach mojego męża. Sądzi pan, że sieciowa gra to dobry pomysł na wejście między ludzi?

Jeśli jest umiejętnie poprowadzona i bez prób robienia gra czom wody z mózgu — odparłem po namyśle. — No i zależy od tego, co zamierzacie tam robić.

Być sobą. Nie włączyć do Sieci, tego nie wytrzyma nikt poza skierkami, ale odgrywać siebie. Każdy prowadziłby swój jak najdokładniejszy, cyfrowy odpowiednik. Zresztą dostałby pan scenariusz...

Pamiętajcie o *jeszcze* jednej rzeczy — wpadłem jej w słowo, nim zaczęła wprowadzać mnie w szczegóły. — Takich gier są w Sieci setki, nigdy nie wiadomo, która zyska popularność, która nie. Do tego trzeba zapłacić tym, którzy ją zrobią. Skąd weźmiecie fundusze?

O to się proszę nie martwić. Wystawimy stronę „Zaadoptuj skrzata”. Jeśli uda mi się załatwić sponsorów, każde kliknięcie oznaczać będzie kilka centów. Najhojniejsi dostaną...

Serwis — odpowiedział Rumcajs.

Właśnie. Zaopiekujemy się serwerami. Skierka w sieci zadba o programy, obroni przed wirusami i niechcianą pocztą, a na zewnątrz będzie chodził ktoś z naszych jako serwisant. Innym policzymy za taką usługę według ustalonego cennika.

Jęknąłem w duchu. Dlaczego wybrali sobie dziedziny, w których jest największa konkurencja? Są głęboko przekonani, że im się uda, ale praw rynku nawet ona nie zmieni. Chyba spiknę ją z Agą, może zdoła im pomóc z Siecią i ich dopilnować.

— Nie wymagam od pana natychmiastowej odpowiedzi. Chciałabym raczej zapytać, czy zgodzi się pan, abym od czasu do czasu zasięgała pańskiej rady w sprawie takiego czy innego posunięcia? Rzecz jasna, odpłatnie, według pańskich stawek. Waluta do uzgodnienia, jeśli pan chce — nawet złoto i drogie kamienie.

Cóż miałem robić, nie wyprę się swojego zawodu. Ciekawe, jak to będzie wyglądać w moim CV. Goplana dopiła herbatę i wstała.

— Nie zatrzymuję pana dłużej, czeka mnie jeszcze sporo pracy. Proszę być pewnym — powiedziała, podając mi dłoń — że ktoś się z panem skontaktuje.

Domowik wcisnął mi w rękę kawałek papieru z nabazgranym numerem.

— Będę tu często zaglądał. Gdybyś czegoś potrzebował, zostaw wiadomość w skrzynce głosowej. Przylecę piorunem.

Goplana i Rumcajs wyszli, a ja dalej siedziałem nad swoją herbatą. Wentylator szumiał, goście rozmawiali, za oknem od czasu do czasu przejechał samochód albo z szumem przemknęła wektorówka. Po błękitnym niebie przesuwawa się wyjątkowo duża,

kłębiasta chmura, poprzedzona stadem nieco mniejszych. Przypominała postać człowieka w kapeluszu. Powodzenia, pasterzu chmur. Mam nadzieję, że cieszy cię takie *zakończenie* sprawy.

Znowu skądś przypałała się wizja świata pod rządami Obe—rona. Z ulgą zmiałem ją w kulkę i wyrzuciłem z mojego umysłu. Takiego świata na pewno nie będzie.

Teraz nasza rzeczywistość też się zmieni. Jak? Nie wiem, ale Goplana i jej poddani, mimo całego swojego doświadczenia, mogą się na niej mocno sparzyć. Możliwe, że źle im doradziłem i tak naprawdę nic nie drgnie. To nie jest miejsce dla ucieleśnionych starych mitów, zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę lokalne wojny, harówkę po dwanaście godzin na dobę, przekręty na wszystkich szczeblach, gangi na ulicach i terroryzm w kilkunastu odmianach. Żeby w nim przeżyć, muszę zająć się wreszcie swoimi sprawami, a nie przestawać z domowikami i resztą tej

ekipy przeciętnych inaczej. Po tej prognozie stała do mnie kolejka firm konsultingowych. Lada chwila ruszy lawina zamówień na kolejne artykuły. Wobec Agi miałem dług większy niż Somalia. Poza tym czekał mnie dziś wieczór z Kašką. Pierwszy i być może nie ostatni.

Chciałbym uwierzyć, że teraz będzie im lepiej. Chciałbym mieć błogą świadomość, że zapomną o mnie, że cała ta awantura już mnie nie dotyczy, że wypełniłem swoją misję, a reszta będzie wyłącznym zmartwieniem Goplany i jej poddanych. Ale wszystko pewnie będzie wyglądać inaczej. Uważają, że skoro znają ludzi lepiej niż Oberon, pójdzie im jak po maśle — niech tak myślą, w końcu to ich rola. Miałem jednak dziwne wrażenie, że kiedy sprawy zaczną iść źle, przypomną sobie, gdzie mieszkam, i znowu przyjdzie mi myśleć logicznie za nich albo ułatwiać im życie. Za nic nie dam się znowu wyciągnąć. Nigdy więcej.

W końcu pomarzyć zawsze można.